

ISABEL  
WOLFF



Niewybaczalne

Prószyński i S-ka

**I S A B E L W O L F F**

Niewybaczalne

**PRZEŁOŻYŁA  
MAGDALENA MOLTZAN-MALKOWSKA**

*Prószyński i S-ka*

*Pamięci mojej matki*

Przeszłość nigdy nie umiera.  
Nie jest nawet przeszłością.

William Faulkner, *Requiem dla zakonnic*

# PROLOG

31 sierpnia 1987 r.

Na plaży tłum letników, chowają się za parawanami w kolorowe pasy, patrzą na rozmigotane morze, osłaniając oczy przed promieniami popołudniowego słońca. Na horyzoncie rozkraczył się wielki szary tankowiec, nieco bliżej bieleje ławica jachtów o wydętych żaglach. Przy brzegu dwoje młodych ludzi w strojach do surfowania spycha na wodę żółtą łódkę. On przytrzymuje, kiedy ona wsiada, po czym sam wskakuje i odpływają, rozkołysani na falach. Dwie dziewczynki w różowych kostiumach chwilę odprowadzają ich wzrokiem i z piskiem wyskakują na piasek. Za nimi jakaś rodzina gra w krykieta. Piłka szybuje ku skałom, ściga ją pies, ujadając, wzbija pazurami kaskadę mokrego piasku.

Na ścieżce za plażą ludzie oblegają drewnianą budkę. Stoją po ciastka i herbatę, lody, wiaderko i łopatkę lub dmuchany materac – taki kupują właśnie dwaj nastoletni chłopcy. „Tylko nie wypływajcie za daleko”, ostrzega pani za ladą. Wyższy chłopiec kiwa głową, po czym wraz z kolegą niesie zdobycz po wydeptanych, granitowych schodkach na plażę.

Tutaj piasek jest blady i suchy, połyskuje drobinami miki. Po drodze do wody chłopcy rzucają ukradkowe spojrzenia na blondynkę w czarnym bikini – leży na białym ręczniku nieruchomo jak posąg. Rozkoszuje się słońcem i szumem morza, miarowym jak oddech. Muszka siada jej na policzku, kobieta ją odgania, a następnie podciąga się i opiera na łokciach. Patrzy na cypel, gdzie trawa wyschła na kolor bladego złota, potem przenosi wzrok na ciemnowłosego mężczyznę, który jej towarzyszy, i posyła mu leniwy uśmiech. Przewraca się na brzuch, odpina górę od kostiumu i podaje mężczyźnie flakon z kremem przeciwsłonecznym. Brunet z wahaniem zerka na dwójkę jej dzieci, nieopodal budują zamek z piasku, po czym odkręca flakon i wciera krem w barki kobiety. Pod jego dotykiem blondynka wzdycha z zadowoleniem.

Jej córka podnosi wzrok. Na widok ręki mężczyzny w okolicach matczynej talii dziewczynka czerwienieje i podnosi się z klęczek.

– Chodźmy nad zatoczkę – proponuje młodszemu bratu.

Chłopiec kręci jasną główką.

– Nie.

– Kiedy ja chcę, żebyś ze mną poszedł.

– Wolę zostać z mamą.

Dziewczynka podnosi plastikowe sandały i z werwą je otrzepuje.

– Masz ze mną pójść.

– Po co?

Wkłada prawy but.

– Żeby mi pomóc.

– Nie chcę ci pomagać.

– Ale musisz... – Wpycha stopę w lewy but, schyla się, żeby go zapiąć, potem łapie wiaderko napełniane przez brata i wysypuje jego zawartość. – Ja poniosę, ty weź siatkę.

Chłopiec wzrusza chudymi ramionami i wstaje. Podciąga czerwone kąpielówki, dostał je po kimś i są za duże. Sięga po leżącą opodal siatkę.

Matka podnosi głowę.

– Macie mało czasu – zaznacza. – O szóstej idziemy; wróćcie, kiedy usłyszycie dzwonek kioskarki. Słyszysz, co mówię? – zwraca się do córki. – Trzymaj brata za rękę. Nie wolno ci go puścić. – Dziewczynka z niechęcią kiwa głową i rusza ku skałom łagodnie opadającym ku morzu. Chłopiec podąża za nią, wlecze za sobą siatkę, której uchwyt zostawia zygzak na piasku, całkiem jak ogon żółtego latawca, rozkołysanego na tle błękitnej połaci. Malec wyciąga szyję, aby mu się przyjrzeć, zasłania jedno oko, bo razi go słońce.

Dziewczynka patrzy przez ramię i widzi, że brat się ociąga.

– Ted! – woła. – No chodźże! – Chce odejść jak najdalej od matki i jej tak zwanego przyjaciela. – Teddy! – Chłopczyk odrywa wzrok od latawca i biegnie za siostrą, wskakuje w jej ślady, żeby nie robić własnych. Drogę przebiega mu berbec, golusieńki, nie licząc kapelusza przeciwsłonecznego; przewraca się i wrzeszczy, ale czyjeś skwapliwe ręce czym prędzej podnoszą go z piasku.

Mijają chłopca i dziewczynkę, którzy kopią w piasku. Ich dół ma prawie dwa metry szerokości i jest tak głęboki, że tkwią w nim po pas.

Ted przystaje, urzeczony.

– Zobacz! – woła do siostry. – Jaki ogromny! – Evie się odwraca.

– No – potwierdza z powagą. – Pewnie długo kopaliście – mówi do dziewczynki, na oko swojej rówieśniczki, tyle że wysokiej i o długich kończynach. Jest ubrana w białą koszulkę z literą J. Evie zastanawia się: Julie? Jane?

– Jeszcze jak – odpowiada tamta. Ma pociągłą, bladą twarz w obramowaniu długich, ciemnych włosów. Wsuwa kosmyk za ucho i wskazuje na stertę piasku. – Kopaliśmy całe popołudnie, co nie, Tom?

Krępy ośmiolatek z dumą prostuje plecy.

– Kopiemy tunel. – Opiera się na łopacie. – Jak ten pod kanałem.

– Ja to wymyśliłam – uzupełnia dziewczynka. – Nikt nam nie pomógł. – Patrzy na Toma. – Ale mama się zdziwi.

Tom śmieje się z zachwytem.

– No!

– Kopiecie prawdziwy tunel? – pyta go Ted.

– Tak. – Tom wskazuje na głęboką jamę w głębi dołu.

Ted zagląda do środka.

– Będę mógł tam wejść?

– Może. – Tom wzrusza ramionami. – Kiedy skończymy. Ale musimy się spieszyć, bo niedługo przypływ.

– A kto przypłynie? – Ted patrzy na horyzont.

– Morze, głuptasie – odzywa się Evie. – Chodźmy już, Ted...

Tymczasem matka dzieci przymyka oczy, kiedy dłoń mężczyzny masuje krągłość jej biodra.

– Jak przyjemnie – mówi. – Słyszysz, jak mrużę? – dodaje ze śmiechem. Ktoś w pobliżu słucha Jedyńki, z głośników płynie utwór zespołu Pet Shop Boys. *Always on My Mind*, „Wciąż o tobie myślałem”.

Jej chłopak kładzie się obok.

– To zupełnie jak ja o tobie, Babs – mamrocze.

Kładzie mu rękę na piersi, rozcapierza palce.

– Od lat nie byłam na takich cudownych wakacjach...

Jej dzieci dotarły do skał, szarych, nierównych głazów przetykanych pasmami białego kwarcu. Włazą na górę i Ted zagląda do pierwszego jeziorka. Wpatruje się w wodorosty, niektóre brązowe i splątane, inne gładkie i zielone jak liście sałaty. Trąca siatką morski anemon i patrzy z zachwytem, jak roślina kurczy brunatne pędy. Następnie dostrzega krewetkę i celuje w nią siatką.

– Mam coś! – krzyczy, ale zaraz mina mu rzednie, bo złapał tylko brązowy pobrzązek. – Evie! – woła z niezadowoleniem, bo siostra wyprzedziła go o ponad piętnaście metrów. – Zaczekaj! – Ale Evie dalej przeskakuje ze skały na skałę, wymachując wiaderkiem.

Ted spieszy za nią, po drodze patrzy na morze i widzi żółtą łódkę z dwójką pasażerów, którzy na przemian unoszą i zanurzają wiosła. Słyszy daleki ryk i dostrzega motorówkę, rozległa szrama na wodzie kołysze łódką. Przenosi wzrok z powrotem na siostrę, ona zagląda do innego jeziorka.

– Evie! – krzyczy, lecz dziewczynka nie reaguje.

Ted wspina się na następną skałę, najeżoną maleńkimi, czarnymi małżami, które boleśnie wbijają mu się w stopy. Sąsiednia wygląda na gładką, jednak gdy na niej staje, chybocze pod nogami i chłopiec z trudem zachowuje równowagę. Łzy pieką go pod powiekami. Skały są ostre, kąpielówki spadają, a siostra pędzi na złamanie karku, chociaż mieli iść, trzymając się za ręce.

– Evie... – Ściska go w gardle, kiedy próbuje się nie rozplakać. – Eeevie!

Wreszcie raczy na niego spojrzeć i na widok męki brata zawraca.

– Co się stało? – Patrzy na jego stopy. – Czemu nie wzięłeś butów do wody?

Ted pociąga nosem.

– Zapomniałem.

Evie wzdycha z irytacją i odwraca się w stronę morza.

– Lepiej chodźmy tędy, skały są gładze. Uważaj na skorupiaki – rzuca przez ramię.  
– O, widzę fajne jezioro. – Jest długie i wąskie, pasma jakby skórzanych wodorostów falują tam i z powrotem. Kiedy cień Evie pada na tafłę, w głębi śmiga brązowa rybka.  
– Dawaj siatkę! – Ted jej podaje i bierze wiaderko, a Evie przykuca, zanurza siatkę i podrywa ją z powrotem. W środku coś się srebrzy. – Mam! – krzyczy. – Napełnij wiaderko! Szybko!

Ted zanurza wiaderko i podaje siostrze. Evie wrzuca do środka rybę, która płynie na dno i chowa się pod strzępem morszczyku.

– Wielgachna! – Dziewczynka wzdycha. – Widzę krewetkę! – Czuje nagły przypływ euforii, odraza do „przyjaciela” matki idzie w niepamięć. – Złówszy następne. – Zarzuca siatkę i słyszy w oddali dzwonek z zamykanej budki z herbatą.

Kilka metrów dalej fale rozbijają się o skały, dzieci czują kropelki na łydkach.

Ted drży.

– To już przypływ, Evie?

Dziewczynka przypomina sobie ręce Clive’a na plecach matki. Myśli o jego włochatej piersi, grubych, wytatuowanych ramionach i postękiwaniach, które słyszy zza ściany.

– Nie – odpowiada. – Jeszcze nie...

Ted sięga po siatkę.

– Słyszałem dzwonek.

Evie wzrusza ramionami.

– A ja nie.

– Ja tak, i pamiętam słowa mamy, powiedziała...

– Znajdźmy kraba! – wykrzykuje Evie. – Idziemy!

Zelektryzowany tym pomysłem Ted podąża za siostrą, która na szczęście zwolniła kroku, pewnie ze względu na cenną zdobycz. Tutaj skały nie są ostre, nie ma małży, za to pełno zdradzieckich wodorostów, na których łatwo się poślizgnąć. Ted wolałby wziąć Evie za rękę, ale boi się, że go wyśmieje.

– Mogliśmy przynieść szynkę – słyszy jej słowa. – Kraby lubią szynkę. Przyniesiemy jutro, dobra?

Ted przytakuje uszczęśliwiony.

Na plaży mężczyzna związa sznurek od latawca. Matka dziewczynek w różowych kostiumach każe im wrócić na koc. Biegają, szczękając zębami, i kobieta owija każdą ręcznikiem, a coraz śmielsze fale liżą ich ślady. Rodzina, która grała w krykieta, szykuje się do odejścia: ojciec rzuca piłkę, pies za nią pędzi.

Ludzie składają leżaki i namioty, pakują kosze i torby plażowe, a morze naciera, przystępuje do odwrotu, po czym znów sunie naprzód.

– Jeszcze pięć minut, Clive – przypomina Barbara.

Nawija na palec jej kosmyk.



– To co robimy wieczorem?

– Hm, myślałam o spacerze do Trennick i rybie z frytkami, moglibyśmy kupić dobre winko, a potem... posłać dzieci wcześniej do łóżek.

– Koniecznie – szepcze Clive i ją całuje. – Koniecznie, Babs.

Barbara uśmiecha się na myśl, że zna go dopiero od ośmiu tygodni. Od razu wzbudził w niej pożądanie – od lat nie czuła nic takiego do faceta. Pamięta, jak nienawidziła swojej pracy, całodziennego siedzenia przy biurku, ciągłego widoku ciężarówek z napisem „JJ Spedycja” za oknem i mapy Anglii służącej za jedyną ozdobę na ścianie. Kiedy już myślała, że nie wytrzyma, wszedł Clive. Wysoki, smagły i barczysty jak tur, skojarzył się Barbarze z Minotaurem z jednej z książek Evie. Zjawił się w sprawie wypłaty, w której nie uwzględniono pięciu kursów do Harwich. Speszona, obiecała skorygować błąd, a on zaproponował bezczelnie, żeby mu to „wynagrodziła”. Zachichotała i odpowiedziała, że może...

Powiedziała mu, że ma dwoje dzieci, które sama wychowuje – świeć Panie nad duszą Finna – ale Clive stwierdził, że mogłaby mieć choćby dziesięcioro, jemu to nie przeszkadza. Miał trzydzieści osiem lat: dostawała gęziej skórki na samą myśl, że jest od niej o dziesięć starszy.

Przedstawienie go dzieciom okazało się pewnym wyzwaniem. Ted prawie nie zwrócił na niego uwagi i dalej bawił się klockami, ale Evie się zjeżyła, a gdy Barbara oznajmiła, że Clive pojedzie z nimi na wakacje, uciekła do swojego pokoju i zatrzaskała za sobą drzwi. Przecież masz przyjaciół, wytknęła jej, więc czy mamusi nie wolno? Mamusia nie zasługuje na odrobinę szczęścia? Po tym, co przeszła? Ale córka tylko patrzyła, jakby chciała ją zabić. Przywyknie, myśli Barbara, gdy Clive wycelowuje jej koniuszki palców...

Nagle Barbara uzmysławia sobie, że dzwonek ucichł. Siada na kocu.

Ted ma dosyć, ale Evie znalazła kolejne jeziorko, na samym skraju cypla.

– Tu będą kraby – mówi z przekonaniem. – Dobra, Ted, trzymaj wiaderko. Tylko uważaj – ostrzega i przejmuje siatkę. – O co ci chodzi?

– Ja wolę łowić.

– Jesteś za mały. – Przenosi wzrok z powrotem na jeziorko, jakby to przesądzało sprawę.

Ted zamasyżuje odstawia wiaderko na skałę.

– Mam pięć lat!

– No właśnie, a ja dziewięć, więc sama się tym zajmę. Łowienie krabów to nie przelewki.

– Teraz moja kolej. Złapałaś rybę... i krewetkę. To niesprawiedli...

– Ciii! – Evie unosi lewą rękę, nie odrywa oczu od tafli. – Coś widziałam – syczy.

– Ale potwór.

– Ja go złapię.

Evie nachyla się nad wodą, bardzo powoli, i atakuje siatką kępę wodorostów. Kiedy ją unosi, w środku tkwi brunatny krab wielkości jej dłoni.

Ted rzuca się na siatkę. Ku własnemu zdumieniu wyrywa ją siostrze, ale krab wpada z powrotem do wody i znika pod kamieniem.

Evie blednie ze złości.

– Ty głupku!

Ted wykrzywił usta w podkówkę.

– Nie wyzywaj się!

– A właśnie, że będę. – Rzuca mu wściekłe spojrzenie. – Jesteś głupkiem... i dzieciuchem. Głupi dzieciuch! Nic dziwnego, że mama nazywa cię „misiaczkiem”.

Ted zaraz wybuchnie płaczem.

– Przepraszam, Evie... – Podaje jej siatkę. – Złap go jeszcze raz. Proszę cię...

Ona ma na to wielką ochotę, ale zauważa, jak wysoko podchodzą fale.

– Nie. Musimy wracać. – Wylewa wodę z wiaderka, ryba i krewetka uciekają. Rusza w stronę plaży, która wydaje się strasznie odległa, jakby oglądana z niewłaściwej strony lunety. Evie ledwo widzi Toma i jego siostrę, oboje kopią jak szaleni, jakby od tego zależało ich życie. Odwraca się z powrotem do Teda. Stoi nad brzegiem jeziora, z grzywką rozwianą wiatrem. – Co ty wyprawiasz?

– Chcę złowić kraba! – Oczy mu błyszczą od łez. – Chcę pokazać go mamie.

– Nie możesz.

– Mogę! – Szloch wstrząsa jego chudziutką klatką piersiową. – Złapię go, Evie! – Kuca, wkłada siatkę do jeziora i zaczyna rozpaczliwie zagarniać nią wodę.

– Za późno! Wszystko zepsułeś, a teraz musimy już wracać! – Ted ani drgnie. – Ja czekam. – Bierze się pod boki. – Liczę do dziesięciu! Jeden, dwa, trzy...

Ted zerka na siostrę.

– Cztery, pięć, sześć...

Tęsknie patrzy na jezioro.

– Ale...

– Osiem, dziewięć... dziesięć! Idę!

Ted z płaczem złazi ze skały, ale Evie już przeskakuje z kamienia na kamień, klapiąc sandałami.

– Tędy – woła i przesuwa się wyżej, w stronę klifu. – Oprzyj rękę na tym kamieniu. – Pokazuje bratu, po czym przesadza rów. Wskakuje na następny kamień, potem kolejny i jeszcze jeden, aż wreszcie od plaży dzieli ją tylko kilkanaście metrów. Łąduje na piasku z taką ulgą, że sama się sobie dziwi. Patrzy na dziewczynkę z „J” na koszulce, która siedzi obok dołu, wpatrzona w Toma z mieszaniną zaciekawienia i podziwu. Evie staje obok, gdy chłopiec próbuje wleźć do tunelu, po czym idzie dalej, rozglądając się za muszelkami. Schyla się po szkło morskie, ale po namyśle je zostawia, bo wygląda na zbyt nowe. Kiedy się prostuje, słyszy krzyk mew i szczekanie

psa. Jej wzrok pada na matkę, już ubraną, która z zaciśniętymi ustami rozgląda się po skałach. Evie unosi lewą rękę i macha. Matka odpowiada jej tym samym, uśmiecha się z ulgą. Nagle na jej twarzy pojawia się wyraz konsternacji, a potem lęku. Zaczyna biec w stronę Evie.

Dziewczynka ogląda się za siebie. I serce zamiera jej w piersi.

# ROZDZIAŁ 1

Chyba było do przewidzenia, że ślub Niny zmieni coś między mną a Rickiem, pytanie brzmiało tylko, do jakiego stopnia. Aż dotąd wszystko pięknie nam się układało – pasowaliśmy do siebie, jakbyśmy się znali od zawsze. A teraz jechaliśmy na wesele – po raz pierwszy razem – i nagle bycie z Rickiem stało się trudne.

– Mają ładną pogodę – zauważył, kiedy zamykałam drzwi naszego mieszkania w północnym Londynie. Poranna mgła ustąpiła miejsca czystemu niebu.

– To dobry znak – odpowiedziałam i poszliśmy do samochodu.

Rick otworzył pilotem swojego starego golfa.

– Nie wiedziałem, że jesteś przesadna, Jenni. Ale prawdę mówiąc, nie wszystko o tobie wiem. – W jego głosie pobrzmiwała nuta zaczepki.

– Owszem, jestem przesadna. – Położyłam na tylnym siedzeniu nasz prezent w srebrnej torebce. – Bądź co bądź, urodziłam się w piątek trzynastego.

Rick się uśmiechnął.

– To powinno cię uodpornić.

Pojechaliśmy na zachód i gawędziliśmy sobie miło, ale z niecodzienną rezerwą, następstwem nerwowych rozmów, które toczyliśmy od dwóch albo trzech dni.

Skręciliśmy na autostradę i niebawem pędziliśmy wśród pól, jeszcze bladych i nastroszonych po niedawnych żniwach. Jak na połowę października było niezwykle ciepło i pogodnie – ot, dzień babiego lata, pełen złocistego światła i wydłużonych cieni.

Rodzice Niny mieszkali na południowym krańcu Cotswolds. Przez lata jeździłam tam w weekendy, czasem na imprezy – dwudzieste pierwsze urodziny Niny, potem trzydzieste, a od nich, skonstatowałam niewesoło, minęło już pięć lat. Od piętnastu lat ona i Honor były moimi najbliższymi przyjaciółkami. Dzisiaj ślub Niny, a niedługo z pewnością odbędą się chrzciny.

Rick zerknął na mnie z ukosa.

– Wszystko gra, Jen?

– Tak, a co?

Zmienił bieg.

– Westchnęłaś.

– Ach... tak sobie. Jestem trochę zmęczona. – Na ogół kiepsko sypiałam, ale zeszłej nocy prawie nie zmrzyłam oka. Wpatrzona w ciemność, chciałam, żeby mnie przytulił i wyszeptał, że wszystko będzie dobrze, ale on się odwrócił.

– I co teraz? – Przez chwilę myślałam, że mówi o nas. – Gdzie mam skręcić?

Zauważyłam drogowskaz na Bisley.

– W prawo.

Niebawem skręciliśmy w Nailsford Lane, gdzie na bramie podskakiwał pęk

białych balonów.

– Chyba przyjechaliśmy pierwsi – zauważył Rick, kiedy parkowaliśmy w wyznaczonym miejscu, pustym, nie licząc osamotnionego traktora. Zatrzymał się w cieniu buku, a gdy otworzył swoje drzwi, usłyszałam szelest liści. – Zapowiada się duża impreza?

– Dosyć. Nina wspomniała, że będzie około osiemdziesięciu osób.

– Znam kogoś, oprócz niej i Jona?

Opuściłam daszek i przejrzałam się w lusterku.

– Nie jestem pewna. Zaprosiła paru znajomych z Bristolu, ale z aż tyloma nie utrzymywałam kontaktu... – Z niechęcią popatrzyłam na swoje przekrwione oczy i blade policzki. – Trzymałam się tylko z Niną i Honor. – Upięłam długie, ciemne włosy w kok i wsunęłam w niego bladoróżowy kwiat z jedwabiu, pod kolor sukienki.

Rick wyjął z kieszeni marynarki niebieski krawat.

– Honor będzie?

– No a jak? – Jęknął i spojrzałam na niego z wyrzutem. – Nie bądź taki, Rick. Honor jest cudowna.

– Męcząca.

– Lubi być duszą towarzystwa. – Ubolewałam w duchu, że mój chłopak nie przepada za moją najlepszą przyjaciółką.

Skrzywił się.

– Gęba jej się nie zamyka. Przynajmniej robi to, w czym jest dobra, nie żebym jej słuchał.

– A powinieneś. Ma najlepszą audycję w Piątce. – Rick zajął się krawatem, a ja stłumiłam niewesoły uśmiech. Kręci sobie pętlę na szyję, pomyślałam.

Sięgając po prezent, zobaczyłam, że powoli nadjeżdżają kolejne samochody. Przeszliśmy przez trawnik usiany dmuchawcami, ich nasiona dryfowały wokół jak plankton. Skręciliśmy w Church Walk i minawszy zadaszoną bramę cmentarną przystrojoną stokrotkami, ruszyliśmy żwirową ścieżką.

Jon oraz jego bracia czekali niespokojnie przy wejściu, wszyscy trzej w garniturach i złotych, jedwabnych kamizelkach. Powitali nas serdecznie, zamieniliśmy kilka słów, po czym fotograf, dotąd zajęty aparatem, zaproponował, że pstryknie zdjęcie Rickowi i mnie.

– Uśmiech – polecił. – Troszkę szerzej, przyjechaliście na ślub, a nie na pogrzeb – dodał żartobliwie. – Od razu lepiej... – Kolejna seria pstrykania, zanim zerknął na wyświetlacz. – Prześlicznie.

Tim wręczył nam kartki z porządkiem uroczystości i weszliśmy w chłodne wnętrze kościoła.

Byłam już w kościele Świętego Judy, ale zapomniałam, jaki jest mały i skromny, z pustymi ścianami, drewnianym dachem i kanciastymi ławkami. W powietrzu unosił

się zapach wosku, kurzu i starości, pomieszany z intensywną wonią lilii, ustawionych na ołtarzu i u stóp kolumn. Do jasnego wnętrza światło wpadało przez przezroczyste szyby, wszystkie oprócz okna we wschodnim skrzydle, w które wprawiono witraż – przedstawiał Chrystusa błogosławiącego dzieci. Słońce przeświecało przez kolorowe szybki i kładło barwne refleksy na bielonych ścianach.

– Ładny kościółek – mruknął Rick, kiedy usiedliśmy.

– Owszem – potwierdziłam, mimo że dziś urok wnętrza ciążył mi kamieniem na sercu. Oboje pochylił się nad programem, a kościół wypełniał się stopniowo, stukwały obcasy na kamiennej posadzce i skrzypiały drewniane ławki, kiedy ludzie siadali i pograżali się w cichej rozmowie bądź słuchali Bacha granego przez organistę.

Rodzice Jona udali się na swoje miejsca. Za nimi rozpoznałam współpracownicę Niny, po czym zjawiała się Honor w zielonej, szalowej sukni, która podkreślała jej kształty oraz brzoskwiniową cerę i jasne włosy. Posłała nam teatralny pocałunek i zasiadła w jednej z pierwszych ławek.

Jon i jego starszy brat James stanęli w pobliżu ołtarza, a młodszy Tim wprowadził kilkoro spóźnialskich. Matka Niny, w turkusowej garsonce i kapeluszu pod kolor, z rozanielonym uśmiechem skierowała się ku swojej ławce.

Odwróciwszy się, zobaczyłam Ninę. Stała w przedsionku w białej jedwabnej sukni, którą razem z Honor pomogłyśmy jej wybrać, i spływającym do tyłu welonie.

Kiedy Bach ucichł, pastor stanął przed ołtarzem i wszystkich powitał. Potem buchnął Haendel, wszyscy wstaliśmy i Nina podeszła do pana młodego, odprowadzona przez ojca.

Po krótkim wstępie odśpiewaliśmy *Nastał nowy dzień*, po czym Honor weszła na mównicę, aby przeczytać sonet wybrany przez Ninę.

– „Oddałam serce miłemu w zamian za serce jego” – zaczęła melodyjnym głosem, który poniósł się cichym echem. – „Jego miłość dla mnie skarbem, tak jak moja dla niego...”.

Czytała dalej, a ja poczułam ukłucie zazdrości. Zakochani tak dobrze się rozumieją. Myślałam, że z Rickiem łączy mnie to samo...

– „Oddałam serce miłemu w zamian za serce jego” – zakończyła Honor.

Pastor wzniósł ręce.

– Najmilsi, zebraliśmy się tu wobec Pana i wszystkich wiernych, aby połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim... – Spojrzałam na Ninę i Jona, skąpanych w świetle, i zastanawiałam się, czy te same słowa padną kiedyś o mnie i Ricku. – Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński? – kontynuował pastor. – Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia? – Poczułam, że Rick drgnął. – Czy chcecie z miłością przyjąć i wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy? – Zerknęłam na niego ukradkiem, ale zachował kamienną twarz.

Próbowałam śledzić przebieg uroczystości, lecz nie mogłam się skupić ani na muzyce, ani na kazaniu, ani na przysiędze. Kiedy Nina i Jon solennie obiecali sobie miłość i wierność, znów coś mnie zakłuło. Podpisano dokumenty, odśpiewano ostatnią pieśń i pastor udzielił błogosławieństwa, po czym przy wtórze toccaty Widora i bicia dzwonów wyszliśmy za Niną i Jonem przed kościół.

Obsypaliśmy młodą parę płatkami kwiatów i pstryknęliśmy fotki komórkami, następnie przysła kolej na oficjalne zdjęcia. Tymczasem goście chodzili i nadrabiali zaległości towarzyskie.

- Miło cię widzieć! Ale pogoda dopisała!
- Cudna uroczystość... Z kazaniem też się postarał.
- Fakt. Ładnie czytałaś, Honor!
- Możemy już jechać?
- Jeszcze nie. Zdaje się, że chcieli zdjęcie zbiorowe.

Rick i ja skwapliwie odłączyliśmy się od reszty i obeszlśmy cmentarz. Oglądaliśmy nagrobki, z których większość była stara i mocno podniszczona, pokryta żółtym porostem.

Przystanął przed szarym obeliskiem.

- Dziwne. Jest na nim ananas.

Spojrzałam na płaskorzeźbę.

– Ananas oznacza dobrobyt, podobnie jak figi. Mieszkańcom chyba się powodziło, pewnie z uwagi na przemysł włókienniczy.

W milczeniu mijaliśmy nagrobki z aniołkami, gołębiami i świeczkami, których symbolika nie pozostawiała wątpliwości.

Usłyszeliśmy szmer rozmów, wybuch perlistego śmiechu Honor i głos fotografa. „Nino, spójrz na mnie, proszę”.

Rick podszedł do następnego grobu, przy cisie.

- A tu kiść winogron.
- Winogrona symbolizują wino na Ostatniej Wieczerzy.

Spojrzał na mnie.

- Skąd to wszystko wiesz, Jen? Jesteś wierząca?

– Dowiedziałam się przy okazji jednej z książek. Dawno temu, ale sporo mi utkwilo.

„Teraz popatrzcie na siebie”...

- Tutaj róża. – Rick wskazał na kolejny nagrobek. – To chyba oznacza miłość?

„O, bardzo romantycznie”...

– Nie. Róże określają wiek zmarłego. – Obejrzałam na wpeł zatarły symbol. – Jest rozwinięta, więc chodzi o osobę dorosłą. – Przeczytałam inskrypcję. – Mary Ann Betts... miała... – Z trudem rozszyfrowałam daty. – Dwadzieścia pięć lat. Złamana łodyga oznacza przerwane życie.



– Aha... – Sztucznie brzmiała rozmowa, jakbyśmy byli dwojgiem obcych sobie ludzi.

„Możemy prosić o pocałunek?”

– Na wpół rozchylone płatki oznaczają nastolatka.

„I jeszcze jeden. Ślicznie”.

– A pączek dziecko.

„Weź go za rękę”.

Rick z namysłem pokiwał głową.

– Smutny temat.

– No... – „Świetnie, teraz wszyscy razem. Proszę się ścisnąć!”.

Dołączyliśmy do pozostałych na wspólne zdjęcie, przy którym fotograf stanął na drabince i zachwiał się dramatycznie, żeby nas rozśmieszyć. Uśmiechnęliśmy się posłusznie do obiektywu, fotograf zrobił kilka ujęć, po czym Nina i Jon poprowadzili nas ścieżką przez pole w stronę domu.

Stara Kuźnia wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętałam – niska i długa, o kamiennych ścianach porośniętych winobluszczem i ognikiem szkarłatnym. Na trawniku pysznił się wielki namiot. W oddali rysowały się wzgórza i pochyłe pastwiska upstrzone owcami, ich beczenie niesło się w nieruchomym powietrzu doliny.

Stanęliśmy w kolejce, przywitaliśmy się z rodzicami państwa młodych oraz nimi samymi.

Nina rozjaśniła się na mój widok.

– Jenni...

Przełknęłam łzy, niespodziewanie zapiekły mnie pod powiekami. Nie wiedziałam, czy płaczę z radości, czy może się nad sobą użalam.

– Wyglądasz prześlicznie, Nino.

– Dziękuję. Jesteś następna w kolejce – szepnęła mi do ucha.

Jon pocałował mnie w policzek i ucisnął rękę Rickowi.

– Wspaniale was widzieć! Dzięki, że przyjechaliście!

– Gratulacje, Jon – odpowiedział serdecznie Rick. – Piękna uroczystość. Wszystkiego dobrego, Nino.

Przeszliśmy do wielkiego, słonecznego salonu, gdzie rozdawano drinki. Położyłam nasz prezent na stole, wśród rozmaitych kartoników i kopert. Kelner zaproponował nam lampkę szampana. Rick wzniosł kieliszek.

– Zdrowie państwa młodych.

– Są tacy szczęśliwi... – Wypiłam łyk. – Coś wspaniałego.

– Jak długo są razem?

– Mniej więcej tyle, ile my. Zaręczyli się w pierwszą rocznicę – dodałam neutralnym tonem i skarciłam się w duchu, że wyobraziłam sobie nas na ich miejscu.

Spojrzałam na Ricka, takiego przystojnego, o szczerej twarzy, krótkich, ciemnych



włosach i niebieskich oczach. Spróbowałam wyobrazić sobie życie bez niego, ale mi się nie udało. Jutro wrócimy do tematu. Ledwo zdążyłam to pomyśleć, gdy gong wezwał nas do namiotu udekorowanego agapantem białym i neriną bowdena, ze stołami połyskującymi od srebra i porcelany. Zajęliśmy nasze miejsca i odczekaliśmy, aż pastor zmówi modlitwę.

Posadzono nas obok Honor oraz Amy i Seana – tych dwoje poznałam na studiach, ale nie widziałam od lat – i Ala, dawnego szkolnego kolegi Jona. Ucieszyłam się, że Nina zaplanowała, by sąsiadował z Honor, która wciąż była „wolna”; ten mężczyzna robił wrażenie. Przy naszym stole siedział też chrzestny Niny, Vincent Tregear. Pamiętałam go jak przez mgłę z jej dwudziestych pierwszych urodzin. Przy okazji poznaliśmy bliską sąsiadkę, Carolyn Browne. Przygotowałam się na błahą rozmowę z obcymi ludźmi; w przeciwieństwie do Honor nie radziłam sobie z tym dobrze, zwłaszcza dzisiaj nie byłam w nastroju.

Usłyszałam, jak Carolyn przedstawia się Rickowi jako prawniczka, od niedawna na emeryturze.

– Ale mam co robić – zaznaczyła ze śmiechem. – Jestem w zarządzie miejscowej szkoły, gram w brydża i golfa, podróżuję. Bałam się emerytury jak ognia, ale nie jest źle. – Uśmiechnęła się do Ricka. – Ale panu to jeszcze długo nie grozi. Czym pan się zajmuje?

Strzepnął serwetkę.

– Jestem nauczycielem... uczę w podstawówce w Islington.

– Jest zastępcą dyrektora – wtrąciłam z dumą.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– A pani, hm...?

– Jenni. – Wskazałam na tabliczkę z imieniem.

– Jenni – powtórzyła. – Jesteś... – Wskazała na Ricka.

– Tak, jestem jego... – Określenie „dziewczyna” pasowało do nastolatków, „partnerka” brzmiało zbyt oficjalnie, jakby łączyły nas interesy, a nie miłość. – Drugą połówką – uzupełniłam, choć za tym również nie przepadałam: sugerowało, że ktoś nas rozkroił.

– Czym się zajmujesz? – spytała Carolyn.

Aż słabo mi się zrobiło, nie cierpię mówić o sobie.

– Jestem pisarką.

– Pisarką? – Twarz jej się rozjaśniła. – Pisziesz powieści?

– Nie. Nie zajmuję się beletrystyką. Ale pewnie o mnie nie słyszałaś.

– Dużo czytam, więc skąd wiesz? Jak się nazywasz? Jenni... – Carolyn ponownie przyjrzała się tabliczce. – Clark. – Zmrużyła oczy. – Jenni Clark...

– Nie piszę pod tym nazwiskiem.

– Może Jennifer Clark?

– Nie. Chciałam powiedzieć, że nie piszę pod żadnym nazwiskiem.

Już miałam wytłumaczyć dlaczego, ale Honor mnie ubiegła.

– Jenni jest widmem.

– Widmem? – zdumiała się Carolyn.

– Owszem. – Honor rozłożyła serwetkę na kolanach. – Jenni straszy – uzupełniła słodkim tonem.

Przewróciłam oczami.

– Jestem ghostwriterką.

– Ach, tak. Piszesz za ludzi, którzy sami nie potrafią.

– Czasami – odpowiedziałam. – Albo nie mają czasu, brakuje im pewności siebie bądź nie wiedzą, jaki kształt nadać temu, co chcą przekazać.

– Pewnie chodzi o aktorów i piosenkarzy, tak? Sportowców? Prezenterów?

Pokręciłam głową.

– Nie pracuję dla gwiazd. Kiedyś tak, ale już nie.

– I wielka szkoda – zauważyła Honor. – Bo dużo więcej zarabiałaś.

– Rzeczywiście. – Uniosłam widelec. – Ale miałam z tego mniej frajdy.

– Dlaczego? – spytał Al, siedzący po mojej lewej stronie.

– Bo można się było wykończyć – stwierdziłam. – Na ogół mają przerośnięte ego, nie przychodzą na umówione spotkania albo dają mi świetny materiał, a następnego dnia informują, że nie wolno mi go wykorzystać. Dlatego biorę tylko projekty, które mnie interesują.

Honor – jej myśli zawsze biegną własnym torem – zeszła na temat widm innego rodzaju.

– Na pewno istnieją – powiedziała do Vincenta Tregeara. – Dwadzieścia lat temu pojechałam z kuzynką do Francji; był ciepły, bezwietrzny dzień, zupełnie jak dziś, a my zwiedzałyśmy opuszczony dom, w opłakanym stanie, z parteru widziałyśmy niebo przez dziury w dachu... Nagle obie usłyszałyśmy kroki, tuż nad naszymi głowami, na nieistniejącej podłodze. – Wzdrygnęła się przesadnie. – W życiu tego nie zapomnę.

– Ja wierzę w duchy – zaznaczyła Carolyn. – Mieszkam sama w starym domu, i czasami wyczuwam czyjaś... obecność.

Amy entuzjastycznie kiwnęła głową.

– A mnie czasem przejmują nagły chłód. – Zwróciła się do Seana. – Pamiętasz, kochanie, zeszłe lato? Kiedy przebywaliśmy w Walii?

– Owszem – odparł. – Ale wtedy byłaś w ciąży.

– Nie, nie. W ciąży miałam uderzenia gorąca, nie chłodu.

– Kilka lat temu – wtrącił Al – spałem u siebie w mieszkaniu, sam, i nagle obudziłem się w przeświadczeniu, że ktoś siedzi na łóżku.

Zadrzałam na samą myśl.

– Na pewno ci się nie przyśniło?

Pokręcił głową.

– Byłem zupełnie przytomny. Do dziś pamiętam tamten nacisk na materacu. Ale nikogo nie widziałem.

– Straszne – mruknęłam.

– Jeszcze jak. – Nalał mi wodę i napełnił swoją szklanę. – Zdarzyło ci się coś podobnego?

– Na szczęście nie. Ale nie kwestionuję niczyich przeżyć.

– Zawsze miałem wątpliwości co do takich rzeczy – oznajmił Sean. – Moim zdaniem ludzie czasem sami się nakręcają. Weźmy Makbeta i ducha Banka.

– „Nie trzęś tak tymi zlepionymi krwią włosami”<sup>\*</sup>! – wyrecytowała Honor i zachichotała. – Makbet faktycznie był nakręcony... ile miał już trupów na sumieniu? Cztery? – I przeskoczyła na temat powodów, dla których imię „Makbet” wypowiedziane w teatrze uchodzi za pechowe dla aktorów. – Uważa się, że z powodu zła, którego dotyczy opowieść – paplała, gdy kelner zabierał jej talerz. – Ale tak naprawdę to dlatego, że gdy jakaś sztuka nie cieszyła się powodzeniem, prędko wystawiano *Makbeta*, bo zawsze waliły tłumy, więc zaczęto kojarzyć go z pechem. Hm... co teraz? – Sięgnęła po jadłospis ozdobiony złotym chwostem. – Okoń morski, pychota. Czy wiecie, że okonie morskie są hermafrodytami? W wieku sześciu miesięcy samce stają się samicami.

Al, wyraźnie obojętny na dziwactwa płciowe naszego dania głównego, zwrócił się w moją stronę.

– Jaką tematyką się zajmujesz?

– Przeróżną – odpowiedziałam. – Psychologią, zdrowiem i popkulturą, napisałam też poradnik dietetyczny i parę książek o ogrodnictwie...

Przypomniałam sobie tytuły wszystkich dwudziestu, ustawionych w rzędzie na półce w moim gabinecie.

– Pewnie dowiadujesz się masę ciekawych rzeczy.

– Owszem. To jeden z plusów tego zawodu.

Carolyn wypić łyk wina.

– Ale nie bierzesz na siebie żadnych zasług?

– Nie.

– Myślałam, że nazwisko autora widmo musi być gdzieś małym druczkiem.

– To zależy – podkreśliłam. – Niektórzy o to proszą. Ja nie.

– Więc nigdzie nie ma twojego nazwiska?

– Właśnie.

Zmarszczyła brwi.

– I nie przeszkadza ci to?

Wzruszyłam ramionami.

– Anonimowość jest wpisana w ten zawód. A klienci oczywiście nie mają nic

przeciwko temu. Niech wszyscy myślą, że to wyłącznie ich dzieło.

Carolyn parsknęła śmiechem.

– Ja bym nie wytrzymała. Tak się napracowałam, to niech ludzie się o tym dowiedzą!

– Ja też – wtrąciła Honor. – Nie rozumiem, czemu jesteś taka skromna, Jen.

– Grunt, że czerpię z pracy przyjemność i dostaję za to pieniądze. Lubię być... niewidzialna.

– Ty tak zawsze – skwitowała Honor. – Nigdy nie szukałaś poklasku, w przeciwieństwie do mnie. – Zachichotała. – Ja nie mogę bez tego żyć.

– Nadal grasz? – spytał Sean.

– Od pięciu lat już nie. Nie mogłam znieść tej huśtawki, więc poszłam do radia i jest bosko.

– Słyszałam twoją audycję – powiedziała Amy. – Jest świetna.

– Dzięki. – Honor przez chwilę rozkoszowała się komplementem. – A wy zostaliście rodzicami, prawda?

– Tak – potwierdziła Amy. – Jestem na macierzyńskim i...

– Nad czym obecnie pracujesz, Jenni? – zwróciła się do mnie Carolyn.

Obróciłam w palcach kieliszek.

– Nad poradnikiem dla młodych mam.

– Super – zawołała. – Masz dziecko?

Poczułam ucisk w sercu.

– Nie. – Wypiłam łyk wina.

– Czy to ci nie utrudnia zadania? Piszesz o czymś, czego sama nie doświadczyłaś.

– Bynajmniej. Klientka wiele mi o sobie opowiadała, jest położną, a ja przedstawiłam wszystko w jasny i, mam nadzieję, zajmujący sposób.

– Muszę kupić tę książkę – oznajmiła Amy. – Jaki nosi tytuł?

– *Wychowanie od podstaw*. Ma wyjść na wiosnę. Ale zawsze dostaję kilka egzemplarzy autorskich, więc jeśli podasz mi adres, wyślę ci jeden.

– O, to bardzo miłe. Już zapisuję... – Amy zajrzała do torby w poszukiwaniu długopisu.

– Napisz przez moją stronę internetową – zaproponowałam. – Jenni Clark, widmopisanie. A... ile ma wasz maluch?

Sean wyjął telefon i przesunął palcem po wyświetlaczu.

– Ma na imię Rosie.

Z uśmiechem spojrzałam na zdjęcie.

– Śliczna. Prawda, Honor?

Honor zerknęła na fotografię.

– Można ją jeść łyżkami.

– Ile ma, sześć miesięcy? – zgadywałam.

Amy promieniała dumą.

– Tak. W środę za tydzień skończy siedem.

– Raczkuje? – wypytywałam dalej. – Zaczyna wstawać? – Poczułam, jak siedzący obok mnie Rick sztywnieje.

– Pięknie raczkuje. Ale jeszcze nie wstaje.

Sean parsknął śmiechem.

– To dopiero będzie jazda.

– Zacznie sobie wszystko ściągać na głowę – dodałam. – Trzeba bardzo uważać. Sama nie jestem mamą, ale omawiamy to w książce...

Rick wyłączył się z rozmowy i znów dyskutował z Carolyn. Al zwrócił się do mnie.

– Wzięłabyś każdy temat?

– Może z wyjątkiem takiego, w którym nie umiałabym się odnaleźć. Na przykład fizyka kwantowa. Przypuszczam zresztą, że nikt nie zwróciłby się do mnie z czymś takim. Ale teksty branżowe jak najbardziej: sprawozdania, oświadczenia dla prasy, artykuły promocyjne, wspomnienia...

– Wspomnienia? – zainteresował się Vincent Tregear. – Na przykład spisanie historii czyjegoś życia?

– Owszem. Zwykle chodzi o starszą osobę, tekst ukazuje się w ograniczonym nakładzie.

– I lubisz to? – wypytywał.

– Ogromnie. To najprzyjemniejszy aspekt tego zawodu. Uwielbiam zanurzać się w czyichś wspomnieniach.

Vincent miał minę, jakby chciał coś dodać, ale Carolyn zasypała go pytaniami o golfa, Amy opowiadała Rickowi o jodze, a Honor trajkotała z Alem o jego pracy ortodonta. Widziałam, że wpadł jej w oko. Poczciwa Nina miała nosa. Nagle Honor spojrzała na mnie, uśmiechnęła się szeroko i postukała palcem w zęby.

– Al twierdzi, że mam doskonały zgrzyz.

Uniosłam kieliszek.

– Moje gratulacje!

– Nie tylko dobry – zaznaczyła Honor. – Doskonały!

– Tylko niech ci to nie uderzy do głowy – wtrącił Al.

Roześmiała się.

– A gdzie indziej miałoby mi uderzyć?

Niebawem przyszła pora na przemówienia i toasty, pokrojono tort, a po kawie nastąpiła przerwa, po której miało się zacząć wieczorne przyjęcie.

Amy i Sean zaczęli się zbierać, musieli jechać do małej. Vincent Tregear też się pożegnał. Kiedy pomocnicy odsuwali stoły, wyszłam z Rickiem do ogrodu.

Usiedliśmy na ławce i patrzyliśmy, jak niebo przybiera szkarłatną, fioletową,

a następnie granatową barwę, w której rozbłysły pierwsze gwiazdy.

– Miły dzień – stwierdził Rick. Znów zrobiło się sztucznie, napięcie wisiało między nami, było wyczuwalne.

– Bardzo – potwierdziłam. – Powinniśmy...

– Co? – mruknął.

Odwaga mnie opuściła.

– Powinniśmy wejść do środka. Robi się zimno.

Rick wstał.

– I już grają. – Podał mi rękę.

Wróciliśmy do namiotu, gdzie Jon i Nina tańczyli pierwszego walca. Wkrótce dołączyli do nich pozostali. Ale kiedy Rick objął mnie i przyciągnął, czułam, że tulimy się na pożegnanie.

<sup>\*</sup> *Makbet*, akt 3, scena 4, przekład Stanisława Barańczaka.

## ROZDZIAŁ 2

Ico robimy? – spytał łagodnie następnego dnia.

Zjedliśmy obiad – nie, żebym miała apetyt – i siedzieliśmy naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Bezradnie pokręciłam głową. Nie czułam się na siłach odezwać.

– Wyjścia są trzy – ciągnął Rick. – Ja zmienię zdanie, ty zmienisz zdanie albo...

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Nie chcę z tobą zerwać.

– Ja też nie. – Rick odetchnął głęboko i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. – Kocham cię, Jen.

– W takim razie powinieneś ustąpić.

Drgnął.

– Wiesz, że to nie takie proste.

Ciszę mącił tylko szum z ulicy.

– Wciąż myślę o tym, co kiedyś przeczytałem – dodał po chwili. – Nie pamiętam autora, ale chodzi o to, że miłość nie polega na wpatrywaniu się w siebie nawzajem, tylko patrzeniu w tym samym kierunku. – Wzruszył ramionami. – Ale nas to nie dotyczy.

Ścisnęłam swój kubek w czerwone serduszka.

– Jesteśmy z sobą półtora roku – przypomniałam ściszym głosem. – Mieszkamy razem dziewięć miesięcy i jest nam dobrze. Tak? – Spojrzałam na oprawiony kolaż zdjęć z naszego pierwszego wspólnego roku. My w górach, na wycieczce, na huśtawce w ogrodzie jego rodziców, my w kuchni, my złączeni pocałunkiem. Następnie przeniosłam wzrok na ślubne zaproszenie Niny leżące na kredensie. Gorzko pożałowałam, że w żartach zapytałam Ricka, kiedy kolej na nas.

– Owszem – potwierdził Rick. – Co nie ułatwia sytuacji.

Znowu zrobiło się cicho. Słyszałam szum lodówki.

– Jest jeszcze czwarta opcja – powiedziałam – żyć tak jak do tej pory. Po prostu... zapomnijmy o ślubie.

Spojrzał na mnie, jakbym spadła z księżyca.

– Nie chodzi o małżeństwo, Jen.

Zerknęłam na maszynopis ułożony na stole. *Wychowanie od podstaw. Od noworodka do końca pierwszego roku, niezbędnik młodej matki.* Jedna kartka sfrunęła na podłogę.

– I co robimy? – powtórzył Rick.

– Nie wiem. – Poczułam urazę. – Wiem tylko, że zawsze byłam z tobą szczerą. –

Podniosłam kartkę i strzępy zdań zatańczyły mi przed oczami. „Wielka przygoda rodzicielstwa... radość z pierwszego kontaktu z maleństwem... czego się spodziewać, miesiąc po miesiącu”.

– Byłaś szczerą. – Pokiwał głową. – Od początku mówiłaś, że nie chcesz mieć

dzieci i że muszę o tym wiedzieć, zanim się zaangażuję.

– Właśnie – rzuciłam zapalczywie. – A ty powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko temu, bo pracujesz z dziećmi na co dzień. Twierdziłaś, że twój brat ma czwórkę, ale sam nie czujesz takiej potrzeby. Zapewniałaś, że nigdy nie przywiązywałaś do tego wagi i że można wieść udane życie bez dzieci. Co się zgadza.

– Tak czułem, Jenni. Ale się zmieniłem.

– No to pech, bo w takim razie mamy problem.

Rick odsunął krzesło, wstał i podszedł do drzwi balkonowych. Widoczne przez szybę rośliny w naszym ogródku wyglądały na rachityczne i przykurzone. Ostatnio nie miałam głowy, żeby je podlewać.

– Ludzie się zmieniają – podjął cicho. – Ich prawo. Dużo o tym rozmyślałem przez ostatnie miesiące. Chciałem z tobą porozmawiać, ale się bałem, właśnie z tego powodu, tymczasem sama podjęłaś temat.

– Co wpłynęło na tę zmianę?

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Może to, że dobijam czterdziestki.

– Dobijałaś czterdziestki, kiedy się poznaliśmy.

– A może widok dorastających dzieci w szkole. Chciałbym tak samo patrzeć na swoje.

– Kiedyś nie spędzało ci to snu z powiek.

– Fakt. Ale teraz owszem.

Zerknęłam na maszynopis.

– Myślę, że to przez tę książkę. – Poczułam ucisk w gardle. – Żałuję, że wzięłam takie zlecenie.

– To nie ma żadnego związku z książką, Jen. Tak bardzo chciałem być z tobą, że zbagatelizowałem kwestię. Potem zacząłem wierzyć, że skoro jesteśmy zakochani, siłą rzeczy zapagniemy mieć dzieci. Żyłem w przekonaniu, że zmienisz zdanie.

– I wciąż masz nadzieję?

Rick westchnął.

– Na to wygląda. Nadal mielibyśmy siebie, a zarazem widoki na założenie rodziny. Niedługo zacznę składać aplikacje do innych szkół, chciałbym spróbować poza Londynem, jeśli nie miałabyś nic przeciwko wyprowadzce.

– Pojadę za tobą wszędzie – oznajmiłam zgodnie z prawdą.

– Jen... – W głosie Ricka zabrzmiało błaganie. – Moglibyśmy wieść wspaniałe życie: byłoby nas stać na większe mieszkanie. – Rozejrzył się dokoła. – Tutaj jest ciasnota.

– I co z tego? Z tobą zamieszkałabym nawet w piwnicy. Ale owszem, przydałoby się więcej przestrzeni... i większy ogród.

Pokiwał głową.



– Często myślę o takim ogrodzie. Widzę na trawniku dzieci harujące ze śmiechem. Niestety, zaraz rozwiewają się jak duchy, bo wiem, że ich nie chcesz. – Usiadł i ujął moje dłonie. – Niczego bardziej nie pragnę, niż z tobą być, ale musimy chcieć tego samego, Jen. W kwestii posiadania dzieci nie ma miejsca na kompromis, jeżeli nie dojdziemy do porozumienia...

Cofnęłam rękę.

– Powiedzmy, że zmienię zdanie. A jeśli dowiemy się, że nie mogę mieć dzieci?

– Przynajmniej miałbym świadomość, że próbowaliśmy. Albo, sam nie wiem... moglibyśmy spróbować in vitro.

– Kosztowną drogę przez mękę bez żadnej gwarancji na powodzenie. Honor miała kiedyś wywiad z kobietą, która wydała na to czterdzieści tysięcy funtów, wszystko na nic.

– Może nam dopisze więcej szczęścia. Jeśli nie, moglibyśmy adoptować.

– Tak? I naprawdę byśmy tego chcieli? Zresztą możemy sobie gdybać, bo nie zmienię zdania, a jeśli naprawdę mnie kochasz, pogodzisz się z tym. Nie możemy żyć jak dotychczas? – dodałam z rozpaczą.

Rick zamrugął.

– Nie widzę takiej możliwości.

Przełknęłam łzy.

– Dlaczego? Bo nagle zapragnąłeś mieć dziecko i chcesz poszukać sobie kobiety, która ci to zapewni? Tak? Mam od razu zacząć dziergać śpioszki?

Wzdrygnął się.

– Nie pleć głupot, Jen. Po prostu przesuwalibyśmy w czasie to, co nieuniknione. Nabralbym do ciebie niechęci, miałabyś do mnie żal i zerwalibyśmy tak czy inaczej. – Pokręcił głową. – Nie mogę pojąć, dlaczego nie chcesz chociaż zgłębić przyczyn, dla których...

– Nie – ucięłam. – Nie chcę.

– Ale dlaczego?

– Bo nie mam zamiaru wywnętrzać się przed obcym człowiekiem! Zresztą nie ma czego zgłębiać. Owszem, wiele kobiet chce mieć dzieci, ale mnóstwo nie chce, i ja do nich należę. Dlatego spotkanie z terapeutą nic nie da. To ty się zmieniłeś, Rick, nie ja, a jednak protekcjonalnie zakładasz, że nie rozumiem własnych pobudek!

– Wcale nie, Jen, po prostu usiłuję pojąć, co tobą kieruje. Przecież lubisz dzieci. Zadajesz sobie trud, żeby z nimi być.

– Nieprawda.

– A właśnie, że tak. Co tydzień przychodzisz do szkoły, by im poczytać.

– Ja... robię to dla ciebie.

– Jen... – Rick nie posiadał się ze zdumienia. – Przecież tak się poznaliśmy.

Znowu cisza. Z pobliskiego ogrodu dobiegł wrzask sroki.

– Nie zadaję sobie trudu, mieszkam tuż obok szkoły. A lubić dzieci to nie to samo, co chcieć je mieć. Przynajmniej w moim przypadku.

– Mówiłaś, że gdybym był rozwiedziony i miał dzieci, nie stanowiłoby to dla ciebie problemu.

– Tak.

– Ale własnych nie chcesz.

– Nie.

– Dlaczego, na miłość boską? Gdybyś powiedziała, że zagrażałoby to twojej pracy, trybowi życia, figurze, postarałbym się zrozumieć. I zaakceptować twoje racje. Ale mówienie, że nie chcesz mieć dzieci, bo się boisz...

Zebrałam palcem okruch ze stołu.

– Boję – potwierdziłam ściszym głosem.

– Dlaczego?

Podniosłam wzrok.

– Już ci mówiłam: drżałabym, że coś się stanie. Że popełnię jakiś straszny błąd, upuszczę dziecko, zapomnę je nakarmić, nie dam mu pić...

– Dzieci nie pozwalają o sobie zapomnieć, Jen, właśnie dlatego płaczą. Napisałaś o nich książkę. Nie utwierdziła cię w przekonaniu, że dasz radę?

– Dała mi wiedzę, jak się nimi zajmować. Ale nie rozwiała obaw, że mogłoby się stać coś złego. – Ogarnęła mnie panika. – Na przykład... zespół śmierci łóżeczkowej... albo że na chwilę stracę czujność... na chwilę, nie dłużej... i dziecko zleci ze schodów, wpadnie pod samochód lub spotka je coś potwornego, czego nigdy, przenigdy nie zdołam przeboleć. – Łzy napłynęły mi do oczu. – Rodzicielstwo to jazda bez trzymanki. Ja tak nie chcę.

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Większość ludzi pewnie czuje to samo, ale panuje nad strachem. Ty pozwalasz, żeby wziął nad tobą górę. Na ogół twardo stąpasz po ziemi, ale w tym przypadku jesteś...

– Nie mów: irracjonalna?

– Właśnie.

– Obawa przed stresem wcale nie jest irracjonalna.

– Ale czarnowidztwo już tak, zwłaszcza jeśli nic nie wskazuje, że nie byłabyś czułą, troskliwą matką. Czego się naprawdę boisz, Jenni? Że nie kochałabyś tego dziecka?

– Wręcz przeciwnie, kochałabym, i to bardzo. I właśnie dlatego nie chcę go mieć.

Jęknął.

– Wiesz co, Jen, tu nie chodzi tylko o założenie rodziny.

– Jak to?

Rick westchnął z rozpaczą.

– Tak świetnie się dogadujemy. – Przytaknęłam. – Szanujemy się nawzajem. Uwielbiamy spędzać z sobą czas, cudownie nam się rozmawia... i czujemy do siebie pociąg.

– Fakt – potwierdziłam i coś mnie zakłuło.

– Ale co z tego, jeśli... coś przede mną ukrywasz. Ilekroć pytam o twoje dzieciństwo, wykręcasz się od odpowiedzi i zmieniasz temat. Nigdy nie mówisz o matce. Nawet nie wiem, dlaczego nie macie z sobą kontaktu.

– Przecież ci tłumaczyłam.

– Wcale nie... a przynajmniej nic z tego nie zrozumiałem. I z czasem coraz bardziej nie daje mi to spokoju. To, że mimo tego wszystkiego, co nas łączy, tak naprawdę cię nie znam. – Westchnął. – Wspomniałaś, że matka cię zaniedbywała.

– Nie. Opiekowała się mną. Ale nie okazywała czułości.

– Na jedno wychodzi. – Przygryzł wargę. – Zawsze... taka była?

– Nie... – Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak się ze mną bawi, czyta. Trzyma mnie za rękę... – Ale z biegiem czasu robiło się coraz gorzej, a nie miałam ojca, który by mi to rekompensował.

– Może właśnie dlatego była taka chłodna... choć można by się spodziewać, że to was zbliży.

– No cóż... nie zbliżyło.

– I dlatego nie chcesz mieć dzieci? – drążył. – Ze strachu, że byłabyś taka sama? Nie byłabyś, Jen.

– Skąd wiesz? – rzuciłam beznamiętnie. – Mogłabym być gorsza.

– Jenni, mogłabyś przynajmniej porozmawiać z kimś, kto pomógłby ci przezwyciężyć te obawy.

Zaśmiałam się gorzko.

– Jak za dotknięciem czarodziejskiej, psychoterapeutycznej różdżki? Nie. Zresztą nie ma o czym mówić. Nie chcę mieć dzieci i już. Lubię z nimi rozmawiać, czytać im, i owszem, jestem przekonana, że posiadanie dziecka pod wieloma względami musi być cudowne. Lecz na drugiej szali ciąży nieustanna, dręcząca zgryzota macierzyństwa. Chcę się przed nią uchronić.

Rick wstał, otworzył drzwi balkonowe, wyszedł i usiadł na drewnianej ławce w ogródku. Po chwili wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i wypuściwszy kłęb dymu, zastygł z rękami na kolanach, zwieszając głowę.

Odsunęłam krzesło, wzięłam wydruk książki i poszłam do gabinetu. Rzuciłam kartki obok komputera i usiadłam ze wzrokiem utkwionym w ciemny ekran.

„Trzy możliwości... prawo się zmienić... ze mną szczerą”.

Usłyszałam dźwięk przychodzącej poczty, ale nie zwróciłam na nią uwagi. Czy dojdziemy do porozumienia? Nie pójdę na terapię. Nie potrzebuję terapii, zresztą pewnie byłoby z niej więcej szkody niż pożytku. Bezmyślnie kliknęłam myszką i ekran

ożył.

Przejrzałam listę wiadomości, byle się czymś zająć. Pierwsze trzy oferowały laserową liposukcję, przedłużanie włosów i materac sprężynowy za pół ceny. Czwarta miała w temacie „pytanie o książkę” i została automatycznie przekierowana z mojej strony internetowej. Dostałam wiadomość od chrzestnego Niny, Vincenta Tregeara. Przeczytałam ją, zdziwiona, że do mnie napisał. Była to krótka prośba o telefon. Chwilowo nie czułam się na siłach z nim rozmawiać, więc otworzyłam tekst o niemowlętach i tępo zagapiłam się na ekran, ale nic do mnie nie docierało. Zamknęłam dokument, usilnie odsuwając myśl o Ricku. Wytarłam oczy, sięgnęłam po telefon i wybrałam numer podany przez Vincenta.

Po trzech sygnałach w słuchawce zabrzmiał jego głos.

Podziękował, że oddzwoniłam.

– Wiem, że na weselu prawie nie rozmawialiśmy – mówił. – Ale bardzo zaciekawilo mnie to, co mówiłaś o pisaniu wspomnień. Zapamiętałam adres twojej strony internetowej, przejrzałam ją wczoraj wieczorem i jestem pełen podziwu. Napisałem do ciebie, bo mam pytanie, czy zgodziłabyś się pomóc mojej matce w spisaniu jej wspomnień.

– Ach, tak!

– Ma siedemdziesiąt dziewięć lat – tłumaczył. – Zdrowie jej dopisuje, podobnie jak pamięć. Od lat nakłaniamy ją z bratem do napisania czegoś o swoim życiu. Zawsze odmawiała, lecz ostatnio, ku naszemu zdziwieniu, oznajmiła, że chętnie. Ale to nie będzie łatwe, bo niektóre rozdziały jej życia są owiane tajemnicą.

Pewnie zawiedziona miłość, pomyślałam. Lub problemy małżeńskie.

– Nigdy nie opowiada o swoich wojennych przeżyciach.

Tworzyłam w głowie możliwy scenariusz. Dzieciństwo. Może mieszkała w Londynie, skąd ją ewakuowano, może była źle traktowana. Może została i widziała straszne rzeczy.

– Nie ma komputera – usłyszałam słowa Vincenta. – Proponowałem, że pomogę jej przelać wspomnienia na papier, twierdzi jednak, że czułaby się niezręcznie, poruszając bardzo bolesne tematy z własnym dzieckiem.

– To całkowicie zrozumiałe. Czułabym się tak samo.

– Jednak w zeszłym tygodniu ni z tego, ni z owego poprosiła nas o znalezienie kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Myślałem o wynajęciu dziennikarza, ale potem na weselu usłyszałem, jak opowiadasz o swojej pracy. No więc... na czym to dokładnie polega?

Wyjaśniłam, że spędzam z klientem dużo czasu i nagrywam wielogodzinny materiał.

– Za jego zgodą czytam również listy i pamiętniki – ciągnęłam. – Oglądam zdjęcia i pamiątki... pytam o wszystko, co może pomóc obudzić wspomnienia.

– A potem zapisujesz – uzupełnił.

– Tak, ale nie ograniczam się tylko do suchego zapisu. Chcę mówić głosem tej osoby. Wypytyuję o wydarzenia, ale też o uczucia im towarzyszące, zmiany, które zaszły z ich powodu, z czego mój rozmówca czuje się dumny, a czego żałuje. To dość wnikliwa analiza tego, kim jest i jak żył, istny wgląd w jego duszę. Niektórym ciężko się z tym zmierzyć.

– Jasne. Ile czasu potrzebujesz?

– Trzy, cztery miesiące. Przemyśl to sobie – dodałam, nadal pochłonięta tym, co też mogło spotkać jego matkę.

– Już to zrobiłem – odpowiedział Vincent. – I nie mam cienia wątpliwości. Czy mogłabyś zacząć od przyszłego tygodnia?

– Dosyć... szybko.

– Owszem, ale chcielibyśmy uporać się z tym do czasu jej osiemdziesiątych urodzin pod koniec stycznia. To ma być prezent.

– Rozumiem. Muszę zerknąć do kalendarza. – Nie chciałam dać po sobie poznać, że świeci pustką. – Ale zanim to zrobię, może zdradzisz mi coś więcej? – Sięgnęłam po pióro i notes, szczęśliwa, że mogę zająć czymś myśli.

– Przez większość życia mama pracowała w gospodarstwie...

„Gospodarstwo”, zapisałam.

– ...niedużym, niecałe pięćdziesiąt hektarów – dodał – ale należało do rodziny mojego ojca od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Tata zmarł przed dziesięciu laty.

„Wdowa”, zanotowałam. „150 lat”.

– Mama zawsze harowała jak wół i nadal się nie oszczędza – mówił dalej Vincent. – Prowadzi sklepik z własnymi produktami.

– Jakie ma wykształcenie? Studiowała?

– Nie. Wyszła za ojca w wieku dziewiętnastu lat.

„Za mąż @ 19... pani Tregear”.

– Jak ma na imię? – Zapisałam. – Bardzo ładnie.

– Klara przez „k”.

– Jest... Niemką?

– Nie. Holenderką.

Zmieniłam „C” na „K” i wyobraziłam sobie Klarę dorastającą w Holandii pod niemiecką okupacją. Może знаła Annę Frank albo Audrey Hepburn... byłyby w tym samym wieku. Zobaczyłam, jak stoi na zamrzniętym polu i wykopuje cebulki tulipanów do jedzenia.

– Dorastała w tropikach – dotarł do mnie głos Vincenta. – Na Jawie. Jej ojciec zarządzał plantacją kauczuku.

„Plantacja... Jawa...”.

– Po rozpoczęciu wojny na Pacyfiku, po Pearl Harbor, została internowana z matką

i młodszym bratem.

„Internowana...”. Wyobraziłam sobie bambusowe ogrodzenie i drut kolczasty.

– Wiemy, że internowanych traktowano ze szczególnym okrucieństwem, ale mama rzadko o tym opowiadała.

Będę musiała o tym poczytać. Zanotowałam „holenderskie Indie Wschodnie” i „japońska okupacja”.

– Chętnie przyjąłabym to zlecenie, Vincencie.

– Naprawdę? To świetnie!

– I mogę zacząć od przyszłego tygodnia. – Długopis mi się wypisał. Szarpnięciem otworzyłam szufladę i rozejrzałam się za drugim. – Podaj swój adres, wyślę ci umowę. Gdzie mieszkasz?

– W Gerrards Cross, w pobliżu Beaconsfield.

– Wiem, gdzie to jest. Ile to... z pół godziny pociągiem, nie? Może pożyczę samochód Ricka; pamiętasz go, był ze mną na weselu. Rzadko z niego korzysta, więc...

– Jenni, muszę ci przerwać – zastopował mnie Vincent. – Matka nie mieszka ze mną.

– Aha. – Co też mi strzeliło do głowy?

– Mieszka z moim bratem Henrym, on prowadzi gospodarstwo.

– Rozumiem. Gdzie?

– W Kornwalii.

Zdrętwiałam na samą myśl.

– W Polvarth.

Mój długopis zawisł nad kartką.

– Na samym wybrzeżu – ciągnął. – Tam jest prześlicznie, pola schodzą aż do morza, a plaża zapiera dech w piersi. Jenni? Jesteś tam?

Przymknęłam oczy.

– Zwracałeś się do kogoś jeszcze?

– Nie. Jak mówiłem, chciałem zatrudnić dziennikarza, na przykład z „Cornish Guardian”, ale spodobało mi się, jak opowiadałaś o swojej pracy. Zwłaszcza że lubisz się zanurzać w czyjeś wspomnienia.

– Zgadza się – potwierdziłam cicho. Bo nie wracam do własnych.

– I na swojej stronie piszesz, że bycie autorem widmo to nie to samo co bycie pisarzem. Jesteś bardziej akuszerką: pomagasz czyjejś historii przyjść na świat.

– Przypominam, że to bardzo trudny, emocjonalny proces, więc trzeba wybrać właściwą osobę.

– Mam przecucie, że nią jesteś. I myślę, że przypadniesz do gustu mojej matce. Czy mam przez to rozumieć, że się wahasz? Przecież mówiłaś...

– Wiem... Ale zawsze zalecam klientom rozwagę. Żeby niepotrzebnie nie zawężali sobie wyboru – mówiłam, siląc się na spokój. – Mogłabym polecić kogoś innego.

W słuchawce zapadła cisza.

– Wahasz się z powodu odległości?

– Tak – odpowiedziałam z ulgą. – Właśnie dlatego. Kawał drogi.

– Pokryjemy koszty podróży. I możesz mieszkać u mamy.

– To bardzo miło z twojej strony – wpadłam mu w słowo – ale nie mieszkam z klientem. Taką mam zasadę.

– W porządku, jest do dyspozycji domek letniskowy. Niezbyt duży, ale wygodny.

– Z pewnością, jednak...

– Byłabyś całkowicie niezależna. Mogłabyś przychodzić na farmę w ciągu dnia.

Mama jest miłą osobą.

– Nie wątpię, Vincencie, lecz ja...

– Musisz się zastanowić.

– Właśnie. I pogadać z Rickiem.

– Naturalnie. Wybacz, Jenni. Nie chciałem naciskać. Ale daj mi znać, cokolwiek postanowisz.

– Jasne.

Zakończyłam rozmowę i znów utkwiałam niewidzący wzrok w monitorze. Przeniosłam spojrzenie na półkę nad biurkiem. *Walka z wewnętrznym wrogiem – odzyskanie pewności siebie*. Kupiłam to przed rokiem, ale przebrnęłam tylko przez kilka stron. A tej obok nawet nie otworzyłam: *Pokonywanie strachu: oko w oko ze swoimi demonami*.

Nigdy się z nimi nie zmierzyłam. Zakopałam je w piasku.

Usłyszałam kroki Ricka, stanął w drzwiach.

– W porządku, Jen? – Uśmiechnął się, niby na dowód, że między nami wszystko gra, ale żadne z nas nie dało się na to nabrać. – Słyszałem, że z kimś rozmawiałaś – dodał. – Byłaś taka przejęta.

Opowiedziałam mu o telefonie Vincenta.

– Super. Miałabyś kolejną robotę. – Zdjął z fotela stertę czasopism, odłożył je na podłogę i usiadł. Czułam od niego papierosy. – Jesteś teraz bardzo zajęta?

– Nie. Do czwartku muszę wysłać poradnik do wydawcy, a potem nic.

Rick rozprostował długie, szczupłe nogi.

– Więc dlaczego masz wątpliwości co do tego zlecenia?

Nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Chciałam, wielokrotnie, ale powstrzymywał mnie strach przed szokiem i zawodem w jego oczach.

– To... tak daleko.

Spojrzał zdziwiony.

– Przecież w zeszłym roku pojechałaś aż do Szkocji. Pisaliśmy i rozmawialiśmy na Skypie, prawda? Nie było tak źle. – Pokiwałam głową. – Na jak długo musiałabyś jechać?

– Tak jak zawsze. – Zakreśliłam pióro. – Tydzień, najwyżej dziesięć dni.

– Hm... – Wzruszył ramionami. – Chyba warto skorzystać. Może nam też przyda się chwila rozłąki.

– Żebyśmy się z nią oswoili. To chciałeś powiedzieć? – Bałam się, co odpowie, ale musiałam zapytać.

– Nie, żebyśmy mieli czas nad wszystkim się zastanowić. Może to... pomoże. – Miał minę, jakby nie wierzył w swoje słowa. – Gdzie leży Polvarth?

– W południowej Kornwalii, niedaleko wioski rybackiej o nazwie Trennick. Jest bardzo małe, to w zasadzie jedna długa droga prowadząca do morza. A na drugim końcu znajduje się farma. – Farma Tregearów, teraz to zrozumiałam.

– Byłaś tam?

Potwierdziłam.

– W latach sześćdziesiątych powstało tam kilka domków letniskowych. – Przed oczami stanął mi ten, w którym mieszkaliśmy, „Penlee”. – Jest też hotel. – Z wielkim ogrodem i placem zabaw. – Tuż pod nim rozciąga się plaża, a na kamienistej ścieżce za nią stoi budka z napojami, a przynajmniej stała. Może już jej nie ma.

– Kiedy tam byłaś? Nigdy o tym nie wspominałaś.

– Bo... wyleciało mi z głowy. Miałam dziewięć lat.

– Pojechałaś z matką?

Kiwnęłam głową.

– Fajnie było?

Nie odpowiedziałam. Rick wypuścił ze świstem powietrze, wyraźnie zmęczony tą rozmową.

– Wygląda, że nie. Może w takim razie nie powinnaś jechać, po co się denerwować? Ale masz trzydzieści cztery lata, Jen. Dawno przestałaś być dzieckiem. – Zerwał się z fotela. – Przejdę się do szkoły, muszę przygotować lekcje na jutro, zrobię to na miejscu. – Uśmiechnął się z przymusem. – Sama zdecyduj, co z wyjazdem. Na razie, kochanie.

Chciałam go objąć i błagać, żeby został. Ale nie ruszyłam się z krzesła.

– Tak – odpowiedziałam chłodno. – Na razie.

Po wyjściu Ricka tkwiłam przy biurku odrętwiała z rozpaczy, póki nie zaczęło szarzyć za oknem. Perspektywa kolejnej zimy w mieście napawała mnie zgrozą.

Sięgnęłam po telefon.

– Sama zdecyduję – wymamrotałam. – Nie muszę tego robić. – Wystukałam numer Vincenta. – Nie chcę tego robić. – Mój palec zawisł nad przyciskiem. – I nie zrobię. – Wcisnęłam.

Vincent znów odebrał po trzech sygnałach.

– Halo?

– Vincent? Tu Jenni Clark.



– Cześć, Jenni. Dzięki za telefon.

– Vincencie... – Zebrałam się w sobie. – Podjęłam decyzję.

– Tak?

– I omówiłam ją z Rickiem. Rzecz w tym... – Mój wzrok powędrował na półkę.

*Pokonywanie strachu.* – Rzecz w tym... że...

– Co postanowiłaś?

*Oko w oko ze swoimi demonami.*

– Przyjadę.

## ROZDZIAŁ 3

W następną sobotę wyruszyłam z Paddington pociągiem do Kornwalii. Tydzień zleciał mi na ostatnich poprawkach poradnika dla młodych matek. Uporałam się z zadaniem i poczułam ulgę, mogłam przestać myśleć o niemowlętach. Teraz pochłonęło mnie zbieranie materiałów o holenderskich Indiach Wschodnich i japońskiej okupacji.

Rick i ja nie wróciliśmy do wiadomego tematu. Ostatnio prawie się nie widywaliśmy, miał pełne ręce roboty w szkole i przesiadywał na siłowni. Unikał mnie. Ale gdy już doszło do rozmowy, ustaliliśmy, że na czas mojego wyjazdu zawieszamy kontakty listowne i telefoniczne.

– Sprawdźmy, czy będzie nam siebie brakować – powiedział Rick, odwożąc mnie na stację. – Być może sprawa sama się rozwiąże.

– Niewykluczone – skwitowałam obojętnie. Dręczył mnie ten stan niepewności, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

W pociągu wepchnęłam walizkę na półkę i usiadłam w wyznaczonym miejscu. Niebawem rozległo się trzaskanie drzwi, przenikliwy gwizd i wagony potoczyły się mozolnie po torach. Kiedy mijaliśmy zachodni Londyn, miałam mętlik w głowie: moja przyszłość z Rickiem stała pod znakiem zapytania i jechałam do Kornwalii, której unikałam od dwudziestu pięciu lat. Drętwiałam na sam dźwięk nazwy, o widoku na mapie nie wspominając. Dziś tam wracałam, nie wiedząc jakim cudem.

Włączyłam laptop, żeby o tym nie myśleć.

„Holenderskie Indie Wschodnie były kolonią, która po drugiej wojnie światowej stała się Indonezją...”

Za oknem miejskie widoki ustąpiły miejsca polom i zalesionym wzgórzom przetykanym złotem.

„Jawa leży między Sumatrą na wschodzie i Bali na zachodzie... znajduje się na niej pasmo górskie, które tworzy grzbiet rozciągający się ze wschodu na zachód... administracyjnie podzielona na cztery prowincje...”

Niebawem wyjechaliśmy na równiny Somerset, gdzie wierzby płaczące rosną wzdłuż rzek. Czapla strzepnęła skrzydła i wzbiła się w powietrze.

„Dwudziestego ósmego lutego 1942 roku japońska Szesnasta Armia przybiła w trzech miejscach do zachodnich wybrzeży Jawy; jej głównym celem była Batawia (obecnie Dżakarta) oraz Bandung...”

Pociąg sunął obok dorzecza. Poziom wód był niski i stada ptaków obsiadły mulisty brzeg. Znowu napłynęły myśli o Ricku, ale je odsunęłam. Wróciłam do lektury o upadku Jawy.

Na następnej stacji wsiadła kobieta z dziewczynką i chłopcem, usiedli przy stoliku po drugiej stronie przejścia.

Dziewczynka miała krótkie brązowe włosy, spięte żółtą spinką, żeby nie opadały na ładną twarzyczkę. Czytała książkę, a jej młodszy brat, siedzący naprzeciw, grał w nintendo.

„Począwszy od marca 1942 roku Japończycy przystąpili do wysiedlania europejskich cywilów – głównie plantatorów, nauczycieli, urzędników oraz inżynierów. W listopadzie przyszła kolej na ich żony i dzieci. Dla wielu był to początek gehenny trwającej trzy i pół roku”.

– Fia!

Podniosłam wzrok. Chłopiec odłożył grę i patrzył na siostrę.

– Fia! – powtórzył. Pochłonięta lekturą, udawała, że nie słyszy. – Fia... – Szarpnął ją za rękę. – Fia!

Ich matka, która pisała wiadomość, opuściła komórkę.

– Sophio, bądź łaskawa odpowiedzieć bratu, dobrze?

Łypnęła na niego.

– Co chcesz?

Podniósł grę.

– Dokończysz za mnie kolejkę, Pho? Utknąłem.

Zerknęła na wyświetlacz.

– Dobra.

Chłopiec podał jej konsolę i zaczęła wystukiwać rysikiem, a brat czekał, podpierając brodę.

„Ponad sto tysięcy cywilów trafiło do obozów, gdzie przetrzymywano ich w opłakanych warunkach; trzynaście tysięcy zmarło z powodu chorób i wycieńczenia”. Spróbowałam wyobrazić sobie straszną rzeczywistość, która kryła się pod tymi statystykami. Klara z pewnością wiele przeszła, w tak młodym wieku.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Plymouth, kobieta znów odłożyła telefon.

– Przestańcie grać i wyjrzyjcie za okno – poleciła dzieciom. – Jakie wielkie statki – dodała, gdy mijaliśmy port. – Zaraz minimy rzekę. Oho – zanuciła, a pociąg wtoczył się na wielki most kolejowy w Brunel.

Dziewczynka wstała, żeby lepiej widzieć przez ogromne, żelazne przesła.

– Jakbyśmy lecieli!

Trzydzieści metrów pod nami lśniła rzeka Tamar.

– Spójrzcie na łodzie – dorzuciła matka. – Jesteśmy w Kornwalii – uzupełniła, gdy dotarliśmy na drugi brzeg.

– Hurra! – zawołały dzieci.

Po Saltash pociąg piął się powoli wśród stromych pastwisk, a następnie przez szkółkę drzewek iglastych. Minęliśmy Liskeard i Par, potem St Austell z tarasami domów z jasnego kamienia.

Zatrzeszczał głośnik.

– Mówi do państwa maszynista. Następny przystanek: Truro.

Drżącymi rękami pozbierałam swoje rzeczy. Uśmiechnęłam się na pożegnanie do matki dzieci, a gdy pociąg się zatrzymał, wysiadłam z całym majdanem.

Odebrałam kluczyki małego samochodu, który zarezerwowałam w biurze Hertza przed dworcem. Z bijącym sercem minęłam miejscową katedrę z trzema iglicami i wyjechałam z miasta. Kierując się drogowskazami na St Mawes, ruszyłam krętą drogą pod baldachimem dębów i buków, przetykanym gdzieniegdzie smugami światła, które cętkowało asfalt.

Przejechałam przez Glendurn i Trelawn, po czym za znakiem na Trennick skręciłam w jeszcze węższą drogę, wysadzaną olchą i tarniną. Gęste krzaki jeżyny drapały boki samochodu.

Wjechałam w kolejny zakręt. I się zatrzymałam.

Przede mną rozciągało się morze, połyskliwe w słońcu. Znajdowałam się w Polvarth, miejscu, do którego przysięgałam więcej nie wrócić i które dzień w dzień przypominało mi o sobie.

„Ja to wymyśliłam”.

Przymknęłam oczy i wspomnienia natarły ze zdwojoną siłą.

„Nikt nam nie pomógł”.

Pod szyldem z napisem „Farma Higher Polvarth” stał stary kuchenny stół, na którym postawiono skrzynkę kalafiorów (pięćdziesiąt pensów sztuka), skrzynkę kapusty (tyle samo) oraz żółte wiadro z bukietem dalii (po siedemdziesiąt pięć). W słoiku po dzemie tkwiło kilka monet. Na mniejszym szyldzie widniała czarna strzałka, wskazująca na prawo. „Sklep, 200 metrów. Kraby, homary i ryby, codziennie świeże dostawy. Otwarte 9–11 i 17–19, od pon. do sob.”.

Skręciłam, podjechałam ostrożnie we wskazane miejsce i zahamowałam.

Na wprost mnie wznosił się dom, kanciasty, pomalowany na biało budynek z niskim dachem krytym dachówką i wysokimi oknami. Obok stał stary land rover i biała furgonetka, wypełniona skrzynkami na homary. Za plecami miałam wiatę, w której zobaczyłam drewnianą łódź na lawecie; w kamiennej stodole mieścił się sklep. Rudy kot wygrzewał się w słońcu.

Otworzyły się drzwi domu i rosły mężczyzna w niebieskim kombinezonie wyszedł na zewnątrz.

– Jenni? – Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę. – Henry Tregear.

Uścisnęłam mu dłoń, nagle onieśmielona.

– Miło mi cię poznać. Dostrzegam podobieństwo do brata.

Henry z uśmiechem poklepał się po głowie.

– Vince ma trochę więcej włosów. Mamę poznasz później, właśnie wyskoczyła do Trelawn na spotkanie z przyjaciółką. Tymczasem pokażę ci domek, jedźmy twoim samochodem.

Usiadł na fotelu pasażera i podjechaliśmy kilkaset metrów do nowoczesnej chatki, którą minęłam po drodze. Zaparkowałam przed wejściem, a Henry wysiadł, otworzył bagażnik i zaniósł moją walizkę pod częściowo przeszklone drzwi.

Na ścianie widniała stalowa tabliczka z napisem „Lanhay”. Wnętrze, z drewnianą podłogą i neutralnym umeblowaniem, urządzone dość skromnie. Na ścianach wisiały oprawione reprodukcje przedstawiające kwiaty i ryby, typowe dla domków letniskowych. Ale w jednej z sypialni zobaczyłam oryginalny obraz olejny – przepiękny nadmorski pejzaż. Zapatrzyłam się na turkusową wodę, niskie klify i poszarpane skały.

Henry podążył za moim wzrokiem.

– Dzieło Adama, mojego syna. Sprzedaje sporo obrazów, za dwa tygodnie ma wystawę w Trennick.

Ze wstrząsem uświadomiłam sobie, że znam ten widok.

– To miejscowa plaża, prawda?

– Owszem. Skąd wiesz? Przejeżdżałaś tamtędy?

– Nie... – Próbowałam uciszyć łoskot w klatce piersiowej. – Byłam kiedyś w Polvarth.

– Aha. Domek jest skromny – oznajmił Henry, kiedy schodziliśmy z powrotem na parter – ale wygodny. – Pomajstrował przy bojlerze i dotknął najbliższego grzejnika. – Masz tu wszystko, co trzeba, pralka stoi tam. Jeśli się nie włączy, stuknij w drzwiczki. Lodówka, zmywarka, mikrofalówka... – Otworzył tę pierwszą, w której znajdowało się mleko, ser, bekon, tuzin jaj i butelka wina. – Tu masz warzywa na sałatkę i chleb w pojemniku.

– To bardzo miłe... dziękuję.

– Kawa i herbata są tutaj. – Otworzył kredens. – Gdybyś czegoś potrzebowała, w Trennick jest sklep. Parę kilometrów szosą, ale z łatwością możesz tam dojść na piechotę. Wystarczy zejść na plażę, potem po schodkach na klif i jakieś pięć minut ścieżką wzdłuż wybrzeża.

– Tak, pamiętam tę ścieżkę.

– No jasne, przecież już tu byłaś. A kiedy?

– Och... przed laty.

– No cóż, bardzo się cieszymy, że znów przyjechałaś. Spisanie wspomnień mamy to wielka rzecz dla całej rodziny, chociaż trudno przewidzieć, na ile uchyli rąbka tajemnicy. – Uśmiechnął się blade.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale wszystko zależy od niej.

– Ma się rozumieć. Nic na siłę.

Postawiłam komputer na stole.

– To dobre miejsce do pracy. Macie Internet?

– Tak, ale telefon niestety tylko odbiera połączenia.

– Nie szkodzi, mam komórkę.

– Różnie bywa z zasięgiem, lepiej stanąć przed domem.

Podeszłam do okna, za którym znajdował się niewielki ogród ogrodzony płotem. Pośrodku trawnika rosła wysmagana wiatrem wiśnia, pokryta kępkami zielonego mchu, a w rogu sponiewierana palma. Za ogrodzeniem spokojnie pasło się stado jasnobrązowych krów; okazjonalnie unosiły głowy, jakby podziwiały widok. Dalej rozciągało się morze. Dostrzegłam trójkąciki żagli, a na prawo cypel sterczący niczym dziób statku.

– Jak pięknie! – zawołałam. Już zapomniałam, jak tutaj ładnie.

– Owszem – przyznał Henry. – Często sam nie mogę wyjść z podziwu, po pięćdziesięciu czterech latach. Tu masz klucze. Przyjdź około siódmej na kolację.

Podziękowałam mu i obiecałam, że się zjawię.

Po jego wyjściu jednak napisałam do Ricka, że dotarłam na miejsce. Żałowałam, że go tu ze mną nie ma. Gdyby był, poszlibyśmy na plażę i opowiedziałabym wreszcie o tym, co się stało przed laty. Próbowałam wyobrazić sobie jego reakcję – szok, zdumienie, powoli ustępujące miejsca niedowierzaniu, że taiłam to przed nim tyle czasu.

Gdy cienie kładły się na trawniku, usiadłam przy ogrodowym stole. Morze miało teraz ołowiany odcień, upstrzony srebrem tam, gdzie słońce przeświecało zza masy nisko zwieszonych chmur. Przed tygodniem byłam na ślubie Niny, który ściągnął mnie z powrotem do Polvarth. Powstrzymałam dreszcz.

Weszłam do środka i rozpakowałam bagaż. Otworzywszy kosmetyczkę, spojrzałam na różowe opakowanie pigułek, które Rick znienawidził, ale które dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Łyknęłam jedną, wzięłam prysznic i się przebrałam, a następnie ruszyłam w stronę gospodarstwa. Nie mogłam się doczekać spotkania z Klarą. Zastanawiałam się, jaka będzie. I czy ułoży nam się współpraca.

Kołatka na drzwiach miała kształt ręki. Zapukałam po chwili wahania.

Henry, teraz w zielonych sztruksach i niebieskiej koszuli w kratkę, zaprowadził mnie do dużej, kwadratowej kuchni z podłogą wyłożoną czerwonymi i czarnymi kafelkami, kremową kuchenką i sosnowymi meblami. Wziął moją kurtkę i przedstawił mnie swojej żonie, Beth.

– Witaj, Jenni – powiedziała. Była jasnowłosą, pogodną kobietą po pięćdziesiątce.

– Jak ci się podoba Lanhay?

– Bardzo, dziękuję. Jestem zachwycona.

Henry uśmiechnął się do starszej pani, która nakrywała do stołu.

– Mamo, poznaj Jenni.

Kobieta postawiła ostatni talerz i podała mi rękę. Wymieniłyśmy uścisk.

– Dobry wieczór, pani Tregear. Miło mi wreszcie panią poznać.

– Proszę, mów mi Klaro.

Klara Tregear miała szczupłą, wyprostowaną sylwetkę, wydatne kości policzkowe

i szaroniebieskie oczy; śnieżnobiałe, obcięte na pazia włosy podpinała spinką, jak dziewczynka z pociągu. Jej twarz nosiła ślady upływu czasu i była smagła od słońca i wiatru.

– No tak... – Posłała mi niepewny uśmiech. – Czyli wybieramy się w podróż śladem wspomnień. – Głos miała łagodny, z lekkim holenderskim akcentem. – Przyznam, że trochę się boję.

– Nic dziwnego. Ale spróbuję dodać ci odwagi. Potraktuj to jako długą rozmowę z kimś, kogo naprawdę ciekawisz.

– I nic nie ujdzie twojej uwagi? – upewniła się z grymasem.

– Nic a nic. – Rozejrzałam się po kuchni. – Tu będziemy rozmawiać?

– Nie, u mnie. – Wskazała przez okno na stodołę. – Mieszkam nad sklepem. Ale... pewnie umierasz z głodu. – Zapraszam do stołu.

Siadając, wyjrzałam przez drzwi balkonowe. Kępy agapanu i rozchodników okalały długi trawnik. Za ogrodem teren schodził ku morzu; było granatowe w gęstniejącym zmierzchu. W oddali migwały światełka boi lub kutrów.

Klara naląła mi wino i usiadła obok.

– Ile ma trwać każda rozmowa?

– Pewnie zdajesz sobie sprawę, że to żmudny proces.

Pokiwała głową.

– Na ogół staram się nagrywać trzy godziny dziennie. Co powiesz na dwie godziny do południa? Pasowałyby ci?

– Tak, najlepiej po jedenastej, po zamknięciu sklepu.

– A potem godzinę po południu, dobrze? – zaproponowałam.

– Jak najbardziej. Jutro niedziela, więc sklep zamknięty, możemy zacząć. Rano idę do kościoła, ale do dziesiątej powinienam wrócić. Możemy tak się umówić?

– Zatem dziesiąta. – Napiłam się wina, czując, jak uchodzi ze mnie napięcie. Byle zapanować nad emocjami, pomyślałam, a dam radę.

Beth postawiła na stole duże, kamionkowe naczynie.

– Mam nadzieję, że lubisz zapiekaną rybą, Jenni.

– Jeszcze jak.

– To częstuj się, proszę.

– Dzięki. – Ale Klara wzięła już mój talerz i nakładała na niego gigantyczną porcję.

– O nie, tyle nie zmieszczę – zaoponowałam.

– Spróbuj – odpowiedziała stanowczo, podając mi talerz.

– Wygląda smakowicie. Z waszego połowu?

Potwierdziła.

– Adam, nasz syn, co rano zastawia pułapki na homary i mocuje sieci do dna, parę metrów od brzegu. Łowi flądry, żabnice, przegrzebki i sole, kupujemy je od niego i sprzedajemy w naszym sklepie. To dla nas ważne źródło dochodu, zwłaszcza

w sezonie.

Nałożyłam sobie sałatkę.

– Jeszcze się nie skończył?

Henry usiadł z nami przy stole.

– Prawie, trwa do końca miesiąca. Ale mamy lokalnych odbiorców i zaopatrujemy hotel, więc działamy praktycznie cały rok.

– Krowy też są wasze?

– Owszem. – Rozłożył serwetkę. – Hodujemy je na mięso, głównie z tego żyjemy. Rasa devon. Kiedy prowadziliśmy mleczną farmę, mieliśmy fryzyjskie.

– Pamiętam – rzuciłam bez namysłu. – Pamiętam, jak pędzono je ścieżką, i pamiętam wielką, srebrną bańkę na końcu waszego podjazdu. Nalewaliśmy mleko chochlą i zostawialiśmy pieniądze w słoiku.

Klara spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Byłaś tu?

– Była – potwierdził Henry.

Klara nałożyła zapiekanekę na swój talerz.

– Kiedy?

– O, dawno temu... w dzieciństwie.

Sięgnęła po widelec.

– A gdzie mieszkałaś?

– W jednym z domków letniskowych przy plaży. Nie pamiętam dokładnie. – I odbiłam piłeczkę, jak zawsze gdy zadawano mi niezręczne pytania: – Opowiedzcie mi coś o gospodarstwie.

– Hm... – Beth z uśmiechem wzruszyła ramionami. – Mamy pełne ręce roboty. Zawsze jest coś do zrobienia, a to trzeba naprawić płot, a to przystrzyc żywopłot, nakarmić cielaka czy wypielić grządki. Harujemy od świtu do nocy, zwłaszcza latem.

– Ale nie narzekamy – wtrącił Henry. – Kochamy to miejsce. – Uśmiechnął się do Klary. – I mama wciąż bardzo nam pomaga.

Klara się zaśmiała.

– Długo bym nie pożyła, gdybym przestała! Po sześćdziesięciu trzech latach moje ciało nie wytrzymałoby bez pracy.

Przyjrzałam się jej dyskretnie. Tryskała energią, miała szybkie, precyzyjne ruchy, szorstkie, zgrubiałe ręce i palce powykręcane od artretyzmu. Jej ramiona sprawiały wrażenie zaokrąglonych, jakby ulepionych przez wiatr.

Wypiłam kolejny łyk wina.

– Zatem Adam łowi...

– Tak – potwierdziła Beth. – I maluje.

– Henry mi mówił. Ten pejzaż w chatce jest cudowny, jestem pod wrażeniem.

– Mieszka w Porthloe – ciągnęła Beth, ucieszona pochwałą – ze swoją dziewczyną,



Molly, i ich dzieckiem. Klara prowadzi sklep i hoduje większość warzyw, które sprzedajemy. Ja sprawiam ryby, piekę chleb i robię przetwory. Henry zajmuje się bydłem i prowadzi księgowość.

– Syzyfowa praca. – Przewrócił oczami.

Beth nalała sobie wodę.

– I należy do ochotniczej straży przybrzeża.

– Serio?

Pokiwał głową.

– Mamy dyżury na Polvarth Point, w razie wypadków na morzu, skałach lub plaży.

– Ludzie robią takie głupoty – dorzuciła Klara.

– Na przykład? – wykrztusiłam.

Henry westchnął.

– Podchodzą za blisko przepaści, wypływają bezmyślnie kajakiem i znosi ich na otwarte morze, podobnie jak dzieciaki na materacach. Czasem ktoś utknie na skałach w czasie przypływu.

– Niektórzy kopią tunele w piasku – dodała Beth. – Kiedy to widzę, zawsze zwracam im uwagę. – Spojrzała na Klarę. – Pamiętasz, co się stało z tamtymi chłopcami?

– O tak – odpowiedziała cicho Klara i zwróciła się do mnie. – Mogłabym ci o tym opowiedzieć.

Fala gorąca uderzyła mi do twarzy.

– Po co? – burknęłam.

– No... – Klara nie kryła zdziwienia moją reakcją. – Do książki. Zastanawiałam się, co najbardziej zapadło mi tu w pamięć.

– Naturalnie. – Sięgnęłam po kieliszek, by zatuszować narastające zmieszanie. Co mnie tu przyniosło? Powinnam posłuchać intuicji i zostać w domu.

Henry opowiadał o cielaku, który w zeszłym roku zgubił się we mgle.

– Wylądował w morzu – uzupełnił.

– W morzu? – powtórzyłam.

– Coś musiało go wystraszyć – wyjaśniła Beth. – Pies albo lis, bo odpłynął dwa metry od plaży. Na szczęście nasz znajomy łowił ryby, złapał go na łąso i doholował do swojego kutra. Potem matka go odtrącała, bo pachniał solanką.

– Musieliśmy ich związać – dodał Henry. – Wreszcie pozwoliła mu się najeść i wszystko dobrze się skończyło. Ale to był cud, że nie utonął.

– Jenni... – Klara z wyrzutem spojrzała na mój talerz. – Prawie nic nie tknęłaś.

– Och. Przepraszam. Przepyszne, ale trochę za dużo...

Henry prychnął śmiechem.

– Tutaj musisz wsuwać, bo inaczej mama się zdenerwuje. Prawda, mamó?

– Bez obaw – zapewniła mnie Klara. – On tylko się droczy. Zjedz trochę lodów.

– Jestem pełna, Klara, nic więcej nie wcisnę, ale dziękuję.

– To może kawy?

– O tak, bardzo proszę. Kawy nigdy nie odmówię, wypijam jej tyle, że pewnie płynie mi w żyłach.

Przy kawie i ciastkach, które Klara mi wmusiła, dowiedziałam się co nieco o Vincencie. Był trzy lata starszy od Henry’ego, inżynier, rozwiedziony, miał dorosłą córkę.

– Poznałam go przed laty – oznajmiłam – na dwudziestych pierwszych urodzinach mojej przyjaciółki Niny; jest jej chrzestnym.

– Zgadza się. Studiował z jej tatą.

– Na weselu Niny siedzieliśmy przy jednym stole.

– I świetnie się złożyło – zauważył Henry. – W przeciwnym razie nie byłoby cię tu z nami.

– Ano nie. – Zmięłam serwetkę. – Na to wygląda.

– Vince nie chciał zostać na gospodarstwie – podjął Henry. – Na szczęście dla moich rodziców, ja tak. Potem przyjdzie kolej na Adama.

Zapytał o moją pracę i jak zdobywam zlecenia.

– Ogłaszam się w czasopiśmie i na stronach genealogicznych – odpowiedziałam.

– I zostawiam informacje w bibliotekach.

– Mieszkasz w Islington, tak? – Beth dołała mi kawy.

– Tak, w Angel.

– Pochodzisz z Londynu?

Pokręciłam głową.

– Dorastałam w wiosce niedaleko Reading, ale przeprowadziliśmy się do Southampton, kiedy miałam dziesięć lat.

– Masz rodzeństwo? – spytała Klara.

– Nie. – Uśmiechnęłam się, żeby nie pomyślała, że ją zbywam. Odłożyłam serwetkę na stół. – Muszę się zbierać.

– Oczywiście – przytaknęła serdecznie Beth. – Pewnie jesteś zmęczona po podróży. Pójdiesz sama? Może Henry cię odprowadzi?

– Dam sobie radę – zapewniłam. – Nie boję się ciemności.

– Na wszelki wypadek powinnaś wziąć latarkę. Można sobie zęby wybić. – Gdy wkładałam płaszcz, Beth otworzyła szafkę pod zlewem, wyjęła latarkę i mi podała. – Dobrej nocy, Jenni. Miło było cię poznać.

– Dobranoc, Beth. Dziękuję za kolację, wyśmienita. Dobranoc, Henry. – Z uśmiechem zwróciłam się do Klary. – Rano się widzimy.

– Tak jest. Do zobaczenia. Śpij dobrze.

– Dzięki, ty też. – Wiedziałam, że będę miała szczęście, jeśli w ogóle zmrużę oko.

Ruszyłam przed siebie, omiatając ścieżkę snopem światła latarki. Kolacja się

udała: Klara wzbudziła moją sympatię, a Beth i Henry zgotowali mi serdeczne powitanie. Ale za bardzo się odsłoniłam. Muszę mieć się na baczności.

Nad drogą pochylała się tarnina, wyrzeźbiona przez wiatr. Na atramentowym niebie połyskiwały gwiazdy. Zgasiałam latarkę i podniosłam wzrok. Ujrzałam pas Oriona, Wenus, a także siedem punkcików Wozu. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegłam blady pasek Mlecznej Drogi. Wyciągnęłam szyję, chłonąc jej zamglone piękno.

– Cudowne – wyszeptalam, wpatrzona w ławice gwiazd. – Cu...

Nagle aż mną wstrząsnęło. Zastygłam z duszą na ramieniu i wyteżyłam słuch. To pewnie tylko wiatr. Już miałam ruszyć dalej, gdy dźwięk rozległ się ponownie. Krew zadudniła mi w uszach. To nie wiatr, ktoś tam był. Nie widziałam nikogo, ale wyczuwałam czyjąś obecność; ktoś był blisko, tak blisko, że słyszałam jego oddech. Próbowałam krzyknąć, ale nie zdołałam wydobyć głosu, nie mogłam uciec, bo nogi wrosły mi w ziemię... Znowu! Dźwięk rozległ się tak głośno, że wypełnił mi uszy; z trudem dobywałam oddech, serce waliło mi w piersi... Naraz przycichł. Odetchnęłam z ulgą: to był tylko powolny, miarowy szum morza.

## ROZDZIAŁ 4

Spałam niespokojnie i jak zwykle obudziłam się przed świtem. Na w pół przytomnie wyciągnęłam rękę do Ricka, stęskniona za jego ciepłem, po czym przypomniałam sobie boleśnie, gdzie jestem. Jakiś czas leżałam wpatrzona w ciemność, po czym wzięłam prysznic, ubrałam się i wypijałam kawę. Zebrałam się w sobie i wyruszyłam na plażę.

Minęłam wille za kamiennymi ogrodzeniami i żywopłoty fuksji wciąż obsypane kwieciami, dalej stodołę przekształconą w pensjonat ze śniadaniami. Dotarłam do Lower Polvarth, gdzie w pewnym oddaleniu od drogi stał rząd domów z ładnymi ogródkami od frontu i sugestywnymi nazwami: „Syreni Śpiew”, „Bryza” i „Pnąca Róża”.

Stanełam na wprost „Penlee”. Zapamiętałam te hortensje i bez – złamałam gałąź, próbując się na niego wspiąć, i oberwałam od mamy. Pokoje znajdowały się na piętrze. Mieszkaliśmy w tym po lewej stronie, z piętrowym łóżkiem, ona w sąsiednim.

Nagle rozsunęły się zasłony w „jej” pokoju i zobaczyłam w oknie kobietę. Miała po pięćdziesiątkę, tyle ile matka obecnie. Wyjrzała na morze, ale jej wzrok padł na mnie. Odwróciłam głowę i odeszłam pospiesznie, mijając starą, czerwoną budkę telefoniczną, po czym zobaczyłam kamienne słupki bramy hotelu Polvarth.

Skręciłam, żwir zachrząścił pod stopami. Stara, georgiańska posiadłość wyglądała przed laty smętnie, staroświecko, ale odrestaurowano ją i dziś parkowały tu dwa range rovery, porsche, a przed wejściem ustawiono donice z drzewkami laurowymi.

Ogród nie różnił się od tego, jaki zapamiętałam: zobaczyłam znajomy cedr libański i sosnę z koroną wytarganą przez wiatr. Może drzewa wyglądały tak samo, ale ja zmieniłam się nie do poznania.

Ogarnęłam wzrokiem znajomy widok. Przedemną rozciągała się zatoka, idealnie w kształcie podkowy, a tuż za nią wioska Trennick, z wiktoriańskimi willami oraz ciasno zbitymi chatkami z „gliny ze słomą”, które gnieździły się wzdłuż murów portu.

Przez dziurę w żywopłocie wróciłam na drogę i poszłam dalej w dół. Mewy z przenikliwym krzykiem kołowały mi nad głową. Ścieżka skręciła w lewo i znalazłam się na plaży.

Ignorując łoskot w piersi, szłam przed siebie, minęłam drewniane tabliczki ze strzałkami na drogę nadbrzeżną i koło ratunkowe w czerwonej gablocie.

Przystanąłam w połowie ścieżki. Fale były upstrzone bielą, klify i budka z napojami znajdowały się na swoim miejscu, patrzyłam na kobaltowe skały i półksiężyc piasku. Poczulałam nagły, ostry ucisk w żebrach, jakby zaciśnięto mi na sercu drut kolczasty.

„Kopiemy tunel”.

Zmusiłam się, żeby pójść naprzód, wiatr smagał mi policzki. Przeszedł chłopiec z labradorem; pies dreptał obok i obwąchiwał wodorosty. Młodzi ludzie w piankach wbiegli z impetem do morza, rozpryskując połyskliwą wodę.

„Ale mama się zdziwi...”.

„No!”.

„Będę mógł tam wejść?”.

Idąc przez piasek, poczułam, że drut w mojej piersi się zaciska. Zobaczyłam, jak do budki podjeżdża karetka, ratownicy niosą torby i nosze. Przypomniałam sobie tłumek letników, patrzyli z dziwną mieszaniną zgrozy i żywego zaciekawienia w oczach. Czyjeś ramię mnie otoczyło i odciągnęło w chwili, gdy drzwi karetki się zatrzasnęły.

O dziewiątej wróciłam do Lanhay. Jeszcze ręce mi się trzęsły, kiedy przekręcałam klucz w zamku. Ze zwieszoną głową usiadłam przy stole i próbowałam się otrząsnąć. Matka miała wtedy dwadzieścia osiem lat, sześć lat mniej niż ja obecnie. Pamiętam drogę do domu, w policyjnym radiowozie, jej palce zaciśnięte tak mocno, że kostki zbiały. Przykryłam ręką jej dłoń, ale nie zareagowała.

Wstałam i przeszłam do pokoju, pstryknęłam radio i przełączyłam na audycję Honor. Już samo brzmienie jej głosu mnie uspokoiło, pomogło ochłonąć. Zawsze niezawodnie poprawiała mi humor. Jej rozmach i wesołość doskonale równoważyły moją nieśmiałość.

Jak zwykle było o wszystkim i o niczym – zabawny wywiad z Emmą Watson o jej nowym filmie, następnie Coldplay i wiadomości oraz gorąca dyskusja o tym, czy koniec świata nastąpi dwudziestego pierwszego grudnia, jak wynikało z kalendarza starożytnych Majów.

– A zatem twierdzisz – powiedziała do rozmówczynie Honor – że za dwa miesiące możemy się spodziewać nie Bożego Narodzenia, tylko apokalipsy.

– Owszem – potwierdziła złowróżbnie kobieta. – Ponieważ tego dnia Słońce znajdzie się dokładnie pośrodku Drogi Mlecznej, co wpłynie na pole magnetyczne Ziemi i kompletnie zaburzy naturalną równowagę, powodując trzęsienia i powodzie, które mogą doprowadzić do naszej zagłady.

– Astronomowie obalili tę teorię – zauważyła Honor. – Podobnie jak NASA.

– Mogą sobie obalać, lecz i tak nic nie wskórają.

– No cóż, dwudziestego drugiego grudnia przekonamy się, kto miał rację – skwitowała Honor. – Ale dziękuję za rozmowę. À propos masowej zagłady... – Z głośnika popłynął ogłuszający ryk, po którym przedstawiła producenta filmu dokumentalnego o ostatnich dniach dinozaurów. – Czy nie wyginęły z powodu uderzenia planetoidy? – zwróciła się do gościa. – Sześćdziesiąt pięć milionów lat temu?

– Tak się przyjmuje – odpowiedział mężczyzna. – Zjawisko nosi nazwę

wymierania kredowego, ale tak naprawdę nie sposób tej teorii potwierdzić. Dlatego w programie analizujemy alternatywne przyczyny, w tym zmiany klimatyczne wywołane masową erupcją wulkanów bądź ewolucję ssaków, które żywiły się jajami dinozaurów. Uwzględniamy również zasadniczą przemianę wegetacji, w wyniku której roślinożerne dinozaury nie potrafiły przetrwać pożywienia.

– I cierpiały z powodu obstrukcji?

– Hm... właśnie.

Honor zaśmiała się głośno.

– Chyba wolę uderzenie meteoru. Jaki jest pana ulubiony dinozaur? Ja zawsze lubiałam ankylozaura z buławą na ogonie.

– Owszem, podobnie jak euoplocefal z kolcami, ale mój ulubieniec to zdecydowanie spinozaur z żaglem...

Paplanina Honor tak poprawiła mi humor, że poczułam się na siłach, żeby wstać i działać. Miałam coś do zrobienia i to zrobię.

Za dwadzieścia dziesiąta. Wyłączyłam radio i przejrzałam notatki, po czym otworzyłam laptop i utworzyłam nowy dokument pod nazwą „Klara”. Opisałam pięć taśm, umieściłam jedną w dyktafonie i po jej sprawdzeniu poszłam na farmę.

Po drodze przystanęłam i przyjrzałam się ziębnie, która kołysała się na kiści jagód czarnego bzu; właśnie tutaj przestraszyłam się zeszłego wieczoru. Przymknąwszy oczy, usłyszałam szum morza, ale zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Może mrok go spotęgował albo za dużo wypiałam. Mimo to zadrzałam na samo wspomnienie.

Podchodząc do farmy, zobaczyłam Klarę w niebieskiej sukience w paski i białym fartuchu, kładła na stole warzywa. Obok postawiła słoik po dżemie i odwróciła się na odgłos moich kroków.

– Jenni! Dzień dobry.

– Dzień dobry, Klaro. – Wskazałam głową na główki kapusty i kalafiory. – Miło, że to robisz.

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze robiłam.

– Ludzie zostawiają pieniądze w słoiku?

– Zwykle tak czynią, ale jest mi to obojętne: grunt, że nic się nie marnuje. – Złożyła pustą siatkę i schowała ją do kieszeni fartucha. – Zanim zaczniemy rozmawiać, mam parę rzeczy do zrobienia. Pójdiesz ze mną?

– Pewnie. Chętnie obejrzę gospodarstwo.

Minęłyśmy podwórko i weszłyśmy do szopy.

– To nasza druga łódź – wyjaśniła Klara. – Kuter, podobnie jak pierwsza, wnuk ją naprawia. – Obeszłyśmy puszkę z czarną farbą, lawirując między rozrzuconym sprzętem rolniczym i workami z karmą dla zwierząt. Klara napełniła do połowy miskę kukurydzą. Podążyłam za nią na niewielkie pole, gdzie znajdowały się dwa duże,

drewniane kurniki z zagrodami i w każdej biegało po kilkanaście kur. Na nasz widok podniosły straszną wrzawę. – Ależ moje panie! – zawołała Klara. – Tylko bez dziobania i przepychanek proszę! – Rzuciła ziarno przez siatkę. – To karmazyny, mają koszarne maniery, ale niosą się jak należy. – Cisnęła im drugą garść. – Rano dostają kukurydzę, a wieczorem obierki.

Rozglądałam się urzeczona, a Klara napełniała korytka deszczówką z beczki. Kury w drugiej zagrodzie były czarne, z łebkami opierzonymi na podobieństwo wiktoriańskich bokobrodów.

– To araucana – powiedziała Klara. – Kury tej rasy są bardzo spokojne i znoszą jajka w prześlicznym odcieniu błękitu. – Dała im resztę kukurydzy i przetarła miskę brzegiem fartucha. – Załatwione. Teraz idziemy tam.

Posłusznie podreptałam za nią przez drugą bramkę na sąsiednie pole, gdzie stała duża szklarnia na ceglany cokole. Szyby połyskiwały w słońcu.

Gdy weszliśmy do środka, uderzyło w nas ciepłe powietrze, pomieszane z wonią mokrej ziemi i kwaskowatym aromatem pomidorów. Klara wyjęła z fartucha sekator, ucięła kilka pnączy i umieściła je w misce. Następnie ścięła dwa ogórki z gałązek.

– Hodujemy też paprykę – oznajmiła, gdy obok nas przeleciała pszczoła. – I bakłazany, piżmiany, melony gala...

– I winogrona. – Zerknęłam na winorośl biegnącą wzdłuż sufitu.

– Tak, ale są dość drobne, łatwo pleśnieją. Kury je dostają, na deser. – Minęliśmy tunele wysadzone kędzierzawą sałatą, kolendrą i tymiankiem, po czym Klara znowu się zatrzymała. – A to moje cudeńka.

Na wprost nas wznosiło się sześć drzewek cytrynowych w dużych, glinianych donicach.

– Uwielbiam hodować cytryny. – Zerwała trzy dojrzałe i umieściwszy je w misce, wskazała na dwa mniejsze drzewka po lewej stronie. – A to kumkwaty. Zbyt gorzkie do jedzenia, ale jest z nich świetny dżem.

– I sprzedajecie to wszystko w sklepie?

– Owszem. Sprzedajemy tylko to, co sami wyhodowaliśmy.

Wyszłam za nią ze szklarni i skierowałyśmy się w stronę pola, na którym zobaczyłam wielką, kamienną budowlę przypominającą fortecę.

– Co to?

– Zobaczysz. – Klara wprowadziła mnie do środka przez drewnianą bramkę.

Wewnątrz powietrze było nieruchome, a głęboką ciszę mąciły tylko srebrzyste trele kosa, który przycupnął wysoko na murze. Wokół unosił się zapach późnych róż.

Ruszyliśmy zwirową ścieżką, w słońcu, obok krzaków agrestu i czerwonej porzeczki oraz drabinek na groszek i fasolę. Zobaczyłam rzędy porów, kapusty i kalafiorów, poletko truskawek, klomb dalii oraz niewielki sad karłowatych jabłonek.

– Cudowne! – wykrzyknęłam oczarowana. – Ależ musicie się przy tym

napracować.

– Jeszcze jak. – Klara zerwała z najbliższego drzewka kilka ostatnich owoców. –

Dobrze, że mam ogrodnika, który pieli i przycina. Podlewanie odbywa się automatycznie, a z resztą daję sobie radę.

– Ile to ma długości? – zapytałam, kiedy ruszyliśmy naprzód. – Ze trzydzieści metrów?

– Ponad trzydzieści sześć, i dziewięć metrów szerokości. Mur ma ponad pięć metrów wysokości i jest wkopany na sześćdziesiąt centymetrów.

– Coś niesamowitego.

– To był prezent ślubny od męża. Zapytał, co bym chciała, a ja mu na to, że marzę o ogrodzie za murem. I zbudował go ze swoim pomocnikiem Sebem z kamieni zniesionych z zatoczki. Zajęło im to rok.

– Kiedy to było?

– Zaczęli w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku. Dopiero co przyjechałam po raz pierwszy do Anglii, o Kornwalii nie wspominając.

– Musiałaś być bardzo zakochana.

– O, tak. – Poczułam ukłucie zazdrości, gdyż była to z pewnością miłość odwzajemniona. – Kiedy tylko zobaczyłam farmę, postawiłam sobie za punkt honoru wyhodować warzywa i owoce na każdą literę alfabetu.

– Serio? – Parsknęłam śmiechem. – I co, udało ci się?

– Powiedzmy – odpowiedziała, prowadząc mnie obok grządki dyń. – Mamy wszystko, od agrestu do ziemniaków.

– Co jest na „ż”? – zastanawiałam się głośno.

– Żurawina. – Wskazała lśniące kulki owoców.

– A „ć”?

– Ćwikła. – Rzuciła mi figlarne spojrzenie.

Przystanęliśmy obok brzoskwini pod ścianą wychodzącą na południe. Miała pożółkłe liście i ani jednego owocu, zaledwie kilka pojedynczych sztuk obłązonych przez osy.

Klara oparła dłoń na grubym, powykręcany pniu.

– Ją pierwszą posadziłam. Razem się zestarzałyśmy... i obie jesteście suche, sękaty. – Zmarszczyła twarz w uśmiechu. – To też posadziłam. – Wskazała na ogromny figowiec. – Wszystko posadziłam; to była moja obsesja, bo usłyszałam w dzieciństwie, że słowo „raj” znaczy „ogród za murem”. Od tamtej chwili moim marzeniem był własny mały raj, którego nikt mi nie odbierze.

Mieszkanie Klary znajdowało się na piętrze stodoły. Miało wysoki, kryty belkami sufit ze świetlikami w dachu oraz otwartą kuchnię.

Klara postawiła miskę na blacie, po czym przystąpiła do opłukiwania owoców i warzyw. Było bardzo miło, ale zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle ma zamiar



usiąść i zacząć rozmowę.

– Kiedyś mieszkałam w głównym budynku – opowiadała. – Wyprowadziłam się po śmierci męża i oddałam go Henry’emu i Beth. Ale to mieszkanie w zupełności mi odpowiada. Sypialnia oraz łazienka są na dole, a tu znajduje się część dzienna i jadalna.

– Jak tu jasno. – Od podłogi do sufitu piętrzyły się książki; zajrzałam na półki. Zobaczyłam pomarańczowe i zielone klasyki Penguina, komplet dzieł Dickensa w kasztanowych, skórzanych oprawach, a także powieści Daphne du Maurier, Jane Austina, Georgette Heyer oraz sióstr Brontë. Moją uwagę przykuło kilka holenderskich tytułów – *Max Havelaar*, coś mi świtało – i kilka biografii. – Dużo czytasz, Klaro.

– Owszem. Na szczęście wzrok mi dopisuje... *afkloppen*. Odpukać w niemalowane drewno. – Postukała w blat i rozwiązała fartuch. – Wolę czytać, niż oglądać telewizję, chociaż mam odbiornik w sypialni.

Na dolnej półce stało kilkanaście książek wydawnictwa Virago z serii współczesnych klasyków.

– Lubisz Elizabeth Taylor – zauważyłam. – To moja najukochańsza pisarka.

– Moja tak samo. – Klara się ożywiła. – Jane, moja serdeczna przyjaciółka, była zapaloną czytelniczką i poleciła mi jej książki. Kiedyś przepadałam za *Śpiącą królową*, ale po latach doceniłam *Panią Palfrey w Claremont*.

– Też ją bardzo lubię. – Zrobiło mi się przykro na myśl, że Klara straciła najlepszą przyjaciółkę.

– Przepraszam za bałagan – zmieniła temat.

– Nawet nie zwróciłam uwagi. Śliczne to mieszkanie. I widać morze. – Zerknęłam na drewnianą komódkę, na której stały rzędy niebiesko-białych talerzyków w kwiaty, pawie i statki. – Czy to porcelana z Delft?

Klara podniosła czajnik.

– Zgadza się. Z domu moich dziadków.

– Gdzie mieszkali?

– W Rotterdamie, tam się urodziłam. Jestem rotterdamką. – Nalała wodę. – Kawy?

– Tak, poproszę. Bardzo chętnie się napiję. Jestem wykończona.

Przyjrzała się mojej twarzy.

– Źle spałeś, kochanie?

– Trochę. Pewnie emocje... po podróży – skłamałam.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o łóżko.

– O nie, jest bardzo wygodne, Klaro. Po prostu zawsze źle śpiam, gdziekolwiek jestem. Mój wewnętrzny budzik dzwoni o niespodziewanych porach.

Spojrzała na mnie ze współczuciem.

– A to pech. I co wtedy robisz? Czytasz?

– Tak, czasami, albo słucham radia. Zazwyczaj wstaję i pracuję.

– Hm... przykro mi to słyszeć. Nazrywam waleriany i zaszuszę, powinno pomóc.

– Dziękuję. To miło z twojej strony. – Jej troska lekko mnie speszyła.

Otworzywszy lodówkę, wyjęła biszkopt i postawiła go na blacie.

– Zjesz ciasto. – Zrozumiałam, że nie tyle pyta mnie o zdanie, ile stwierdza fakt. –  
Częstuj się, proszę. Chociaż mały kawałek. Przydałoby się trochę cukru pudru z wierzchu. – Posypała i wyjęła z szuflady nóż.

– Apetycznie wygląda. Czy mogłabym obejrzeć twoje zdjęcia, Klaro?

Podniosła wzrok znad ciasta.

– Oczywiście.

Na kredensie stały fotografie Klary z mężem oraz Henry'ego i Vincenta. Obejrzałam je dokładnie. Uwielbiam odwiedzać klientów w domu: daje mi to silne poczucie tego, kim są, jeszcze przed rozmową. A gdy zaczynają mówić, czuję, jakbym siedziała im w głowie, pośród myśli i wspomnień. Wczuwam się w ich rolę.

Wśród zdjęć nie zabrakło oficjalnych portretów w srebrnych ramkach. Bez trudu odgadłam tożsamość uwiecznionych osób – rodzice Klary w dniu ślubu, ośmio- albo dziewięcioletnia Klara na kucyku. I jej zdjęcie w wieku lat sześciu lub siedmiu, na którym obejmuje małego chłopczyka. Oboje mieli krótkie blond włosy i uroczyście wpatrywali się w obiektyw identycznymi dużymi, okrągłymi oczami.

– To ty z bratem?

Spojrzała na nie i odwróciła wzrok.

– Tak.

– Jak ma na imię?

– Peter. – Grymas bólu przeciął jej twarz. – Miał na imię Peter.

Byłam ciekawa, kiedy zmarł i w jakich okolicznościach.

– Te wszystkie starsze zdjęcia należały do moich dziadków – uzupełniła Klara, nasypując kawę do ciężkiego, brązowego dzbanka. – Na szczęście matka zawsze posyłała im kilka fotografii w listach, inaczej nie mielibyśmy żadnej pamiątki po dziesięciu latach na Jawie. Zostaliśmy z niczym.

Woda się zagotowała. Klara przelała ją do dzbanka i w powietrzu rozszedł się aromat kawy.

– Użyjmy porcelany z Delft, bądź co bądź mamy rozmawiać o Holandii. – Postawiła na tacy po dwa talerzyki i filiżanki.

Odebrałam to jako zachętę i zaczęłam naprowadzać ją pytaniami.

– Ile miałaś lat, kiedy wyjechaliście na Jawę?

– Prawie pięć. Ojciec postanowił spróbować szczęścia w holenderskich Indiach Wschodnich, jak to się wówczas nazywało. Dostał pracę na plantacji gumy, niedaleko Bandungu.

Podniosła tacę. Wstałam.

– Pomogę ci.

– Gdybyś mogła wziąć dzbanek, z resztą dam sobie radę.

Zaniosła tacę do niskiego, drewnianego stolika, postawiła, po czym usiadła po prawej stronie kanapy, a ja na fotelu naprzeciw niej. Nalała mi kawę i wręczyła kawałek biszkopta, który przykrył niemal cały talerz.

– Mogłabym prosić o połowę?

Podawała mi widelczyk.

– Na pewno zmieścisz.

– Uhm... – Nie chciałam się z nią sprzeczać. – Wygląda nieźle. – Spróbowałam. – Przepyszne.

– Właściwie to powinnyśmy jeść magdalenki – zauważyła. – Nie, żebym potrzebowała zachęty do poszukiwań straconego czasu. Moja pamięć jest bez zarzutu. Co czasami przeszkadza.

– Jak to?

Klara nalała sobie kawę.

– Przed kilkoma miesiącami u mojej najbliższej przyjaciółki Jane wykryto demencję.

– Ach, tak. Gdy wspomniałaś, że „była” zapaloną czytelniczką, myślałam, że nie żyje. Miło słyszeć, że tak się nie stało.

– O, jest zdrowa jak ryba, przynajmniej na ciele. Ale w pewnym sensie Jane, którą znam od pięćdziesięciu pięciu lat, umarła. Kiedy przywołuję nasze wspólne radosne chwile, ludzi, których obie znałyśmy, lub książki, za którymi przepadałyśmy, patrzy na mnie pustym wzrokiem bądź jest zdezorientowana.

– To przykre.

– Owszem. Czuję się wtedy taka... samotna. – Westchnęła. – Ale tłumaczę sobie, że smutne wspomnienia Jane też się zacierają, i czasami jej tego zazdrozczę. To musi być wspaniałe – nie pamiętać rzeczy, które przysporzyły nam bólu. Powinniśmy jednak akceptować wszystkie wspomnienia, i bolesne, i radosne. Tak naprawdę tylko to dostajemy w życiu na własność.

Przytaknęłam, zaintrygowana, jakie bolesne wspomnienia ma na myśli i czy zechce o nich rozmawiać.

Zerknęła na mnie znad filiżanki.

– Jak widać, „siedzisz” we wspomnieniach.

Kiwnęłam głową.

– Można tak to ująć. Staram się obudzić wspomnienia klientów. – Przy jednoczesnym zatajeniu własnych, skonstatowałam z goryczą. Spojrzałam na stare albumy w skórzanych okładkach, spiętrzone na stole między nami. Rick wytykał mi czasem brak rodzinnych zdjęć. – Masz całkiem sporo fotografii, Klaro.

– To prawda.

– Bardzo nam pomogą w czasie rozmowy. Gdybyś chciała, możemy zamieścić

część w książce.

– Jak najbardziej. Niech te wspomnienia będą klarowne.

– Nie ma innej możliwości, Klaro. I stanie się tak nie za sprawą zdjęć, lecz tego, co masz do powiedzenia. Sęk w tym, by nie tylko pamiętać, co ci się przydarzyło, ale jak wpłynęły na ciebie różne wydarzenia, jak ukształtowały ciebie taką, jaka dziś jesteś.

– To przypomina trochę... psychoterapię.

– No, mówimy o procesie samopoznania, który bywa terapeutyczny, a nawet oczyszczający.

– Dużo się zastanawiałam nad przeszłością. – Klara położyła rękę na albumie. –

Patrzyłam na twarze najbliższych i wspominałam, ile dla mnie znaczyli... i wciąż znaczą.

– Kiedy o nich mówisz, nie ograniczaj się tylko do tego, jak wyglądali, ale jak mówili i chodzili, jak się śmiali i ubierali. Każdy szczegół pomoże ich ożywić.

Skinęła głową i sięgnęła po filiżankę. Posłała mi ostrożny uśmiech.

– To dziwne uczucie, Jenni: prawie cię nie znam, a mam ci tyle o sobie opowiedzieć... więcej niż komukolwiek z rodziny. Nawet mężowi.

– Rozumiem. Potraktuj to, proszę, jako rozmowę ze starą przyjaciółką.

– Przecież się nie przyjaźnimy, prawda?

Zaskoczyła mnie jej bezpośredniość.

– No nie... ale przez najbliższe kilka dni poznamy się bliżej.

– Hm, raczej ty poznasz mnie. – Odstawiła filiżankę na stół. – Ale czy ja poznam ciebie?

– No... tak.

– Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie, że właśnie do mnie dotarło, iż nie mogę opowiadać ci o sobie, dopóki nie dowiem się czegoś na twój temat.

– Przecież już... wiesz. – Zastanawiałam się, kiedy wreszcie zaczniemy rozmawiać. Klara pobiła mnie moją własną bronią, zręcznie unikając odpowiedzi na zadawane pytania.

– No właśnie nie wiem – odparowała. – Wiem tylko, że mieszkasz w Londynie i dorastałaś w pobliżu Reading, potem przeprowadziłaś się do Southampton i jesteś jedynaczką. Wiem, że przyjaźnisz się z chrześniaczką Vincenta i przed wielu laty byłaś tutaj na wakacjach. Dlatego bardzo cię proszę, powiedz mi o sobie coś więcej.

Tylko tego brakowało. Zmusiłam się do uśmiechu.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Na przykład... czy jesteś mężatką. Odnoszę wrażenie, że chyba nie.

– I słusznie. Ale mieszkam z kimś, ma na imię Rick. Uczy w podstawówce. – Klara mierzyła mnie wyczekującym spojrzeniem. – Jest... bardzo kontaktowy – czułam, jak przewierca mnie na wylot. – Przyzwoity i przystojny, przynajmniej ja tak uważam. Jesteśmy tego samego wzrostu, co bardzo mi odpowiada, bo możemy patrzeć sobie

w oczy. Jego są w morskim odcieniu. – Naprawdę tylko tyle miałam do powiedzenia o ukochanym?

Klara z aprobatą kiwnęła głową.

– Musi być fantastyczny.

– Owszem. Jesteśmy razem od półtora roku.

– Na pewno zdążyliście się dobrze poznać.

– Czuję, że znam Ricka, tak. – Pytanie, czy on równie dobrze zna mnie.

– I masz nadzieję, że się pobierzecie? – spytała wprost.

– Tak. Oboje mamy. Jeśli wszystko dobrze się ułoży – dodałam i zaraz tego pożałowałam.

Przytaknęła z namysłem.

– A dlaczego zostałam autorem widmo zamiast, powiedzmy...

– „Prawdziwą” pisarką? – podsunęłam z uśmiechem.

Klara drgnęła.

– Nie chciałam tak tego ująć.

Roześmiałam się.

– Często słyszę to pytanie.

– To musi być bardzo denerwujące.

– Niekoniecznie, ludzie nie zadają go ze złośliwości, naprawdę chcą wiedzieć, dlaczego nie opowiem własnej...

– Historii?

– Właśnie.

Utkwiła we mnie wzrok.

– No więc dlaczego?

– Bo chyba... wolę cudze.

– Rozumiem. Ale jak to się stało, że piszesz za innych? Zawsze chciałaś to robić?

– Bynajmniej. Pracowałam w ekipie telewizji śniadaniowej, zapraszałam do studia gości i opowiadałam o nich prezenterom. Kiedyś miałam skontaktować się ze znanym aktorem, starszym, po siedemdziesiątce...

– Możesz powiedzieć, o kogo chodzi?

– Nie, podpisałam klauzulę poufności, ale to powszechnie znana postać. Dobrze nam się rozmawiało i zanim wszedł na antenę, powiedział mi, że zaproponowano mu napisanie wspomnień. Agent bardzo go do tego namawiał, ale on nie chciał, bo nie znośił pisać. Dodał, że zależy mu na znalezieniu osoby, która napisałaby wspomnienia za niego. Bez namysłu oświadczyłam, że mogę się tego podjąć.

– I się podjęłaś.

– Owszem. Książka rozeszła się w dużym nakładzie i została dobrze przyjęta przez krytyków. Co więcej, czułam się w tym jak ryba w wodzie: prowadziłam kogoś w przeszłość jak osobisty historyk, pomagałam mu wejrzeć w istotę własnego

życiorysu, to mnie zafascynowało. Nigdy nie robiłam nic, co bardziej by mi odpowiadało. Dlatego rzuciłam pracę i zostałam „duchem”. To było dwanaście lat temu.

– Z kim jeszcze pracowałaś?

– Z kilkoma sportowcami, aktorkami, wziętą modystką, dwiema osobami znanymi z telewizji, sławnym badaczem... projektantem mody.

– Znaczący, z celebrytami.

– Tak, ale wreszcie mi się sprzykrzyło. Bardziej intrygowało mnie życie „zwykłych” ludzi, którzy wcale nie zasługują na to miano. Wręcz przeciwnie. – Odstawiłam filiżankę. – Tak to się zaczęło. Przez przypadek.

– Nie wydaje mi się – stwierdziła Klara w zamyśleniu.

– Jak to?

– Moim zdaniem zawsze chciałaś to robić. W przeciwnym razie powiedziałaabyś do tego aktora: „A to ciekawe, mam nadzieję, że kogoś pan znajdzie”, i dalej robiłabyś swoje. Podejrzewam, że on po prostu wskazał ci drogę, której szukałaś.

– Możliwe. Tak czy inaczej... – Otworzyłam torbę. – Liczę, że teraz znasz mnie trochę lepiej, Klaro.

– Tak, Jenni. Dziękuję. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Ale nie daje mi spokoju, że skądś ciebie znam.

– Nie sądzę.

– Może pamiętam cię z czasów, gdy tu byłaś ostatnio? Może zamieniłyśmy dwa słowa, kiedy przysłaś po mleko. Byłabyś dziewczynką, ja miałabym po pięćdziesiątce... Wyglądasz znajomo.

Nie przypominałam jej sobie.

– Na pewno nigdy się nie spotkałyśmy.

– Moim zdaniem tak – oświadczyła. – Teraz nie mam co do tego wątpliwości.

Wiedziałam, że się myli, ale nie było sensu tego ciągnąć. Wyjęłam dyktafon i położyłam go na stole pomiędzy nami.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

– I co mam robić? Po prostu... zacząć mówić?

– Nie, naprowadzę cię pytaniami. Wiem o tobie co nieco od Vincenta. – Zerknęłam do notatek. – Chciałabym podzielić rozmowy mniej więcej chronologicznie, począwszy od wczesnego dzieciństwa w Holandii. – Klara kiwnęła głową. – Potem omówimy przeprowadzkę na Jawę, twoje wspomnienia z plantacji, o rodzinie i przyjaciółach z dzieciństwa. Następnie mogłybyśmy porozmawiać o wojnie. Ile miałaś lat, gdy Jawa znalazła się pod okupacją, około dziewięciu? – Ponownie przytaknęła. – Vincent wspomniał, że zostaliście internowani. – Nie odpowiedziała. – No więc... mogłybyśmy do tego nawiązać – brnęłam. – Później przejdziemy do wyzwolenia Jawy i zamętu, jaki towarzyszył staraniom o suwerenność Indonezji. W dalszej kolejności

porozmawiamy o Holandii oraz o tym, jak wyglądał wasz powrót. – Uśmiechnęła się blado. – I przejdziemy do twojego męża. Służył w brytyjskiej marynarce wojennej, prawda?

– Tak. Poznaliśmy się we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Jego statek, „Vanguard”, zawinął na kilka dni do Rotterdamu; mąż dostał przepustkę i poznaliśmy się na tańcach. Miałam szesnaście lat, a on dziewiętnaście; zaczął mnie i zaczęliśmy rozmawiać.

– Znał holenderski?

– Ni w ząb. – Uśmiechnęła się. – Na szczęście nieźle mówiłam po angielsku, inaczej nie byłoby między nami tej iskry. Harry po tygodniu wyznał mi miłość i wyraził nadzieję, że się pobierzemy. Ale zostały mu dwa lata służby, a ja musiałam skończyć szkołę, więc zaręczyliśmy się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym i pobraliśmy rok później.

– Romantyczna historia – powiedziałam tęsknie. – Wspaniale będzie ją opisać. Porozmawiamy też o waszym życiu w Kornwalii. I jak ci się to widzi?

– W porządku. Prócz jednej rzeczy.

– Mianowicie?

– Mówienie o pewnych sprawach z czasów okupacji sprawia mi wielką trudność. Oczywiście wspomnę o faktach historycznych oraz tym, co ludzie musieli wycierpieć.

– Masz na myśli internowanie, tak? Obozy?

– Właśnie. Jednak pewne rzeczy... zwłaszcza pod koniec, w ostatnim obozie, w którym byliśmy, Tjideng. Chyba nie znalazłabym słów na opisanie tego, co my... co ja... – Spazmatycznie chwyciła oddech.

– Klaro – powiedziałam łagodnie – nie musimy rozmawiać o tym, o czym nie chcesz. Wspominając przeszłość, budzimy uśpione emocje, nie zawsze mile widziane. Tylko od ciebie zależy, jak daleko chcesz się posunąć. Czuj się swobodnie.

– Tak. – Przełknęła ślinę. – Dobrze.

– Dostaniesz całość, zanim pójdzie do druku, i będziesz mogła uzupełnić ją o dodatkowe uwagi; wykreślę wszystko, co ci się nie spodoba lub czego będziesz żałować.

– Naprawdę?

– Tak. Dlatego się nie martw. To twoja opowieść. Do ciebie należy ostatnie słowo. Westchnęła z ulgą.

– Miałam pewne obawy, ale już mi... lepiej.

– Cieszę się. Masz czuć się swobodnie. No więc... – Położyłam notes na kolanach i wyłączyłam telefon. – Gotowa?

Zaczerpnęła tchu i splótła ręce na podołku. Utkwiła we mnie wzrok.

– Gotowa.

Wciskając przycisk nagrywania, poczułam znajomy dreszcz, który zawsze

towarzyszył mi na wstępie nowego zadania.

– Klaro, powiedz mi, jakie jest twoje najwcześniejsze wspomnienie?



# ROZDZIAŁ 5

## KLARA

Moim najwcześniejszym wspomnieniem są małe *tjik-tjaki*, chudziutkie, beżowe jaszczurki, które biegały po ścianach naszego pokoju dziennego. Śledziłam je wzrokiem, gdy śmigały, urzeczona ich przyczepnością do pionowych powierzchni, a nawet sufitu, z którego o dziwo nie spadały. Nazywaliśmy je „tjik-tjakami” z powodu dźwięku, jaki wydawały, i uwielbialiśmy je, gdyż co wieczór, kiedy zapalaliśmy lampy, zjadały komary, a te mogłyby zarazić nas malarią. Mniej mile widziane były węże, które czasem wślizgiwały się na naszą werandę, zwłaszcza w czasie deszczu. Matka kiedyś połała wrzątkiem jadowitego, czarno-żółtego dasznika modrego. Stałam wtedy w drzwiach i patrzyłam, jak się wije.

Przed wyjazdem z Holandii matka oznajmiła mi, że jedziemy do dalekiego kraju, który jest ciepły i kolorowy – „raj na ziemi”, tak to ujęła. Z mojej perspektywy ten opis w pełni zgadzał się z rzeczywistością. Z okien widzieliśmy góry porośnięte dżunglą we wszystkich barwach zieleni, przetykane różem i czerwienią hibiskusów, bugenwilli i oleandrów. Kwiaty te nie tylko cudnie wyglądały, ale przyciągały motyle – żółte i szkarłatne, szmaragdowe i czarne, w odcieniu zgaszonego oranżu i jaskrawego błękitu.

Tuż po przyjeździe leżałam w łóżku i nie mogłam spać z powodu tych wszystkich dziwnych odgłosów tropików – cykania świerszczy, szczególnie nasilonego nocą, bądź nagłego wrzasku ptaka lub *boedunga*, małpy w lesie gumowym otaczającym nasz dom. Niekiedy rozlegało się wycie psów oraz dziwaczne, gardłowe krzyki *tokeh*, pasiastych salamander, które brzmiały podobnie do żab. Jeśli usłyszałaś *tokeh* siedem razy z rzędu, mogłaś pomyśleć życzenie, więc nasłuchiwałam ich skrzeku i złościłam się, gdy traciłam rachubę i musiałam zaczynać od początku.

Nasz dom był duży, jednopiętrowy, jak większość domów w Indiach Wschodnich, wzniesiony z brązowej cegły i zwieńczony czerwoną dachówką. Pamiętam okrągły podjazd oraz niskie, szerokie schodki, gdzie matka stawiała białe i różowe orchidee w dużych donicach. Wszystkie pokoje miały wysokie sufity i kafle na podłodze, polerowanej plastrami kokosów ciasno owiniętych muślinem. Do dziś uważam go za dom mojego dzieciństwa.

Po bokach budynku biegły osłonięte przejścia zwane *emperami*, a z tyłu stał mniejszy domek zwany „pawilonem”. Tam znajdowała się kuchnia, *gudang* albo składzik oraz łazienka z ubikacją. Mieliśmy wielki ogród, rosły tam bananowiec, mango, cherimoya, a na samym końcu *waringin* – figowiec indyjski, o grubym, pofałdowanym pniu i długich, rozgałęzionych korzeniach. Rezydowały w nim nietoperze; wieczorami patrzyliśmy, jak rozkładają swoje peleryny i szybują w dal.

Mama uwielbiała pracę w ogrodzie i tworzyła wspaniałe klomby, sadziła róże,

gerbery i lilie, a ja robiłam z płatków sukienki dla lalek. W ogrodzie nie brakowało egzotycznych ptaków – dudków, wilg, bilbilów i kolibrów; kołowały nad jaśminem niczym roziskrzone pszczoły. Ale moim ulubieńcem był ryżowiec, ponieważ wyglądał jak maskonur.

Jako holenderskim kolonizatorom, dobrze nam się żyło. Zatrudnialiśmy ogrodnika, Ismaila, którego uważałam za zgrzybiałego starca, bo miał siwe włosy, ale chyba liczył sobie nie więcej niż czterdzieści parę lat, także pokojówkę o imieniu Jasmine, żonę zarządcy plantacji, Sulimana. Mieli po trzydziestce, ale byli bezdzietni, co bardzo ich smuciło. Myślę, że właśnie dlatego Jasmine otaczała taką troską mojego młodszego brata Petera i mnie.

Obie z matką bez przerwy sprzątały, gdyż w tropikach łatwo o pleśń. Rozwieszały w słońcu dywaniki i wytrzepywały z nich wołki zbożowe. Zdejmowały książki z półek, przecierały okładki i starannie trzepały odzież. Kiedyś matka bardzo się zdenerwowała z powodu swojej ulubionej sukienki, na którą zwymiotował Peter, chory na tyfus. Zdjęła ją i zostawiła w pawilonie: kiedy następnego dnia poszła ją wyprać, cała zabrudzona część była zjedzona.

Co tydzień musieliśmy odkazać podłogi, inaczej wprowadzało się robactwo. Jeśli pojawiały się termyty, należało stawiać nogi od mebli na talerzykach z karbolem. Raz zapomnieliśmy tak zrobić z pianinem i zniszczyły je od środka, pozostawiając pod spodem kopczyki pyłu. I pamiętam, jak wielki ptasznik przebiegł kiedyś po podłodze mojego pokoju. Był wielki, słyszałam postukiwanie jego nóg na kafelkach; do dziś mam ciarki na samo wspomnienie! Dlatego ta ciągła walka z owadami wryła mi się w pamięć – takich karaluchów, ciem, patyczaków i ogromnych stonóg długości przedramienia nie widziałam tam, skąd przyjechaliśmy. Ale to Indie Wschodnie – nie Holandia – zawsze były dla mnie domem.

Jestem Holenderką, ale nie zachowałam żadnych wspomnień z wczesnych lat w ojczyźnie. Wiem o tym okresie od rodziców, Hansa i Anneke, i od dziadków, Omy i Opy, mieszkających niedaleko nas w Rotterdamie. Dziadek pracował w kanałach, prowadził konie, które ciągnęły barki. Przyznaję ze smutkiem, że prawie go nie pamiętam, gdyż zmarł przed naszym powrotem w czasie strasznej „głodowej zimy”, przed wyzwoleniem Holandii z rąk hitlerowców. Był prostym, nieuczonym człowiekiem, Oma zaś była odczytana i wykształcona, i pragnęła tego samego dla swojej córki. Dlatego mama poszła do liceum, a potem na studia, miała zostać nauczycielką. Poznała ojca na lodowisku i pobrali się po kilku miesiącach.

Ojciec pracował dla firmy elektrycznej, lecz zwolniono go z powodu kryzysu. Podobno się załamał, bo mieli już dwójkę dzieci, ale potem dostał pracę na plantacji gumy w zachodniej Jawie. Pojechał pierwszy, matka, Peter i ja dołączyliśmy do niego po trzech miesiącach.

Wyruszyliśmy w przeddzień Nowego Roku. Pamiętam, bo mama uważała to

za znamienne, że właśnie tego dnia rozpoczynamy nowe życie. Ale nie przypuszczała, że „raj na ziemi” okaże się piekłem. W każdym razie wyruszyliśmy, z jednym tylko kufrem, który zawierał ślubną porcelanę rodziców, ich książki oraz nasze ubrania.

Wypłynęliśmy z Amsterdamu na „Indrapoora”, cudnym, białym parowcu – przypominał pływający pałac. Pamiętam przenikliwy ziąb, gdy staliśmy na pokładzie w oczekiwaniu na podróż. Mama trzymała na rękach Petera, niespełna dwuletniego, i obie machałyśmy chusteczkami do dziadków – dwóch ciemnych punkcików w dole. Niektórzy pasażerowie wzięli z sobą białe ręczniki do machania i żałowałyśmy, że nie zrobiłyśmy tego samego, bo Oma i Opa na pewno nie widzieli nas w tłumie. Mama uśmiechała się przez łzy, a gdy syrena obwieściła wyjazd, zawołała do swoich rodziców: „Do widzenia... będziemy za wami tęsknić... kochamy was”, mimo że nie mogli jej słyszeć. Na pożegnanie dali jej nowiutką, drogą agfę; obiecała, że przy każdej okazji będzie posyłać im zdjęcia.

Podróż na Jawę trwała cztery tygodnie. Mamie nie było lekko, bo miała na głowie berbecia, no i mnie. Pamiętam burzliwy rejs przez Atlantyk, a potem uspokoiło się i ociepliło, kiedy wpłynęliśmy na Morze Śródziemne. To przedziwne uczucie, płynąć przez Kanał Sueski, z usianą palmami pustynią po obu stronach, jakbyśmy żeglowali przez piasek.

Na pokładzie nie brakowało zabaw i rozrywek. Przypominam sobie na przykład bal dla dzieci, paradę przebierańców. Mama zdecydowała, że będę *Assepoester*, czyli Kopciuszką. Myślałam, że dostanę wspaniałą suknię, ale wytłumaczyła, że nie ma jej z czego uszyć, więc będę Kopciuszką w łachmanach. Pocięła swoją starą, zieloną halkę, rozpruła rąbek i obwiązała mnie sznurkiem zamiast paska. Rozczochrała mi włosy, pobrudziła twarz swoim tuszem do rzęs i wytrząsnęła skądś miotłę, którą miałam trzymać. Potem zrobiła zdjęcie, żeby wysłać dziadkom na pamiątkę. Po latach, gdy naprawdę byliśmy w łachmanach, uznała to za złą wróżbę, a po wojnie, już w Holandii, na widok tego zdjęcia się rozplakała.

Pod koniec stycznia zawinęliśmy do Batawii, jak zwano niegdyś Dżakartę, i schodząc po mostku, zobaczyliśmy tatę, który do nas machał. Myślałam, że wyskoczę ze skóry! Pamiętam, jak namiętnie pocałował mamę; w tamtej chwili zrozumiałam, że bardzo się kochają i siebie potrzebują. Wyściskał mnie i Petera, po czym z nim na rękach porwał nasz bagaż i wyholował nas z portu.

Pojechaliśmy do Bandungu po niezbędne rzeczy. W życiu nie widziałam takich budynków: meczetów z orientalnymi kopułami, eleganckich herbaciarni i wspaniałych targowisk. Wszędzie przechadzały się piękne kobiety w batikowych sarongach i *kebayach*, wytwornych, dopasowanych bluzkach, z kwiatami plumerii wpiętymi we włosy. Ulicami śmigały drogie samochody, ale my jeździliśmy wszędzie *delemanem*, dwukołowym wózkiem konnym, moim ulubionym pojazdem. Po kilku dniach w Bandungu pojechaliśmy w góry, na plantację o nazwie Tempat Sungai,

„miejsce potoków”.

Często myślę o odwadze, która pchnęła rodziców na drugi koniec świata; chcieli rozpocząć nowe życie w miejscu zupełnie im nieznanym – zwłaszcza że oboje nigdy nie wyjeżdżali poza granice Holandii. Na Jawie musieli przywyknąć do mnóstwa nowych rzeczy, nauczyć się miejscowego języka, malajskiego. Wisiało nad nimi ciągłe widmo malarii, tyfusu, cholery i dyzenterii: samo oswojenie się z klimatem równikowym też nie należało do najłatwiejszych. Istniały tam dwie pory roku – wilgotna, gdy często nas zalewało, i sucha, gdy z nieba dla odmiany lał się żar. Podkreślali jednak, że nie muszą nosić zimowej odzieży i przez większość roku cieszą się widokiem czystego nieba. Na dodatek kochali jawajski pejzaż, jego góry, wodospady i lśniące pola ryżowe.

Nie mogę pogodzić się z myślą, że przyszło mi żyć o tyle dłużej niż oni. Często o nich rozmyślałam i widzę ich takimi, jakimi byli w moim dzieciństwie. Ojciec miał jasne włosy i ciemnobrązowe oczy, był rosły i silny, a mama niska i pulchna, z zielonymi jak mech oczami i długimi, kasztanowymi włosami upiętymi w kok. Zawsze emanowała niezmaconym spokojem. Kiedyś mi czytała, gdy przybiegła z wrzaskiem Jasmine z dwuletnim Peterem na rękach. Znalazła pytona zwiniętego wokół sedesu. Mama poszła go obejrzyć i nawet jej powieka nie drgnęła, po prostu zawołała Ismaila, który zabił węża i rozciągnął go na trawniku. Stwierdził, że to „jeszcze mały” gad, a miał metr pięćdziesiąt długości.

Innym razem podniosłam kamień w ogrodzie i wyskoczył na mnie skorpion z uniesionym żądłem. Ale mama tylko go zdeptała i ostrzegła, żebym na przyszłość nie zaglądała pod kamienie. Umiała zachować zimną krew. I była niezrównana w udzielaniu pierwszej pomocy. Nigdy nie besztła mnie za siniaki i zadrapania zdobyte w trakcie czynności, których mi zabraniano, po prostu wyciągała jodynę, opatrywała ranę i stanowczo przykazywała, że mam więcej tego nie robić. W czasie wojny jej umiejętności będą jak znalazł, podobnie jak wewnętrzny spokój, gdy wraz z tysiącami innych kobiet zostanie poddana najcięższej próbie.

Ojciec kipiał energią. Uwielbiałam z nim jeździć do lasu, gdzie doglądał zbiorów. Czasem pozwalał mi wyciąć ukośną rysę w drzewie i przywiązać pod spodem skorupę kokosa, żeby nie uronić mlecznobiałych kropel. Po kilku godzinach wracaliśmy, zbieraliśmy mleczko kauczukowe i zabieraliśmy je do szopy, gdzie było mieszane z kwasem, który je ścinał. Następnie rozsmarowywano je na ciemnożółtych arkuszach, rozwieszanych na drabinkach do wyschnięcia. Przeszukiwaliśmy z Peterem podłogę w poszukiwaniu „ścinków”, a następnie próbowaliśmy robić piłki, obwiązując je rafią, ale słabo się odbijały.

Ojciec nadzorował też las, obsadzanie szkółki, leczenie zainfekowanych drzew i wycinanie uschniętych. Codziennie pokonywał kilometry i harował od świtu do nocy. Był spokojnym, pogodnym człowiekiem. Ale kiedy uznał, że pracownik się obija, brał go w obroty. Dla mnie też potrafił być surowy. Pamiętam, jak – musiałam mieć jakieś

sześć lat – wzięłam nożyczki i bezmyślnie ścięłam swoje długie, jasne włosy. Zaprowadził mnie do fryzjera i kazał ostrzyć na krótko, po męsku, za karę, że chciałam upodobnić się do chłopca. Ale ja byłam zachwycona nową fryzurą i od tamtej pory innej nie noszę.

Lubiłam chodzić z matką na targ do miejscowej wioski, *kampongu*. Na straganach piętrzyły się owoce mango, papai i kłujące, czerwone liczi, a wokół roznosił się zapach cynamonu, wanilii i ziaren kawy, a także przepyszny aromat nasi goreng. Często grała muzyka *gamelan*, a sprzedawcy sterczeli w progach, próbując nas zwabić do środka. Czasem podjeżdżali na rowerach pod nasz dom z belami batików, jedwabiu i shantungu; siadaliśmy wówczas na werandzie i przeglądaliśmy towar.

Pamiętam, jacy byliśmy z Peterem wniebowzięci, gdy ojciec kupił pierwszy samochód, ciemnozielony ford; w weekendy jeździliśmy do lasu. Tata wyłączał silnik i siedzieliśmy jak trusie, niemal bojąc się odetchnąć, a wokół nas budziła się dżungla – zastępy szarych małp z młodymi w kolorze rdzy, uczepionymi ich klatki piersiowej, małe jelonki zwane *kidang* oraz pawie i tukany. Kiedyś, gdy miałam osiem lat, zobaczyliśmy panterę. Wciąż mam ją przed oczami, jak z gracją przemknęła w cieniu drzew.

Moim ulubionym miejscem w Tempat Sungai był położony wysoko basen, z którego roztaczał się piękny widok na otaczające góry i las, budynki plantacji, domy oraz *kampong* w dole. W niedziele przesiadywaliśmy tam cały dzień, zwykle z Jochenami, jedynymi poza nami Europejczykami w wiosce. Wil Jochen, jako szef, odpowiadał za administrację i eksport gumy, tata nadzorował pracę na miejscu.

Wil był niski i tęgi, miał grube łydki i pierś jak beczka, jego głos niósł się po całej plantacji. Ale żona, Irene, Angielka, urzekła łagodnym usposobieniem, podobnie jak jej córki, Susan i Flora. Susan była sześć lat starsza od Flory, smukła i blada, z długimi do pasa jasnymi włosami; pozwalała sobie czesać siostrze i mnie. Zawsze coś rysowała albo malowała, powtarzając przy każdej okazji, że chce być artystką, kiedy dorośnie.

Flora, moja rówieśnica, bardziej przypominała Wila – była podobnie jak on niska i korpulentna. Miała ciemnobrązowe oczy i przycięte na pazia kasztanowe włosy, które przepięknie błyszczały, czego bardzo jej zazdrościłam. Byłyśmy nierozłączne, zarówno w szkole, jak i w czasie zabaw wokół plantacji.

Najbliższe holenderskie szkoły znajdowały się w Bandungu, trzy godziny drogi od domu, dlatego nasi rodzice wynajęli tam dom i mamy zajmowały się nami na zmianę, każda co drugi miesiąc. W wakacje wszyscy wracaliśmy do Tempat Sungai.

Czułam, że ojciec nie przepada za Wilem – chyba nie odpowiadał mu jego despotyczny charakter. Ale mama bardzo zaprzyjaźniła się z Irene. Ja też ją polubiłam, a ponieważ spędzałyśmy razem dużo czasu, miałam okazję nauczyć się angielskiego. Lubiłam przeglądać czasopisma przysyłane jej co miesiąc przez rodziców. Szczególnie

upodobałam sobie przepisy. Notowałam skrzętnie, żeby mama robiła zapiekanki albo maślane bułeczki, choć niektóre oznaczenia zbijały mnie z tropu. Dlaczego uncje zapisywano skrótem „ozs”? I czemu w wyrazie „funt” nie było litery „l” ani „b”?

Chyba uważano, że jestem ciekawskim, żeby nie powiedzieć, wścibskim dzieckiem, zawsze zafascynowanym światem dorosłych. Któregoś lata poszłam do Jochenów i usłyszałam, jak Irene i Susan rozmawiają po angielsku na werandzie. Irene uspokajała córkę, która aż trzęsa się ze zdenerwowania, zapewniając, że ojciec „wkrótce ochłonie”, więc niech „nie zwraca na niego uwagi”. Na mój widok jednak od razu przeszły na holenderski i zachowywały się jak gdyby nigdy nic.

Później, gdy zapytałam o to Florę, zdradziła mi, że Susan zakochała się w jednym z robotników, Arifie, a ojciec to odkrył. Ona miała czternaście lat, a on szesnaście, był wysokim i bardzo przystojnym chłopcem o ciepłym uśmiechu i zwinnych ruchach. Oczarował nawet mnie, wówczas ośmioletnią. Tamtego ranka, przeglądając rysunki Susan, Wil natknął się na portret Arifa.

– I dostał szału – uzupełniła Flora, z oczami jak talerze.

– Dlaczego?

– Bo Arif patrzy na nią jak cieleń na malowane wrota, też się zadurzył. Ale tata wrzeszczał na Sue, powiedział, iż nie pozwoli, żeby „zmarnowała się” dla jakiegoś „tubylca”. Mama stwierdziła, że to tylko młodzieńcza miłość i żeby nie gadał głupot. Ale tata podarł rysunek i zapowiedział Arifowi, że go wyrzuci, jeśli choćby spojrzy na Sue.

Pamiętam, że próbowałam wyobrazić sobie reakcję rodziców, gdyby chodziło o mnie. Uznałam, że nie mieliby nic przeciwko temu. Nigdy nie zabraniali nam zabaw z miejscowymi dziećmi. Peter przyjaźnił się z chłopcem o imieniu Jaya, który mieszkał w *kampongu*. Razem łowili ryby w stawie i wykopywali mrówcze jaja na przynętę. Jaya przynosił do nas swoją drewnianą szachownicę, rozkładali ją na ganku i grali. Ponieważ Peter był za mały na szkołę, mama uczyła go alfabetu i cyfr. Czasem Jaya się przyłączał; często podkreślała, że jest dobry z matematyki.

Kilkoro znajomych Holendrów krytykowało moich rodziców za „naiwne” podejście do tubylców. Wil Jochen zawsze coś o tym mamrotał. Ralph i Marleen Dekker, plantatorzy herbaty z Tasikmalaya, oddalonej o parę kilometrów, nie kryli dezaprobaty. Ich syn Herman był dwa lata starszy od Petera i nasze rodziny czasem się odwiedzały, chociaż mamę raziła aura wyższości roztaczana przez panią Dekker. Jej matka była damą dworu królowej Wilhelminy i pani Dekker rozповідаła o tym wszem wobec. Ale tata chciał żyć w zgodzie z innymi plantatorami z okolicy, toteż w pewną kwietniową niedzielę, przy okazji urodzin Petera, państwo Dekker przyjechali do nas na obiad.

Pamiętam minę pani Dekker, kiedy Jaya bawił się w basenie z Hermanem i Peterem. Zwróciła się do mamy z pytaniem, czy to „rozsądne”, żeby przekraczać

„społeczne bariery”.

– Jaya jest kochanym chłopcem, Marleen – odrzekła cicho matka. – Przyjaźni się z Peterem.

– Ale Anneke, nie wypada pozwalać mu... pływać!

– Herman i Peter nie mają nic przeciwko temu, Marleen. Dlaczego tobie to przeszkadza?

– Bo taka poufałość jest... jest nie na miejscu!

– Nie w moim domu – skwitowała matka ze spokojem.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie. – Pani Dekker broniła swego. – Uważam, że będziesz gorzko żałować.

Mama poczerwieniała.

– Miałabym żałować szczerzej przyjaźni? Mylisz się. Bardzo dobrze, że dzieci z różnych kultur razem się bawią, to buduje zrozumienie, którego świat potrzebuje teraz jak nigdy.

– Ale chodzi o to...

– Tylko mi nie mów – przerwała jej matka – że wschód jest wschodem, a zachód zachodem. Ile razy mam tego słuchać w tym kraju?

– Bo to prawda. Różnimy się od tubylców, Anneke. Nie powinnaś udawać, że jest inaczej.

Matka drgnęła.

– Niczego nie udaję, Marleen. Po prostu się dziwię, jak może ci przeszkadzać taki miły, greczny chłopiec... zwłaszcza że bawi się w moim domu, a nie twoim. I prawdę mówiąc, uważam te nadęte argumenty za idiotyczne. Pomyślałby kto, że tacy z nas jaśnie państwo!

Pani Dekker nie odpowiedziała, ale pamiętam, że powiało chłodem i goście długo nie zabawili.

Incydent pozornie zdawał się banalny, ale mama robiła sobie wyrzuty, żałowała, że nie ugryzła się w język. Ojciec zapewniał, że sprawa wkrótce pójdzie w niepamięć. Ale nie poszła, i mama miała za nią słono zapłacić.

Co do zdania, które wyraziła, zawsze uczyła nas tego samego: nie jesteśmy lepsi od nikogo na Jawie. Po prostu mamy szczęście, że mieszkamy w tak pięknym, żyznym kraju. A nad nim gęstniały ciemne chmury.

Byliśmy mali, więc tylko mgliście zdawaliśmy sobie sprawę, że wojna nadciąga do Europy – z naszej perspektywy tak odległej, jakby chodziło o inną planetę. Ale dorośli nie rozmawiali o niczym innym. Wszyscy słuchali holenderskiej stacji, z której dowiedzieliśmy się, że Austria, Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, także Kanada. Gdy Niemcy podbijali kolejne kraje, nastroje stawały się grobowe. Wspominano o „neutralności Holandii”.

– Co to znaczy? – spytał Peter, gdy któregoś wieczoru jedliśmy kolację.

– Że Holandia nie miesza się do wojny – wyjaśniła matka. – Dlatego Hitler nie odważy się na nią napaść.

– Odważy – sprostował ojciec. – I nie omieszka.

W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku mama włączyła radio i usłyszeliśmy, że Królestwo Holandii upadło. Matka przymknęła oczy. Spojrzałam na ojca, ukrył twarz w dłoniach.



## ROZDZIAŁ 6

Zdziwiłam się, jak łatwo Klara otworzyła się pierwszego dnia. Nieśmiałość szybko ustąpiła miejsca gorliwości, z jaką relacjonowała przeszłość, jakby mówiła o wydarzeniach sprzed paru dni. Budziła sympatię, mimo że nie dostrzegła jakby mojej obecności i patrzyła w bok, ściskając ręce na podołku.

Mnóstwo anegdot Klary dotyczyło Petera: jak uczył się pływać, jak złowił karpia, jak zachorował na malarię i spędził miesiąc w szpitalu i jak cieszyła się po jego powrocie. Wreszcie pod wieczór wyłączyłam dyktafon.

– Chyba na dziś wystarczy, Klaro.

– Która godzina? – Zrobiła zdziwioną minę. – Ale zleciało.

– Prawda? Wspaniale opowiadasz. Czuję się tak, jakbym była na Jawie, z tobą, Peterem i Florą. – Spojrzałam na notatki. Zapisalam „najcięższa próba”, pewnie chodziło o przeżycia jej matki w czasie internowania. Zanotowałam też: „Pani D – kara za nieostrożne słowa”. – Klaro, wspomniałaś, że twoi rodzice nie dożyli starości...

– To prawda. Ojciec miał czterdzieści osiem lat, kiedy umarł.

– Młodo. – Próbowałam obliczyć w myślach. – Czyli nie zginął w czasie wojny?

– Nie: jakimś cudem przeżył, ale podupadł na zdrowiu. Wielu mężczyzn nie dożyło pięćdziesiątki z powodu tego, co przeszli. Trzymano ich w obozach, chorowali na beri-beri, byli głodzeni albo torturowani przez Kempeitai, japońską policję wojskową, którą cechowało niespotykane okrucieństwo. Rzesze wywieziono na budowę kolei tajsko-birmańskiej, gdzie jedna trzecia umarła. Nie wszyscy wiedzą, że tysiące ludzi wywieziono do Japonii, do niewolniczej pracy w fabrykach i kopalniach. I właśnie to... – Klara zamrugała, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć – ...spotkało mojego ojca.

– Matka przeżyła wojnę?

– Tak. Dożyła sześćdziesięciu trzech lat, co jest wprawdzie lepszym wynikiem niż czterdzieści osiem, ale trudno nazwać to długim życiem.

– A... Peter?

Oczy zaszyły jej mgłą.

– Peter miał dziesięć.

– To straszne – mruknęłam. – Zmarł w obozie?

– Uhm. Na początku sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Tak blisko końca.

– Tak blisko – powtórzyła bez wyrazu. – Zabrakło pięciu dni.

– Bardzo mi przykro. Dużo o nim mówiłaś.

– Mówiłam? – rzuciła z roztargnieniem.

– Tak. Bardzo go kochałaś.

Zbladła. Przez chwilę myślałam, że się rozpłaczę.

– Kochałam – potwierdziła cicho. – Wciąż za nim tęsknię i dzień w dzień o nim myślę... nie ma godziny, żebym o nim nie myślała, bez przerwy mi towarzyszy i gdybym tylko... – Przygryzła wargę. – Rodzeństwo łączy te same wspomnienia z dzieciństwa – podjęła. – Łączą je te same geny, więc stracić brata lub siostrę to jakby stracić część siebie. Na przykład rękę, ale to coś więcej. Jakby wyrwano ci kawałek serca.

– Wiem... – odparłam odruchowo. – To znaczy... rozumiem...

Twarz Klary stwardniała.

– Wybacz – mówiła ściszym głosem – ale nie rozumiesz, jeśli sama tego nie doświadczyłaś. – Milczałam. – Niedługo po śmierci Harolda znajoma z kościoła powiedziała mi, że wie, co czuję. Miała dopiero pięćdziesiąt lat, a jej mąż był cały i zdrowy. Po prostu okazała współczucie, ale współczucie to coś innego niż autentyczne łączenie się z kimś w bólu, bo oboje doświadczyliśmy tego samego. Przepraszam, Jenni – dorzuciła pospiesznie. – Nie krytykuję, chciałam tylko podkreślić, że na szczęście nie wiesz, co czuję.

Pokiwałam głową i udałam, że szukam czegoś w torbie, żeby się opanować. Klara podniosła się sztywno.

– Jestem trochę zmęczona – powiedziała cicho.

– Nic dziwnego. – Zakręciłam pióro. – Wspomnienia są wyczerpujące, psychicznie i fizycznie. – Przytaknęła. – Na razie dam ci spokój. Dziękuję za kawę i ciasto, którym mnie utuczyłaś, było pyszne.

Zebrałam naczynia i zaniiosłam je do kuchni, po czym wróciłam po torbę.

– Przyjdę rano, Klaro. – Uśmiechnęłam się na pożegnanie i podeszłam do drzwi.

– Ja go widuję – usłyszałam.

Odwróciłam się, serce zabiło mi mocniej w piersi.

– O czym ty mówisz?

– Petera – mruknęła. – Widuję Petera. A dokładniej, czuję jego obecność.

– Obecność?

– Tak. Bywają chwile, gdy ogarnia mnie niezbita pewność, że jest tuż obok mnie. Czasem wyobrażam sobie nawet, że słyszę jego oddech, ale to pewnie tylko morze. Miałby dziś siedemdziesiąt siedem lat, byłby siwy i pomarszczony, jak ja. Ale nadal byłby moim młodszym bratem i przyjacielem, rozmawialibyśmy o rodzicach, Jasmine, Susan i Florze, o wszystkich szczęśliwych chwilach na Jawie, zanim... – W jej oczach błysnęły łzy.

– Przykro mi, że się zdenerwowałaś. Chciałabym ci ułatwić powrót do przeszłości, ale nie potrafię. – Otworzyłam torbę i podałam Klarze chusteczkę.

– Czy da się patrzeć wstecz na swoje życie i bliskich bez cienia emocji? Wiedziałam, że nie, dlatego tak długo się wzbraniałam. Ale... – Posłała mi blady uśmiech. – Do jutra, Jenni.

– Do jutra...

W drodze powrotnej zastanawiałam się, co chciała powiedzieć. „Gdybym tylko...”. Gdyby tylko co? Jakby czegoś żałowała. I dlaczego, po tylu latach, jej rany były tak świeże? Nie ulegało wątpliwości, że nie pogodziła się z tym, co spotkało Petera.

W domu włączyłam telefon i ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam nieodebrane połączenie od Ricka, które od razu przywróciło mnie do ponurej rzeczywistości mojego zagmatwanego związku. Wcisnęłam zielony przycisk, ale nie było zasięgu, więc pomna rady Henry’ego wyszłam na zewnątrz, na drogę. Usłyszałam miarowy szum morza, a w słuchawce wreszcie rozległ się sygnał.

Kiedy Rick odebrał, tęsknota mnie przytłoczyła.

– Jen, jak się masz?

– W porządku. Tak miło cię słyszeć, Rick. Co u ciebie?

– Wszystko gra, ale tęsknię za tobą. – Poczułam iskierkę nadziei. – Jak tam twoja Holenderka?

Patrzyłam na drozda buszującego w żywopłocie.

– Dobrze. Spędziłam z nią większość dnia.

– Dobrze wam się rozmawia?

– Była powściągliwa i zestresowana, ale wreszcie się otworzyła i mówi, prawie jakby mnie tam nie było. Jakby rozmawiała sama z sobą. – Zadrżałam na wietrze i ruszyłam przed siebie. – Jak ci się wiedzie?

– W miarę. Byłem dziś u rodziców. – Tony i Joy nadal mieszkali w domu w pobliżu Oxted, gdzie dorastał. – Przyszli Ralph i Becky z dziećmi, masz pozdrowienia.

Wyobraziłam sobie gwarny, rodzinny obiad, dorosłych pograżonych w rozmowie przy kawie i czwórkę dzieci w ogrodzie, kłócących się o zabawki.

– Szkoda, że mnie tam nie było. – To nie do końca prawda. Czasami męczyło mnie przebywanie w tak szczęśliwej i zżytej grupie ludzi. – Mam nadzieję, że nie rozmawialiście na mój temat. – Jego rodzice traktowali mnie bardzo życzliwie, ale wyczuwałam ich rozczarowanie, że syn związał się z kobietą, która nie chce mieć dzieci.

– Jasne, że nie. Wspomniałem tylko, że pojechałaś służbowo do Kornwalii i że za tobą tęsknię, co jest prawdą.

– A ja za tobą, Rick, nawet nie wiesz jak. Myślałam, że mieliśmy do siebie nie dzwonić.

– Nie dzwoniłbym, ale telefonowała twoja matka, co rzadko się zdarza, więc uznałem, że ci powiem.

Dotarłam do przerwy w żywopłocie: dalej rozciągały się pola, a za nimi lazurowe morze, ozłocone blaskiem zachodzącego słońca.

– I... co mówiła?

– Niewiele, tyle tylko, że dawno nie rozmawiałyście, chyba trochę jej przykro. – Uświadomiłam sobie z poczuciem winy, że nie kontaktowałyśmy się od marca, kiedy zadzwoniła z życzeniami urodzinowymi. – Pytała, gdzie jesteś, więc powiedziałem, że pojechałaś służbowo do Kornwalii.

– Ale nie mówiłaś, gdzie dokładnie?

– Po...wiedziałem. – To musiał być dla niej cios. – A dlaczego nie? – dodał Rick, poirytowany rozmową. Nie znosił moich wymijających odpowiedzi w kontekście matki. – Nie prosiłaś, żebym to przed nią zataił.

– Tak, ale skąd miałam wiedzieć, że zadzwoni? I... jak zareagowała?

– Rozmawialiśmy jak gdyby nigdy nic, ale na wieść o tym, gdzie jesteś, nagle ucichła. Zanim się rozłączyła, obiecałam, że zadzwonisz.

– Zadzwonię. Po powrocie do Londynu.

– A dlaczego nie stamtąd? – Rick westchnął bezsilnie. – Ta sprawa z twoją mamą jest naprawdę smutna, Jenni. Bardzo dziwne, że jeszcze jej nie poznałem.

– Tłumaczyłam ci...

– Nie – przerwał stanowczo. – Nie tłumaczyłaś, a przynajmniej nie rozumiałem.

– Ona i ja po prostu... nie możemy się dogadać. – Pomyślałam o rodzicach Ricka, wciąż razem po czterdziestu latach, w tym samym domu, gdzie wychowali dzieci. Rick zaznał w życiu tylko stabilizacji, ja – nieszczęścia i ciągłych zmian.

– To wielka szkoda, Jen. Ona jest taka młoda, będzie w twoim życiu długi czas, więc czemu ją odtrącasz? Żal mi jej. – Nie byłoby mu żal, gdyby znał prawdę, przeszło mi przez myśl. Zawróciłam w stronę domu. – Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli wszystko się ułoży, powinniśmy ją odwiedzić. – Stałem jak wryta. – Dobrze, Jen?

Nie, nie dobrze, miałam na końcu języka, bo jeśli tam pojedziemy, od razu domyślisz się prawdy.

Ale tylko przymknęłam oczy.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Następnego ranka zbudziłam się o świcie, jak zawsze; leżałam, rozmyślając o matce. Wysłałam jej wiadomość, że zadzwonię po powrocie do Londynu. Nie odpisała. Na pewno wstrząsnęła nią informacja, gdzie jestem. Musi uważać mnie za nieczułą, że wróciłam do Polvarth, w dodatku służbowo, jakby chodziło tylko o pracę. Nie rozumiałyby tego. Za oknem szarzało, a ja powróciłam myślami do Petera. Jak umarł? Klara nie była gotowa mi powiedzieć, a intuicja podpowiadała, żeby nie pytać.

Wstałam i przepisałam ostatnią część naszej rozmowy. Skończywszy, poszłam na farmę. Na ścieżce przybiegł do mnie rudy kot i schyliłam się, żeby go pogłaskać. Zobaczyłam, że Henry wyładowuje z furgonetki wiecierze.

– Dzień dobry – zawołałam.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dzień dobry, Jenni. – Zza kierownicy wysiadł młody mężczyzna. – To Adam, mój syn. Adamie, poznaj Jenni, pomaga babci spisać wspomnienia.

Adam dobijał trzydziestki, miał jasną cerę matki, pociągłą twarz ojca i długie dredy związane w koński ogon. Kiedy na powitanie podniósł prawą rękę, zobaczyłam, że jest upstrzona niebieską i zieloną farbą. Wyobraziłam go sobie za sztalugami, spoglądającego na morze.

– Cześć, Adam. Jak połów?

– Nieźle. Dwie żabnice, pięć soli, osiem bassów i sześć homarów. – Zdjął z furgonetki dwa węćierze i zobaczyłam niebieskie stwory, ich rozedrgane czułki wystawały przez siatkę. Kot skoczył i pacnął je łapkami. – Przestań, Ruby. – Adam podniósł je wyżej i podał ojcu, który ruszył w stronę domu, pozostawiając za sobą stróżkę wody na piaszczystej drodze. – I jak idzie z babcią?

– Początek jest obiecujący. To niesamowita osoba.

Kiwnął głową.

– Babcia rządzi. Dobrze, że się wreszcie zdecydowała, bo już traciłem nadzieję.

– Jak sądzisz, dlaczego zmieniła zdanie?

– Osiemdziesiątka? – rzucił. – Poza tym została prababcią, Molly i ja mamy półrocznego malucha. Co myślisz, tato? – zwrócił się do ojca, który stanął w progu.

– O czym?

– Jenni się zastanawia, dlaczego babcia postanowiła spisać wspomnienia. Moim zdaniem chodzi o ósemkę i zero.

– Po części – odpowiedział Henry. – Ale moim zdaniem chodzi głównie o Jane. – Zdjął z furgonetki kolejne dwa węćierze. – To najbliższa przyjaciółka matki – zwrócił się do mnie.

– Wspominała mi o niej.

– Uważam, że widok tego, jak Jane traci wspomnienia, wzbudził w mamie chęć zachowania własnych: nie powiedziała tego wprost, ale tak mi się zdaje. No, ale na nas już czas, synu.

– Jasne, tato. – Adam uśmiechnął się do mnie szeroko. – Na razie, Jenni.

– Na razie.

Weszłam do sklepu. Był chłodny i przestronny, ze ścianami pomalowanymi na biało i lodówką z przeróżnymi owocami morza. Zobaczyłam worki ziemniaków, a na stołach schludnie ułożone sterty owoców i warzyw. Na półkach ustawiono rzędy słoików z domową marmoladą, domową galaretką z pigwy, domowymi dżemami różnego rodzaju i kremem cytrynowym. Chleb i ciasta własnego wypieku, wytłaczanki z jajkami. Przy drzwiach, w metalowych wiadrach, stały bukiety żółtych i czerwonych dali. Na ścianie wisiały cztery obrazy autorstwa Adama, obok plakatu reklamującego wystawę jego prac w galerii Driftwood w Trennick.

Klara właśnie kogoś obsługiwała. Włożyła zakupy do papierowej torby, oderwała paragon i podała klientce.

Kobieta wyszła, ale zaraz wróciła.

– Przepraszam, miałam spytać, czy ma pani dynie. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają wnuki, chcieliby jedną na Halloween.

– Będę miała około tuzina – odpowiedziała Klara. – Odłożyć dla pani?

– Bardzo proszę – ucieszyła się kobieta. – Największą, jeśli można. – Podała Klarze swoje dane i wyszła.

Gdy Klara zapisywała jej nazwisko, rozejrzałam się po sklepie.

– Sama się tym zajmujesz?

Podniosła wzrok.

– Tak, ale tylko cztery godziny dziennie, więc nie jest tak źle. I Adam mi pomaga, jeśli ma czas. Widziałam, że wyładowywał samochód, dużo złowił? – Powiedziałam jej. – Świetnie. Na wszystkie homary mam chętnych. To co... chodźmy. – Odwiązała fartuch i powiesiła go na haczyku. Następnie odwróciła tabliczkę z napisem „Otwarte” i zamknęła sklep.

Jej mieszkanie wyglądało jak poprzednim razem, oprócz jednego szczegółu. Na stole, obok albumów ze zdjęciami, stała duża, misternie rzeźbiona szkatułka.

– Zanim zaczniemy, Jenni – powiedziała Klara, zaparzając kawę – opowiedz mi o swoich przyjaciółkach. Poznałam kiedyś Ninę, dawno temu. Przyjechała tu ze swoimi rodzicami. Miała około dwunastu lat i wyglądała na przemiłą dziewczynkę. – Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, jak biega po ścieżce i bawi się na plaży, która kryła dla mnie tak trudne wspomnienia. – Czym się zajmuje? – Klara napełniła imbryk. – Vincent mi mówił, ale zapomniałam.

– Pracuje jako account manager, kieruje działem obsługi klienta w dużej agencji reklamowej. Prowadziła udane kampanie samochodów, produktów fryzjerskich i telefonów komórkowych. Robi karierę.

– Jesteście zaprzyjaźnione?

– Tak.

– Jak się poznałyście?

– W Bristolu, chodziłyśmy razem na zajęcia z historii, ale zaprzyjaźniłyśmy się dopiero w letnim semestrze, w czasie przygotowań do spektaklu *Sen nocy letniej*. Nina grała Tytanię, a moja druga przyjaciółka, Honor, Hermię. Tak się poznałyśmy.

– A kogo ty grałaś? Z twoim wzrostem widzę cię jako Helenę.

– Reżyser zaprosił mnie na przesłuchanie do tej roli, ale nie chciałam, wolałam zająć się charakterystacją.

– Bardziej odpowiadała ci rola za kulisami.

Przytaknęłam.

– Zawsze.

– A Honor? Opowiedz mi o niej.

– Hm... jest bardzo zamaszysta i dosadna. Kiedyś była aktorką, studiowała angielski i teatrologię, ale zrezygnowała i została prezenterką radiową. Prowadzi audycję w Piątce. To do niej pasuje, bo bez przerwy gada i się śmieje, jest otwarta na ludzi, szuka z nimi wspólnego języka. Serdeczna, energiczna i...

– Ekstrawertyczna?

– Właśnie. Zawsze ceniłam to w ludziach, bo sama nie potrafię taka być.

– Ty nie jesteś... nieśmiała, Jenni; moim zdaniem nie mogłabyś wykonywać tej pracy. Określiłabym cię raczej jako powściągliwą.

– Możliwe, ale Honor zawsze wali prosto z mostu, a to ułatwia relacje. – Nabrałam ochoty, żeby do niej zadzwonić, nie rozmawiałyśmy od ślubu Niny.

– Rozumiem, że Honor i Nina to twoje najbliższe przyjaciółki.

– Tak. Po piętnastu latach nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

– Przypuszczam, że o tobie mają podobne zdanie.

– Mam nadzieję – odpowiedziałam z uśmiechem. – Miło się rozmawia, Klaro, ale...

– Musimy zaczynać – uzupełniła.

– Tak jest. A więc... na czym stanęliśmy? – Zerknęłam do notatek. – Najazd na Holandię.

Westchnęła ciężko.

– To było straszne. W kraju obowiązywało zawieszenie broni, ale Niemcy i tak nas zbombardowali, niszcząc centrum Rotterdamu. Zginęły setki ludzi. – Spojrzała na dyktafon. – Jest włączony?

Wcisnęłam guzik.

– Teraz tak. Zaczynamy?

– Zaczynamy. – Splotła ręce na podołku.

Włączyłam nagrywanie.

# ROZDZIAŁ 7

## KLARA

Holandia była *bezet* – pod okupacją. Matka odchodziła od zmysłów ze strachu o dziadków. Ale po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się z ulgą, że ich część Rotterdamu ocalała. Truchlałam na myśl, że wyglądają przez okno i widzą w dole hitlerowskich żołnierzy.

Peter miał drewnianą pukawkę zrobioną przez ojca. Wymachiwał nią i mówił, że to karabin maszynowy i że robi z niego użytek, jeśli Niemcy spróbują na nas najechać.

– Nie ma takiej możliwości. – Mama otoczyła go ramieniem. – Jawa jest bardzo daleko od wojny.

– Jak daleko? – spytał.

– Jedenaście tysięcy kilometrów – odpowiedział ojciec. – Nic się nie martw, Pietje. Tu nie dojdzie do żadnych walk.

Odetchnęliśmy i nasze życie toczyło się z grubsza jak przedtem. Prace na plantacji trwały w najlepsze. Peter i Jaya grali w swoje gry, a Flora, Susan i ja chodziłyśmy do szkoły, wbiegając co rano po schodach w niebieskich, kraciastych spódniczkach i białych bluzkach. Słońce dalej oświetlało nasz skrawek raj. Wojna wydawała się bardzo, bardzo odległa – do tego stopnia, że ów okres zapadł mi w pamięć jako wyjątkowo szczęśliwy. Pojechaliśmy na wycieczkę do wschodniej Jawy i spędziliśmy kilka dni w Surabai, gdzie poszliśmy do zoo – były tam przeróżne gatunki małp, nosorożec, smutny, biały tygrys oraz rozmaite ptaki. Petera zachwycił orzeł. Odwiedziliśmy piękną zatokę o nazwie Pasir Putih, gdzie mieszkaliśmy w małym pensjonacie tuż przy plaży i szum fal kołysał nas do snu. Codziennie tata łowił ryby, upieczone przez niego na ognisku jedliśmy z *semangi*, dziką koniczyną o czterech listkach w kształcie serca. Tata położył jeden na dłoni. „Nasza rodzina”, powiedział.

Rodzice nam pobłazali, po to zapewne, żeby odwrócić naszą uwagę od wojny. Po powrocie na plantację Peter oświadczył, że chce królika, więc rodzice kupili mu długoucha o jasnobrązowym futerku jak łabędzi puch. Peter nazwał go Ferdi, a ojciec zbudował dla niego wielką klatkę i zrobił na trawniku wybieg, ze skorupą kokosa na wodę i bambusowym daszkiem, aby mógł wylegiwać się w cieniu.

To nie był koniec niespodzianek, bo któregoś ranka mama posłała mnie na werandę po swoją książkę. Otworzywszy drzwi, stanęłam jak wryta. Na trawniku zobaczyłam Jasmine, trzymała za uzdę białego kucyka.

Wytrzeszczyłam oczy w obawie, że czar pryśnie.

– Czyj to konik?

– Twój! – zawołała ze śmiechem Jasmine.

– Mój? – Podbiegłam do niego z okrzykiem radości.

Od dawna marzyłam o kucyku. Liczyłam skrzeczenie *tokeha* i ilekroć usłyszałam



siedem, zaciskałam powieki i wypowiadałam w myślach życzenie. Wreszcie się spełniło.

– Naprawdę mój? – zapytałam mamę, nie wierząc własnemu szczęściu.

– Naprawdę. – Podeszła do nas. – Nazywa się Słodki.

Pogłaskałam jego aksamitne chrapy i ciepły oddech owiał mi ręce.

– Ale skąd go macie?

– Kupiliśmy od Bosmanów, plantatorów herbaty z okolic Solo. Należał do ich córki, Lary.

– Ona go nie chce?

– Chce – odpowiedziała mama. – Ale wracają do Południowej Afryki i nie mogą go zabrać. Doszły nas słuchy, że szukają dla niego dobrego domu, więc tatuś odwiedził ich w zeszłym tygodniu. Obiecał Larze, że otoczysz go dobrą opieką.

Zarzuciłam kucykowi ręce na szyję.

– Na pewno! – Podbiegłam do mamy i ją pocałowałam. – Dziękuję!

Jasmine oprowadzała Słodkiego po ogrodzie, a Flora i ja siedziałyśmy mu na grzbiecie i cmokałyśmy. Potem Susan, która w Anglii jeździła konno, nauczyła nas, jak nim kierować i przejść do kłusa. Zabierała nas na przejażdżki do lasu, ale zawsze dziwnym trafem lądowałyśmy w miejscu, gdzie pracował Arif. Siadali obok siebie na ziemi i rozmawiali ściszonymi głosami po malajsku, niemal stykając się głowami i dłońmi, a Flora i ja stawałyśmy na czatach, żeby ich w porę ostrzec przed Wilem.

I tak, na przekór wojennej pozodze, która ogarnęła świat, zapamiętałam lato 1940 roku jako bardzo szczęśliwe.

Rodzice chcieli nas uchronić przed słuchaniem radia, ale że bez przerwy go słuchano, siłą rzeczy docierały do nas wieści z Europy. Podobno Niemcy wykorzystywali Holandię jako bazę do ataków na Wielką Brytanię. Brytyjczycy odpierali ataki, ale nikt nie wierzył, że wytrwają. Mieli jednak nowy samolot, myśliwiec Spitfire, wszyscy się nim ekscytowali. Wysłuchaliśmy oświadczenia holenderskiego księcia Bernharda, w którym powiedział, że RAF potrzebuje setek tych wspaniałych maszyn. Opowiadał o Fundacji Spitfire i prosił Holendrów z Indii o wsparcie tego ważnego celu. Apelował o pieniądze i, co najważniejsze, aluminium.

Pamiętam, jak matka i Jasmine ściągały z półek *gudangu* rondle i blachy do ciasta, ja zbierałam puste tubki po paście do zębów. Ojciec przeczesał warsztat w poszukiwaniu śrub, zawiasów i starych puszek po farbie. Jochenowie oddali nawet swój aluminiowy kuchenny stół – wynieśli go na trawnik, gdzie błyszczał w słońcu. Wszystkie rzeczy spakowano i wysłano do portu w Batawii, skąd miały popłynąć do Anglii.

W klubie rotariańskim w Garut organizowano przyjęcia na rzecz fundacji. Przy jednej okazji ojciec zrobił ze sklejek wielką karykaturę Hitlera, którą Susan pomalowała, a Flora, Peter i ja pokryliśmy lakierem. Ludzie ustawiali się w kolejkę,

żeby wrzucać monety do jego wstrętnych, rozdziawionych ust, a ja cieszyłam się na myśl, że wszystkie zebrane pieniądze pójdą na fundację.

Pomimo tej działalności czuliśmy się oderwani od konfliktu, dlatego osłupiałam, gdy jedna z moich szkolnych koleżanek, Corrie van der Velden, oznajmiła naszej nauczycielce, pannie Vries, że zanoszą się na wojnę z Japonią.

– Skąd ta myśl? – zapytała spokojnie panna Vries i przystąpiła do ścierania tablicy. Na jej palcu zalśnił pierścienek zaręczynowy. Wspomniała nam, że wiosną wychodzi za mąż.

– Mój tata tak mówi – oświadczyła Corrie – a jest majorem. Mówi, że przyjadą Japończycy i dadzą nam popalić. Słyszałam, jak mówił o tym mamie, bardzo się zdenerwowała.

Panna Vries odłożyła ścierkę.

– Trudno mi sobie coś takiego wyobrazić, Corrie, więc zostawmy ten temat. Wyjmijcie, proszę, książki do matematyki.

Po szkole łzawo zapytałam mamę, czy to prawda, że Japończycy napadną na Jawę.

– Ależ skąd – odparła. – Corrie tak mówi, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jak ci się zdaje, Floro?

Flora podniosła wzrok znad książki.

– Też tak uważam. Tylko tak gada, bo jej tata jest wojskowym. Ja wcale się nie przejmuję.

– Ty też nie powinnaś, Klaro – powiedziała matka. – Martw się o zadanie domowe.

Ale widmo japońskiej inwazji nie mijało. Ojciec pokłócił się o to z Wilem w któryś letni wieczór, kiedy siedzieli na werandzie.

– Bzdura – prychnął Wil.

Ojciec opuścił kufel z piwem.

– Ale dlaczego, skoro napadli już Mandzurię, Koreę, Formozę i większość wschodnich Chin?

– No dobrze, ale tu nigdy nie doleczą w tych swoich puszkach od konserw! Mówię ci, Hans, to niemożliwe.

Wil sarkał nawet wtedy, gdy holenderski rząd poprosił plantatorów o *Landwacht*, wyszkolenie miejscowych mężczyzn do walki partyzanckiej. Ojciec jednak potraktował to poważnie, utworzył pluton.

Wybrał dwudziestu naszych najlepszych robotników, w tym Sulimana oraz Arifa, i szkolił ich przed naszym domem; mieli do dyspozycji karabiny dostarczone przez holenderski rząd. Peter, Flora i ja lubiliśmy patrzeć, jak musztruje „kadetów”. Przychodziła Susan i udawała, że rozmawia z moją mamą, ale ukradkiem popatrywała na Arifa maszerującego tam i z powrotem. Do dziś dźwięczą mi w uszach rozkazy, które niosły się po całym ogrodzie:

– *Schouder geweer! Presentuj broń! Links, rechts! Links, rechts!*

Lecz mijały miesiące i nasz mały oddział na szczęście okazał się zbędny.

Na początku grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Flora, Susan i ja byłyśmy w szkole. Semestr dobiegał końca i wyczekiwałyśmy naszego świątecznego koncertu. Ale któregoś ranka na apelu nasza dyrektorka, panna Broek, ogłosiła z ponurą miną początek ferii.

– Ponieważ – wyjaśniła – japońskie samoloty zaatakowały wczoraj amerykańską flotę w Pearl Harbor, zatapiając osiem statków. Ameryka wypowiedziała wojnę Japonii.

Po korytarzu przetoczył się szmer, a panna Broek dodała, że Holandia, jako bliski sprzymierzeniec Stanów Zjednoczonych, uczyniła to samo.

– Dlatego módlmy się, aby dzielni holenderscy żołnierze nas obronili – ciągnęła panna Broek. – Pochylcie głowy.

Odmówiono modlitwę – przy wtórze zduszonych szlochów – po czym rozeszłyśmy się po swoje rzeczy.

Kiedy we trzy schodziłyśmy po schodach, zobaczyłam matkę Corrie, wiecznie uśmiechniętą, jasnowłosą Australijkę. Zawsze drobna, teraz była ogromna; wiedziałam od Corrie, że spodziewa się bliźniąt.

– Miałaś rację – powiedziałam do Corrie.

– Nie ja, tylko *papa*. – Uśmiechnęła się smętnie. – Straszne, nie?

Pokiwałam głową.

– Bardzo.

– Ach, głowa do góry, dziewczynki – uspokajała pani van der Velden. – Po prostu macie dłuższe ferie świąteczne. Cieszcie się, bo niedługo przyjdzie pora wracać do szkoły!

Następnego dnia, kiedy przystrajaliśmy dom na Boże Narodzenie, włączyłam radio i usłyszałam, że Japończycy zaatakowali Filipiny. Po kilku dniach nadeszła wiadomość o atakach japońskich pilotów na Singapur i Borneo. A gdy zasiedliśmy do świątecznego obiadu, gruchnęła wieść o napaści na Hongkong.

– Dalej nie pójdą! – krzyknęła mama. Zbladła jak ściana, a ja spanikowałam. Wojna wydała się nagle na wyciągnięcie ręki.

– Pójdą – oznajmił ponuro ojciec. – Przyjdą tutaj, bo zależy im na ropy, a tu ją znajdują.

Wszystkie rozmowy dorosłych skupiały się wokół wojny. Radio i gazety prześcigały się w udzielaniu rad, jak należy się do niej przygotować, gdzie schronić w razie nalotów, co spakować w czasie ewakuacji.

– Gdzie się schowamy, jeśli Japończycy zaatakują? – zapytałam z niepokojem Florę. – Pod werandą?

Chwilę się zastanowiła.

– Nie – odpowiedziała. – Tam są węże.

– Fakt. Może nasi tatusiowie zbudują schron – podsunęłam. – Poprośmy ich o to.

Następnego dnia Flora przysłała z oczami czerwonymi od płaczu. Jej tata nie będzie budował schronu, oznajmiła.

– Dlaczego? – zapytałam ze zgrozą.

W oczach Flory błysnęły łzy.

– Bo wyjeżdżamy z Jawy.

Jakby zepchnęła mnie w przepaść. Usłyszałam głosy i zobaczyłam Wila z moim ojcem. Podbiegłam do nich.

– Panie Jochen... – Ze zdenerwowania nie mogłam wydobyć głosu. – Czy to prawda, panie Jochen? Że wyjeżdżacie?

Potwierdził.

– Właśnie omawiałem to z twoim tatą. Moja żona i dziewczynki mają brytyjskie paszporty, więc postanowiliśmy popłynąć do Singapuru i zostać tam do czasu, aż sytuacja się uspokoi.

– Ale... – Ogarnęła mnie rozpacz. Traciłam najlepszą przyjaciółkę.

– A jeśli Japończycy napadną na Singapur? – zapytał ojciec.

Wil roześmiał się i klepnął go w plecy.

– Ależ Hans, Singapur jest niepokonany!

W przeddzień wyjazdu Jochenów poszłam do ich domu. Widziałam, że Susan płakała, na pewno z powodu rozstania z Arifem; ja też przełykałam łzy, patrząc, jak Flora się pakuje. Pomogłam jej wybrać ubrania na drogę, a mama pozwoliła jej zabrać jedną lub dwie zabawki, więc wzięła swoje ulubione lalki: porcelanową Lottie z brązowymi lokami i szmacianą Lucie z oczami z guzików. Miała też mosiężną jaszczurkę, swój największy skarb, o delikatnych łapkach, przepięknie zawiniętym ogonie i oczach z zielonych agatów. Zawsze skrycie jej pożałowałam i w swym dziecięcym egoizmie miałam nadzieję, że Flora zostawi ją pod moją opieką. Ależ byłam zawiedziona, gdy ją też spakowała.

Następnego dnia Jochenowie wyjechali. Ojciec nie mógł Wilowi darować, że zostawił go z całym majdanem: odpowiedzialność za plantację spoczęła całkowicie na jego barkach. Usłyszałam, jak mówi mamie, że to głupota tak narażać rodzinę, kiedy w morzu roi się od japońskich łodzi podwodnych. Ale mama, Peter i ja pożegnaliśmy ich serdecznie wśród obietnic, że pozostaniemy w kontakcie. Patrzyłam, jak Flora macha do mnie przez tylną szybę aż do ostatniej chwili. A gdy samochód zniknął nam z oczu, wybuchnęłam płaczem.

Mama mnie objęła.

– Nie martw się – powiedziała, choć sama ledwie tłumiła łzy. – Na pewno niedługo się spotkacie.

Nie mogła wiedzieć, że owszem, ale nikomu z nas nawet się nie śniło, w jakich okolicznościach.

Wszyscy mówili o Singapurze. Większość ludzi utrzymywała, podobnie jak Wil, że to „niezdobyta forteca” i „nigdy się nie podda”. Ale w połowie lutego Singapur padł. Zginęło wielu ludzi, dlatego bałam się o Florę. Potem, gdy Japończycy szli dalej na południe, podbijając Borneo i Sumatrę, po raz pierwszy ogarnął mnie strach o nas samych.

– Na pewno tu przyjdą? – zapytałam taty.

Wahał się z odpowiedzią.

– Nie będę cię okłamywał, Klaro: uważam, że tak. – Dotknął mojego policzka. – Ale nie wolno ci się martwić, bo istnieją pewne zasady, których muszą przestrzegać, międzynarodowe zasady. – Mimo to miałam złe przeczucia.

Matka zaczęła szyć dla nas plecaki, do których pakowała konserwy z mięsem i fasolą, mleko w proszku, herbatniki i artykuły pierwszej pomocy, zwłaszcza tabletki chininy przeciwko malarii. Bała się, że Peter znów zachoruje. Uszyła nam też ubrania na wyrost.

– Musimy mieć odzież na przyszłość – tłumaczyła – bo nie wiemy, co się stanie ani gdzie się znajdziemy.

Radio nadawało bez przerwy. Pływały z niego straszne wieści. Słuchaliśmy o bitwach na Morzu Jawajskim i dwóch zatopionych holenderskich okrętach.

– Co z marynarzami? – Wyobraziłam sobie, jak dryfują wśród fal.

– Może część przeżyła – odpowiedziała po chwili matka. – Ale obawiam się, że wielu nie, więc musimy się za nich modlić.

Któregoś dnia ogłoszono, że Holendrzy zniszczyli w czasie odwrotu połowę studni ropy na Borneo i Sumatrze.

– Bohaterowie – mruknął ojciec.

Następnie spiker poinformował, że Japończycy ścięli sprawców lub odrąbali im ręce i nogi, a ich córki i żony zostały zgwałcone.

Mamę zatkało.

– Co to znaczy „zgwałcone”? – spytałam.

– Torturowane... – odpowiedziała po chwili.

– Torturowane?

– Tak. Bardzo je skrzywdzono.

Zdumiona, zwróciłam się do taty.

– Ale co z zasadami? Mówiłeś, że muszą przestrzegać zasad. – Tylko pokiwał głową.

Donoszono, że na Jawie trwają walki, w okolicach Surabai, niedaleko plaży, gdzie spędziliśmy cudowne wakacje. Wyobrażałam sobie biały piasek rozorany japońskimi samolotami i nie mogłam spać.

Tydzień później, będąc z Peterem w ogrodzie, zobaczyliśmy czerwoną łunę na niebie i po chwili rozległ się głuchy łoskot. Brzmiał tak, jakby na wyspie obudziły

się wulkany.

Przerażeni, pobiegliśmy do mamy, która zapewniła, że tylko zagrzmiało, ale ja wiedziałam, że to musi być kanonada, bo napłynęły wieści o przybyciu Japończyków do zachodniej Jawy. Siedziałam z Peterem na werandzie. Jakim cudem coś tak strasznego jak wojna może nadać niebu tak piękne kolory, myślałam. W ciągu kilku dni podbito Batawię, a następnie Bandung. Jawa znalazła się w rękach Japończyków.

Dzień po inwazji poszliśmy z mamą na targ po zapas ryżu, cukru i mąki. Otaczała nas nienaturalna cisza. Sprzedawcy, którzy zawsze stali przed sklepami, teraz nie wyściubiali nosa ze środka. Sporo sklepów zamknięto. Holenderska flaga już nie powiewała na placu. W jej miejscu pojawiła się biała, z krwistoczerwoną kulą pośrodku.

Mama nie kryła przerażenia.

– Już tu są, w górach; musimy wracać. – Pobiegliśmy do domu, zapędziłyśmy wszystkich do środka i pozamykaliśmy drzwi i okna.

Świadomość, że znaleźliśmy się pod okupacją, była straszna. Wszyscy słyszeli o okropnościach dokonywanych przez Japończyków na innych wyspach. Krążyły też pogłoski o młodocianych gangach, rabusie korzystali z sytuacji i plądrowali domy Europejczyków, zabijając wszystkich, którzy stawiali opór. Ponoć pokonani żołnierze armii holenderskich Indii Wschodnich trafiali do obozów dla jeńców wojennych. Wyobrażałam sobie wśród nich ojca Corrie, ze skutymi rękami.

– Czy my też powinniśmy wyjechać? – zwróciłam się do taty. – Jak Jochenowie?

– Nie, Klaro – odparł. – Nie mamy dokąd uciec, dlatego módlmy się, żeby okupacja nie trwała długo.

Krążyły opowieści o okrucieństwach. Słyszeliśmy, że europejskich cywilów zapędza się do szkół i budynków administracyjnych, ale rodziny nie mogą ich odwiedzać. Podobno w Bandungu oddzielono kilka takich budynków *kawatem*, drutem kolczastym, tworząc obóz jeniecki.

Ktoregoś wieczoru dowiedzieliśmy się, że trzech mężczyzn zesłanych do jednego z takich obozów przyłapano na próbie ucieczki. Następnego dnia Japończycy postawili ich przy bramie i kazali im tak stać dwa dni, na słońcu, bez jedzenia i wody. Potem dotkliwie ich pobito i odesłano z powrotem do obozu. Kilka dni później przyłapano trzech kolejnych, ale tych dla odmiany przywiązano do słupów i zakłuto bagnetami na oczach więźniów.

Rozeszły się pogłoski, że mężczyźni zostaną przetransportowani do dawnych koszar o nazwie Tjimahi, a ich żony i dzieci trafią do „stref ochrony”.

– Ochrony przed czym? – zapytałam rodziców.

Ojciec zacisnął usta w wąską kreskę.

– Przed miejscowymi, wśród których żyli w spokoju od ponad trzystu lat.

– Nie trzeba mnie chronić przed Jayą – wtrącił Peter. – Jest moim przyjacielem.

– Te „strefy ochrony” to tak naprawdę obozy – wyjaśnił ojciec. – Przetrzymują w nich mnóstwo ludzi, żeby nie stwarzali Japończykom problemów.

– My też pójdziemy do takiego obozu? – zapytałam.

– Na szczęście nie – odpowiedziała matka. – Japończycy zapowiedzieli, że zostawią plantatorów w spokoju. Potrzebują nas do pracy na roli.

– A potem wyślą do Japonii to, co zbierzemy – uzupełnił ojciec z goryczą.

– Tak, ale przynajmniej nikt nas nie rozdzieli, Hans – mitygowała go spokojnie. – I zostaniemy w domu. Musimy być za to wdzięczni.

Ojciec westchnął, pokonany.

– Jestem wdzięczny.

Wszyscy Europejczycy musieli zgłosić się na miejscowym posterunku, jak cudzoziemcy na japońskim terytorium. Dlatego pojechaliśmy do Garutu, gdzie rodzice dostali od urzędnika nowe dokumenty. Zapowiedział im, że w ciągu tygodnia zostaną skonfiskowane wszystkie prywatne samochody.

– Nie zabiorą mi samochodu! – odgrażał się z furią ojciec w drodze powrotnej. – Niedoczekanie!

Dwa dni później siedzieliśmy w salonie, mama cerowała, a Peter i ja graliśmy z tatą w karty. Nagle mama podniosła głowę: usłyszeliśmy chrzęst opon na żwirze.

Matka zamarła i opuściła robótkę.

Ojciec podszedł do okna.

– Są – oznajmił cicho. – Klaro, Peterze, usiądźcie obok mamy.

Zrobiliśmy, co kazał, a mama rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Rób wszystko, co mówią, Hans – szepnęła. – W przeciwnym razie Bóg wie, do czego są...

Z werandy dobiegły odgłosy ciężkich kroków, po chwili załomotano do drzwi. Tata otworzył i weszło dwóch japońskich żołnierzy. Pierwszy był oficerem w brązowym mundurze i lśniących, czarnych butach. Przy pasku miał pistolet i długi, zakrzywiony miecz w skórzanej pochwie. Zastanawiałam się, czy nas zastrzeli, czy może skróci o głowę. Towarzyszył mu zwykły żołnierz w zielonym mundurze i czapce z paskiem białego materiału na karku; miał karabin ze stalowym bagnetem. Mimowolnie zagapiłam się na ostrze i wyobraziłam sobie, jak zatapia się w ludzkim ciele.

Oficer omiół wzrokiem pokój. Na widok stojaków z bronią dla naszego plutonu warknął coś do żołnierza, który zebrał karabiny i wyniósł je na zewnątrz. Oficer wyjął z szafki z bronią pistolet taty, strzelbę myśliwską oraz amunicję, po czym przekazał wszystko podwładnemu. Przeszedł do jadalni i ku mojej zgrozie wyłonił się z radiem, ukochaną agfą mamy i kamerą Bolex, którą dostała od taty na urodziny. Następnie obaj Japończycy wyszli na zewnątrz.

Mama, Peter i ja podbiegliśmy do okna. Patrzyliśmy, jak podchodzą do garażu. Oficer popatrzył na forda, po czym zwrócił się do taty i wyciągnął rękę. Ojciec się

zawahał. Poczułam, jak mama sztywnieje.

– No dalej, Hans! – syknęła.

Tata oddał kluczyk, jakby ją usłyszał. Oficer otworzył drzwiczki, odpiął miecz i wsunął się za kierownicę, odjechał, a podwładny za nim, drugim samochodem, wyładowanym naszymi rzeczami.

Zostaliśmy z pustymi rękami i nie mieliśmy czym uciekać, więc czuliśmy się bezradni. Nie pozostawało nam nic innego, jak robić swoje i cieszyć się, że wciąż jesteśmy razem, bo większość europejskich rodzin miała mniej szczęścia.

Bez samochodu nie było jak wozic z targu jedzenia. Tata chodził tam ze Słodkim, ładował na niego worki ryżu i mąki, ale podróż w obie strony zajmowała dużo czasu. Zapasy kurczyły się w zastraszającym tempie.

– Będziemy sami uprawiać żywność – oznajmił ojciec mnie i Peterowi. – Wyhodujemy tyle, że starczy dla wszystkich rodzin na plantacji. Na trawniku zrobimy pole kukurydzy, a na klombach posiejemy szpinak, marchewkę i bataty. Wybacz, Annie – powiedział do matki, która zmartwiała na myśl o swoich różach – ale potrzebny nam każdy skrawek ziemi. Wykorzystamy też ogród Jochenów, Wil sam jest sobie winien, mógł zostać.

Nurtowało mnie pytanie, czy Flora dotarła do Singapuru i czy jest tam lepiej niż u nas. Obserwowałam pracującego Arifa i byłam ciekawa, czy jeszcze myśli o Susan, czy próbuje o niej zapomnieć.

Przystąpiliśmy do pracy. Tata pokazał nam, jak kiełkować nasiona, i nauczył, jak rozmieszczać flance: wysokie rośliny szły do tyłu, a niskie do przodu, tak aby do wszystkich docierało słońce. Podkreślał znaczenie podlewania tylko wieczorem, żeby ziemia na dłużej pozostała wilgotna. Skończył nam się cukier, ale któregoś popołudnia czekała nas niespodzianka, bo usłyszeliśmy dziwny dźwięk, który z każdą chwilą narastał. Podniosłam głowę i zobaczyłam nadlatującą czarną chmurę.

– Pszczoły! – krzyknęła matka. Wbiegliśmy do domu i zatrzasnęliśmy okiennice. Rój minął dom, ale nadal słyszeliśmy brzęczenie. Kiedy odważyliśmy się wyrzeć, zobaczyliśmy czarną kulę na dolnej gałęzi cherimoyi. Ojciec utkwiał w niej wzrok.

– Gdybyśmy tak mogli umieścić je w ulu...

– Suliman się na tym zna – powiedziała Jasmine i pobiegła go zawołać.

Przyszedł i popatrzył na rój, po czym znaleźli z ojcem starą beczkę, dorobili do środka ramy i wycięli dziurę w pokrywie. Potem wszyscy stanęliśmy na werandzie, a Suliman podszedł prosto do pszczół.

– Powinien mieć jakąś osłonę – rzuciła z niepokojem matka. – Przyniosę muślin.

Jasmine pokręciła głową.

– Poradzi sobie, pani Anneke.

Ku naszemu zdumieniu Suliman wsadził ręce w brzęczącą masę.

Ojcu opadła szczęka.



– Co ty wyprawiasz, Suliman?

– Szukam królowej – odpowiedział tamten i dalej rozgarniał pszczoły, jakby przeczesywał włosy. – Oho, mam. – Wyciągnął ją ostrożnie i zobaczyliśmy podłużny, złoty odwłok między jego kciukiem i palcem wskazującym. Podniósł ją do ust.

– On ją zjada? – stęknął Peter.

– Nie – odpowiedziała Jasmine. – Przygryza jej skrzydełka, żeby nie mogła odlecieć, a pozostałe za nią.

Suliman zaniósł królową do beczki i wpuścił do środka, po czym ostrożnie odpiłował gałąź i strząsnął pszczoły w ślad za nią. Potem zamknął pokrywę i zanieśli z ojcem beczkę do lasu, na polanę przy strumieniu.

Nigdy nie zapomnę odwagi Sulimana. A pszczołom chyba spodobał się nowy dom, gdyż po kilku tygodniach smakowaliśmy pierwszy miód.

– To pomoże nam przetrwać – stwierdził tata, zeskrobując plaster.

Minęły trzy miesiące. Szkołę zamknięto na dobre, a ja rozmyślałam o koleżankach. Co się stało z Corrie i Gretą, z Eddą i Leną? Zostały w domach czy też trafiły do obozów? Jaki los spotkał pannę Broek, pannę Vries i pozostałe nauczycielki?

Bez radia nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje na świecie, więc żyliśmy w błogiej nieświadomości. Praca na plantacji toczyła się swoim rytmem, uprawialiśmy ogród, kąpaliśmy się w basie i jeździliśmy na Słodkim, ale zawsze w pobliżu domu, ze strachu przed japońskimi żołnierzami. Peter wciąż miał Jayę, ale ja strasznie tęskniłam za Florą i modliłam się o jej bezpieczeństwo. Co wieczór dziękowałam Bogu, że nasza rodzina jest wciąż razem, w Tempat Sungai, tak jak zapowiadała matka. A potem, któregoś ranka, wszystko się zmieniło.

Byłam z mamą i Peterem w ogrodzie, kiedy przyszedł do nas tata. Roztrzęsiony oznajmił, że właśnie miał telefon z policji. Obietnica pozostawienia plantatorów w spokoju przestała obowiązywać.

Matka się przeraziła.

– Co to znaczy?

Ojciec zmarszczył brwi.

– Że muszę opuścić plantację.

– Nie dotrzymali słowa?

– Na to wygląda. Twierdzą, że plantatorzy ukrywają broń, i to im się nie podoba. Pod koniec tygodnia przyjedzie po mnie ciężarówka.

Matka przymknęła oczy, jakby odsuwała od siebie tę wizję.

– To będzie trudne – powiedziała cicho.

– Owszem – przyznał ojciec. – Ale nie wolno nam się załamywać, trzeba mieć nadzieję, że to nie potrwa długo. Musisz zająć się wszystkim pod moją nieobecność, Annie. Suliman ci pomoże.

Przez następne dni wszystko jej pokazywał i tłumaczył. W przeddzień wyjazdu

wziął nas na bok.

– Musicie mi przyrzec – zaczął – że pomożecie mamie i będziecie jej słuchać we wszystkim, bez gadania. – Wbił w nas wyczekujące spojrzenie. – Rozumiecie?

Potwierdziliśmy i uroczyście daliśmy słowo. Potem wróciliśmy do domu i staraliśmy się nie płakać, gdy mama pakowała jego walizkę.

Następnego dnia wczesnym rankiem podjechała ciężarówka. Kiedy opuszczono tył, ujrzałam pięciu mężczyzn, w tym trzech z sąsiednich plantacji, wśród nich Ralpa Dekkera. Nie było ławek, więc wszyscy siedzieli na podłodze, przy swoim bagażu. Pilnowało ich czterech żołnierzy z karabinami i bagnetami. Jeden z nich otworzył walizkę taty i przejrzał jej zawartość. Wyjął brzytwę, kompas i scyzoryk, po czym rzucił walizkę z powrotem tacie.

– *Lekas!* – wrzasnął, wskazując głową ciężarówkę. – *Lekas!* Szybciej!

Tata ucałował Petera i mnie, mocno nas przytulił i zapowiedział, że wszystko będzie dobrze.

– Głowa do góry, dzieci – szepnął. Następnie objął i pocałował mamę, potem wszedł na ciężarówkę. Zatrzaśnięto tył i odjechała.

Peter i ja pobiegliśmy za nią.

– Pa, tatusiu! – wołaliśmy. – Trzymaj się! Do zobaczenia! Kochamy cię!

Kiedy ciężarówka znikła za zakrętem, Peter wybuchnął płaczem. Mama go objęła.

– Nie ma powodu do płaczu, kochanie – pocieszała.

– Jest – załkał – bo tatuś wyjechał i więcej go nie zobaczę! Nigdy!

Pęka mi serce na myśl, że miał rację.

## ROZDZIAŁ 8

Dobrze się czujesz, Jenni? – zapytała Klara, kiedy następnego ranka dowlokłam się do jej mieszkania. – Coś blado wyglądasz.

– Zmęczona jestem. Kiepsko spałam.

– Jeśli marzniesz, w szafie są dodatkowe koce.

– Dzięki, ale nie trzeba. Wspominałam ci już, że źle sypiam.

Podawała mi filiżankę.

– Tak mi przykro. Zasuszyłam walerianę, zaparzę ci po południu. – Jakby ziołowa herbatka mogła ukoić mój udręczony umysł, pomyślałam. – Pewnie ci ciężko.

– Co masz na myśli? – spytałam ostro.

Mój ton zbił ją z tropu.

– No... pracujesz z dala od domu. To niełatwe.

Odetchnęłam z ulgą.

– Niełatwe. Tak... niektórzy autorzy rozmawiają z klientami przez telefon bądź kontaktują się za pośrednictwem poczty elektronicznej, ale ja chciałabym się tak, jakbym malowała portret ze zdjęcia. Nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu.

– Naturalnie. – Klara pokiwała głową. – Pewnie tęsknisz za chłopakiem.

– Tak. Bardzo.

– Mówiłaś, że jest nauczycielem.

– Uhm, bardzo dobrym. Dzieci go uwielbiają.

Wypiła łyk kawy.

– Jak się poznaliście... jeśli mogę zapytać? – Niewątpliwie miała ochotę na pogawędkę. Chyba odczuwała tę potrzebę przed każdą sesją.

– Ależ proszę. Lubię z tobą rozmawiać, Klaro. Poznaliśmy się w jego szkole, co srodę czytam maluchom. Od trzech lat.

– Ile mają lat, cztery, pięć?

– Tak, są kochane. Bardzo to lubię. Kiedyś nie było wychowawczyni i Rick ją zastępował. Potem zamieniliśmy kilka słów i...

– I tak się zaczęło?

Uśmiechnęłam się do swoich wspomnień.

– Pomyślałam tylko, że jest przystojny i ma podejście do dzieci. Kilka dni później wychodziłam z domu i spotkałam go na ulicy. Przystanął, żeby pogadać, i zapytał, czy kiedyś pójdę z nim na lunch. I poszłam.

– Nadal czytasz dzieciom?

– Tak. Nie widziałam powodu, żeby to zmieniać, poza tym nikt nie wiedział, że się spotykamy. Potem wygasła moja umowa najmu i Rick zaproponował, żebyśmy razem zamieszkali. Znaleźliśmy mieszkanie trochę dalej i mieszkamy tam od dziewięciu miesięcy. Jest małe, ale... jak to jest po holendersku? *Gezellig*.

Uśmiechnęła się.

– Jest w twoim wieku?

– Cztery lata starszy, ma trzydzieści osiem.

– I się nie ożenił?

– Nie. Był w kilku związkach, ale nie wypaliły; ostatni, z Kitty, trwał trzy lata. –

Przypomniałam sobie zdjęcia Kitty, znalezione kiedyś na dnie szuflady. Ładna blondynka, na leżaku gdzieś nad Morzem Śródziemnym; Kitty z plecakiem nad jeziorem; Rick obejmujący Kitty przy stole u swoich rodziców; Kitty wystrojona przed wielkim wyjściem. – Przepadał za nią – podjęłam – ale była osiem lat młodsza i nie chciała się ustatkować, więc go zostawiła. Wyjechała na kilka miesięcy, ale kiedy znów się pojawiła, stwierdził, że do tego, co ich kiedyś łączyło, nie ma powrotu. Wkrótce się rozstali. Moim zdaniem ona teraz żałuje.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo pisuje do niego od czasu do czasu.

– Chyba wie, że Rick jest z tobą?

– No tak, ale wygląda, że chce zostawić sobie otwartą furtkę. – Wzruszyłam ramionami. – Na wszelki wypadek...

– Hm... ty i Rick mieszkacie z sobą. I wydajecie się bardzo szczęśliwi.

– Tak... jesteśmy...

Twarz jej się rozjaśniła.

– W przyszłym tygodniu szkoły mają wolne, prawda?

– Zgadza się.

– To może poprosisz Ricka, żeby przyjechał. Nie mam nic przeciwko temu.

– Och, to miło, Klaro, byłoby super, ale chyba sobie daruję, bo ja i Rick... w zasadzie... – I odruchowo opowiedziałam jej o wszystkim.

– Rozumiem... – powiedziała, kiedy skończyłam. – Czułam, że coś cię gnębi. – Nie sprostowałam, że to niejedyna rzecz, która mnie gnębi. – Mężczyzna często idzie na rękę kobiecie, ale niektórzy bardzo chcą założyć rodzinę.

– Właśnie, a Rick do nich należy. – Wyciągnęłam notes. – Dlatego teraz jesteśmy w zawieszeniu i postanowiliśmy nie dzwonić, żeby sprawdzić, co z tego wyniknie. – Uświadomiłam sobie, że Klara jest pierwszą osobą, której o tym powiedziałam.

– Myślisz, że możesz jeszcze zmienić zdanie?

– Nie wydaje mi się, nie.

– I zawsze miałaś takie nastawienie?

– W dzieciństwie chciałam mieć czwórkę, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Nadałam im nawet imiona: Harriet, Marcus, Katie i James. – Ujrzałam oczami wyobraźni, jak stoją w rzędzie, w czystych ubrankach i lśniących bucikach.

– I co się stało z tym marzeniem? Jesteś zbyt pochłonięta pracą?

– Nie. Moja praca nie ma tu znaczenia. Po prostu stwierdziłam dawno temu, że nie

chęć być odpowiedzialna za drugiego człowieka.

Klara zmarszczyła brwi.

– Hm... to faktycznie wyzwanie, zwłaszcza na początku, kiedy są małe. Ale powiem tylko, że natura ułatwia nam zadanie. Nie chcę się wtrącać, Jenni...

– Nic nie szkodzi.

– ...ale moim zdaniem szkoda, żeby ten całkowicie naturalny i zrozumiały lęk cię powstrzymywał. – Sięgnęła po filiżankę. – Przynajmniej w dzisiejszych czasach nie wymaga się od kobiet rodzenia dzieci.

– No tak. To osobisty wybór. – Odgarnęłam włosy za ucho. – Zawsze chciałaś być matką?

– Marzyłam o macierzyństwie. I długo myślałam, że nie będzie mi to dane.

– Z powodu tego, co spotkało cię w czasie wojny?

– Właśnie. Gdy trzy lata po ślubie nadal nie mogłam zajść w ciążę, poszłam do specjalisty. Powiedział, że zagłodzenie między dziesiątym a trzynastym rokiem życia wpłynęło na moją płodność. – Drgnęłam na dźwięk słowa „zagłodzenie”. – Rok później, kiedy czekaliśmy na adopcję, niespodziewanie zaszłam w ciążę. To był istny cud, za który dziękowałam Bogu. – Klara odstawiła filiżankę. – Opowiesz mi o swoich rodzicach, Jenni? Jesteście z sobą blisko?

– Nie. Ojciec zmarł, kiedy miałam pięć lat.

– To smutne – mruknęła. – I trudne dla twojej mamy.

– Owszem, mimo że rok wcześniej się rozstali. Byli bardzo młodzi, urodziła mnie w wieku dziewiętnastu lat. Przypuszczam, że wzięli ślub z konieczności. Tak czy siak, ojciec zostawił nas, kiedy miałam cztery lata, związał się z kobietą z pracy. Kilka miesięcy później pojechali do Szkocji i mieli zderzenie z ciężarówką. On wyszła z tego cało, on zginął na miejscu.

– Straszne. Twoja mama musiała bardzo to przeżyć.

– Była zdruzgotana. Uwielbiała go, nie traciła nadziei, że do niej wróci.

– Samotne wychowywanie dziecka na pewno nie jest łatwe.

Zmieniłam pozycję.

– Co gorsza, okazało się, że ojciec nie miał ubezpieczenia na życie, więc ledwo wiązała koniec z końcem. Zrobiła kurs księgowości i poszła do pracy.

– Wyszła powtórnie za męża?

– Nie. Ewentualny kandydat wziąłby na siebie duży ciężar.

– Tak? Masz na myśli siebie?

– Ale, wracając do twojego pytania, nie jesteśmy zżyte. W zasadzie to mamy z sobą niewiele wspólnego.

Klara zamrugała.

– Wielka szkoda, siła człowieka płynie z rodziny.

– Nie zawsze, Klaro. To zależy od więzi, jaka nas z nimi łączy, a moja więź

z matką... pozostawia wiele do życzenia.

– Ale dlaczego?

Przywykłam już do jej dociekliwości, więc nie zachnęłam się na to pytanie.

– Z powodu dawnych uraz, rzeczy, które wypowiedziała pod moim adresem. – Wypiłam łyk kawy. – Wiadomo, że słowa potrafią kaleczyć jak nic innego. To samo dotyczy słów mojej matki, boją do dziś. – Spróbowałam skierować rozmowę z powrotem na temat Klary. – Ale pewnie trudno ci to zrozumieć, miałaś silną więź z matką.

– Nie zawsze – odpowiedziała ku mojemu zdumieniu. – Był pewien okres, dosyć długi, kiedy prawie się do mnie nie odzywała.

– Doszło między wami do rozłamu?

– Owszem. Jeszcze jakiego. – Odwróciła wzrok. – Może ci opowiem, kiedy będę gotowa.

– Jeśli zechcesz, Klaro. Nie musisz. – Kiwnęła głową. – Ale jesteś w dobrych stosunkach z synami.

– To prawda. Oczywiście Vincenta widuję rzadziej, ale dzwoni do mnie co tydzień. Mogę na nich liczyć. Dzieci są wielką pociechą, Jenni. A macierzyństwo jest wspaniałą przygodą.

Zjeżyłam się wewnętrznie. Chciała przeforsować swoje.

– Na pewno, Klaro. Ale nie jedyną, jaką życie ma do zaoferowania. W każdym razie... – Wystarczy tych zwierzeń. Wyjęłam dyktafon.

– To co... – Klara się uśmiechnęła. – Do roboty?

– Do roboty.

# ROZDZIAŁ 9

## KLARA

Bardzo tęskniłam za ojcem – jego fizyczną obecnością, głosem, krokami na werandzie, kiedy zjawiał się i wychodził. Brakowało mi jego przekomarzenia i czytania mnie i Peterowi na dobranoc. Dzień w dzień próbowałam sobie wyobrazić, gdzie jest. Spał w internacie czy w celi? Czy nie marzył w nocy? Mógł wieszać swoją *kelambu*? Najadał się do syta?

– Nie martw się o tatę – pocieszała mnie matka. – Jest zdrowym, silnym mężczyzną. Wystarczy, że pomyśli, jak bardzo go kochamy, a przetrwa... wszyscy przetrwamy. Ale proszę, kochanie, ciężko mi bez niego, więc bądźcie grzeczni.

Wstyd przyznać, ale byliśmy z Peterem niezdolni. Bez obojga rodziców, którzy trzymaliby nas w korbach, biegaliśmy samopas i wiecznie darliśmy koty. Zaczęłam rozstawiać go po kątach, a Jasmine i matka nie miały czasu interweniować. Jasmine zajmowała się domem, a matka doglądała plantacji. Robiła wszystko to, co niedawno należało do obowiązków ojca, czuwała nad zbiorem mleczka kauczukowego, sprawdzała arkusze w stodole. Co piątek otwierała sejf, wypłacała robotnikom pensję i wysłuchiwała ich skarg.

Byłam mała, myślałam tylko o własnych problemach. Nie brałam pod uwagę, jaki to był dla niej koszmar i jak musiała tęsknić za ojcem. Nie zastanawiałam się, jak musiała się bać, zwłaszcza w nocy, kiedy grasowali złodzieje i w każdej chwili mogli zjawić się japońscy żołnierze. Ale najgorsza ze wszystkiego musiała być świadomość, że ojciec przepadł bez wieści.

Podobno większość mężczyzn trafiła do Tjimahi, więc dwa razy w tygodniu pisywaliśmy tam do niego. Peter i ja opowiadaliśmy o naszym ogródku i załączaliśmy rysunki, na których staliśmy uśmiechnięci obok cherimoyi. Zdarzyło się, że Peter narysował łzy na swojej twarzy, ale kazałam mu je zmasać.

– Tata ma dosyć zmartwień. Nie rób mu przykrości!

Mijały tygodnie i nic. Nagle któregoś ranka mama dostała kopertę z pieczętą „Tjimahi”. W środku znajdowała się kartka od ojca. Byliśmy uszczęśliwieni, ale kartka wyglądała bardzo dziwnie. Nadrukowano na niej szereg zwrotów, które zakreślił kółkiem, aby nam przekazać, że „je zdrowe jedzenie” i wykonuje „pożyteczną pracę”. Pozwolono mu także na dwadzieścia pięć słów, po malajsku, bo holenderski był zabroniony. Napisał, że „wszystko dobrze”, ale tęskni za nami i mamy „się nie martwić”. W rogu dorysował czterolistną koniczynę.

Kilka miesięcy później matka zawołała nas do siebie. W rękę trzymała urzędowe pismo.

– Musimy opuścić plantację – oznajmiła.

– Dokąd pójdziemy? – zainteresował się Peter.

– Wyjedziemy z Jawy? – dodałam.

– Nie. – Mama westchnęła. – Nie możemy, z powodu Japończyków. Wygląda na to, że Jawa stała się więzieniem, z którego nie ma ucieczki. Zresztą nie chcielibyśmy wyjechać bez taty, prawda?

– W życiu! – zawołał Peter. – Nigdzie się bez niego nie ruszę!

– A więc dokąd jedziemy? – zapytałam.

Matka zmarszczyła brwi.

– Musimy jechać do obozu.

Peter klasnął w ręce.

– Może do tego samego co tatuś!

Pokręciła głową.

– To obóz wyłącznie dla kobiet i dzieci. Nie piszą gdzie, tylko że jutro o świcie przyjedzie po nas ciężarówka, więc chodźmy się pakować, bo nie zostało dużo czasu.

– Smutno ci? – zwróciłam się do niej po malajsku, kiedy wyciągała z Jasmine skórzane walizki.

– Tak – odpowiedziała. – Będzie mi bardzo smutno bez Jasmine. – Jasmine wylewała łzy. – Będzie mi wszystkim brakować. Będzie mi brakować naszego domu.

Zachciało mi się płakać, bo dopiero uświadomiłam sobie, co nas czeka.

– A co ze Słodkim? I z Ferdim?

– A Jaya? – załkał Peter. – Nie może pojechać z nami?

Mama pogłaskała go po głowie.

– Pewnie, że nie może, kochanie. Co powiedziałyby na to jego mama? Co do zwierząt, Jasmine zaopiekuje się nimi do czasu naszego powrotu.

– Na pewno – obiecała Jasmine. – Nie martwcie się, dzieci. Niedługo wrócicie.

– Przylecą alianci i wykurzą Japończyków z Jawy – przekonywała matka. – A tymczasem głowa do góry, potraktujcie to jako przygodę.

Z pisma wynikało, że mamy wziąć po jednym zwijanym materacu na osobę oraz tyle innego *barangu*, czyli bagażu, ile możemy unieść. Mama wyjęła przygotowane wcześniej plecaki z ubraniami i prowiantem, po czym wraz z Jasmine zapakowała do naszych walizek moskitiery, pościel i ręczniki oraz naczynia i książki. Do swojej przytroczyła wok i małą kuchenkę *anglo*. Peter dostał jeszcze swojego misia, klocki oraz mały myśliwiec wystrugany przez tatę. Poszedł do komody i wyjął swój najlepszy, granatowy sweterek.

– Eleganckie ubrania nie będą nam potrzebne, kochanie – przekonywała matka.

– Będą – odparł i upchnął go w walizce. – Włożę go w dniu, kiedy znów zobaczymy tatę.

Słyszac to, wyciągnęłam swoją żółtą, jedwabną sukienkę i podałam mamie. Bez słowa schowała ją do mojej walizki.

Zapytałam, co się stanie ze wszystkimi ludźmi na plantacji. Odpowiedziała, że



trzeba wstrzymać produkcję gumy. Następnie poszła do biura taty i otworzywszy sejf, kazała Sulimanowi zawołać robotników. Wypłaciła każdemu dwumiesięczną odprawę, po czym zapłaciła Sulimanowi i Jasmine za pół roku, żeby opiekowali się domem i zwierzętami oraz przekazywali rodzinom innych plantatorów warzywa z naszych upraw.

Peter chciał o wszystkim opowiedzieć Jai, ale mama stwierdziła, że jest za późno na odwiedzin.

Następny dzień wyznaczył początek naszego zesłania. Do śmierci go nie zapomnę.

Wstaliśmy przed świtem i zjedliśmy nasze ostatnie śniadanie w Tempat Sungai. Gdy na niebie rozbłysło różowe światło, poszłam do stajni Słodkiego, objęłam go za szyję i obiecałam, że niedługo wrócę. Kiedy Peter i ja żegnaliśmy się z Ferdim, usłyszeliśmy chrzęst ciężkich opon na żwirze i zobaczyliśmy odkrytą ciężarówkę, identyczną jak ta, która przyjechała po tatę. Zeskoczyło z niej trzech żołnierzy i otworzyło klapę. W środku tłoczyły się kobiety i dzieci, wszyscy na stojąco, z posklejаныmi włosami i twarzami szarymi od pyłu.

– *Lekas!* – krzyknęli do nas. – *Lekas! Goh!*

Jasmine ucałowała mnie i Petera, uściskała nas, a następnie objęła matkę. Nagle usłyszałam tupot i szmer rozpryskiwanego żwiru, po chwili zjawił się zdyszany Jaya. Ścisnął w rękach batikowy worek, który wręczył Peterowi. Wewnątrz znajdowały się jego ulubione szachy. Oznajmił po malajsku, że tylko je „pożycza” i Peter ma je „niedługo zwrócić”. Brat obiecał z uśmiechem, że to zrobi, po czym chłopcy stali objęci, dopóki żołnierz ich nie rozdzielił. Suliman umieścił na ciężarówce nasze materace i walizki, podsadził mnie i Petera, ucisnął nam dłonie. Potem pomógł wsiąść mamie. Machaliśmy do niego, do Jasmine i Jai, a gdy zamykano klapę, posłałam ostatnie spojrzenie na mój ukochany dom.

Droga z gór była piekłem. Jechaliśmy w ścisku, nie było jak usiąść i tak kołysało, że musieliśmy przytrzymywać się jedno drugiego na zakrętach. Boki ciężarówki sięgały bardzo wysoko, więc nie widzieliśmy nic prócz oślepiającego słońca i rozkołysanych w górze wierzchołków palm. Gdzie ten obóz, zadawaliśmy sobie pytanie – w dżungli? W dawnym więzieniu albo w opuszczonych koszarach? Wiedzieliśmy, że w takich miejscach powstają „cywilne ośrodki internowania”, które wyrosły na całej Jawie jak grzyby po deszczu.

Ciężarówka wlokła się niemiłosiernie i bez przerwy psuła. W pewnym momencie wszyscy musieliśmy wsiąść, kiedy ją naprawiano. To było dla nas jak zbawienie, bo marzyliśmy o wodzie, a kilka miejscowych kobiet zlitowało się nad nami i ją przyniosło.

– Pijcie – szeptały, rozdając skorupy kokosowe. – *Minum*. Pijcie.

Ciężarówkę naprawiono i wsiedliśmy z powrotem.

Po dachach budynków poznaliśmy, że wjeżdżamy do Bandungu. Minęliśmy szkołę –

rozpoznałam zieloną dachówkę i wiatrowskaz z księżycem i gwiazdami. Pomyślałam o czyściutkim mundurku, który wkładałam codziennie, o wyszorowanej buzi i schludnie zaplecionych włosach. Teraz wyglądałam jak siódme nieszczęście. Przeraziłam się, że panna Vries zobaczy mnie w takim stanie, po czym przypomniałam sobie, że szkoła jest zamknięta od półtora roku i Bóg jeden wie, co się stało z panną Vries. Byłam ciekawa, czy nadal się tak nazywa, przecież miała wyjść za mąż.

Dotarliśmy do północnej części miasta – zorientowaliśmy się, że właśnie tam zmierzamy – i ciężarówka stanęła. Kiedy opuszczono klapę, zobaczyliśmy, że teren ogrodzono plecionym płotem bambusowym zwanym *gedek*, zwieńczonym drutem kolczastym. Do środka prowadziła jedna brama z wieżą strażniczą, na której stało czterech żołnierzy z karabinami i bagnetami. Ktoś powiedział, że obóz nazywa się „Bloemencamp”, gdyż wszystkim ulicom nadano nazwy kwiatów.

Ciężarówka kilka razy przystawała, wychodziły z niej kolejne kobiety i dzieci z bagażem. Gdy dojechaliśmy do ulicy Orchideelaan, znów stanęliśmy. Tym razem kazano wysiąść mamie, Peterowi i mnie, toteż wzięliśmy bagaż i zaprowadzono nas do bungalowu. Na pierwszy rzut oka wyglądał znośnie, chociaż był dosyć mały. Ku naszemu zdumieniu, w środku znajdowało się pełno ludzi – około trzydziestu kobiet, dziewcząt i chłopców; na każdą rodzinę przypadał jeden pokój. My dostaliśmy schowek na tyłach domu.

Przeniosłyśmy z mamą materace i ułożyłyśmy je pod oknem bez okiennic. Nasze plecaki, wypchane ręcznikami, pełniły funkcję poduszek, a walizki stolików. *Gezellig*, oznajmiła matka, przypinając obrazek do ściany. Przytulnie. Potem nas objęła i dodała, że nie ma się czego bać. Mieliśmy dach nad głową, gaz do gotowania, elektryczność i wodę. Głowa do góry, jak napisał tatuś. Nie jesteśmy tu sami i wszyscy będziemy sobie nawzajem pomagać.

– Zagrajmy w szachy – zaproponował Peter. Rozłożył szachownicę na swojej walizce i zegraliśmy. Peter nie miał już Jai, a ja nie miałam Flory. Byliśmy zdani na siebie.

Przed zmrokiem matka rozwiesiła *kelambus*, ale nie zmieściliśmy się pod nim wszyscy troje, więc ona spała pod jednym, a ja z Peterem pod drugim. Zawsze miałam swój pokój i czułam się dziwnie, leżąc z bratem pod jedną siatką. Niebawem usłyszeliśmy okrzyk „gasić światło!” i w pokoju zrobiło się ciemno choć oko wykol.

– Głośno, nie? – mruknął po chwili Peter.

– No – odmruknęłam.

Słyszałam rozmowy, kaszel, ziewanie i modlitwy. Kilkoro dzieci płakało, ktoś śpiewał kołysankę: „Śpij, ach śpij”. Peter zasypiał. Ale ja nie spałam, wsłuchana w jego cichy, miarowy oddech. Jak szum morza.

Obudzono nas skoro świt. Wszyscy zerwali się jak oparzeni, wkrótce zrozumiałam dlaczego: w domu znajdowała się tylko jedna ubikacja i jedna umywalka, toteż

obowiązywała zasada kto pierwszy, ten lepszy.

– Ciekawe, co teraz? – powiedziała do nas matka, gdy czekaliśmy w kolejce do mycia. – Powie nam pani? – zwróciła się do stojącej przed nami kobiety, która miała około dwudziestu pięciu lat, jasne włosy, szeroką twarz i piwne oczy ze złocistymi cętkami.

– A co może być? – Kobieta się zaśmiała. – To samo, co zawsze rano i wieczorem, przekłete *tenko*.

– Przekłete *tenko*? – powtórzył Peter. – Co to takiego?

– Apel – odrzekła z rezygnacją kobieta. – „Tenko” znaczy „odliczanie”. Niedługo nauczysz się japońskich cyferek, młody człowieku.

Na śniadanie zjedliśmy trochę przywiezionego prowiantu, po czym ruszyliśmy za wszystkimi na plac, gdzie żołnierze zapędzali kobiety i dzieci w rzędy i kolumny, po pięć w poprzek i około stu w głąb.

– O co chodzi? – zapytałam mamę, gdy stanęliśmy na suchej, bladej trawie.

Przygryzła wargę.

– Nie wiem. – Po raz pierwszy sprawiała na mnie wrażenie kompletnie bezradnej. To mnie przeraziło.

Kiedy się rozglądałam, jeszcze wymęczona i skołowana po wczorajszej podróży, rząd dalej zobaczyłam koleżankę z klasy. Greta i ja nigdy nie byłyśmy szczególnie zaprzyjaźnione, ale uradowałam się na jej widok i wymieniliśmy uśmiechy. Miała miedziane włosy i bladą, piegowatą skórę, tyle że, jak spostrzegłam, przestała być blada: była brązowa, jakby wszystkie jej piegi zlały się w jedną plamę. Obok stała jej babcia, pani Moonen, która się nią opiekowała, bo rodzice Grety zmarli na tyfus, kiedy miała trzy lata.

Matka zwróciła się do pani Moonen.

– Na co czekamy? – spytała.

– Na komendanta – odszepnęła babcia Grety. – Ale proszę nie rozmawiać, bo wlepią pani karę. – „Kara”. Bez przerwy mieliśmy słyszeć to słowo.

Utkwiliśmy wzrok przed siebie i ujrzeliśmy podest, na którym stała kobieta. Była *Belanda Indo* – osobą indonezyjsko-holenderskiego pochodzenia. Przedstawiła się przez megafon jako obozowa tłumaczka. Poinformowała, że w czasie *tenko* mamy stać twarzami na wschód, w stronę Japonii. Wyjaśniła, że niedługo przyjdzie komendant, a wtedy krzyknie *Kiotsuke!* – „bacznosc”, a następnie *Keirei!*, co znaczy „ukłon”. Należy kłaniać się we właściwy sposób, ciągnęła, gdyż tak naprawdę oddajemy cześć japońskiemu cesarzowi. Ukłon niedbały byłby zniewagą dla Jego Cesarskiej Mości i zostalibyśmy ukarani. Następnie wyjaśniła, że mamy zginać się w pasie pod kątem trzydziestu stopni i trwać tak, dopóki nie usłyszymy *Naore!*, „spocznij”, po którym padnie rozkaz *Yasume!* – „rozejść się”. Tłumaczka dodała, że musimy się kłaniać wszystkim japońskim żołnierzom, ale nie wolno nam patrzeć im w oczy, bo jesteśmy

„niegodni”. Jeżeli ośmielimy się to zrobić, zostaniemy surowo ukarani.

Peter miał zmartwiałą minę.

– Zostaniemy ukarani?

– Tak. Jeśli będziemy patrzeć żołnierzom w oczy – szepnęła matka. – Albo nie ukłonimy się, jak należy.

– Dlaczego mamy się kłaniać? To bez sensu. Ja nie będę się kłaniał!

– Musisz – syknęła matka.

Przypomniałam sobie obietnicę złożoną ojcu.

– Ja będę – szepnęłam. – I ty też musisz, Pietje. Bez gadania, pamiętasz?

Matka odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję, dzieci. – Jej twarz błyszczała od potu. – Miejmy nadzieję, że komendant wkrótce przyjdzie.

Ale nie przyszedł, a temperatura rosła z każdą minutą. Minęły trzy godziny. Pot spływał nam po czołach i piekł w oczy, odzież kleiła się do pleców. Musieliśmy strząsać z nóg mrówki i odganiać się od much. Gdy słońce zawędrowało jeszcze wyżej, pomyślałam o Ferdim i daszku zrobionym troskliwie przez ojca. Tymczasem my, kobiety i dzieci, godzinami smażyliśmy się w słońcu, bez kapeluszy, bo zabroniono je nosić, nawet dzieciom, i nikomu, nawet staruszkom i najmłodszym, nie wolno było usiąść na ziemi. Teraz zrozumiałam, czemu Greta, zwykle blada jak ściana, tak się opaliła.

Zewsząd dobiegał płacz niemowląt, ludzie błagali o wodę; kobieta przed nami osunęła się na ziemię, ale dwaj strażnicy szarpnięciem postawili ją na nogi. Wyczerpany Peter próbował się położyć, więc trzymałyśmy go z mamą między sobą.

Wreszcie zjawił się komendant. Niósł szpicrutę, a jego czarne oficerki połyskiwały w słońcu. Miał miecz przytroczony do pasa. Mimowolnie utkwiałam w nim wzrok, wyobrażając sobie, jak tnie i rąbie...

– *Keirei!* – krzyknęła tłumaczka. Wszyscy się ukłoniliśmy.

– Niżej – szepnęła do nas matka. – Pochylcie się!

– Czemu? – spytał Peter.

– Bo tak! – odwarknęłam.

– *Naore!*

Wszyscy się wyprostowali.

Tłumaczka zeszła z podestu, a komendant wskoczył na niego jak lis. Stał w rozkroku, z założonymi rękami, i krzyknął, że mamy zaszczyt przebywać w gościnie u japońskiego cesarza pod wspaiałomyślną opieką Cesarskiej Armii Japońskiej. W zamian za tę wielkoduszną opiekę, ciągnął, mamy się dobrze sprawować, nigdy nie próbować ucieczki, dbać o higienę i skromnie się ubierać. Nie wolno nam uprawiać hazardu, pić alkoholu ani wszczynać kłótni, i możemy mówić tylko po japoński lub malajsku, holenderski jest surowo wzbroniony. Przed wszystkim zaś mamy być

„pożyteczni”.

– *Keirei!* – wrzasnęła ponownie tłumaczka. Wszyscy się uklonili i komendant poszedł.

– *Yasume!* – Mogliśmy odejść. Z ulgi aż zakręciło mi się w głowie.

Dowiedziałam się od Grety, że jest tu z babcią od roku. Rozmawialiśmy o pozostałych koleżankach, ale nie wiedziała, co się z nimi stało; mogły przebywać w którymś z wielu innych obozów.

– Wszyscy jesteśmy teraz więźniami – dodała cicho.

Gdy wróciliśmy z mamą i Peterem do naszego nowego domu, kobieta, z którą rano rozmawialiśmy, przedstawiła się jako Kirsten. Przebywała w Bloemencamp od roku.

– Powiesz nam, gdzie znajduje się szkoła? – zapytała matka.

– Szkoła? – Kirsten ryknęła śmiechem. – Tu nie ma żadnej szkoły! Japońce zakazały nauki.

– Ach, tak. – Mama omiotła nas spojrzeniem. – W takim razie sama będę was uczyć.

– O, nie dasz rady – stwierdziła Kirsten. – Zmęczenie ci nie pozwoli.

Mama się zjeżyła.

– Dam radę, nie ma obawy.

– Nie dasz. Będziesz wykończona.

Matka przygryzła wargę, ale nie odpowiedziała. Widziałam, że Kirsten nie wzbudziła jej sympatii.

Następnego dnia została wyznaczona „do mebli”. Musiała je wyciągać z opuszczonych domów i ładować na dwukołowy drewniany wózek, w jaki normalnie zaprzęgało się wołu lub konia. Gdy już szafki, stoły i krzesła piętrzyły się wysoko, matka wraz z Kirsten i jeszcze jedną kobietą o imieniu Loes ciągnęły wózek do następnego, już opróżnionego domu, i wstawiały tam meble, w razie gdyby kiedyś miały się przydać Japończykom.

W ciągu tygodnia od rozpoczęcia tej pracy mama schudła, a na jej twarzy i nogach widniały siniaki od targania ciężkich sprzętów. Pod wieczór przyrządzała dla nas posiłek na swojej kuchence, później jednak, zgodnie z zapowiedzią Kirsten, nie miała już na nic siły i musiała iść spać.

Miałam skończone dziesięć lat, więc też nie próżnowałam. Część moich rówieśnic musiała zajmować się niemowlętami i młodszymi dziećmi pod nieobecność matek, inne zamiatały ulice albo sortowały śmieci z wielkiej sterty przy bramie. Mnie kazano pielnić, co nie było łatwe, gdyż wysuszona ziemia stwardniała jak kamień i musieliśmy uważać na skorpiony. Nie wolno nam było przyklęknąć, mogliśmy tylko kucnąć, co było bardzo niewygodne. Greta też pielniła, kilka metrów ode mnie. Kiedyś zobaczyłam, że nie mogąc się opanować, uklęknęła. W jednej chwili dopadł ją żołnierz i podniósł szarpnięciem. Myślałam, że każe jej tylko ukucnąć, ale on ją spoliczkował. Odruchowo

odwróciła głowę i dostała z drugiej strony. Padła na kolana; szarpnął ją i zdzielił ponownie. Zerwałam się, żeby jej pomóc, ale drugi żołnierz z twarzą wykrzywioną wściekłością pchnął mnie z powrotem na ziemię.

Wieczorem opowiedziałam o tym matce.

Na chwilę przymknęła oczy.

– Biedna Greta – mruknęła. – Biedactwo.

– Ale czemu ją uderzył? Przecież nie musiał jej bić, prawda?

Matka wyjaśniła pospiesznie, że japońscy żołnierze gardzą więźniami, gdyż sami woleliby się zabić, niż ścierpieć hańbę kapitulacji. My, więźniarki, nie zasługiwałyśmy nawet na ich pogardę, konieczność pilnowania nas była dla nich nadzwyczaj przykra, więc dla poprawy samopoczucia wyładowywali na nas swoją złość i frustrację.

– Dlatego musimy robić wszystko, co każą, żeby ich nie prowokować – przypomniła. – Trzeba im się kłaniać i nie wolno patrzeć im w oczy, pod żadnym pozorem. Rozumiecie? – Z powagą pokiwaliśmy głowami.

Mijały dni i mama martwiła się o Petera. Jako ośmiolatek zostawał sam, gdy szliśmy pracować. Nie chciała, aby biegał po obozie jak niektórzy chłopcy, mógł podpaść żołnierzom. Dlatego poprosiła kobietę o imieniu Ina, sześćdziesięciolatkę zwolnioną z obowiązku pracy, żeby miała na niego oko. Ina była chuda i wysoka, miała opadające powieki, wydatne kości policzkowe i haczykowaty nos; przypominała mi orła, którego widzieliśmy w zoo. Nie została matką, ale dobrze opiekowała się Peterem. Gotowała jego przydział żywieniowy, grała z nim w szachy i ćwiczyła alfabet, rysując patykiem po piasku. Musiała przy tym udawać, że tylko rozmawiają, w przeciwnym razie dostałaby baty. W zamian mama dawała Inie ubrania.

– Na co jej twoje rzeczy? – zapytałam mamę. – Jest wyższa, nie będą na nią pasować. – Mama odpowiedziała, że Ina ich nie nosi, tylko wymienia z tubylcami. Japończycy tolerowali jeszcze wówczas *gedekking*, czołganie się pod płotem i wymienianie z okolicznymi mieszkańcami pieniędzy bądź biżuterii na żywność lub lekarstwa. – Dlaczego nie wymienia własnych? – spytałam. Ma mało rzeczy, zabrzmiała odpowiedź. Była już w dwóch obozach i większości zdążyła się już pozbyć. – Ale po co tubylcom stare ubrania? – Mama wyjaśniła, że na całej Jawie wyczerpały się zapasy bawełny, dlatego więźniowie wymieniali odzież na żywność: chusteczkę za jedno jajko, bluzkę za sześć bądź kiść bananów. Sukienka była warta dziesięć jaj.

– Tylko nie oddawaj Inie mojej jedwabnej sukienki – poprosiłam. – I sweterka Petera.

– Nie oddam – obiecała. – Przecież będą wam potrzebne.

W miarę upływu czasu poznaliśmy pozostałe mieszkanki „naszego” domu, oprócz niejakej Marjolein, która do nikogo się nie odzywała.

– Dlaczego z nikim nie rozmawia? – zapytała kiedyś mama.

– Bo to jej dom – odparła Kirsten. – Jest wściekła, że musi go dzielić z trzydziestką

obcych ludzi. Wcale jej się nie dziwię.

Wiele rodzin zaliczyło więcej niż jeden obóz; niektórzy byli w Solo i De Wijk na wschodzie, inni w Moentilanie i Ambarawie w centralnej Jawie.

– Japońce przenoszą wszystkich na zachód – powiedziała Kirsten.

– Po co? – zapytała matka.

– Chcą nas wpakować do jednego wielkiego getta. Będzie im łatwiej zachować nad nami kontrolę. Stąd ten ścisk.

Codziennie przyjeżdżały kolejne ciężarówki wyładowane kobietami i dziećmi. Rozpoznaliśmy niektórych z innych plantacji, wśród przyjezdnych znajdowały się też dzieci z mojej szkoły.

Któregoś dnia bardzo się ucieszyłam, zobaczywszy Corrie van der Velden; wysiadała z ciężarówki z matką i bliźniaczkami, miały już około półtora roku. Umieszczono je w naszym domu, w pawilonie, co niezmiernie nas ucieszyło, mimo że bliźniaczki często płakały i zasypianie przychodziło nam jeszcze trudniej niż zwykle. Corrie opowiedziała mi, że spędziły zeszły rok w innym obozie, Karees, w południowo-wschodnim Bandungu. Przydzielono je do domu wraz z dwadzieścioro innymi osobami i ulokowano w garażu.

– Ale zlikwidowali obóz – wyjaśniła. – I przywieźli nas tutaj.

Jej ojciec przebywa w Tjimahi. Kiedy go ostatnio widziała, siedział w ciężarówce z zawiązanymi oczami, z całą resztą pułku. Czy mojemu tacie też zawiązano oczy? Próbowałam o tym nie myśleć.

Z domu na Orchideelaan najbardziej zapamiętałam hałas. Dzień i noc rozbrzmiewał nieustanny szmer głosów ludzi, którzy rozmawiali, kłócili się, krzyczeli i płakali. Jedna z kobiet bez przerwy kichała, co brzmiało jak strzał z pistoletu. Ina wciąż czytała na głos swoją biblię; żeby nas pocieszyć, mówiła, ale działało mi to na nerwy. Ale najgorszy był płacz niemowląt. Matki często nie miały siły ich uspokajać i traciły pokarm z niedożywienia.

W owym czasie jeszcze każdy przyrządzał sobie posiłki z racji żywnościowych oraz żywności ze sklepu zwanego *toko*; każda rodzina mogła kupować raz w miesiącu. Kiedy przychodziła nasza kolej, Peter i ja chodziliśmy tam z mamą, ale wybór był mizerny i wszystko kosztowało krocie. Zakazano holenderskich pieniędzy i zastąpiono je japońskimi „guldenami” o znacznie mniejszej wartości. Co gorsza, mogliśmy kupować tylko niewielkie ilości: łyżeczkę soli, kilka gramów cukru bądź chleba, jedną papaję.

Parę tygodni po naszym przyjeździe żołnierze wpadli do domu i zabrali wszystkie kuchenki. Potem odcięto dopływ gazu i zamieniono kuchnię na sypialnię, by pomieścić więcej więźniów. Zamknięto *toko*. Teraz musieliśmy odbierać żywność z *dapuru*, centralnej kuchni, czyli bambusowej szopy ze starymi beczkami po ropie, służącymi jako wielkie kotły. Wisiały nad otwartym ogniem i dwóch nastoletnich chłopców

zdejmoowało je przy użyciu drewnianych drągów. Musieliśmy sterczeć w kolejce po miskę wodnistej zupy oraz łyżkę obrzydliwie kleistego ryżu z odrobiną mięsa i kawałkiem marchewki albo cebuli na okrasę. Do tego dostawaliśmy kromkę gumowatego chleba, a czasem jajko lub banana, przy czym takie frykasy przypadają na trzy bądź cztery osoby. Ale nawet te głodowe racje się kurczyły i ludzie coraz bardziej chudli, za to żołnierze zawsze wyglądali na dobrze odżywionych.

Któregoś ranka w czasie *tenko* komendant oznajmił, że w celu uzupełnienia racji żywnościowych mamy uprawiać warzywa. Dostaliśmy nasiona pomidorów i szpinaku, a ogród podzielono na dziesięć części, po jednej dla każdej rodziny. Panowała susza, więc grunt był twardy jak kamień. Nigdy nie zapomnę, jak matka Corrie próbowała skruszyć ziemię motyką niemal większą od niej samej, podczas gdy bliźniaczki i Corrie drzemały pod czujnym okiem Iny, która wzięła na siebie rolę dobrodusznej ciotki.

– Wszystko w porządku, pani van der Velden? – spytałam. – Może pani pomóc?

– To miło z twojej strony, Klaro. – Zdyszana pani van der Velden oparła się na motyce. – Ale jesteś stanowczo za młoda do takiej pracy. – Spojrzała na mnie z uśmiechem. – I nie musisz zwracać się do mnie pani van der Velden. Wystarczy Kate.

Mama i Kirsten pomogły Kate i wkrótce stwardniała ziemia została przekopana i nawodniona, toteż można było zasiać nasionka. Wykiełkowały, ale musieliśmy pilnować ich w nocy, bo amatorów na sadzonki nie brakowało.

Jeden strażnik kradł w biały dzień. Przeżywaliśmy go Jaś Pomidor; jeździł po obozie na rowerze, dla niego za małym, powiewając płótnem na czapce. Na widok dojrzałego pomidora zsiadał z roweru, zrywał go i zjadał na miejscu. Kiedyś zobaczyłam, jak robi to przy domu naprzeciwko naszego. Już miał wsiąść z powrotem na rower, gdy coś przykuło jego uwagę. Podążyłam za jego spojrzeniem i dostrzegłam Marjolein, która wracała ze spuszczoną głową ze swojej zmiany. Nagle podniosła wzrok, przystanąła i się ukloniła. Może zrobiła to o kilka sekund za późno, a może Jaś miał po prostu zły humor, ale puścił rower, podbiegł do niej i wydzierał się rozwścieczonym staccato, aż odbijało się od ścian. Zdjął z ramienia karabin i dzielił Marjolein kolbą, a potem znowu, i okładał ją po plecach i ramionach, aż legła w piasku, osłaniając rękami głowę. Gdy Kirsten i ja rzuciłyśmy się na pomoc, wsiadł na rower i odjechał.

Widywaliśmy tyle bitych dziewcząt i kobiet, że oswoiliśmy się z tym widokiem. Najczęściej policzkowano: żołnierz najpierw bił na odlew, następnie wnętrzem dłoni, a potem znowu na odlew, prychając z wysiłku. *Trzask, trzask, trzask!* Niektórzy woleli kopać albo walić pięścią. Zdarzali się sprytniejsi, ci z morderczą precyzją dźgali palcami we wrażliwe miejsca. Kilku, w tym Jaś Pomidor, posługiwało się karabinem, łamiąc żebra i obojczyki, zdarzało się, że wybijali zęby.

Matka obawiała się, że widok takiej przemocy źle na nas wpłynie, znenawidzimy Japończyków.



– Dlaczego nie mielibyśmy ich nienawidzić? – spytał kiedyś Peter. – Są dla nas okropni.

– Do nikogo nie odnoście się z nienawiścią – ucięła. – Nienawiść niszczy cały świat.

Krótko po tym jedna z bliźniaczek, Sofie, zachorowała na dyzenterię. Szpitala nie było, więc Kate, ze strachu, odchodziła od zmysłów. Pewnego ranka zobaczyłam, jak wybiega przed dom z Sofie na rękach. Zatrzymała dwóch żołnierzy, którzy przechodzili w pobliżu. Ukłoniła się, po czym poprosiła o lekarstwo dla „bardzo chorego dziecka”.

– Imatin – powiedziała. – Potrzebuję imatinu dla maleństwa.

Pierwszy żołnierz tylko wytrzeszczył na nią oczy i pokręcił głową. Kate padła na kolana, wciąż trzymając dziewczynkę, i błagała go o pomoc. Ale tamci tylko wzruszyli ramionami i poszli. Kate z płaczem wróciła do środka.

Nocą mamę i mnie obudziły kroki na *emperze* biegnącym wzdłuż boku domu. Rozsunęliśmy nasz *kelambur* i zobaczyliśmy przy otwartym oknie drugiego żołnierza. Bez słowa podał mamie mały, brązowy flakonik; spojrzała na etykietę, po czym pobiegła do Kate, która aż krzyknęła z radości.

– Widzicie – powiedziała do nas triumfalnie, gdy Sofie wyzdrowiała. – To dowodzi, że każdy ma w sobie i dobro, i zło; nie wolno nam o tym zapomnieć.

Kiedyś mama mówiła, że prowadzenie plantacji bez pomocy taty było koszmarem, ale życie w Bloemencamp okazało się znacznie gorsze. Nie mogliśmy patrzeć, jak haruje ponad siły, doskwierał nam głód. Ciasnota też dawała się we znaki, słyszeliśmy niemal każde słowo zza ściany. Nie mogliśmy znieść brudu, wstrętnego jedzenia i bezbrzeżnej nudy. Ale najbardziej ze wszystkiego nienawidziłam *tenko*. *Tenko* było piekłem na ziemi.

Rano i wieczorem ustawialiśmy się w rzędy, a żołnierze nas liczyli:

*Ichi! Ni! San! Shi! Go! Roku! Shichi! Hachi! Kyuu! Ju!*

Jeśli się pomylili, a mylili się prawie zawsze, zaczynali od początku. Ludzie jęczeli, płakali i słaniali się na boki, po czym zginali w ukłonie, gdy przechodził komendant. Wysłuchiwaliśmy jego wywodów, jak to zostaliśmy pokonani i dlatego musimy być posłuszni, uprzejmi i wdzięczni za „gościnność” i „opiekę”. Jakby tego było mało, żołnierze zawsze się kogoś czepiali, pod byle pretekstem. Kiedyś uwzięli się na babcię Grety, panią Moonen. Miała lekko uniesiony kącik ust, może po wylewie, nie wiem, w każdym razie stała z przodu i komendant nagle zwrócił na nią uwagę. Pomyślał pewnie, że się z niego śmieje, bo szczeknął coś do strażnika i po chwili wywleczono ją z placu. Następnego ranka zobaczyłam, jak Greta owija ogoloną głowę babci zakrwawionym bandażem.

Spośród przeróżnych kar stosowanych przez Japończyków golenie na łyso stanowiło najczęstszą. Wymierzano ją publicznie i golono byle jak, żeby upokorzyć ofiarę. Większość kobiet obwiązywała głowę szalem i tak chodziła. Inne kobiety często

obcinały kosmyki i doczepiały je z przodu szalika. Matka też to robiła, jej niegdyś bujne włosy sięgały obecnie zaledwie do ramion.

– Dlaczego nie uciekniemy, po prostu? – zapytał któregoś ranka Peter.

– No właśnie – podchwyciłam. – Nas są tysiące, a ich tylko garstka.

– Ale mają karabiny i bagnety – zauważyła matka. – I zrobiliby z nich użytek.

– Poza tym – dorzuciła Kate – nie byłoby gdzie się ukryć. Złapaliby nas, przyprowadzili z powrotem i pewnie zabili. Nie martw się, kochanie – powiedziała do Corrie. – Nic takiego się nie stanie.

– Nie mam zamiaru próbować ucieczki – oświadczyła matka. – Moim celem jest przeżyć, przez wzgląd na dzieci.

– Tak jest – potwierdziła Kate. – Przetrwam, dla moich dziewczynek... choćby miało mnie to zabić! – dodała w przypływie wisielczego humoru.

Pamiętam, jak straszliwie wolno mijał czas. Straciliśmy rachubę, chociaż matka próbowała liczyć upływające tygodnie i miesiące i codziennie stawiała znaczek na ścianie. Staraliśmy się nie rzucić strażnikom w oczy, aby nie narazić się na karę. Dlatego w czasie *tenko* stałam z kamienną twarzą, rozmyślając o ojcu, o plantacji, o Ferdim i Słodkim oraz tym, z jaką chęcią zjadłabym mango, i wcale nie słuchałam tyrady komendanta. Aż tu nagle pewnego dnia, jakiś rok po naszym przybyciu do obozu, tłumaczka oznajmiła, że zostaniemy przeniesieni. Wśród zebranych rozległ się szmer zdziwienia. Matka szepnęła, że przenoszą nas do innego obozu, zwanego Tjihapit. Wówczas tłumaczka znów podniosła megafon i poleciła natychmiast iść się pakować. Mieliśmy zabrać wszystko, co zdołamy unieść, lecz nie wolno było przemycać „rzeczy zakazanych”. Nasz bagaż zostanie przeszukany przy bramie.

Po powrocie do domu zastanawialiśmy się, co jest zakazane.

– Wszystko, co holenderskie – powiedziała Kirsten. – W tym pieniądze, monety i banknoty... z wizerunkiem królowej Wilhelminy.

– I pomarańczowe – dorzuciła Ina. – Chociaż... – Zadarła sukienkę, ukazując pomarańczową wstążkę doszytą do majtek. Wyszczrzyła zęby. – Jak wam się podobają moje królewskie gacie?

– Cudne – pochwaliła Loes. – Na *tenko* przywiązuję sobie do palca u nogi pomarańczową włóczkę, dzięki czemu kłaniam się Holandii, a nie zawszonym Japończykom.

– Żadnych flag holenderskich – wyliczała dalej Kirsten, pakując walizkę. – Żadnych części radiowych – dodała śpiewnym głosem – żadnych nożyczek, noży ani... Boże uchroni!... książek!

Zasmuciło to moją mamę, bo czytanie, jak często mówiła, „stawia ją na nogi” po ciężkim dniu. Ale musieliśmy złożyć wszystkie książki na stertę w ogrodzie, gdzie zostaną spalone; nie mogliśmy zabrać nawet Biblii. Ina przywołała mnie do siebie i rozchyliła żakiet: ukryła pod podszewką kilka kartek wydartych ze Starego

Testamentu.

– Moje ulubione psalmy – szepnęła i przyłożyła palec do ust.

– Żadnych piór i papieru – recytowała Kirsten, zajęta pakowaniem. – Żadnych kart ani gier planszowych.

Matka spojrzała na Petera.

– Musisz zostawić szachy.

– Przecież obiecałem, że je oddam! Nie mogę tego zrobić! – Łzy napłynęły mu do oczu. – Nie mogę, mamusiu.

– Musisz, Pietje – powiedziała. – Nie możemy ryzykować, że je znajdą.

– Bo ukaraliby mamę, a nie ciebie – burknęłam ze złością. – Chcesz tego?

Matka wytarła mu oczy.

– Po wojnie kupimy Jai przepiękną nową szachownicę.

Peter przełknął ślinę.

– Słowo?

– Słowo. Jeszcze ładniejszą niż ta.

Podniosło to Petera na duchu.

– Zawsze marzył o szachownicy z onyksu i marmuru.

Mama się uśmiechnęła.

– I taką dostanie. Kupię mu najpiękniejszą szachownicę z onyksu i marmuru, jaką znajdę. Masz na to moje uroczyste słowo honoru.

Peter pociągnął nosem, po czym wyjął szachownicę z walizki. Westchnął z żalem i odłożył ją w kącie pokoju.

Zakazano też rodzinnych fotografii, ale matka nie chciała rozstać się ze zdjęciem taty, więc zaszyła je w misiu Petera wraz z kartką, którą od niego dostaliśmy.

Próbowaliśmy dociec, dlaczego nas przenoszą. Nikt nie miał co do tego pewności. Krążyły różne pogłoski: że Japończycy przegrywają wojnę, że wygrywają, że nadchodzą alianci i odbijają kolejne wyspy. Ktoś mówił, że Tjihapit to obóz karny, prowadzony przez Kempeitai, z którego nikt nie wychodzi żywy, inny twierdził, że nie, na pewno jest lepiej niż w Bloemencamp, mniej ludzi i więcej żywności.

Ale mnie nie obchodziło, jak tam jest. Liczyła się zmiana – coś, co odrywało nas od monotonii życia.

## ROZDZIAŁ 10

W środowe popołudnie nagrywałyśmy godzinę, gdy uświadomiłam sobie z poczuciem winy, że Klara jest wykończona.

– Zmęczyłaś się, Klaro – powiedziałam. – Kończymy. Zagapiłam się, pochłonięta twoją opowieścią.

– Tak. – Westchnęła ze znużeniem. – Chyba wystarczy tych wspomnień na dziś. Zresztą zaraz muszę otworzyć sklep.

Wyłączyłam dyktafon.

– Zostawię cię, żebyś chwilę odpoczęła. – Schowałam dyktafon do torby i wstałam.

– Nie idź jeszcze, Jenni – poprosiła. – Chcę ci coś pokazać.

Usiadłam, ucieszona, że Klara chce się czymś ze mną podzielić z własnej inicjatywy. Zdjęła wieczko z drewnianej szkatułki, która intrygowała mnie od pewnego czasu.

– Mówiłam, że wyjechaliśmy z Jawy z niczym – powiedziała cicho. – Ale zachowałam kilka drobiazgów na pamiątkę tego, że przeżyliśmy. Oto jeden z nich. –

Wyjęła białą chustkę, porządnie złożoną, strzepnęła ją i rozłożyła na stole. Była batystowa i obszyta koronką, z czerwonym i niebieskim haftem. Pośrodku widniał okrąg, wewnątrz wyszyto drukowanymi literami napis „Bloemencamp, Bandoeng, czer 43–44”. Dokoła wyhaftowano drobnymi literkami około trzydziestu nazwisk.

– To dzieło mojej matki – wyjaśniła Klara. – Wyszyła nazwiska wszystkich kobiet i dzieci, które z nami mieszkały.

*Loes van Rozelaar*, przeczytałam. *Liesbeth de Jong...* *Kate van der Velden...* *Hanke Sillem...* *Martha Tromp...* *Kirsten Zwaan...*

– Jest Kate. – Wpatrywałam się w chustkę jak urzeczona. – I Kirsten... nie ma innej Kirsten, więc to musi być ona. – *Marjolein de Bruin*. – I Marjolein, właścicielka domu. *Ina*. – *Ina Bogaardt*.

– A tu moja matka – uzupełniła Klara. *Anneke Bennink*. – Wyszywała wieczorami. Uważałam, że to strasznie ciężka praca, takie misterne ściegi przy sztucznym świetle, ale twierdziła, że to dla niej ważne, bo chciała zapamiętać wszystkie nazwiska.

– Są też same imiona – zauważyłam. *Corrie...* *Angelika...* *Yan...*

– To dzieci. Matka chciała w ten sposób odróżnić je od dorosłych. – *Saskia...* *Sofie...* *Klara...* *Peter...*

– Chciałabym zrobić zdjęcie, do książki. Jutro lub pojutrze przyniosę aparat, dobrze?

Klara złożyła chustkę.

– Oczywiście. – Kiedy odkładała ją do szkatułki, mignęło mi coś jeszcze.

– Co to?

Wyjęła zeszyt w skórzanej oprawie, podrapanej i spłowiałej od słońca. Spojrzała na niego i mi podała. Popatrzyłam na wytłoczone inicjały „AKB”.

– Należał do twojej mamy?

– Tak. Anneke Katrien Bennink.

– To jej dziennik?

– Nie. Nie prowadziła dziennika.

– Mogę otworzyć? – Klara kiwnęła głową. Ostrożnie przerzuciłam pierwsze kartki, o pozółkłych, kruchych brzegach.

„Gulasz irlandzki”, napisano drobnym, schludnym charakterem pisma. *Een pond rundvlees... twee uien... vijf wortels*. Przewróciłam kartkę. „Szarlotka”... *Vier Kookappels... 200 gram bloem... 200 gram poedersuiker... een theelepelle vanille...* Zajrzałam na kolejną stronę. „Pudding ryżowy...”.

– Spisała je w czasie pobytu w Tjihapit – usłyszałam głos Klary.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Po co ktoś miałby pisać w obozie koncentracyjnym książkę kucharską?

– Powiem ci po co, Jenni. – Wskazała na zegar. – Ale następnym razem, bo muszę się zbierać. – Podniosła się sztywno. – Nie znoszę spóźniałstwa, jest w złym stylu i źle wpływa na interesy.

Odniosłam naczynia do kuchni i postawiłam na blacie.

– Musi być ci ciężko – powiedziałam – wspominać te bolesne sprawy, a potem iść do klientów i rozmawiać, jak gdyby nigdy nic.

– Jakoś sobie radzę – skwitowała. – Jest ciężko, tak jak uprzedzałaś, lecz łatwiej, niż się spodziewałam, może dlatego, że dobrze mi się z tobą rozmawia, Jenni. Czuję, że chcę z tobą rozmawiać, jakbyś wysnuwała ze mnie opowieść i nawijała ją jak włóczkę na motek.

– Jakbym cię rozplątywała? – zażartowałam.

– Tak, w pewnym sensie to robisz. – Przyglądała mi się przez chwilę. – Nie mogę dociec, gdzie się spotkałyśmy.

– Nie spotkałyśmy – zaproponowałam łagodnie.

Pokręciła głową.

– Jestem pewna, że tak. Może rozmawiałyśmy na drodze albo na plaży. – Westchnęła. – A może zawodzi mnie pamięć, jak Jane.

– Ale dlaczego miałabyś pamiętać, jeśli to było dwadzieścia pięć lat temu? – Poczułam, że krew uderza mi do twarzy.

– Czyli byłaś tu... w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym?

Serce zabiło mi mocniej w piersi.

– Zgadza się.

Klara zamruwała.

– Coś odświeży mi pamięć i nagle sobie przypomnę. – Ruszyliśmy do drzwi. –

Jesteś zadowolona z tego, co nagrałyśmy do tej pory?

– Bardzo – odpowiedziałam, zadowolona też ze zmiany tematu. – Ale chciałabym dodać jeszcze jeden element, coś od twojej rodziny. Może jakieś anegdoty bądź po prostu parę słów o tym, jak cię bliscy widzą i ile dla nich znaczysz. To da nam inną perspektywę i włączy te osoby w proces tworzenia.

– Dobry pomysł. Kogo chcesz poprosić? Henry’ego i Beth? Vincenta?

– Tak, i ich dzieci. Pogadam z Adamem, gdy się zjawi, a z córką Vincenta mogę porozmawiać przez telefon lub wyśle mi coś pocztą elektroniczną.

– Jill na pewno się zgodzi. Mieszka w Rzymie, jutro podam ci namiary.

– Myślałam też, aby poprosić kogoś z twoich przyjaciół.

– Hm, Jane, oczywiście. Zapewne coś pamięta, ale trudno przewidzieć co. Jej wspomnienia przychodzą i odchodzą, jak fale.

– Mieszka niedaleko?

Klara przytaknęła.

– W domu opieki w Trelawn. Odwiedzam ją co tydzień, więc mogłabyś ze mną pojechać, przywozę ją tutaj lub spotkamy się w St Mawes. – Zeszliśmy po schodach na podwórko, Klara otworzyła sklep i zwróciła się w moją stronę. – Chcesz chleb albo ciasto? Może owoce? Mamy mnóstwo jaj, może weźmiesz opakowanie.

– Nie trzeba, bardzo dziękuję, Klaro. Mam pełną lodówkę, w razie czego zrobię zakupy w Trennick.

– Faktycznie, sklep jest otwarty do dziewiątej, a w Boathouse podają świetną rybę z frytkami, gdybyś nie miała ochoty gotować. Zresztą zawsze możesz zjeść z nami, wystarczy zapukać.

Zawahałam się. Nie chciałam wyjść na niewdzięcznicę, ale chyba nie zdzierżyłabym kolejnego rodzinnego obiadu.

– Miło z twojej strony, Klaro, ale zostanę u siebie.

– Rozumiem. No to... – Uśmiechnęła się. – Do jutra.

Gdy wracałam do Lanhay, było jeszcze jasno. Pochłaniała mnie opowieść Klary. Jakbym widziała jej matkę ciągnącą wózek z meblami, Kate, która usiłuje przekopać stwardniałą ziemię, katowanie Grety i Marjolein, zapłakane dzieci, bez czapek w skwarze. Moje własne życie i problemy zeszły na dalszy plan.

W domu czekała na mnie wiadomość od Honor. Chciałam z nią pogadać od ślubu Niny, ale jakoś się mijałyśmy. Odpisałam z informacją, gdzie jestem i po co. Ze względu na słaby zasięg podałam jej numer stacjonarny. Minutę później rozdzwonił się telefon.

– Jenni!

– Honor! – Roześmiałam się. – Szybka jesteś.

– Strasznie chciałam z tobą pogadać. Wybacz, że nie dzwoniłam, ale co u ciebie? Na chwilę spuszczam cię z oka, a ty znikasz na drugim końcu kraju!

- Wszystko szybko się potoczyło. A ty gdzie jesteś?
- W studiu, czekam na wywiad do niedzielnej audycji. Zatem jesteś w Kornwalii i spisujesz wspomnienia matki chrzestnego Niny, tak?
- Zgadza się. – Opowiedziałam jej, jak do tego doszło.
- Zauważyłam, że uważnie ci się przysłuchiwał. Wiem, że nie możesz mówić swobodnie, ale ciekawa jest?
- Przedstawiłam jej pokrótce, co i jak.
- To były obozy koncentracyjne?
- Tak, ludzie żyli w strasznych warunkach, byli głodzeni i zamęczani.
- O Boże... wyobrażasz sobie z tym żyć?
- Klarze się udało. Wreszcie zdecydowała się o tym mówić.
- A ty siedzisz i słuchasz?
- Podrzucam jej pytania, ale z grubsza rzecz biorąc, tak.
- To musi być trudne, kiedy obca osoba opowiada ci takie drastyczne rzeczy.
- Klara ma gorzej, ból jest wciąż żywy. Pamięta wszystko jak dziś.
- Denerwuje się?
- Tak. Czasem płacze.
- I wtedy co, przerywasz nagrywanie?
- Nie. Podaję Klarze chustkę i nagrywam dalej. Wiem, że to zabrmi bezdusznie, ale jej łzy to ważny aspekt tej historii.
- Jasne, czasem też tak mam, gdy przeprowadzam wywiady. A gdzie dokładnie mieszka?
- Na południu Kornwalii, na Roseland.
- Nie znam tych okolic, byłam tylko na północy. Zmieniając temat, mam ci coś ważnego do powiedzenia... – Teatralnie zawiesiła głos.
- No?
- Nina wróciła z miesiąca miodowego.
- Super. – Zastanawiałam się, co w tym takiego niezwykłego. – Dobrze się bawili w Prowansji?
- Wygląda na to, że świetnie; żałowała, że nie mogli dłużej zostać. Powiedziała też, że jest...
- Co? W siódmym niebie?
- Nie, to znaczy też, ale ja nie o tym. Jest... no nie domyślasz się, Jen?
- W ciąży? – mruknęłam.
- Tak! Czy to nie cudowne?
- Ku swojemu zdumieniu poczułam, że jestem bliska płaczu.
- Właśnie się dowiedziałam – usłyszałam jak przez mgłę głos Honor. – Nikomu nie pisnęła nawet słówka, nawet nam, dopóki nie miała pewności.
- To zrozumiałe.

– Ale dziś rano miała pierwsze USG i wszystko gra. Próbowała się do ciebie dodzwonić, ale nie mogła, więc mam pozwolenie, żeby ci powiedzieć.

– Cudownie. – Przełknęłam łyżę i policzyłam w myślach. – Pierwsze USG robi się w dwunastym tygodniu.

– Tak?

– Uhm, to znaczy, że dzidzius urodzi się... w połowie maja.

– Właśnie tak powiedziała. Chciałaby wyprawić chrzciny w pierwszą rocznicę ślubu, więc mamy sobie zapisać w kalendarzu. Myślisz, że będzie chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec.

– Wolałabym dziewczynkę, żeby jej kupować śliczne sukienki, ale i tak je pokochamy.

– Jasne. – Zobaczyłam siebie z dzieckiem Niny na rękach, pulchną łapkę zaciśniętą na moim palcu. – Na pewno...

– Jak tam Rick? – trajkotała Honor.

– Dobrze...

– Odwiedzi cię w Kornwalii?

Chwilę zwlekałam z odpowiedzią.

– Raczej nie.

– Mielibyście okazję spędzić razem kilka dni poza Londynem. Niedługo ma wolne, nie?

– Tak, ale...

– Brak czasu? Jesteś zbyt zajęta?

– Nie o to chodzi. Nawet Klara sama zaproponowała, żeby przyjechał. Ale... ostatnio trochę nam się nie układa.

– Och... tak mi się coś zdawało na ślubie. – Honor westchnęła z przejęciem. – Mogłaś mi powiedzieć, Jen. Zawsze cię zanudzam swoimi sprawami, a ty wszystko dusisz w sobie. Co się stało?

– Nic wielkiego. Po prostu doszliśmy do wniosku, że chcemy... czegoś innego. Ale wolałabym na razie o tych sprawach nie rozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Muszę się skupić na pracy. Wszystko po kolei.

– Jasne. – Honor nie naciskała. – Ale zadzwoń do mnie do domu, jeśli przyjdzie ci ochota na pogaduchy. Później będę.

– Dzięki, kochana. Może zadzwonię. Powiedz mi jeszcze, miałaś wiadomość od Ala?

Jęknęła.

– No właśnie nie. I trochę mnie to wkurza, zwłaszcza że dał mi swoją wizytówkę. À propos, Al to skrót od Alastaira, nie Alexandra ani Alana, gdyby cię to interesowało.

– Aha. Spędzało mi sen z oczu.



– Myślałam, że zadzwoni – zawodziła Honor. – Tyle rozmawialiśmy...

– Czemu sama nie zadzwonisz?

– Nie chcę się narzucać.

– Pomyliłaś epoki? Zawsze możesz udać, że chodzi o wywiad na temat współczesnej ortodoncji.

– Całkiem niegłupi pomysł. Wiesz, że nawet młodzież z prostymi zębami chce nosić aparat, bo to modne? Dziwne, nie? Ale wciąż nie mogę ochłonąć po tym, co powiedział o moim zgryzie. Nikt, oprócz mamy, nigdy nie powiedział mi, że mam coś idealnego. Chociaż czekaj, kiedyś usłyszałam od ginekologa, że mam bardzo ładną... oho, producent woła, muszę lecieć! Ale zadzwoń, Jen! Serio mówię. Pa.

Odkładając z uśmiechem słuchawkę, żałowałam, że nie powiedziałam jej o Ricku, ale nie chciałam o tym mówić przez telefon. Zresztą, nie skłamałam: musiałam skupić się na opowieści Klary. Wymagała stuprocentowej uwagi.

Usiadłam przy kuchennym stole i przystąpiłam do przepisywania dzisiejszego materiału. Gdy doszłam do chusteczki, zastanawiałam się, ile z tych kobiet przeżyło. Pomyślałam o matce Klary, która uwieczniła imię syna, nieświadoma tego, co nastąpi. Peter z opowieści Klary był pełen życia. Świadomość nieuniknionej – i niesprecyzowanej – tragedii przejmowała mnie grozą.

Do wpół do ósmej skończyłam przepisywać i dwukrotnie przeczytałam całość. Wykończona, otworzyłam wino i wypiąłam duży kieliszek. Ugotowałam sobie makaron i wypiąłam kolejne dwa kieliszki, potem nasza mnie chęćka na espresso. Znalazłam w szafce filtry, ale nie było mielonej kawy. Miałam taką ochotę, że postanowiłam iść do sklepu.

Kluczyk do samochodu leżał obok telefonu. Podniosłam go, po czym spojrzałam na do połowy opróżnioną butelkę wina i go odłożyłam. Co też mi przyszło do głowy? Przecież nie mogłam prowadzić. Rozochociona winem, narzuciłam płaszcz, chwyciłam latarkę i wyruszyłam pieszo.

Ogromny księżyc wisiał nisko, spowijając wszystko mlecznym światłem. Na ścieżce usłyszałam sowę, a potem stłumiony ryk morza, z każdą chwilą coraz głośniejszy, w miarę jak podchodziłam do plaży. Gdy weszłam na pochylnię, zerwał się wiatr, chłostał policzki i szarpał za włosy. Piasek jaśniał w dole, poszarpane skały czerniały na tle morza skąpanego w księżycowej poświacie.

„Niedługo przypląw”.

„A kto przypląynie?”.

„Morze, głuptasie...”.

„Musimy się spieszyć”.

Przebiegłam plażę, wdychając zapach morza, następnie wspięłam się po granitowych schodkach na ścieżkę, minęłam zagajnik rzeźbionych wiatrem drzew i znalazłam się na skraju wioski. Drzewny zapach dymu wisiał w powietrzu.

Pamiętałam wąskie uliczki Trennick, chaty pomalowane na biało, pub Trzy Pióra oraz kawiarnię. Gdy zbliżałam się do placu, światło z witryny rzucało na drogę złoty prostokąt. Kupiłam kawę i wrzuciwszy ją do torby, skierowałam się tam, skąd przyszłam.

Chwilęostałam na klifie i popatrzyłam na morze; księżycowa poświata zebrała się na wodzie niczym plama płynnego srebra. Zeszłam po schodkach, ale zamiast przejść przez plażę, zbliżyłam się do brzegu. Stałam i patrzyłam, jak fale zwijają się na piasku, wsłuchana w szmer kamyków. Odwróciwszy się, ruszyłam naprzód, po czym nagle przystanęłam i serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Usłyszałam krzyk.

„Evie... Evie... Zaczekaj...”.

# ROZDZIAŁ 11

## KLARA

W dniu przeprowadzki wynieśliśmy materace na zewnątrz, skąd miała je zabrać ciężarówka, i ruszyliśmy do bramy z naszym *barangiem*. Szybko uwinęliśmy się z pakowaniem. Po roku w Bloemencamp nasz dobytek skurczył się do ułamka tego, z czym przyjechaliśmy. Ina miała tylko jedną małą torbę, więc niosła jedną z bliźniaczek, Sofie, a Corrie Saskię. Kate założyła plecak, podniosła bagaż i wszyscy poszliśmy w stronę bramy.

W kolejce czekały już setki kobiet, wiele w kilku warstwach odzieży, otoczone walizkami, kuframi, koszami, torbami i prowizorycznymi „tobołkami” z prześcieradeł. Większość miała garnki przytroczone do plecaków, a także czajniki, nocniki, miotłki do kurzu, wiadra, a nawet składane krzesła.

– Jak one to mogą dźwigać? – zwróciłam się do Kirsten.

– Wiedzą, że nie mają daleko – odpowiedziała. – Podobno Tjihapit jest po drugiej stronie ulicy.

– Naprawdę? – spytała mama.

Kirsten pokiwała głową.

– Idziemy tylko do innej dzielnicy północnego Bandungu.

Przesuwaliśmy się z morderczą powolnością, bo żołnierze sprawdzali każdą torbę, rozkładali ubrania i zaglądali do kieszeni w poszukiwaniu „kontrabandy”.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Kobieta niedaleko nas zemdląła i trzeba było ją cucić. Wszędzie płakały dzieci. Sofie zaczęła krzyczeć; pamiętam, że też miałam na to ochotę. Nagle zwymiotowała na ramię Iny.

– Nie szkodzi, maleńka – zagruchała Ina. – Zaraz cię wytrzymy. – Wzięła od Kate butelkę wody, wytarła szmatką buzię Sofie, po czym przetrąła jej ubranie i swoją sukienkę. – Niedługo będziemy na miejscu, kochana, mamusia cię weźmie i...

Usłyszeliśmy krzyki oraz szmer przejętych głosów. Przekazywano sobie wiadomość, że przyłapano kobietę na próbie przemytu „zakazanych” rzeczy – podobno atlasu i dziesięciu guldenów. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy tę dziewczynę, stała z boku, z rękami wyciągniętymi nad głową; nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Czerwona pręga przecinała jej policzek, a oko spuchło tak, że nie mogła go otworzyć. Chyba ją przewrócono, bo miała zakurzone ubranie.

– Teraz rozumiesz, czemu nie pozwoliłam ci wziąć szachów – szepnęła matka do Petera. Żałośnie pokiwał głową.

– Biedaczka – szepnęła Kate. – Każą jej tak stać cały dzień, to ich metoda.

Dwie godziny później, gdy dotarliśmy na początek kolejki, dziewczyna nadal stała, z podniesionymi rękami i zwieszoną głową, nie wiem, czy ze zmęczenia, czy żeby nie widzieć wlepionych w nią spojrzeń.

Żołnierze przejrzeni torbę Iny, a następnie przeszukali kieszenie jej zakietu. Drżałam, że znajdą kartki z Biblii, ale nie znaleźli i przepuszczono nas bez żadnych kłopotów.

Tjihapit sprawiał wrażenie znacznie większego w porównaniu z Bloemencamp i bardziej ruchliwego. Na ulicach roiło się od nowo przybyłych objuczonych bagażami, błędzących w poszukiwaniu nowego lokum. Widziałam też kobiety i nastolatków w drodze z i do pracy lub niosących puszki z jedzeniem z *dapuru*. Panie „od mebli” pchały wózki wyładowane komodami, stołami i krzesłami, a nawet pianinami. Dzieci bawiły się na chodnikach prowizorycznymi zabawkami: jedne „grały” na puszkach nawleczonych na sznurek, inne toczyły patykami koła rowerowe, niektóre chude i apatyczne po prostu siedziały na krawężnikach i robiły teatrzyk z dłoni.

– Ładne domy – zauważyła z przekąsem Kirsten.

Ogrody, obwieszane girlandami prania, zdziczały, wybite okna przypominały połamane zęby, okiennice zwisały jak opadające powieki, a farba łuszczyła się jak liszaj.

Kate, jej córeczki oraz Ina miały zamieszkać w tym samym domu przy Riowstraat, a Kirsten i nasza rodzina niedaleko, przy Houtmanstraat.

Zobaczywszy dom, poczułam ulgę – był dwukrotnie większy od poprzedniego na Orchideelaan. Ale gdy weszliśmy do środka, podupałam na duchu, gdyż mieszkało w nim już około pięćdziesięciorga kobiet i dzieci. Suszarnia, gdzie nas przydzielono, wychodziła na brudne podwórko, za którym wznosił się *gedek* zwieńczony drutem kolczastym.

Rozlokowaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy. Kirsten położyła materac w rogu pokoju dziennego, kilka metrów od nas.

– Nie ma jak w domu – oznajmiła, rozwieszając *kelambu*.

Ponieważ Houtmanstraat znajdowała się na skraju obozu, docierały do nas odgłosy świata zewnętrznego, gdakanie kurcząt niesionych na targ, warkot autobusu i dzwonienie dzwonek rowerowych. Czasem słyszeliśmy okrzyki ulicznych sprzedawców, które to cichły, to znów przybierały na sile.

W Tjihapit poszczęściło nam się pod tym względem, że matka nie musiała już targać mebli, tylko wyznaczono ją do przygotowywania warzyw w *dapurze*. Prosiliśmy z Peterem, żeby zrobiła z tego użytek, więc raz czy dwa udało jej się wynieść marchewkę. Ale gdy inna pracownica zwinęła kawałek wieprzowiny i mało nie została zlinczowana przez tłum rozwścieczonych kobiet ciskających kamienie, mama przysięgła, że więcej nie ukradnie żadnego warzywa.

Za to ślimaki były do wzięcia. Któregoś dnia w mokrej alejce za naszym domem matka znalazła ogromnego *keonga* i go nam przyniosła.

– Znajdziemy następne – oznajmiła, z dumą pokazując nam swoją zdobycz – i ugotujemy. No, Francuzi lubią ślimaki – zaoponowała na widok naszych grymasów. –

Uważają je za przysmak i podają w najlepszych restauracjach.

Zatem ruszyliśmy na łowy i po pierwszej wyprawie przynieśliśmy dziesięć. Mama podgrzała puszkę wody i je ugotowała; pamiętam, jak ogromnie syczały. Ponieważ wciąż były twarde, ugotowała je ponownie, a następnie przykryła ścierką i utłukła między dwiema cegłami, żeby skruszyć mięso. Wreszcie je pokroiła, dorzuciła do naszego ryżu i poczęstowała Kirsten, która też dzieliła się z nami jedzeniem.

Kirsten cmoknęła czubki palców.

– Mmm! Najlepsze ślimaki, jakie jadłam w życiu.

– Jadłaś już ślimaki? – spytał Peter.

– Nie. Dlatego te są najlepsze.

Ku naszemu zdziwieniu ślimaki okazały się dobre, lecz wiadomość szybko się rozeszła i niebawem w Tjihapit nie został ani jeden *keong*. Podobny los spotkał węże, szczury i żaby, ku mojej rozpaczy ucichło też swojskie cykanie świerszczy.

Stopniowo poznawaliśmy pozostałych lokatorów naszego domu, na przykład Ilse z plantacji herbaty z centralnej Jawy. Japończycy zastrzelili jej męża, gdyż odmówił oddania kluczyków do samochodu. Przypomniałam sobie nalegania matki, żeby ojciec oddał swoje. Była też Shirin, piękność z długimi, ciemnymi włosami i brązowymi oczami pełnymi wyrazu, najczęściej smutku i rezygnacji. Myślałam, że Shirin jest *Belanda Indo*, ale w czasie jednej z rozmów na schodach powiedziała mi, że jej ojciec był Persem. Mieszkała w Balikpapanie na Borneo, gdzie jej mąż pracował dla Dutch Oil. Ewakuowano ją przed nadejściem Japończyków, wraz z pozostałymi kobietami i dziećmi. Mąż i jego współpracownicy zostali i zdołali wysadzić rafinerię, częściowo ją niszcząc. Shirin dodała spokojnym tonem, że wszyscy zostali ścięci. Zatem krążące pogłoski okazały się prawdą.

Była też inna ślicznotka, blondynka o imieniu Vena. Nosiła dopasowaną spódnicę i białą, koronkową bluzkę, przez którą prześwitywała goła skóra. Co rano malowała usta czerwoną szminką i stawała przy bramie. Zapytałam Kirsten, dlaczego Vena się tak ubiera i czemu inne kobiety z naszego domu ją przezywają.

– Nie znoszą Veny – odparła. – Jest miła dla Japończyków w nadziei na lepsze traktowanie.

Dało mi to do myślenia.

– A my nie możemy być mili? – Tak wychudliśmy, że ten pomysł wydał mi się sensowny.

Kirsten zaśmiała się ponuro.

– Kochanie, uwierz mi, lepiej głodować.

Byłam pewna, że nie. Zastanawiałam się, co też robi Vena, żeby być „miłą” dla Japończyków. Zagaduje ich? Opowiada kawały? Śpiewa? Cokolwiek się pod tym kryło, chyba dopięła swego, gdyż po jakimś czasie zobaczyłam, jak odchodzi z walizką, pewnie na wolność, bo więcej jej w obozie nie widziałam.

Jednym z naszych utrapień w Tjihapit były ustawiczne przeszukiwania: żołnierze kazali nam wychodzić, a sami przetrząsali dom w poszukiwaniu „kontrabandy”. Na dodatek bez przerwy czegoś zabraniano. Dawniej mieliśmy pogadanki i kółka robienia na drutach, ale ich zakazano, podobnie jak *gedekkingu*, który jednak nadal potajemnie się odbywał. Jedna z naszych współlokatorek przekradła się przez rów kanalizacyjny, wyszła z obozu i wróciła z bananami. Gdyby ją przyłapano, zostałaby wychłostana. Kilka dni później doszły nas słuchy, że ktoś wymienił suknię koktajlową za dziesięć jajek. Otrzymawszy jajka, kobieta próbowała przerzucić suknię przez ogrodzenie, ale zahaczyła nią o drut kolczasty. Indonezyjczyk chciał zdjąć ją kijem, lecz zobaczył go strażnik i mężczyznę odciągnięto.

Następnego dnia stała się rzecz, która prześladowe mnie po dziś dzień. O świcie kazano wszystkim wyjść na plac. Przyszedł komendant i kazał właścicielce sukni wystąpić z szeregu. Nikt się nie poruszył.

– Będziecie tak stać, dopóki się nie przyzna! – wrzasnął.

Sterczeliśmy w słońcu przez cały ranek, aż do popołudnia. Dzieci płakały. Dorośli jęczeli. Parę osób zemdlało, dostało udaru, kilka posikało się lub narobiło pod siebie. Wiedzieliśmy, że komendant bez skrupułów każe nam tak stać kilka dni. Musiał, żeby „zachować twarz”, *gedekking* bowiem oznaczało, że cierpieliśmy głód, a to źle świadczyło o jego zarządzaniu obozem.

Po ośmiu godzinach marzyłam tylko o powrocie do domu, bez względu na rozstrzygnięcie sytuacji. Jakaś starsza kobieta zmarła, kilkoro dzieci cierpiało z powodu udaru słonecznego. Niemowlęta krzyczały z bólu i głodu.

– Czy ta kobieta nie ma serca? – szeptało z furją.

– Dlaczego się nie przyzna?

– A w ogóle co to za jedna? Czy ktoś wie?

Gdy słońce miało się ku zachodowi i wybiła dziesiąta godzina kary, ktoś podał oficerowi nazwisko winowajczyni.

Zawołano komendanta. Przeszedł między rzędami i przystanął. Serce podeszło mi do gardła.

– O mój Boże – usłyszałam szept Kirsten. – To Kate...

Przygotowałam się na wściekłość komendanta, lecz on spoglądał tylko chwilę na Kate, prawie ze smutkiem, po czym ujął ją za łokieć.

– Czekaj – powiedziała. – Proszę... – Odwróciła się do Corrie, mocno ją przytuliła i pocałowała, a następnie szepnęła jej coś na ucho. Potem ucałowała bliźniaczki, które zasnęły u jej stóp, lecz teraz obudziły się i z krzykiem wyciągnęły ręce do matki. Gdy ją odprowadzano, Corrie próbowała pocieszyć dzieci, chociaż sama szlochała.

Od tamtej pory to ona zajmowała się siostrzyczkami, z pomocą Iny. Kate więcej się nie pojawiła.

Śniła mi się przez kolejne miesiące. Rozumiałam, dlaczego się nie przyznała – wiedziała, że może to przypłacić życiem. Potem się zastanawiałam, kto ją wydał i czy ta osoba czuła się podle, czy może wierzyła w słusność swojego czynu. Modliłam się, żeby nigdy nie stanąć przed takim dylematem. Ale nadejdzie chwila, że stanę.

Minął rok od naszego przybycia do drugiego obozu i dzienna porcja ryżu spadła do jednego kubka. Większość kobiet oddawała połowę przydziału swoim dzieciom, ale nie moja matka. Mówiła nam, że te kobiety chorują.

– Nie możesz zachorować, mamó – powiedziałam w przyływie paniki. – Potrzebujemy ciebie.

– Wiem – odrzekła. – Dlatego muszę zachować siły. – Była przeraźliwie chuda, jej dawne krągłości zniknęły. Wieczorami wyciągała z misia zdjęcie taty i przyciskała je do zapadniętej piersi.

Ponownie kazano nam hodować warzywa. Sadziliśmy pomidory i marchew, lecz ku naszej rozpaczy ktoś zawsze je kradł, sąsiedzi albo żołnierze. Kiedyś, pracując w ogrodzie wraz z Shirin, wybuchnęłam płaczem z bezsilności, że hoduję warzywa, których nigdy nie spróbuję. Wyszlochałam, że najchętniej ogrodziłabym naszą działkę, żeby nikt nie mógł się do nich dostać. Shirin przyznała mi rację. Powiedziała, że w dawnym perskim słowo „raj” oznaczało „ogród za murem”. Od tamtej chwili marzyłam, aby kiedyś taki mieć.

– Co za ironia – powiedziała kiedyś smętnie Kirsten – mieszkamy na Jawie, gdzie wszystko rośnie jak szalone, a głodujemy. – Westchnęła ze znużeniem. – Zastanawiałas się nad tym, Klaro?

– Wolę nie – odparłam z goryczą.

W miarę upływu czasu jedzenie stało się naszą obsesją. Odrobina wody zagrzana z kilkoma ziarenkami soli urastała do rangi „pysznej zupy”, a ryż z krążkiem cebuli stawał się „delikatesem”. Tycia kostka cukru w dziennej racji żywnościowej była sensacją, którą żyliśmy przez kilka dni.

Potem nastąpiła dziwna mania zbierania przepisów. Siadałyśmy i czytałyśmy na głos swoje ulubione, dorzucałyśmy w myślach składniki, omawiałyśmy sposób przyrządzania, a następnie „jadłyśmy” gotową potrawę, delektując się nią bez końca. Odkryłyśmy, że ta czynność jakoś uśmierza głód. Przypomniałam sobie przepisy wynotowane z angielskich czasopism Irene. Żadna z pozostałych kobiet ich nie знаła, więc cieszyły się szczególną popularnością. Sąsiadki wpadały do naszego pokoju i kazały mi je czytać, siadały na podłodze, wyciągały kartki i gorączkowo spisywały składniki irlandzkiego gulaszu, zapiekanki z Lancashire lub biszkoptu, sprzecząc się na temat proporcji, bo zamienianie funtów i uncji na gramy kiepsko mi szło. Mama prowadziła książkę kucharską i twierdziła, że po wojnie wypróbuje każdy przepis.

Prawda była taka, że nie mieliśmy prawa głodować. Wiedzieliśmy, że Czerwony Krzyż przysyła paczki z żywnością, ale Japończycy je po prostu rekwirowali.

Dostaliśmy tylko jedną, dwudziestego piątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku; zapamiętałam datę, bo tego dnia przypadały urodziny mamy, która stwierdziła, że to najlepszy prezent urodzinowy, jaki w życiu dostała. Paczka zawierała puszki z masłem, szynką, sardynkami, cukrem i kawą – nic niezwykłego, ale dla nas to była manna z nieba i wydzielaliśmy sobie po troszeczku, żeby jak najdłużej starczyło, i cieszyliśmy się każdym okruszkiem. Jeszcze bardziej krzepiąca niż sama żywność była informacja na etykiecie, że paczki dostarczył amerykański Czerwony Krzyż z Waszyngtonu. Aż do tej chwili mieliśmy poczucie, że świat o nas zapomniał. Tymczasem po raz pierwszy przekonaliśmy się, że ludzie gdzieś daleko próbują nam pomóc. Ta świadomość bardzo nas podbudowała.

Ale było coraz gorzej z jedzeniem. Znowu zmniejszono nam racje, tym razem do połowy kubka gotowanego ryżu dziennie. Nastąpiła fala masowych zachorowań, ludzie mieli wrzody, które nie chciały się goić, zapadali na dyzenterię, niektórym puchły nogi, co świadczyło o beri-beri. Byliśmy w opłakanej sytuacji, bez wyjścia.

– Prawie tęsknię za Bloemencamp – zauważyła kiedyś Kirsten. – Tam jakoś dawaliśmy sobie radę. A w tej dziurze... – uszczypnęła się w chude biodro. – Po raz pierwszy dopuszczam do siebie możliwość, że mogę umrzeć.

– Nie umrzesz – odezwała się matka. – Przetrwasz. Wszyscy przetrwamy i...

– I co, będziemy żyć długo i szczęśliwie? – Kirsten skrzywiła się.

Matka zacisnęła usta.

– Kto może wiedzieć, co się stanie? Ale pomożemy sobie nawzajem, tak?

Kirsten wzruszyła ramionami.

– Nie wszyscy sobie pomagają, prawda?

Miała rację. Często dochodziło do kłótni i awantur, a nawet bijatyk. Dzień wcześniej wywiązała się sprzeczka o mydło, zakończona szarpaniem za włosy i policzkami, dopóki kobiet nie rozdzielono. Inna właśnie trwała: ktoś podniósł głos, bo czyjś *kelambu* zajmował zbyt dużo miejsca.

Taka presja uniemożliwiała zachowanie resztek godności. Jedna z naszych współlokatorek sprzedała obrączkę za kawałek boczku, usmażyła mięso dla swojej trójki dzieci. Chociaż pod drzwi wepchnęła prześcieradło, zapach i tak o mało nie doprowadził nas do szaleństwa. Kilka kobiet się rozplakało, ale pozostałe nie zostawiły na niej suchej nitki, groziły, że wydadzą ją Japończykom.

– Nie mogą się pogodzić – powiedziała Kirsten, kiedy tego słuchaliśmy. – Nie mogą się pogodzić z tym, że karmi swoje dzieci, a one nie mają czym nakarmić swoich.

– Właśnie – przytaknęła Ina. – A przez jej odwagę czują się jeszcze gorzej.

Widząc, jak inne matki nie wytrzymują napięcia, martwiliśmy się z Peterem, że nasza mama też się załamie. Ona jednak miała nieprawdopodobną samokontrolę. Nie wychylała się w pracy i unikała konfliktów z innymi więźniarkami. Czasem złościła się na nas, zwłaszcza gdy skakaliśmy sobie do oczu, co często się zdarzało. Żyliśmy



w ciasnocie, chodziliśmy wiecznie głodni i nudziliśmy się jak mopsy, bo nie mieliśmy zabawek ani książek. Nasze kłótnie wykańczały matkę, ale nigdy nie podniosła na nas ręki. Inne matki biły swoje dzieci i nie dbały o to, kto patrzy.

W owym czasie było nas w Tjihapit kilka tysięcy i z każdym dniem przybywały setki kolejnych więźniów. Po Holendrach i innych Europejczykach przyszła kolej na *Belanda Indos*. Początkowo dawano im spokój, byli przecież Azjatami, toteż uważano ich za sojuszników Japonii, chociaż większość czuła się Holendrami. Dowiedzieliśmy się jednak, że podjęto decyzję o ich internowaniu; Japonia przegrywała wojnę, jej przywódcy postanowili zniszczyć wszelkie wpływy zachodnie. I zobaczyliśmy, jak *Belanda Indos* napływają tłumnie przez bramy obozu.

Przywieźli mnóstwo rzeczy, na które patrzyliśmy pożądliwie, zwłaszcza żywność przyciągała naszą uwagę – kosze pełne kurcząt i kaczek oraz worki mąki i ryżu, aż ciekła nam ślinka. Nigdy nie zapomnę ich przerażenia na nasz widok. Wyglądaliśmy jak szkielety, z brudnymi, zawszonymi głowami, śmierzący na odległość, w podartej lub połatanej odzieży.

– Witamy, witamy – wołała Kirsten, gdy kobiety przechodziły w pobliżu. Niektóre zasłaniały twarze chustkami, tak cuchnęliśmy. – Witamy w naszym kurorcie i mamy nadzieję, że będziecie się dobrze bawiły... choć nie mamy pojęcia, jak się zmieścicie.

Opróżniono kolejne domy bądź poutykano ludzi, gdzie popadnie. Lecz przy takiej masie osób zaczęło brakować wody. Poziom higieny był zatrwazający, szerzyły się choroby. Co gorsza, było jeszcze mniej żywności.

Pewnego ranka Shirin oznajmiła, że Japończycy znaleźli rozwiązanie problemu przeludnienia.

– Tak? A jakie? – spytała niedbale Kirsten. – Pozabijają nas?

– Nie – odpowiedziała z powagą Shirin. – Wyślą kolejnych chłopców do obozów dla mężczyzn.

Zaniepokojona mama podniosła głowę.

– Od ilu lat?

– Trzynastu.

Mama z ulgą przymknęła oczy.

Na początku internowania chłopcom do piętnastego roku życia pozwolono zostać z matkami, lecz niektóre kobiety narzekały, że ci je podglądają albo flirtują z ich córkami. Dlatego posłano ich do obozów dla mężczyzn, bo stanowili „zagrożenie dla kobiet”. Ten sam los spotkał czternastolatków, obecnie zaś padło na chłopców o rok młodszych. Część matek z domu Grety wszczęła akcję protestacyjną. Wszystkie ubrały się na biało, taki jest buddyjski kolor żałoby. Oznajmiły komendantowi, że ci chłopcy to jeszcze dzieci, błagały go o cofnięcie nakazu. Kazał je zbić i zamknąć. Po trzech dniach je wypuszczono i poinformowano, że ich synowie wyruszą transportem skoro świt.

– Nie wiedzą nawet, dokąd ich posyłają – szepnęła mama, gdy chłopcy przechodzili obok naszego domu do podstawionych ciężarówek. Niektóre matki trzymały się dzielnie i nie płakały, ale gdy zapuszczono silniki, wiele z wyciem ruszyło naprzód i wyciągnęło ręce, jakby chciały nimi dosięgnąć synów. Żołnierze zastąpili im drogę i odepchnęli, a ciężarówki wyjechały przez bramę i tyle je widzieliśmy.

Po wyjeździe nastoletnich chłopców ciężka praca w Tjihapit spadła na nas, dziewczęta. Pamiętam, jak musiałam dźwigać ciężkie kotły z jedzeniem w *dapurze* albo wywozić śmieci za bramę. Więźniów jednak przybywało i w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku gruchnęła wieść, iż będą wywozić dwunastolatków. Potem doszły nas słuchy, że niebawem przyjdzie pora na dziesięciolatków. Matka bardzo się zdenerwowała, gdyż Peter miał dziewięć i pół.

Kiedyś, gdy zostałyśmy same, zwierzyła mi się ze swoich obaw.

– Peter musi zostać przy mnie – oświadczyła. – Nie wiemy, jak jest w tych obozach dla mężczyzn, warunki mogą być jeszcze gorsze niż tu, a żywności jeszcze mniej. Nie sądzę, żeby przetrwał nawrót malarii, jeśli zostanie sam.

„Nie sądzę, żeby przetrwał...”.

Serce mało mi nie pękło na te słowa. Ale zdawałam sobie sprawę, że mama traktuje mnie jak dorosłą, nie jak dziecko, i chciałam jej pomóc.

– To co robimy, mamusiu?

Podniosła palec do ust.

– Nikt prócz nas nie wie, ile ma lat – szepnęła. – Skłamiemy co do jego wieku.

– Dobrze – odszepnęłam. – Jest mały, uwierzą nam. – Rozpierała mnie duma, że zostałam jej powierniczką i razem podejmowałyśmy ważne decyzje.

– Pomożesz mi chronić Petera, prawda, Klaro? – spytała.

– Jasne, że tak – obiecałam.

Ale wkrótce pochłonęły nas dwa niezwykle wydarzenia. Dowiedzieliśmy się, że miesiąc wcześniej wyzwolono Paryż. Bez radia nie mieliśmy o tym pojęcia. Nasza radość była tak wielka, że z trudem się powstrzymywaliśmy, aby nie tańczyć i nie śpiewać w obecności strażników. Kilka dni później poinformowano nas w czasie *tenko*, że obóz zostanie „zlikwidowany”. Na te słowa odezwały się okrzyki rozpacz, gdyż wiele kobiet myślało, że wszyscy umrzemy. Od miesięcy szeptano, że z chwilą gdy Japończycy uświadomią sobie własną klęskę, zostaniemy rozstrzelani bądź pozamykani w szkołach lub kościołach i żywcem spaleni. Słyszeliśmy plotki o planach wysłania nas na Borneo i wypuszczenia do dżungli bez jedzenia i wody. Dlatego na dźwięk słowa „likwidacja” wszystkich ogarnęła czarna rozpacz. Wówczas tłumaczka ponownie uniosła megafon i nakazała nam zachować spokój. „Likwidacja”, wyjaśniła, oznacza tylko zamknięcie obozu Tjihapit. Znow mieliśmy zostać przeniesieni.

## ROZDZIAŁ 12

Nasza poranna sesja prawie dobiegła końca. Sporo miałyśmy za sobą, ale ja nie mogłam się skupić. Niebawem dojdziemy do śmierci Petera, obawiałam się tej chwili. Chciałam wyobrazić sobie, jak żyje, dorasta.

– Nadal źle sypiasz? – zapytała Klara, kiedy wyłączyłam dyktafon. – Błado wyglądasz.

– Trochę lepiej, przynajmniej zasypiam, chyba waleriana pomaga. Ale mam te... sny.

– Co ci się śni?

– Peter – odpowiedziałam po chwili wahania.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Śni ci się mój brat?

– Tak. Jakby twoje wspomnienia przywróciły go do życia. Czuję, jakbym go znała, i zadręczam się myślą o tym, co go spotka. Właściwie to nie mogę o tym myśleć... bo... – Twarz Klary się zamazała. – Wybacz – szepnęłam.

Klara osłupiała.

– Nie musisz przeproszać, Jenni, jestem bardzo wzruszona; jakbyś współodczuwała mój smutek tak samo mocno jak ja.

– Bo tak jest. I wiem, jakie to będzie dla ciebie trudne opowiedzieć mi, co się z nim stało.

– Owszem. Ale zawsze jest trudno. Przeżywam to dzień w dzień.

Ponownie zadałam sobie pytanie, dlaczego upływ czasu nie złagodził jej bólu. Nagle przypomniałam sobie coś, co kiedyś przeczytałam o przebytej traumie: jeśli człowiek nie pogodzi się z doznany wstrząsem, skazany jest na wieczne przeżywanie go od nowa.

„Evie...”. „Evie...”.

– Śni mi się ktoś jeszcze – dodałam cicho. – Ktoś, kogo znałam dawno temu.

– Ojciec? – zapytała po chwili.

– Nie, to... – Głos mi się załamał. – To...

Miała zmartwiałą minę.

– Jenni, kochana... proszę cię, nie płacz. – Sięgnęłam do torby po chustkę. – Nie wiem, o kogo chodzi, ale może spróbowałabyś nawiązać kontakt z tą osobą, jeśli rozłąka tak nie daje ci spokoju.

– Nie mogę. Za późno.

– Hm, chcia... chciałabym ci jakoś pomóc, Jenni.

Stłumiłam pokusę opowiedzenia jej wszystkiego w obawie, że wpłynie to na naszą relację. Zresztą przyjechałam tu do pracy, upomniałam się w duchu, a nie żeby mówić o sobie. Przełknęłam łzy i zajrzałam w notatki.

„Ale nadejdzie chwila, że stanę”.

– Wspomniałaś o dylemacie, Klaro. O co ci chodziło?

Zbladła.

– Byłam zmuszona dokonać wyboru, który do dziś mnie prześladowuje. Opowiem ci o tym, Jenni, ale jeszcze nie jestem gotowa. Proszę o chwilę cierpliwości.

– W porządku, Klaro. Nie ma pośpiechu.

Wiedziałam, że musi sama wybrać odpowiedni moment.

Otwierając drzwi, usłyszałam dzwonek telefonu stacjonarnego. Podniosłam słuchawkę.

– Jenni? – To była Honor. – Słuchaj, mam kilka dni wolnego. Przygotowałam materiał do niedzielnej audycji, a reszta pójdzie na żywo, więc trafiło mi się czterodniowe okienko.

– No to baw się dobrze.

– Zamierzam. Dlatego dzwonię: wpadłam na pomysł, żeby do ciebie przyjechać.

– Gdzie? Tutaj?

– Tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Chcesz się u mnie zatrzymać?

– No, nie muszę, mogę znaleźć jakiś pensjonat. Ale byłoby super spędzić z tobą trochę czasu i zwiedzić kawałek południowej Kornwalii. Myślałam, że mogłabym pojechać kuszetką jeszcze dziś wieczorem, rano byłabym na miejscu. Jeszcze mają miejscówki, przed chwilą sprawdziłam.

– Honor, byłoby fantastycznie, ale zapytam Klarę i zaraz oddzwonię...

Zatelefonowałam do Klary.

– Naturalnie, że Honor może się u ciebie zatrzymać – odpowiedziała natychmiast. – Przyda ci się towarzystwo, Jenni. Mam obawy, że się przepracowujesz.

I tym sposobem następnego ranka znalazłam się na stacji Truro.

Gdy dotarłam na miejsce, pociąg właśnie odjeżdżał. Honor szła w moją stronę, wlokąc za sobą różowo-czarną walizkę, kółka hałasowały na chodniku.

– Jenni! – Uśmiechnęła się szeroko. – Jesteś taka kochana! – Rzuciła mi się na szyję. – I dzięki, że przyjechałaś po mnie bladym świtem.

– No a jak! Cudnie, że przyjechałaś. Jak podróż?

– Bosko, pociąg ukołysał mnie do snu. Uwielbiam kuszetki, zyskałyśmy przez to więcej czasu. Ale nie będę ci przeszkadzać – zastrzegła, kiedy otwierałam samochód. –

Pójdę na spacer, przywiozłam też książki i iPada. Nagadamy się wieczorami. – Schowałam jej walizkę do bagażnika. – I co, dobrze ci idzie z Holenderką?

– Tak myślę, w każdym razie robimy postępy.

Ruszyliśmy. Honor podziwiała georgiańską architekturę Truro, a gdy popędziłyśmy w stronę Roseland, opowiedziała mi o Alu, który wreszcie zadzwonił i zaprosił ją na kolację w przyszłym tygodniu. Następnie rozmowa zeszła na Ninę, która z powodu

porannych mdłości chodzi na akupunkturę. Z przyjemnością słuchałam paplaniny Honor, jej obecność dodała mi otuchy. Gdy przejeżdżałyśmy przez Trelawn, przypomniałam sobie, że mieszka tu Jane, przyjaciółka Klary. Zrobiłam w miejscowym sklepiku zakupy i pojechałyśmy do Polvarth.

Honor zachwycała się chatką, krowami i morzem.

– Bosko. – Obejrzała najpierw swój pokój, potem mój. Stanęła przed pejzażem na ścianie sypialni. – Niezły.

– To dzieło Adama, wnuka Klary.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Miejscowa zatoka, na końcu drogi prowadzącej od domu.

– Później się przejdę.

Nie odpowiedziałam. Na myśl o Honor na plaży poczułam dziwną pustkę w sercu.

Zeszłyśmy na dół i przy śniadaniu wypytała mnie o Ricka.

– O matko – mruknęła, kiedy jej wyłuszczyłam, o co chodzi. – Zawsze powtarzałaś, że prokreacja cię nie interesuje. Sądziłam, że Rick wie i nie ma nic przeciwko temu.

– Wiedział i twierdził, że nie ma nic przeciwko temu, ale teraz ma, więc pojawił się problem.

– Rzeczywiście ciężka sprawa. To co zrobicie, jeśli...? – Pytanie zawisło w powietrzu.

– Chyba się rozstaniemy. – Zemdliło mnie na samą myśl. Wyobraziłam sobie, jak od niego odchodzę, jak swoje rzeczy pakuję do kartonów. Tylko gdzie zamieszkać? Na pewno nie w pobliżu, Rick nadal będzie uczył w szkole. Zrezygnuję z czytania; uświadomiłam sobie nagle, jak brakowałoby mi dzieci. Stały mi przed oczami, zasłuchane w *Kubusia Puchatka* albo pędzące na nasze spotkanie. Czy Rick i ja rozstaniemy się definitywnie? A może zostaniemy przyjaciółmi? Jeśli tak, co zrobię, gdy kogoś pozna? Wyobraziłam sobie inną kobietę w naszym mieszkaniu, z ich dzieckiem na rękach – dzieckiem Ricka. Wtedy zrozumiałam, że widzę Kitty, która tylko czeka, żeby przyfrunąć do niego z powrotem.

O jedenastej poszłam na farmę.

– Przyjechała Honor? – zapytała Klara.

– Tak, nocnym pociągiem. Wyjeżdża w sobotę przed południem.

– Nie przeszkadza jej, że siedzi sama?

– Och, nic jej nie będzie, umie znaleźć sobie zajęcie. Pójdzie na spacer i poczyta.

– Starczy wam jedzenia? – zaniepokoiła się Klara.

– Mamy go w bród. I jeszcze raz dziękuję, że pozwoliłaś jej się u mnie zatrzymać. Obiecuję, że to nie zakłóci nam pracy.

– Ależ musisz mieć trochę wolnego w czasie jej wizyty. W zasadzie to pasowałoby mi, gdybyśmy odwołały dzisiejsze spotkanie o czwartej.

– W takim razie zaplanuję coś z Honor. Ale nim zaczniemy nagrywanie, chciałabym

zrobić zdjęcie chusteczki. – Wyjęłam aparat i czarny papier, który miał służyć jako tło.  
Klara otworzyła rzeźbioną szkatułkę.  
– Zastanawiałam się, kiedy możesz spotkać się z Jane. – Wyjęła chustkę i rozłożyła ją na papierze. – Mogłybyśmy pogawędzić przy cieście i herbacie.  
Ustawiłam ostrość na imiona.  
– Byłoby świetnie – powiedziałam i nacisnęłam wyzwalacz. Spojrzałam na wyświetlacz. – Bardzo ładnie.  
Złożyła chustkę i schowała ją do szkatułki.  
– Chcesz sfotografować też książkę kucharską?  
– Tak, poproszę.  
Wyjęła zielony zeszyt. Przy okazji dostrzegłam w przelocie resztę zawartości szkatułki: dużą, brązową kopertę, gruby, niebieski list lotniczy oraz coś owiniętego białą szmatką.  
Podała mi zeszyt. Położyłam go na papierze i sfotografowałam najpierw okładkę, a następnie kilka stron. Wyobraziłam sobie głód, który przyczynił się do powstania zapisków. Obejrzawszy zdjęcia, schowałam aparat i wyjęłam dyktafon.  
– Jak poznałaś Jane?  
– Przez nasze dzieci. – Klara odłożyła zeszyt do szkatułki i zamknęła wieko. – Jej syn Frank chodził do szkoły z Vincentem. Pięćdziesiąt lat temu, na miłość boską.  
– Jane pracowała?  
Klara przytaknęła.  
– Była świetną krawcową. Zimą prowadziła zakład, a w sezonie budkę z napojami. Aż mnie zmroziło.  
– Jak długo?  
– O, cały dzień... Przed zamknięciem dzwoniła dzwonkiem.  
– Znaczący... chciałam spytać, przez ile lat? Tak z ciekawości pytam – dodałam na widok zdziwionej miny Klary.  
– Niech pomyślę. – Zmrużyła oczy. – Kupiła z mężem budkę na początku lat osiemdziesiątych, a sprzedała ją dopiero w dwa tysiące szóstym roku, po jego śmierci, więc... dwadzieścia pięć lat. Ale otwierała ją codziennie, od Wielkanocy do Halloween, świątek i piątek. To było urocze miejsce, i nadal jest, choć może trochę mniej swojskie. Jane sprzedawała kawę i herbatę, słodczyce, lody, zabawki plażowe... było naprawdę przyjemnie.  
– Owszem.  
– Ach, no przecież sama pamiętasz... Byłaś tu w osiemdziesiątym siódmym, nieprawdaż?  
– Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewna. – Staralam się nie jękać. – Ale wiesz co, Klaro, skoro Jane szwankuje pamięć, może porozmawiam z kimś innym... Masz jakiś pomysł?

Rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

– Rzeczywiście, pamięć płata jej figle, ale jest mi bardzo bliska, więc nie zaszkodzi spróbować. Może umówić was w przyszłym tygodniu, co ty na to?

– Jasne – odrzekłam bezsilnie. – Na czym stanęliśmy? Ach, tak... – I drżącą ręką włączyłam nagrywanie.

Tuż po pierwszej wróciłam do Lanhay.

– Udałam się na mały rekonesans – zaraportowała Honor, gdy wieszałam płaszcz. – Poszłam na plażę, ale był przypływ, więc okrążyłam cypel. Dotarłam do miejsca zwanego Carne, kupiłam w lodziarni boską gorącą czekoladę, popatrzyłam tęsknie na morze i wróciłam.

Wyjęłam taśmę i ją opisałam.

– Brzmi fajnie.

– Było cudownie; czy ty masz pojęcie, ile tu się jeszcze dzikich kwiatów ostało? Widziałam mnóstwo waleriany. Doskonale działa na sen.

– Wiem. Dostałam od Klary.

– Nadal źle sypiasz, Jen? – Przyjrzała mi się z troską.

– No, nie najlepiej.

Spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Hm... na pewno nie jest ci lekko przez tę aferę z Rickiem. – Nie wspomniałam jej, że to niejedyna rzecz, która mnie gnębi. – Szkoda, że nie chcesz mieć dzieci – ciągnęła. – Ułatwiłoby sprawę, gdybyś tylko...

– Dzieci nie „ułatwiają” sprawy.

– No tak... Chciałam tylko powiedzieć, że to ułatwiłoby ci decyzję. Wiadomo, że dziecko jest ogromnym wyzwaniem. Ale i cudem, jeżeli ktoś zawsze o tym marzył i będzie mu dane... Mam nadzieję, że tego doświadczę. A może nie. – Wzruszyła ramionami. – Jen, znalazłaś faceta, na którym ci naprawdę zależy, i vice versa, więc chyba nie zaprzepaścisz swojego szczęścia. Zresztą... koniec kazania. Zrobić coś do jedzenia? – Zajrzała do lodówki. – Omlet z szynką i serem?

– Ekstra.

Wyjęła opakowanie jaj i zajrzała do środka.

– O, niebieskie.

– Z farmy. Araucana – dodałam, kiedy przetrząsała szafki w poszukiwaniu patelni.

– Klara po południu jest zajęta, więc mam wolną resztę dnia. Skoczmy do St Mawes? Nigdy tam nie byłam.

– Z chęcią.

Godzinę później jechałyśmy wąską, krętą drogą, z której skręciłyśmy przy St Just w Roseland, aby obejrzeć kościół położony w podzwrotnikowym ogrodzie obok dorzecza. Ruszyłyśmy dalej i za zakrętem ujrzałyśmy St Mawes, stromo wyłaniający się z portu, z poutykanymi wśród domów sosnami, które nadawały wiosce

śródziemnomorską aurę. Na samym końcu stał niewielki zamek z ogrodami schodzącymi ku rozległym wodom Carrick Road.

– Jak pięknie – mruknęła Honor. – Spójrz na te łodzie i śliczny przylądek.

– To chyba Cypel Świętego Antoniego... i przystań Falmouth za wodą.

Powoli podjechałyśmy do zamku St Mawes, zaparkowałyśmy i weszłyśmy do środka po moście zwodzonym.

Zwiedziwszy zamek, udałyśmy się do wioski, spacerując wzdłuż nadbrzeża po stromych wąskich uliczkach ze słoczonymi domami o romantycznych nazwach: „Zakątek Przemysłowca”, „Trevarth” i „Wiatr znad Morza”.

Na Marine Parade minęłyśmy galerię i sklep z upominkami, w którego witrynie leżały niemowlęce czapeczki i buciki w kształcie lwów i pingwinów. Przystanęłyśmy, aby je obejrzeć.

– Jakie cudne. – Honor westchnęła. – Mam ochotę natychmiast je kupić, dla dzidziusia Niny.

– Nie – zaprotestowałam stanowczo. – Za wcześniej.

– Racja. Żeby nie zapeszyć. – Poszłyśmy dalej. – Co włożysz na chrzest?

– Jeszcze się nie zastanawiałam.

– Myślisz, że biel jest zarezerwowana dla dziecka?

– Tak mi się zdaje...

Minęłyśmy hotel St Mawes i maleńką pocztę ze stojakami pocztówek i zabawkami plażowymi. Dotarłyśmy do portu, gdzie cumował mały prom. Kilka osób czekało, żeby na niego wsiąść.

– Sprawdźmy, dokąd płynie – zaproponowała Honor. Gdy podeszła do okienka, moją uwagę zwróciła kawiarnia po drugiej stronie ulicy. Przy oknie siedziała Klara w towarzystwie siwowłosej pani. Kiedy się nachyliła i wytarła jej usta serwetką, uświadomiłam sobie ze wstrząsem, że to pewnie Jane. Nagle Klara podniosła wzrok. Rozjaśniła się w uśmiechu i pomachała, a druga kobieta beznamiętnie podążyła za jej spojrzeniem.

Wróciła Honor.

– Do kogo machasz?

– Do Klary. I co... dokąd płynie prom?

– O, do Falmouth i przez cieśninę Helford, ale słuchaj, chętnie poznałabym Klarę. Możemy się przywitać?

Nie było rady.

– No pewnie. – Przeszłyśmy na drugą stronę, do kawiarni. Klara wstała i odstawiała dla nas krzesła.

– To właśnie Honor – dokonałam prezentacji.

– Miło mi panią poznać, Klaro. Dziękuję, że pozwoliła mi pani przenocować.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała Klara. – A to moja



przyjaciółka Jane.

Honor promieniała.

– Dzień dobry. Mam na imię Honor.

Jane posłała jej miły, ale roztargniony uśmiech.

– Honor? Honor... – powtórzyła i zmrużyła oczy, jak gdyby zadano jej trudne pytanie.

– Zatrzymałam się w Lanhay – wyjaśniła Honor.

Jane zmarszczyła brwi.

– Lanhay?

– W moim domku – wtrąciła Klara. – Nie pamiętasz, Jane? Zbudowaliśmy go z Harrym przed dziesięciu laty. A ty uszyłaś śliczne zasłonki.

– Tak? – upewniła się Jane. – Hm, lubię zasłonki. Zawsze lubiłam. – Zwróciła się w moją stronę i pod jej przenikliwym, dziecinnym spojrzeniem nogi się pode mną ugięły. Raz jeszcze ujrzałam jej współczującą twarz, przypomniałam sobie jej głos, gdy próbowała mnie zagadać, dodać mi otuchy. Zadbane dłonie, kiedy tasowała karty. W duchu błagałam, żeby mnie nie poznała. Ku mojej uldze, jej twarz pozostała bez wyrazu. Nie miała pojęcia, kim jestem. Nagle otworzyła szerzej oczy i się uśmiechnęła.

– Oczko!

– Oczko? – powtórzyła Klara.

– Oczko! – oznajmiła Jane.

– Co ty opowiadasz, kochanie – upomniała ją cierpliwie Klara. – Jane, to jest Jenni – ciągnęła. – Jenni mieszka w Lanhay i pomaga mi pisać książkę. Wspomniałam ci, że przyjeżdża na kilka dni, pamiętasz?

– Tak. – Jane skinęła głową. – Pamiętam, a zasłonki są ładne, tak, bardzo ładne, ale... – Westchnęła. – To nie jest żadna Jenni.

– Ależ tak – zapewniła łagodnie Klara. – Napijmy się jeszcze herbaty. – Dała znak kelnerce, po czym zwróciła się do mnie i Honor. – Na co macie ochotę? Naturalnie ja stawiam.

– To nie jest Jenni – twierdziła z lekkim rozdrażnieniem Jane.

– Owszem, jest – powiedziała spokojnie Klara. Sięgnęła po kartę i zerknęła na mnie. – Podają tu świetną babkę cytrynową, zamówię dla was.

Jane z zaciśniętymi ustami kręciła głową.

– Ona ma na imię Genevieve.

Klara spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie, Jane. „Jenni”, jak „Jennifer”.

Honor się roześmiała.

– Właściwie to pani Jane ma rację: „Jenni” to skrót od „Genevieve”. – Popatrzyła na Jane. – Ale skąd pani wiedziała, nikt na nią tak nie mówi? Prawda? – Przeniosła wzrok na mnie.

Zaschło mi w ustach.

– Oprócz matki.

Klara patrzyła na mnie w osłupieniu.

– Byłam pewna, że masz na imię Jennifer.

– Nie. Ludzie zawsze tak myślą, ale nie. Jane ma rację. – Czułam, jakbym chwiała się na skraju przepaści. Lada chwila polecę w dół...

– Oczywiście, że Genevieve – stwierdziła Jane. – I grałyśmy w oczko! – Posłała mi łagodny uśmiech. – Prawda?

– Genevieve? – powtórzyła jak echo Klara. Popatrzyła na mnie z namysłem. I nagle zrozumiała. – Ależ tak – mruknęła. Rzuciła mi zatroskane spojrzenie. – Teraz pamiętam.

Ja też sobie przypominałam.

– Skąd Jane cię zna? – zapytała Honor, gdy wracałyśmy do chatki.

– Poznałyśmy się – odparłam krótko. – Przed wielu laty.

– Tutaj?

Potwierdziłam.

– A więc byłaś już w Polvarth?

Zmieniłam bieg.

– Tak.

– Nic mi nie wspominałaś. Przyjechałaś... na wakacje?

– Tak. Byłam mała.

– I wtedy poznałaś Jane?

– Zgadza się. Prowadziła budkę z napojami przy plaży.

– Niesamowite, że cię pamięta, zwłaszcza w jej stanie. Musiałaś zrobić na niej wrażenie.

Milczałam.

– Klarę też wtedy spotkałaś?

– Na to wygląda. Wyleciało mi z głowy.

– Ładne to St Mawes – stwierdziła Honor, kiedy po kilku minutach parkowałam przed domem. – Jest odpływ; może pójdziemy na plażę, zanim się ściemni?

– Jasne.

Ruszyłyśmy ścieżką.

– Dobrze się czujesz, Jen? – zapytała po chwili Honor. – Jesteś jakby rozkojarzona. To przez Ricka?

– Nie. On nie ma tu nic do rzeczy. – Dotarłyśmy do rzędu domków letniskowych i przystanęłam przy Penlee. – Tutaj mieszkałam w czasie ostatniego pobytu. Dwadzieścia pięć lat temu.

Honor popatrzyła na dom i poszłyśmy dalej, obok starej, czerwonej budki telefonicznej i kamiennych słupków bramy hotelu.

– Miałaś dziewięć lat. Przyjechałaś z mamą?

– Tak – odrzekłam zgodnie z prawdą. Przed nami rozciągała się plaża.

Klasnęła w ręce.

– Jak pięknie! Woda się cofnęła! – Pofałdowany piasek lśnił w blasku zachodzącego słońca.

Kiedy podążaliśmy dalej, znów usłyszałam jego głos; napłynął ku mnie, cienki i przenikliwy.

„Evie! Zaczekaj! Proszę cię, zaczekaj! Evie...”

– Jest i budka – odezwała się Honor. – Zamknięta, pewnie na zimę. – Przeszliśmy przez plażę, omijając zbitki brunatnych wodorostów, które wyznaczały granicę przypływu. Honor schyliła się i podniosła wyrzucony na brzeg kawałek drewna. – Spójrz, pewnie latami tkwił w morzu; całkiem biały, i gładki jak jedwab. – Podała mi drewnienko, ale tylko omiotłam je wzrokiem. – Na pewno dobrze się czujesz, Jen?

– Na pewno.

Rozejrzała się.

– W lecie musi tu być cudownie.

„Macie mało czasu”.

„Nie wolno ci go puścić”.

– Te skały są fantastyczne – podjęła Honor, kiedy ruszyliśmy w ich stronę. – Wczoraj nie widziałam dokładnie, były zasłonięte przez morze. Rzucimy okiem na jeziorka?

„Nie chcę”.

„Ale musisz”.

– Jak uważasz – rzuciłam z roztargnieniem. Poszłam za nią po białym piasku i wspięliśmy się po kamieniach.

– O, małe małże – zawołała Honor, stając na pierwszej skale. Wyminęła je na palcach. – Nie chcę ich zdeptać. – Przeskoczyła na następną skałę i spojrzała w dół, z rękami na kolanach. – To jeziorko jest niezłe, mnóstwo ciekawych wodorostów: to chyba morszczyń, nie? – spytała, gdy stanęłam obok. – Ten szeroki chyba zwą „morskim pasem”... O, zobacz! Krewetka! Tam, przy skałoczepach! – Wyprostowała się i przeszła na kolejną skałę, znów pochyliła się nad wodą, z jasnymi włosami rozwianymi przez wiatr. Chwilę wpatrywała się w jeziorko, po czym z przejęciem dała mi znak. – Ryba! – szepnęła z oczami jak talerze. Nachyliła się jeszcze niżej, żeby lepiej widzieć.

„Dawaj siatkę!”.

„Teraz moja kolej!”.

– Wpłynęła pod skałę. Ale była wielka, co najmniej pięć centymetrów, w brązowe cętki, z falującymi płetwami. – Honor wybuchnęła śmiechem. – Mogłabym tak stać godzinami!

„Słyszałem dzwonek”.

„A ja nie”.

„Mama powiedziała...”.

Honor przeskoczyła nad wodą.

– Uważaj – ostrzegła. – Tu jest przesmyk. Dosyć głęboki. – Stałam jak wmurowana. – Chciałabym zobaczyć kraba! – krzyknęła przez ramię.

„Dzieciuch!”.

„A właśnie, że mogę... złapię go, Evie!”.

„Za późno! Wszystko zepsułeś!”.

– Uwielbiam jeziora. – Honor przelazła na następną skałę. – Jutro przyszedłabym znowu, mogłybyśmy kupić siatkę i wiaderko. Co ty na to, Jen? Jenni? – Odwróciła się. – Jenni? Co się stało? – Podbiegła, raz jeszcze przesadzając przesmyk. – Co się dzieje? – Położyła mi rękę na ramieniu, z niepokojem w niebieskich oczach. – Nie płacz, proszę... Jeśli to przez Ricka, płacz nic nie da, musisz po prostu zdecydować, co byłoby dla ciebie gorsze: utrata Ricka czy dziecko, którego tak naprawdę nie chcesz. Chociaż Bóg jeden wie, ale wiele kobiet w naszym wieku dałoby się posiekać za faceta, który chce założyć z nimi rodzinę.

– Nie chodzi o Ricka – mruknęłam. – Już ci mówiłam.

– To o co? Co się stało, Jen? – Nagle ją olśniło. – Chodzi o Jane, prawda? No, dziwnie się zachowywała, ale jest skołowana, więc nie brałabym sobie tego do serca. – Sięgnęła do kieszeni i podała mi chusteczki. – Proszę cię, nie płacz, Jenni. Czym ta biedaczka tak cię rozstroiła?

Poczułam na wargach słony smak łez.

– Pamięta – wykrztusiłam. – Pewnie wszyscy tutaj pamiętają.

– Co pamięta? – zapytała ze zdziwieniem Honor. – Co pamiętają, Jen? – Usiadła na kamieniu i pokazała, żebym zrobiła to samo. Wsunęła mi rękę pod ramię. – Kochana, nie mogę na to patrzeć. Gadam jak najęta i nie dopuszczam cię do głosu. Powiedz mi, co się dzieje – poprosiła. Milczałam. – Może mogłabym ci jakoś pomóc.

– Nie mogłabyś. – Ścisnęło mnie w gardle. – Nikt nie może mi pomóc. – Spojrzałam na morze usiane białymi żaglami. – Nie powinnam była tutaj wracać! Myślałam, że to mi dobrze zrobi, może wreszcie odzyskam spokój... ale tak się nie stało. Nigdy się od tego nie uwolnię.

Honor wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Jenni, o czym ty mówisz? – spytała cicho. Nie odpowiedziałam. – Proszę cię, Jenni, w imię naszej przyjaźni, powiedz mi, co tak strasznie cię gryzie.

– Dobrze. – Przymknęłam oczy. – Powiem...

# ROZDZIAŁ 13

## KLARA

Wpaździerniku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku wyjechaliśmy z Tjihapit do kolejnego obozu. Z uwagi na naszą liczebność przewożono nas grupami. Nasza wyruszyła pierwsza.

Po drodze do bramy zobaczyłam, że jak zwykle przy takich okazjach wszyscy są objuczeni walizkami, tobołkami z prześcieradeł i wypchanymi plecakami, do których przytroczono szczękające garnki i rondle. Tuż przed nami szły Greta i pani Moonen oraz Shirin z Ilse. Mama, Peter i ja staliśmy z Kirsten, Corrie, Iną i bliźniaczkami. Oczy Corrie jak zawsze tchnęły mieszaniną rozpacz, zgrozy i determinacji. Oprócz plecaka niosła Saskię, a Ina Sofie. Kirsten i ja pomogłyśmy jej z resztą *barangu*. Kiedy przesuwalimy się naprzód, poczułam, że nie jesteśmy już tylko grupą kobiet i dzieci, ale rodziną, która pomaga i chroni siebie nawzajem.

Za bramą zobaczyłam dwie duże ciężarówki. Jacyś europejscy więźniowie, nadzy od pasa w górę mimo prażącego słońca, ładowali na nie nasze materace i bagaż. Minęły dwa lata, odkąd widziałam białych mężczyzn. Przeraziła mnie ich chudość, zapadnięte oczy i wklęsnięte klatki piersiowe. Ruszali się jak muchy w smole, mimo ciągłego *Lekas!* ze strony strażników.

Musieliśmy stanąć w szeregu, żeby nas policzono, następnie kazano zostać w rzędach i czekać na autobus, który zawiezie nas na miejsce.

– Jak dobrze znaleźć się poza obozem. – Ina westchnęła. Pogłaskała Sofie po włosach. – Prawda, kochanie?

– No – mruknęłam. – Nawet odrobina wolności jest cudowna.

Gapiliśmy się na ludzi, gdy przechodzili obok, pogrążeni w rozmowie, albo przejeżdżali na rowerach. Podszedł handlarz uliczny z koszem bananów – strasznie chciałam kupić jeden, choć nie miałam ani grosza – ale strażnik go przegonił.

Wreszcie podjechały autobusy.

– Mają szyby zamalowane na czarno – powiedziała matka, kiedy zatrzymały się w kłębach spalin.

– Pewnie Japońce nie chcą, żebyśmy widzieli, dokąd nas wiozą – stwierdziła Ina.

– Albo żeby ktoś widział nas – zauważyła Kirsten. Z trudem opanowałam dreszcz.

Otwarto drzwi i weszliśmy.

– *Lekas!* – wrzeszczeli strażnicy. – *Lekas!*

Włączono silniki. Nastawiliśmy się na długą podróż, lecz po chwili autobus stanął i kazano nam wysiąść.

Zobaczyłam, że jesteśmy na dworcu. Siedzieliśmy tam w coraz większym upale, oparci o bagaż. Zastanawiałam się, dokąd prowadzą błyszczące tory.

Wreszcie zajechała mała lokomotywa i kłęb szaro-białej pary zasnuł peron,

krztusiliśmy się od kaszlu. Żołnierze zapędzili nas do pociągu. Były to wagony czwartej klasy, bez miejsc siedzących, jedynie z drewnianą ławką, która nie miała oparcia po bokach. Matka jakimś cudem zajęła dla nas miejsca, a Kirsten, Ina i Corrie przycupnęły naprzeciwko z bliźniaczkami na kolanach. Wkrótce zasłonili je inni wsiadający.

Okna, zwykle otwarte, zasłonięto bambusowymi roletami, zaciemniającymi wnętrze. Raz jeszcze mieliśmy się poczuć jak szczury, niegodne ludzkich spojrzeń.

– Widziałyście ubikację? – zapytał szeptem Peter. – To tylko dziura w podłodze, bez drzwi. – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Nie będę z niej korzystał!

– Nie wiem, jak ktoś miałby się do niej dopchać – zauważyła matka. – Miejmy nadzieję, że niedługo wysiadziemy.

Starsza kobieta opodal nas ledwo trzymała się na nogach; jakaś nastolatka ustąpiła jej miejsca. Kobieta osunęła się na nie z wdzięcznością, ciężko dysząc. Natłok ciał i rozgrzany metalowy dach potęgowały zaduch.

– Kiedy pociąg ruszy, będzie lepiej – pocieszyła nas matka. – Wytrzymajcie jeszcze trochę, kochani. – Ale, ku mojej rozpaczy, dalej staliśmy na stacji. Minęła godzina, a my nadal staliśmy, zlani potem i na wpół uduszeni z braku powietrza. Naraz, gdy wydawało się, że nie wytrzymamy ani chwili dłużej, pociąg stęknął, szarpnęło i ruszyliśmy. Zbiorowe westchnienie przetoczyło się przez wagon jak zefir.

– Chwała ci, Boże! – dobiegł z drugiej strony okrzyk Iny. – Miło wiedzieć, że słuchałeś!

Gdy pociąg nabierał prędkości, jakieś kobiety odchyliły zasłonkę i wpadło trochę światła.

– Przejeżdżamy przez północny Bandung – stwierdziła matka. Powiew był tak ożywczy, iż uwierzyłam, że wytrzymam. Ale po kilku minutach pociąg znów stanął.

– O nie – mruknął Peter.

– Robią to specjalnie! – krzyknął ktoś. – Żeby nas dręczyć. Przekłete Japońce!

Staliśmy kolejne dwie godziny. W narastającej duchocie rozlegał się płacz kobiet i dzieci. Ktoś poprosił o szmatkę, bo jakiś maluch nie wytrzymał. Starsza kobieta oddychała chrapliwie, zgarbiona z wysiłku, jakiego wymagało wciąganie powietrza w płuca. Wychrypiała, że zgubiła swoją manierkę, matka dała jej w metalowym kubeczku trochę naszej wody.

Wreszcie pociąg znów szarpnął i po paru kilometrach dojechaliśmy do stacji. W oknie błysnęła nazwa „Tjimahi”. Tam przetrzymywano wielu mężów i ojców. Odsunęłam bambus i wyjrzałam, złakniona widoku swojego taty, a przynajmniej miejsca, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa nadal się znajdował. Zobaczyłam żołnierzy z bagnetami w pogotowiu, na wypadek gdybyśmy spróbowali ucieczki.

Staliśmy w Tjimahi dwie godziny. Temperatura w wagonie sięgała czterdziestu

stopni, powietrze skwaśniało od potu. Potwornie śmierdziało, gdyż ludzie musieli załatwiać potrzeby tam, gdzie stali. Zewsząd dobiegały piski i szlochy. Słyszałam, jak Corrie pociesza bliźniaczki.

– Nie płaczcie, dziewczynki – gruchała. – Nie płaczcie, moje kochane. Zaraz będziemy na miejscu.

Skądś dobiegł głos Iny. Mówiła psalm, coś o podnoszeniu wzroku na pagórki. Ktoś inny zaintonował *Ave Maria*. Rozgorzała kłótnia, która przerodziła się w awanturę i ktoś kogoś spoliczkował.

– Przestańcie! – wrzasnęła Kirsten. – Na miłość boską, przestańcie i zachowajcie spokój!

Wreszcie się doczekaliśmy i pociąg ruszył.

O zmroku żar osłabł, ucichły też podniesione głosy i płacz. Późną nocą stanęliśmy na stacji i ktoś odczytał nazwę: Purwakarta. O zmierzchu dotarliśmy do kolejnego miasta, Tjikampek. Tam znów czekaliśmy, a głód szarpał nam wewnętrza.

Na szczęście znów ruszyliśmy i gdy wstało słońce, dostrzegłam w przelocie mijany krajobraz: raj palmowych drzew, zagajniki oraz kwitnące drzewa różane. Wszędzie rozciągały się pola ryżowe, lśniąca woda, w której odbijało się błękitne niebo i białe obłoki.

– Jak tu pięknie – mruknęła matka.

Nagle Peter się rozpłakał. Wcisnął twarz w pierś mamy i ramiona mu podskakiwały.

– Nie denerwuj się, Pietje – szepnęła. – Nic nie szkodzi. Potem posprzątamy.

– Ja zrobiłam to samo, Peter – powiedziałam. – Inni też. Nie było rady. Nie płacz.

– Bydło transportują z większym szacunkiem – zauważyła gorzko Kirsten.

– Ale dokąd my jedziemy? – zabrzmiał czyjś jęk.

Wilgoć zgęstniała w powietrzu i zrozumieliśmy, że zbliżamy się do wybrzeża. Po pewnym czasie znów stanęliśmy, tym razem na bocznicę. Po dwóch godzinach ruszyliśmy z piskiem metalu. Stwierdziłam, że mijamy podmiejskie wille otoczone trawnikami i drzewami. Wreszcie się zatrzymaliśmy, na kolejnej małej stacji. Ale tym razem usłyszeliśmy tupot strażników, łomotali w boki wagonów, krzyząc: *Turun! Turun! Wysiadać!*

– Gdzie my jesteśmy? – spytałam.

Matka pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

Peter pociągnął nosem.

– Co teraz będzie? – Na buzi miał rozmazany brud, pot i łzy.

– Musimy wysiąść.

Matki budziły dzieci. Wszyscy zbierali swoje bagaże. Żołnierze odryglowali drzwi i brnęliśmy po zapaskudzonej podłodze w stronę wyjścia, mrużąc odwykłe od światła

oczy. Mżyło. Na sfatygowanej tablicy widniał napis „Tanah Abang”.

– Jesteśmy w Batawii – oznajmiła matka.

Podróż z Bandungu trwała zwykle cztery godziny. My spędziliśmy w pociągu dwadzieścia osiem. Zbiliśmy się w gromadkę, wyczerpani, przerażeni, głodni i brudni, z ulgą wystawiając twarze na deszcz.

Obejrzawszy się na pociąg, zobaczyłam, że dużo osób nie może ustać o własnych siłach. Żołnierze wynieśli kilka kobiet za ręce i nogi, w tym jedną starszą, która siedziała obok nas. Jeden z Japończyków niósł małą dziewczynkę: była wiotka jak lalka, ręka wisiała jej bezwładnie. Inny żołnierz niósł niemowlę. Kładli je na peronie, jedno obok drugiego.

Peter ze zgrozą wytrzeszczył na nie oczy.

– Nie żyją? – szepnął do matki.

Pokiwała głową i odwróciła wzrok.

Nagle oficer wydał rozkaz i zagnano nas z dworca ku ciężarówkom krytym brezentem. Żołdacy z wrzaskiem zapędzili nas do środka. Nieruchome ciała zostały na dworcu.

Ciężarówka ruszyła i znów jechaliśmy po ciemku, nieświadomi swojego losu, z dala od ludzkich oczu. Gdzieniedzie brezent był podarty; widziałam, że przejeżdżamy przez osiedle okazałych domów. Wreszcie ciężarówka stanęła, konwojenci podnieśli brezent i kazano wysiadać. Znajdowaliśmy się w długiej, szerokiej alei. Matka podała Sofie Inie, a Corrie niosła Saskię.

– To Laan Trivelli – stwierdziła Corrie. – Już tu byłam.

Na prawo biegł kanał z mostem, żołnierze pchnęli nas w tamtą stronę.

Z daleka widziałam, dokąd zmierzamy. Przed nami, tuż za mostem, wznosiła się brama, podobna do tej w Tjihapit, ale wyższa i szersza, z jeszcze wyższymi wieżami strażniczymi po obu stronach. Za nią dostrzegłam wartownię i stojaki z karabinami na werandzie.

Gdy podążaliśmy naprzód, ruszyły ku nam trzy wynędzniałe kobiety w połatanej odzieży. Jedna z nich oznajmiła donośnym głosem, że jesteśmy w obozie Tjideng.

Nagle podniósł się gwar.

– Co się dzieje? – zapytała Kirsten.

Na wprost nas odbywała się inspekcja *barangu*, ale prowadzący ją oficer zachowywał się tak, jakby mu rozum odebrało. Policzkował tych, którzy jego zdaniem ociągali się z otwieraniem walizek, a gdy zamek się zaciął, kopał torbę, aż jej zawartość wysypywała się na drogę. Był w mundurze oficerskim, ale miał kapcie na nogach.

Przyszła nasza kolej. Matka zebrała nasz bagaż i położyła go na stole. Następnie się ukloniła, ale chyba nie dość szybko, gdyż oficer wychylił się i tak zdzielił ją w głowę, że padła na kolana.



Peter stęknął i wyrwał się naprzód.

– Zostaw ją! – krzyknął. – Zostaw moją mamę!

Odciągnęłam go na bok.

– Siedź cicho – syknęłam. Mama wstała. – Bo znów ją uderzy!

Czekaliśmy, aż – milcząca i blada jak prześcieradło – przejdzie kontrolę, następnie, wciąż roztrzęsiona, wróciła do nas i poszliśmy dalej.

– A więc to jest Tjideng – powiedziałam. Jakbyśmy mijali przedsiónek piekła.

Peter szarpnął mnie za ramię.

– Patrz!

Podążyłam za jego wzrokiem i ujrzałam przy bramie dużą klatkę na podwyższeniu. Ze środka wyrzały dwie pary wścibskich, ciemnobrązowych oczu.

– Patrzcie, dziewczynki... małpki! – usłyszałam pogodny głos Corrie.

Nagle stwory podniosły wrzask i rzuciły się na kraty, aż cała klatka zadrżała. Bliźniaczki krzyknęły ze strachu i wybuchnęły płaczem. Corrie próbowała je uspokoić.

– Po co im małpy? – zapytał Peter.

Wzdrygnęłam się.

– Nie wiem.

Aleja Laan Trivelli rozciągała się daleko na wprost nas, wysadzana drzewami o koronach jak baldachimy. Opodal zebrała się grupka kobiet, świdrowały nas wzrokiem.

– Brudne przybłędy z Tjihapit! – wykrzykiwały, kiedy je mijaliśmy. – Tłuściochy!

Byliśmy zbyt wstrząśnięci ich widokiem, aby poczuć urazę. Określenie „skóra i kości” samo się nasuwało. Większość chodziła na bosaka, ale niektóre miały na nogach drewniaki obwiązane sznurkiem bądź kawałkami starych opon. Inne nosiły przepaski ze ścierek na piersiach i wiele miało chustki na ogolonych głowach.

Podeszła do nas wysoka, chuda kobieta w gęsto połatanej, żółtej sukience. Opaska na jej ramieniu dowodziła jakiejś ważnej funkcji.

– Dzień dobry – zaczęła, kiedy ją otoczyliśmy. – Nazywam się pani Cornelisse i jestem waszą *hancho*, przywódczynią grupy. Mam pomóc wam się zadomowić. Opróżniono dla was te sześć domów. – Wskazała na rząd pobliskich willi.

Matka osłupiała.

– Sześć domów? – powtórzyła. – Dla pięciuset osób?

Pani Cornelisse puściła jej słowa mimo uszu i wyjaśniła, że oficer odpowiedzialny za kontrolę naszego bagażu to porucznik Sonei, którego lepiej omijać z daleka, bo potrafi być złośliwy. Matka znacząco pokiwała głową. Następnie przywódczyni grupy oznajmiła, że budynek na lewo od bramy to kancelaria, a willa na prawo należy do Sonei. Struchlałam na myśl, że będziemy mieszkać tak blisko tego potwora.

Pani Cornelisse zaprowadziła nas do naszego domu. Był to duży bungalow z tradycyjną werandą, kryty czerwoną dachówką. Pewnie kiedyś uchodził za ładny, lecz

teraz miał wyłamane futryny, a z frontowego ogródka zostało klepisko. Weszliśmy do środka. Kirsten, Ina i Corrie z bliźniaczkami ruszyły za nami, także Greta, jej *oma*, Shirin oraz Ilse.

Pokój dzienny był już zatłoczony, a sypialnie zajęte, ale matka wypatrzyła trzy wolne miejsca na podłodze jadalni, pod otwartym oknem.

– Nie więcej niż pół metra! – zakomenderowała pani Cornelisse. – Nie więcej niż pół metra na osobę! – Kiedy odłożyliśmy rzeczy, wezwała nas przed dom, gdzie wyjaśniła, że mamy oddelegować dwie osoby, które pójdą do *dapuru* z kotłem o pojemności pięćdziesięciu litrów. Wszczęto gorączkowe poszukiwania odpowiedniego naczynia i znaleziono metalową balię. Pani Moonen i Shirin zgodziły się pójść i wróciły po godzinie, uginając się pod ciężarem. Przyniesionej owsianki starczyło po szklance na osobę. Smakowała jak krochmal, lecz byliśmy tak wygłodzeni, że wszystko wymietliśmy. Dostaliśmy też po kawałeczku przezroczystego, szarego chleba.

Wieczorem pani Cornelisse znów stanęła przed domem i przez megafon wezwała nas na *tenko* – nasz pierwszy w Tjideng.

Ustawiliśmy się kawałek dalej, przed dużym budynkiem z napisem „Szkoła Juliana”. Młoda kobieta po mojej prawej stronie poinformowała mnie, że to już nie jest szkoła, tylko obozowy szpital.

– Człowiek idzie tam umrzeć, nie wyzdrowieć – uzupełniła wesoło. Wnosząc z jej chudości i szmacianej przepaski na piersiach, od dawna przebywała w obozie.

Pani Cornelisse skrupulatnie odhaczyła wszystkie nazwiska na swojej liście, widziałam jednak, że z niepokojem zerka na willę Sonei.

Kiedy tak staliśmy, rozglądając się po rozległej, opuszczonej ulicy, nagle dał się słyszeć przenikliwy gwar. Przypominał mi brzęczenie pszczół, które nadleciały ku nam tamtego dnia. Z każdą chwilą narastał i po chwili zobaczyłam nieprzebrany tłum kobiet i dzieci wylegający na Laan Trivelli. Napływały setkami z ulic po lewej i prawej stronie. W Tjihapit *tenko* odbywał się grupami w ciągu całego dnia. Wyglądało, że tu będzie jeden zbiorowy, na głównej ulicy Tjidengu.

Wpatrywałam się w tłum, który nadciągał, i nagle jakby mnie prąd przeszedł. Tak mocno ścisnęłam ramię mamy, że aż jęknęła.

– O co chodzi? – spytała ostro.

Wskazałam na trzy postaci w oddali. Matka podążyła za moim wzrokiem, mrużąc oczy w słońcu. Usłyszałam, jak gwałtownie nabiera tchu.

– Czy to? – mruknęła. – Tak, to... – Radosny uśmiech rozjaśnił jej znużoną twarz. – To Irene! Boże, jaka chuda; w życiu bym jej nie poznała, Klaro. – Ciekawe, czy ona rozpoznałaby nas. – Jest i Susan, ale z krótkimi włosami. I nasza kochana Flora. – W oczach mamy błysnęły łzy. – Boże, Klaro, są bezpieczne... i są tutaj! – Zwróciła się do Petera. – Zauważyliśmy Jochenów – mówiła z przejęciem. – Podsadzę cię,

kochanie, żebyś też zobaczył.

– Sza! – krzyknęła przez megafon pani Cornelisse. – Macie być cicho!

Za naszymi plecami otworzyła się wielka brama i wszedł oddział żołnierzy pod dowództwem Sonei.

Pani Cornelisse znów uniosła megafon.

– *Kiotsukete!* – krzyknęła. – *Kei-rei!* – Wszyscy się ukloniliśmy. Po tym jak, zdawałoby się, w nieskończoność staliśmy zgięci pod kątem trzydziestu stopni, padła komenda *Naore!* i mogliśmy się wyprostować. Następnie rozpoczęło się głośne odliczanie.

*Ichi! Ni! San! Shi! Go!*

Niektóre rzędy należało policzyć dwu-, a czasem nawet trzykrotnie, nim Sonei poczuł się usatysfakcjonowany.

*Roku! Shichi! Hachi! Kyu! Ju!*

Sonei biegł wzdłuż szeregów z batem w garści, miecz obijał mu się o nogę. Ubrany był nienagannie, ale miał na nogach te dziwne kapcie, szurał nimi po piasku. Podążała za nim pani Cornelisse, która musiała wystąpić i wezwać kolejną grupę do odliczania. Po całej Laan Trivelli niosły się *Kiotsukete* i *Keirei*, a wokół nas znów rozbrzmiał gwar rozmów.

Wciąż widziałam Florę i chciałam do niej podbiec, ale musieliśmy tak stać, dopóki wszyscy więźniowie – a było ich kilka tysięcy – nie zostaną policzeni, co potrwało ponad dwie godziny. Przez ten czas zastanawialiśmy się z matką, jak długo nasze przyjaciółki przebywają w Tjideng i gdzie mógł się znajdować Wil.

– Może jest w obozie z tatusiem – podsunął Peter.

– Możliwe – zgodziła się mama, ale po jej twarzy przemknął cień. Nadal nie mieliśmy pojęcia, gdzie przebywa nasz ojciec.

Młoda kobieta, z którą wcześniej rozmawiałam, przedstawiła się jako May. Powiedziała, że mieszka w domu obok nas i przebywa w Tjideng od początku okupacji. Jasne włosy zbieleły jej od słońca, a wysmagana słońcem twarz przybrała herbaciany odcień.

Zapytałam o liczbę więźniów. Wyjaśniła, że jest nas ponad dziesięć tysięcy, podczas gdy jeszcze przed rokiem było tylko dwa i pół tysiąca, na znacznie większej przestrzeni. Ale Sonei kilkakrotnie zmniejszyła powierzchnię obozu.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Im mniejszy obóz, tym łatwiej mieć na nas oko – odpowiedziała May. – Jedna rada: kiedy się kłaniasz, dotykaj małymi palcami bocznych szwów spódnicy, o tak... –

Zademonstrowała. – Inaczej dostaniesz baty albo Sonei wyciągnie nożyce. Prawda, Louiso? – Zwróciła się do stojącej obok rudowłosej kobiety.

– Święta prawda – potwierdziła Louisa. – To diabeł wcielony. W ostatnim obozie wyrывał ludziom włosy z cebulkami. – Wskazała na bramę. – Widziałas klatkę

z małpami? – Kiwnęłam głową. – Dostał je od jednej z więźniarek, liczyła na specjalne traktowanie. Postawił klatkę w obozie jako „rozrywkę”. Czasem głodzi małpy przez tydzień, a potem je wypuszcza, dla „zabawy” – dorzuciła z pogardą Louisa. – Wszyscy się ich boją. Pogryzły kilkoro dzieci.

Matka otoczyła ramionami mnie i Petera.

– Straszne. – Westchnęła.

– O, to wredne stworzenia – ciągnęła Louisa. – Pani Ament, poprzedniczka pani Cornelisse, kiedyś się na nie poskarżyła. Sonei wysłuchał jej uważnie. – Louisa urwała. – Potem otworzył klatkę, wyciągnął jedną małpę i roztrzaskał jej głowę o ścianę, aż krew się rozprysła. Stwierdził, że to kara dla pani Ament za jej „niewdzięczność”, bo nie doceniła „rozrywki”. – Zadrżała. – Miała szczęście, że darował jej życie. Kiedyś ściał kobietę w czasie *tenko*.

Matka, przerażona, że słuchamy takich okropności, mruknęła, że Sonei ma chyba nie po kolei w głowie.

– Jeszcze jak – przyznała May. – To wariat; tylko poczekajcie na następną pełnię! Wkłada wtedy podkute buty i robi się niebezpiecznie.

Patrzyliśmy, jak Sonei prowadzi żołnierzy w stronę bramy na znak zakończenia *tenko*. Wszyscy odetchnęli z ulgą i zaczęli się rozchodzić. Chciałam podbiec do Flory, ale było ciemno i matka oznajmiła, że musimy wracać do domu. Obiecała, że poszukamy ich następnego dnia.

Wnętrze domu wyglądało jak ocean materaców przykrytych widmowymi moskitierami. Mamie udało się zawiesić *kelambu* u sufitu i zmieściliśmy się we trójkę. Na dźwięk okrzyku „Gasić światło!” przytuliliśmy się do siebie. Oni szybko zasnęli, ale ja leżałam, ukojona rytmem ich oddechów i cudowną świadomością, że odnalazłam Florę.

## ROZDZIAŁ 14

Na plaży Honor oniemiała.

– Miałaś brata? – wykrztusiła.

Pokiwałam głową.

– Teda. Miał pięć lat.

Zamrugła, oszołomiona.

– Jak mogłam znać cię piętnaście lat i o tym nie wiedzieć?

– Bo nikt o tym nie wie – ucięłam. – Ani ty. Ani Nina. Nikomu nie powiedziałam.

– Ale Rickowi...

Pokręciłam głową.

– Boże jedyny... – W oczach Honor malowało się współczucie pomieszane z osłupieniem. – Ale... co się stało?

– Był sierpień – zaczęłam ściszym głosem. – Przyjechalśmy tu z matką i jej nowym chłopakiem, miał na imię Clive. Wściekłam się, że zabrała go na rodzinne wakacje, chciałam uciec jak najdalej od niego. I zabrałam Teda nad jeziora. Nie chciał ze mną iść, ale go zmusiłam, co tylko pogarsza sprawę... – Spazmatycznie wypuściłam oddech. – Na plaży spotkaliśmy dziewczynkę i chłopca, moich rówieśników; kopali tunel w piasku. – Spojrzałam w tamtą stronę. Prawie spodziewałam się ich ujrzeć. – Dziewczynka miała „J” na koszulce – podjęłam. – Nie wiem czemu, ale mi to utkwiło. Pomyślałam, że jest do mnie podobna, wysoka i chuda jak ja, też miała ciemne włosy, tylko bardzo długie, ja nosiłam wtedy krótkie. Jej brat był jasnowłosy i krępy. Zagadaliśmy ich z Tedem o tunel, a potem poszliśmy nad zatoczkę. Ale nadchodził przypływ.

– O, Jenni – mruknęła Honor.

– Zaszedliśmy daleko, za daleko, prawie do Trennick. – Wskazałam głową. – Ale świetnie się bawiliśmy, łapaliśmy krewetki i ryby, świeciło słońce, a potem... – Urwałam. – Potem usłyszeliśmy dzwonek.

– Dzwonek?

– Pani z budki zawsze dzwoniła o szóstej, wtedy zamykała. Matka kazała nam wrócić, kiedy go usłyszymy. Ted twierdził, że słyszał, ale ja udawałam, że nie, bo nie chciałam wracać. Ale... – zacisnęłam palce na chustce – ... kiedy zobaczyłam fale, powiedziałam, że musimy wracać, i ruszyłam w stronę plaży... Myślałam, że Ted idzie za mną.

– O Boże.

– Wreszcie dotarłam na piasek i jeszcze raz obejrzałam tunel, był już bardzo głęboki. Poszłam dalej, szukając muszelek, a gdy podniosłam głowę, zobaczyłam w oddali matkę; szukała nas. Pomachałam do niej, a ona odmachnęła z ulgą. Pamiętam, jak nagle uśmiech zszedł jej z ust: ruszyła ku mnie biegiem, krzyczała coś gorączkowo

do kogoś za moimi plecami. Odwróciwszy się, usłyszałam szczekanie. Wtedy zobaczyłam Teda. Stał spory kawałek za mną, ale rzucił się w oczy, bo miał czerwone kąpielówki. Stał na skale, pies go obskakiwał, a Ted krzyczał.

Honor rzuciła mi przepełnione bólem spojrzenie.

– Pogryzł go?

– Nie. Chyba nie miał takiego zamiaru; był tylko podekscytowany, cały dzień uganiał się po plaży za piłką. Pewnie spadła na skałę obok Teda i po prostu chciał, żeby Ted mu ją rzucił. Ale on panicznie bał się psów. Matka widziała, co się dzieje, i biegła tam, próbując odwrócić uwagę psa. Krzyczała, ale to go chyba jeszcze bardziej nakręcało. Kiedy już była blisko, pies skoczył. – Przełknęłam ślinę. – A Ted znikł.

– Znikł?

– W tamtej chwili zrozumiałam, gdzie stał. O tam... przy tamtym przesmyku, przestraszył się psa i stracił równowagę. Matka, boso, wspinała się na skały. Wciąż krzyczała, żeby spłoszyć psa; nie wiedziała, że już odbiegł, bo właściciele go zawołali.

– Nie widzieli, co się dzieje?

– Chyba nie, bo zobaczyłam, że odchodzą ze swoimi rzeczami. Matka wyciągnęła Teda ze żlebu i przeniosła go przez skały, stopy jej krwawiły, a ja próbowałam pomóc. Kiedy kładła go na piasku, miał spuchnięty bok twarzy. Nie otwierał oczu. Zobaczyłam pianę na jego ustach, matka powtarzała jego imię, raz po raz, i głaskała go po twarzy, ale nie reagował. Wtedy przybiegł jej chłopak, na widok Teda krzyknął, że wezwie karetkę z hotelu, i znów pognął na plażę. Zbiegli się ludzie; wszyscy mieli taki dziwny wyraz twarzy, niby poruszeni, a przy tym zafascynowani.

– O, Jen – szepnęła Honor.

– Podeszła do nas kobieta i oświadczyła, że jest pielęgniarzką. Gdy badała Teda, mama opowiedziała jej przez łzy, co się stało, i stwierdziła, że on chyba ma wstrząśnienie mózgu. Kobieta powiedziała, że oddycha normalnie, ale trzeba jak najszybciej zawieźć go do szpitala, więc matka wzięła Teda na ręce i zaniósła go na plażę. Chłopiec i dziewczynka spotkani wcześniej patrzyli na nas osłupiali. Po chwili usłyszeliśmy wycie karetki, która zajechała za budkę z napojami; dalej nie mogła. Wskoczyło dwóch ratowników i podbiegło do nas, żeby udzielić Tedowi pierwszej pomocy. Ułożyli go na noszach, a matka poszła za nimi do karetki i czekała, aż go zapakują. Też chciałam wsiąść, ale mi zabroniła; chyba uznała, że lepiej dla mnie, bym nie oglądała brata w takim stanie. Jej chłopak wsiadł, wtedy ona stwierdziła, że ktoś musi się mną zająć. Właścicielka budki zaproponowała pomoc. Powiedziała, że zabierze mnie do hotelu i nie spuści z oka do powrotu mamy, nieważne, jak długo to potrwa. Mama jej podziękowała i kazała mi z nią pójść. –

Nabrałam powietrza. – Zapytała, jak mam na imię, po czym przedstawiła się jako Jane; nie pamiętałam tego aż do dziś – dodałam cicho. – Teraz wszystko wraca do mnie ze szczegółami. Kiedy drzwi karetki się zamknęły, Jane otoczyła mnie ramieniem

i odciągnęła.

– O, Jenni – powtórzyła Honor.

– Pomogła mi zebrać nasze ręczniki i resztę rzeczy. Powiedziała, że będą nam potrzebne na drugi dzień, bo zanoszą się na piękną pogodę. Potem ruszyliśmy ścieżką do hotelu, gdzie usiadliśmy w kącie sali z telewizorem i gramy dla dzieci. Jane próbowała mnie zagadać, mówiła, że mama niedługo wróci. Kierownik hotelu przyniósł mi coś do jedzenia, ale nie chciałam. Oglądałyśmy telewizję, ale nic do mnie nie docierało. Jane wyciągnęła gry i zagrałyśmy w chińczyka i w oczko. Grałyśmy wiele razy. Matka wróciła nad ranem. Spałam na kanapie, Jane przykryła mnie kocem. Pamiętam, że usłyszałam głos mamy, zobaczyłam ją i ogarnęła mnie bezbrzeżna ulga. Wróciła, wszystko skończy się dobrze, Ted wyzdrowieje i znów będziemy się świetnie bawić, nawet Clive by mi nie przeszkadzał; nie był taki zły, pobiegł po karetkę. I zapowiadała się piękna pogoda. Wtedy mama podziękowała Jane głuchym, nieswoim głosem i wróciliśmy do Penlee. Po drodze zapytałam o Teda, ale nie odpowiedziała. Spytałam, czy jest jeszcze w szpitalu; potwierdziła. Gdy wchodziłyśmy do domu, chciałam wiedzieć, jak długo tam zostanie, bo chcę go zobaczyć. Matka posadziła mnie na kolanach i powiedziała, że Ted umarł.

– Szkoda, że wcześniej... nie wiedziałam – powtórzyła Honor wieczorem. Siedziałyśmy w kuchni, prawie bez słowa. Okno było otwarte i słyszałyśmy szept morza. – Nie mogę znieść myśli, że tyle czasu dźwigałaś taki ciężar, całkiem sama. Musiałaś czuć się strasznie... samotna.

– Czułam się samotna – odpowiedziałam cicho. – Lecz ilekroć wspominam tamten dzień, a wspominam prawie bez przerwy, myślę o chłopcu i dziewczynce, którzy kopali tunel. Może dlatego, że uważam, iż to ostatnia „normalna” rozmowa, jaką odbyłam przed śmiercią Teda. A może tylko dlatego, że tam byli... ale nieodłącznie mi się z tym kojarzą.

– Ten dzisiejszy spacer po plaży musiał cię wiele kosztować, o zatoczce nie wspominając. Pewnie sam przyjazd do Polvarth był wyzwaniem.

– Owszem. Na wieść o tym, dokąd mam jechać, mogłam odmówić i naprawdę miałam taki zamiar, jednak się zgodziłam. Po części chciałam tutaj przyjechać, żeby jakoś odczarować to miejsce.

Honor patrzyła na mnie z niedowierzaniem, wstrząśnięta tym, co usłyszała.

– I nigdy nikomu nie powiedziałaś?

– Nikomu. Pewnie się zastanawiasz, czego jeszcze o mnie nie wiesz – dodałam bezbarwnie. – Ale to już wszystko.

Odsunęła talerz.

– To mnie dobiło, Jen. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś najbliższemu przyjacielom, że o Ricku nie wspomnę. Jak mogłaś chcieć spędzić z nim resztę życia, nie mówiąc czegoś tak ważnego o sobie?

– Chciałam mu powiedzieć. Jasne, że chciałam.

– Więc czemu tego nie zrobiłaś?

– Bo... – Nie czułam się na siłach, aby wyznać prawdę.. – Ja tylko... czekałam na odpowiednią chwilę, ale jakoś nie nadchodziła. A im dłużej zwlekałam, tym było mi trudniej. Dlatego nigdy nie poznałam mojej matki; gdybyśmy tam pojechali, zobaczyłby zdjęcia brata, o którego istnieniu nie wiedział.

– Tylko raz ją widziałam – stwierdziła Honor. – Na naszym zakończeniu. Wydawała się smutna, ale złożyłam to na karb dystansu, który was dzielił. I sądziłam, że to może po części z powodu twojego taty. Chodziło jednak o coś gorszego... Biedaczka. – Odetchnęła. – Co to było... uraz głowy?

Potwierdziłam.

– „Katastrofalny” uraz głowy. Operowali go, ale umarł w nocy.

– Dlatego wyjechałyście z Goring?

– Tak. Matka nie mogła znieść domu bez Teda, nie była w stanie odbierać mnie ze szkoły i wracać bez niego. Nie mogła patrzeć na dzieci z jego grupy, nie radziła sobie ze współczuciem ich rodziców i miejscowych sklepikarzy. Goring to mała miejscina, wszyscy wiedzieli, co się stało, podobnie jak to, co spotkało mojego ojca.

– A ty chciałaś wyjechać? Zostawić koleżanki?

– Pewnie nie, ale byłam w ciężkim szoku, więc ustępowałam we wszystkim matce, która marzyła tylko o ucieczce. Wracała tam jedynie na cmentarz. – Pomyślałam o małym nagrobku Teda w dziecięcej części cmentarza. Widniało na nim jego nazwisko i daty, pączek róży oraz napis: „Śpij, kochany”.

– Dlaczego wybrała Southampton? Kogoś tam znała?

– Nie znała żywej duszy, i o to chodziło. W tak dużym mieście mogła czuć się anonimowa. Znalazła pracę w dziale księgowości dużej firmy drukarskiej i zapisała mnie do miejscowej szkoły.

– Wspomniałaś nowym koleżankom o tym, co się stało?

– Ależ skąd. Wszystko tłumiłam w sobie. Na pytanie, czy mam rodzeństwo, odpowiadałam, że nie, właściwie zgodnie z prawdą.

– Nie całkiem.

– Nie widziałam powodu, by zwierzać się obcym ludziom. Tacy dla mnie byli. Zresztą, cóż to miało z nimi wspólnego?

– Ależ Jenni, ja nie jestem obcym człowiekiem, Nina też... ani Rick. Pojęcia nie mam, czemu nie uznałaś za stosowne nam powiedzieć.

Spojrzałam na swoje ręce, nie mogłam tego wykrztusić.

– Bo było zbyt smutne. Zmagałam się z tym i zmagam po dziś dzień. A kiedy was poznałam, miałam to ukryte tak głęboko, że prawie... skamieniało. – Podniosłam wzrok na morze. – Ale przyjechałam tutaj, powstała rysa w kamieniu i znów się zadreczam.

– Zadreczasz? – powtórzyła cicho Honor. – Przeżyłaś straszną tragedię, Jen.



Zdarzyło się coś bardzo smutnego, mały chłopiec, natrętny pies. To był tylko wypadek – uzupełniła. – Nikt nie zawinił.

Wstałam, podeszłam do okna i zaciągnęłam roletę.

Następnego ranka udałam się na farmę. Po drodze zobaczyłam na podwórku Beth i Henry'ego. Zamieniliśmy kilka słów, lecz zza ich przyjaznych uśmiechów przebijało współczucie; nie ulegało wątpliwości, że wiedzą. To jasne, że Klara opowiedziała im o naszym spotkaniu z Jane. Na samą myśl poczułam się jak na widelcu.

Ruszyłam po schodach do mieszkania. Kiedy otworzyła drzwi, czułam, że spogląda na mnie inaczej, chyba nie wiedziała, jak się zachować.

– Jenni. – Obdarzyła mnie zatroskanym uśmiechem. – Wejdz, proszę. Masz ochotę na kawę i ciasto?

– Poproszę kawę, ale za ciasto dziękuję. Nie jestem głodna.

Tym razem nie nalegała.

– Miło było poznać Honor – powiedziała, przynosząc tacę. – Co dzisiaj porabia?

– Poszła do latarni morskiej na Cyplu Świętego Antoniego. Odbiorę ją o wpół do drugiej i pojedziemy gdzieś na obiad. No więc... – Wyjęłam dyktafon. – Przepisałam to, co przerobiłyśmy wczoraj rano, koszmarną podróż do Tjideng... – Pospiesznie wymieniłam baterie. – Trudno było wysłuchać tego ponownie.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Ta podróż wryła mi się w pamięć; możesz mi wierzyć, że nigdy nie narzekałam na żaden pociąg.

Pokiwałam głową.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać o waszych doświadczeniach w obozie? Czytałam, że Tjideng był jednym z najgorszych.

– Tak, z powodu Sonei. Był... istnym diabłem.

– Czyli tak, mamy październik tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, właśnie przybyłaś do trzeciego obozu, Tjideng. Wojna prawie dobiega końca, ale ty jeszcze o tym nie wiedziałaś. Czy możesz mi powiedzieć, co zapamiętałaś z tamtych pierwszych dni i tygodni?

Klara nie odpowiedziała. Wpatrywała się w swoje kolana. W pierwszej chwili pomyślałam, że temat ją przerasta; wspomniała przecież, że trudno jej wracać do niektórych wydarzeń. Być może dotarłyśmy do jednego z nich. Mówiła o tylu drastycznych wydarzeniach, że bałam się myśleć, co ją jeszcze spotkało. Właśnie obmyślałam sposób, żeby obejść ten temat, gdy Klara podniosła wzrok.

– A więc miałam rację – powiedziała cicho.

Zrozumiałam, że nie będziemy mówić o Jawie, i wyłączyłam dyktafon.

– Tak – potwierdziłam. – Miałaś.

– Wiedziałam, że skądś cię znam, gdy tylko cię zobaczyłam. To oczywiste, że się zmieniłaś, byłaś wtedy dzieckiem, ale nie miałam wątpliwości, że się spotkałyśmy.

– Nie pamiętałam ciebie, aż do wczoraj... Musiałam to wyprzeć. – Jakie to dziwne, pomyślałam, że mój umysł zmaćcił pewne wspomnienia, a inne zachował z przeraźliwą jasnością. – Kiedy zobaczyłam cię z Jane, wszystko wróciło. Opiekowałyście się mną w hotelu.

Przytaknęła.

– Rozmyślałam w nocy o tamtym dniu. Dobrze go pamiętam. Byłam w domu, kiedy usłyszałam karetkę. Przyszedł Henry i opowiedział mi, co się stało; wracał z Trennick i widział ratowników. Później zadzwoniła Jane. Ściszone głosem poinformowała mnie, że jest w hotelu i pilnuje dziewczynki, której matka pojechała do szpitala z rannym bratem.

– A ty przyszedłaś i z nami posiedziałaś.

– Tak. Postanowiłam wesprzeć Jane w tak trudnej sytuacji. Było późno i myślałam, że śpisz, ale wy grałyście w oczko. Pomyślałam sobie, że jesteś bardzo dzielna.

– Wcale nie byłam dzielna, Klaro, wręcz przeciwnie! Ale przypominam sobie, że weszłaś i rozmawiałaś z nami jak gdyby nigdy nic. Pograłyśmy w karty, zanim wyszłaś. Wreszcie wróciła moja matka. – Ścisnęła mnie w gardle. – A potem... – Albumy, rzeźbiona szkatułka i filiżanki zaszły mgłą. Wygrzebałam z torby chustkę i przycisnęłam do oczu.

Usłyszałam westchnienie Klary.

– To było takie smutne, Jenni.

Milczałam.

– Zachowałam to w pamięci – dodała. – Myślę, że wszyscy tutaj przeżywali tę tragedię. Na plaży zdarzyło się kilka wypadków; pięć lat temu dwaj chłopcy wykopali tunel, który się na nich zawalił, ale w porę ich wyciągnięto. Ale był tylko jeden wypadek śmiertelny i ludzie wspominają go od czasu do czasu. – Cisza gęstniała. Słyszałam szum lodówki. – Teraz rozumiem, dlaczego wykręcałaś się od odpowiedzi na pytanie o swój pierwszy przyjazd.

– Nie chciałam ci nic mówić.

– Wspomniałaś, że nie masz rodzeństwa.

– Bo nie mam... od dawna.

– Rozmyślałam o tym w kontekście książki. To było nieuniknione, poruszyłybyśmy drażliwy temat.

– Wiem, obawiałam się tej chwili. Bałam się swojej reakcji, pewnie tylko siedziałabym cicho i udawała, że sprawa mnie nie dotyczy.

– Ale skoro to wciąż boli tak, że nie czujesz się na siłach mówić, kim jesteś i co łączy cię z Polvarth, po co w ogóle tutaj przyjechałaś?

– Sama chciałam wiedzieć. – Ścisnęłam chustkę. – Kiedy zadzwonił Vincent, zaintrygowała mnie twoja historia. Ale gdy przyjął zlecenie, powiedział mi, gdzie mieszkasz.

– To musiał być szok.

– Jakby ktoś mi przyłożył; myśl o przyjeździe i, co gorsza, pobycie tutaj była nie do wytrzymania. Próbowałam się wymigać. Siliłam się na wymówki, aż tu nagle usłyszałam własny głos mówiący, że się zgadzam. Nie mam pojęcia, co mnie do tego skłoniło.

– Może chciałaś... jak to się mówi? Odczarować przeszłość?

Roześmiałam się ponuro.

– Chyba tak. Myślałam, że wystarczy sam pobyt, lecz okazuje się, że nie. Czuję obecność Teda. On mnie prześladowuje.

– Prześladowuje?

– Słyszę, jak mnie woła; mówił na mnie „Evie”, bo na początku nie umiał wymówić „Genevieve”. Jego głos dźwięczy mi w głowie.

Klara odstawiła filiżankę.

– Mam to samo z Peterem. Wiem, że mnie rozumiesz.

– Tak. Tyle że czuję się gorzej niż ty, Klaro. – Przymknęłam oczy. – Bo to była moja wina.

– Ale... – Głos Klary nagle zabrzmiał ostro. – Zdarzył się wypadek, Jenni. Ted spadł.

– Tak... przestraszył się psa i stracił równowagę.

– No więc... jakim cudem ty zawiniłaś? Jeśli już mówić o winie, to zachowali się nieodpowiedzialnie właściciele psa. Powinni go trzymać na smyczy, skoro stanowił zagrożenie dla dzieci.

– Chciał się tylko bawić. Ale Ted bał się psów. Krzyczał i być może to nakreśliło psa, trudno powiedzieć. Wiem tylko, że go nie dopilnowałam.

– Miałaś go pilnować?

– Tak. Siostra cztery lata starsza powinna się nim opiekować.

– Sama byłaś jeszcze dzieckiem. Ile miałaś lat? Osiem?

– Dziewięć... dziewięć i pół – dodałam, jakby te sześć miesięcy sprawiało różnicę. – Matka kazała mi go trzymać za rękę, a ja tego nie zrobiłam, nie dlatego, że sama byłam „jeszcze” dzieckiem, ale ze złości.

– Ze złości?

– Pokłóciliśmy się o siatkę. Wyrwał mi ją i wypadł krab, którego właśnie złowiłam, więc się wściekłam. Potem zobaczyłam, że nadciąga przypływ, i oznajmiłam, że musimy wracać. Ale wciąż kipiałam ze złości, oczywiście nie tylko z powodu kraba: byłam wściekła na matkę, bo zabrała na wakacje swojego nowego, wstrętnego chłopaka. Nie mogłam ścierpieć jego obecności, w domu, na plaży i w jej sypialni; aż mnie skręcało, a tak czekałam na te wakacje. Dlatego wyładowałam się na Tedzie i sobie poszłam.

– Wiedziałaś, gdzie jest?

– Wiedziałam, że za mną idzie.

– Skąd?

Zalała mnie fala wstydu.

– Bo słyszałam, jak płacze. Wołał, prosił, żebym zaczekała. Ale udawałam, że nie słyszę, a jego głos cichł coraz bardziej, w miarę jak się oddalałam.

– Myślałaś, że co się z nim stanie?

– Pewnie uznałam, że za mną pójdzie i sam wróci na plażę. Wiedziałam, że nie będzie to dla niego miłe, ale sobie poradzi. Gdy się wreszcie odwróciłam, zobaczyłam przy nim psa. Nagle pies skoczył i Ted spadł...

– Teraz wszystko rozumiem, Jenni – mruknęła Klara. – Już wiem, dlaczego wydawałaś się taka... czujna, jakbyś obawiała się, że ktoś cię zdemaskuje. – Fakt. Zawsze czułam się bezpieczniej na uboczu. Niewidzialna. – I dlatego nie chcesz mieć dzieci?

Zwlekałam z odpowiedzią.

– Nie chcę, bo sobie nie ufam. Ze złości zostawiłam młodszego brata. A jeśli zrobię to samo z własnym dzieckiem? Jeśli znów zachowam się lekkomyślnie, z braku kompetencji lub, co gorsza, go nie dopilnuję, jak wtedy? Bo gdybym posłuchała matki, Ted pewnie żyłby do dziś. Mogłabym odpędzić tego psa albo przynajmniej złapać Teda, gdyż trzymałabym go za rękę. Ale nie trzymałam i umarł. – Przełknęłam ślinę. – Od tamtej pory matka nigdy nie wzięła... – Nie dokończyłam.

– Nie wzięła cię za rękę? – podsunęła ostrożnie Klara.

Kiwnęłam głową.

– Twierdziła, że jestem za duża, ale ja wiedziałam, że powód jest inny. Chciała mnie ukarać za to, że nie dopilnowałam Teda.

– Winiła ciebie?

– Zawsze. Dlatego dzieli nas taka przepaść.

– Przecież byłaś mała. Nie pomogła ci? Nie pocieszyła? Musiałaś być w szoku.

– Byłam, jasne, że byłam. Ale ona skupiła się na swoim żalu. Pytała, jak mogłam zostawić Teda. Bez przerwy zadawała mi to pytanie: co mnie do tego skłoniło? Dlaczego to zrobiłam? Wciąż mnie o to pytała... Myślałam, że nigdy nie przestanie. – Odetchnęłam. – Dlatego wreszcie wyznałam jej prawdę. Ale zaraz tego pożałowałam. Patrzyła na mnie jak skamieniała. Stwierdziła, że skoro zrobiłam to specjalnie, czyni to mój postępek jeszcze gorszym... niewybaczalnym.

„Niewybaczalnym...”.

To słowo dźwięczało mi w głowie od dwudziestu pięciu lat.

– A gdzie ona była, kiedy to się stało?

– Na plaży ze swoim chłopakiem.

– Jak widać, miała inne zajęcie.

– Chyba cieszyła się, że znowu jest zakochana, po tylu latach zgryzoty. I z tej

radości bardziej skupiła się na nim niż na nas. Była bardzo młoda, miała dwadzieścia osiem lat, sześć mniej niż ja teraz.

– Młoda, niemłoda, ale matka. Sobie nic nie zarzucała?

– Nie. Chyba nie poczuwała się do winy.

– Ale to rodzice odpowiadają za dzieci, ty miałaś tylko dziewięć lat.

Wzruszyłam ramionami.

– Miałam świadomość tego, co robię.

– Przecież mówiłaś, że nadchodził przypływ: czy nie powinna zdawać sobie z tego sprawy?

– Może. Sama nie wiem.

– I wiedziała, że twój brat boi się psów. Czemu masz brać na siebie całą odpowiedzialność?

– A czemu nie, skoro go zostawiłam? – Wytarłam oczy. – Miałby dziś trzydzieści lat. Myślę o nim codziennie i zastanawiam się, jak wyglądałby teraz, gdzie pracował i czy mielibyśmy dobry kontakt. Potem przypominam sobie, jak stał na skale, w czerwonych kąpielówkach. Jakby wciąż tam tkwił i czekał, aż po niego wrócę. – Zgniotłam w palcach chusteczkę. – Nie mogę sobie darować, że tego nie zrobiłam!

– Dalsze życie z matką musiało być bardzo trudne – zauważyła cicho Klara. – Jakby mur wyrósł między wami.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Właśnie tak.

– Nie mogłyście się nawzajem pocieszyć.

– Nie. Marzyłam o tym, żeby ona pocieszyła mnie... ale nie mogła, bo mnie obwinała. – Klara ze zrozumieniem pokiwała głową. – Z tego wszystkiego zamknęłam się w sobie. Nie chciałam poznawać ludzi, żeby nie odkryli, co zrobiłam. W nowej szkole przedstawiłam się jako „Jenni”, jakby imię „Genevieve” nie miało ze mną nic wspólnego. Nie nawiązałam żadnych przyjaźni, bo koleżanki przychodziłyby do nas do domu i oglądały zdjęcia Teda. Wtedy musiałabym wytłumaczyć im, co się stało, a one by mnie oceniały.

– Naprawdę tak uważasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Matka mnie oceniała, więc nie miałam wątpliwości, że robiłyby to samo. Powiedziała nawet, że dlatego się wyprowadziłyśmy, aby nikt się nie dowiedział, że Ted umarł z mojej winy.

Klara zamrugnęła.

– Nie oszczędzała cię, co?

– Nie. Dlatego ja siebie też nie oszczędzałam.

– Ona wcale nie poczuwała się do odpowiedzialności?

– Nigdy otwarcie. Kiedy miałam siedemnaście lat, strasznie się pokłóciłyśmy. Były

urodziny Teda; trochę wypła i zaczęło się obwinianie. Nie mogłam tego znieść. Powiedziałam, że to ona miała nas pilnować, ale interesował ją tylko chłopak, którego właśnie poznała... i którego więcej nie zobaczyła. Odparowała, że wykazałam haniebną lekkomyślność. Zabrałam jej Teda, zniszczyłam życie. Mówiła jeszcze gorsze rzeczy. – Nie przeszłyby mi przez gardło. – Dlatego zaraz po egzaminach wyniosłam się z domu.

– Odczułaś ulgę.

– Odżyłam. Po dziewięciu latach wiecznych pretensji matki mogłam pójść naprzód, uwolnić się od ciągłej melancholii, być sobą. Od tamtej pory widuję ją nie częściej niż raz w roku. Czasem do siebie dzwonimy i wysyłamy kartki na urodziny, ale zdajemy sobie sprawę, że tylko podtrzymujemy pozory.

– Biedna kobieta – mruknęła Klara. – Żal mi jej. Ale czy kiedykolwiek rozmawiałaś z kimś o tym, co się stało?

Pokręciłam głową.

– Nie chciałam, żeby moi przyjaciele wiedzieli.

– Mam na myśli specjalistę.

– Psychoterapeutę?

– Tak. Albo psychologa.

– Nie. – Westchnęłam. – Kiedyś nie było takich zwyczajów. Może przyniosłoby mi to pewną ulgę, bo kisiłam w sobie całą rozpacz i poczucie winy. Ale przekonywanie mnie, że byłam tylko dzieckiem, nie zmieniłoby faktu, że poczuwałam się do odpowiedzialności za to, co zrobiłam... a raczej czego nie zrobiłam... tamtego dnia. Sięgnęłam po poradniki – przyznałam. – Dobiły mnie, więc przebrnęłam tylko przez kilka stron.

– Moim zdaniem powrót do Polvarth był ci pisany – stwierdziła po chwili Klara.

– Może i tak. – Sięgnęłam po pióro na znak, że pora wrócić do pracy. Nie żałowałam, że się jej zwierzyłam, byłam wręcz zadowolona, ale wystarczy tego dobrego.

– Wspomniałaś o emocjonalnej szczerości podczas pisania wspomnień – nie ustępowała Klara. – A co jeśli za pięćdziesiąt lat postanowisz spisać własne? Napisałabyś o Tedzie?

– No tak. Nie pominęłabym czegoś tej wagi.

– Ale odważyłabyś się wyznać prawdę? Powiedzieć, co naprawdę się stało, zamiast ograniczyć się do powierzchownego stwierdzenia, że to był tylko wypadek?

– Nie jestem pewna, czy starczyłoby mi odwagi. – Utkwiłam w niej wzrok. – Dlaczego pytasz?

– Tak... tylko się zastanawiałam.

– Przyjechałam tu napisać o twoim życiu, nie swoim. Tydzień temu zapytałaś, czy mnie poznasz. I poznałaś, na pewno bardziej, niż miałabyś na to ochotę.

I nim zdążyła zaproponować, z westchnieniem ulgi włączyłam dyktafon.

# ROZDZIAŁ 15

## KLARA

Było jeszcze ciemno, gdy obudzono nas na poranny *tenko*. W różowym świetle jutrzeńki mama, Peter i ja wyszliśmy z domu, a ulicą już podążały w milczeniu setki kobiet i dzieci. Zobaczyłam w przelocie Irene, Susan i Florę, która ścisnęła lalkę, lecz zaraz zniknęły w tłumie. Żołnierze nas policzyli, a gdy zniknęli, przez tłum przeszedł szmer rozmów. Minęły dwie godziny, zanim pozwolono nam odejść, potem zjawiała się pani Cornelisse i kazała wysłać dwie kobiety po śniadanie. Tym razem zgłosiła się matka i poszły z Louisą do *dapur*, niosąc pustą balię. Godzinę później wróciły z pełną, którą po drodze musiały co chwila odkładać, bo metalowe uchwyty wrzynały się w ręce.

Gdy pomogłam im ją wnieść na werandę, matka posłała mi radosny uśmiech.

– Znalazłam je! – wyszeptwała. – Były w kuchni. Nie mogłyśmy długo rozmawiać, ale Irene powiedziała mi, gdzie mieszkają, więc pójdziemy tam po południu!

Z radości o mało się nie rozplakałam.

– Nie mogę się doczekać, mamusiu. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę Florę!

Kiedy sto wygłodniałych twarzy otoczyło ją wianuszkami w oczekiwaniu na kubek owsianki bez smaku i pięciocentymetrową kromkę czerstwego chleba, Louisa rozdzieliła jedzenie. Wszyscy pilnowali, żeby nikt przypadkiem nie dostał więcej, niż się należało. Najmłodszym dzieciom pozwolono wyskrobać resztki. Patrzyłam, jak bliźniaczki oblizują paluszki. Miały trzy lata, ale wyglądały na dwa.

Po śniadaniu pani Cornelisse rozdzieliła zadania. Jedna grupa miała pracować w *dapurze*, druga w szpitalu, piorąc pościel oraz bandaże. Była też grupa „higieniczna”, która opróżniała szamba. Najpierw należało przemieszczać zawartość kijem, a następnie wybrać przy użyciu wiader i przelać do rowu kanalizacyjnego wzdłuż *gedeku*. W każdym domu istniała ekipa młodych kobiet wyznaczonych do tej obrzydliwej czynności i Kirsten dowiedziała się właśnie, że została do niej włączona.

Z niedowierzaniem spojrzała na panią Cornelisse.

– Mówi pani, że mam mieszać kupę?

Pani Cornelisse potwierdziła.

Kirsten załamała ręce i wzniosła oczy ku niebu.

– Zlituj się, Boże! Jedzenie ślimaków to jedno, ale mieszanie kupy?!

Istniała też grupa *kawat* do naprawiania granicy obozu. Określał ją płot z drutu kolczastego na drewnianych słupkach, który często się psuł. Przydzielono do niej mamę, co bardzo ją ucieszyło. Ja miałam zamiatać ulice i odnosić śmieci do bramy. Powiedziano nam, że między drugą a czwartą po południu mamy wolne z uwagi na skwar.

– Trzeba spać – pouczyła nas pani Cornelisse. – Żeby oszczędzać siły.



Nie wiedziałam, jak tu spać – ciągły zgiełk i stres przeludnionych domów. W każdym razie matka, Peter i ja nie zamierzaliśmy nawet próbować. Postanowiliśmy odszukać Jochenów.

Matka знаła adres i wyruszyliśmy. Z przejścia miałam ochotę puścić się biegiem, ale kazała mi iść spokojnie. Na Ampasiet Weg ujrzelśmy idącego z naprzeciwką żołnierza. Ukłoniliśmy się głęboko, a kiedy nas minął, pospieszyliśmy dalej. Tutaj domy były mniejsze, niepozorne, za to obwieszone praniem ogrody dawały więcej cienia. Ulica świeciła pustką, lecz dostrzegliśmy trzy figurki pod drzewem. Nie mogąc dłużej się powstrzymać, zaczęłam biec, ale zaraz przystanąłam, wstrząśnięta do głębi.

Niebieska, płócienna sukienka wisiała na Irene jak worek. Flora zatraciła dawne krągłości, a jej dłonie i stopy wydawały się za duże w stosunku do tyczkowatych kończyn. Oczy Susan zdawały się ogromne na tle wychudzonej twarzy i wydatnych kości policzkowych. Jej długie włosy obcięto bezlitośnie prawie do skóry. Podbiegłam i przytuliłam Florę, a potem Susan. Matka objęła Irene i stały tak dłuższą chwilę bez słowa, tylko poklepując się po ramionach.

Irene otarła łzę, a potem się roześmiała.

– Jak my wyglądamy! Strachy na wróble, a do tego chude jak szczapy!

Z niedowierzaniem potrząsaliśmy nad sobą głowami, po czym – sprawdzwszy, czy w pobliżu nie ma żołnierzy – usiedliśmy w cieniu i zaczęliśmy rozmawiać.

Irene wiedziała, że Wil przebywał w Tjimahi: otrzymały od niego dwie kartki, ale milczał od roku.

– Zakładamy, że wciąż tam jest, bo dostałybyśmy chyba jakąś wiadomość.

– Może razem z moim tatusiem – podsunął wesoło Peter.

Irene pogłaskała go po policzku.

– Pewnie tak. Mam tylko nadzieję, że Wil nie rozstawia go za bardzo po kątach! – dodała ze śmiechem.

– Co się działo po waszym wyjeździe z plantacji? – zapytała mama.

– Wyruszyliśmy do Batawii – mówiła Irene. – Wil zarezerwował bilety do Singapuru na „Gwieździe Azji”, ale spóźniliśmy się na rejs, bo zepsuł się nam samochód. Kiedy następnego dnia staliśmy w kolejce na inny statek, dowiedzieliśmy się, że „Gwiazda Azji” została zatopiona przez japońską łódź podwodną, przyczajoną w pobliżu wyspy Bangka. – Zadrżała. – Powiedziałam Wilowi, że nie zamierzam kusić losu, bo próba dotarcia do Singapuru jest zbyt niebezpieczna. Musieliśmy spróbować szczęścia na Jawie i prosić Boga o siłę dla holenderskiej armii.

Wyjaśniła, że wynajęli dom w Batawii, aby w razie czego móc szybko wyjechać, gdy nadarzy się okazja ucieczki do Południowej Afryki lub Australii. Ale wtedy rozpoczęła się bitwa o Jawę.

– Widzieliśmy – wtrącił z przejściem Peter. – Niebo było całe czerwone.

– Byliśmy tam – oznajmiła Flora. – Japońskie samoloty latały nam nad głową,

z boku miały namalowane słońca. Zobaczyliśmy spadającą bombę, wyglądała jak dzwon. Potem nastąpił straszny wybuch i wszystko zasnuły kłęby czarnego dymu. Pobiegliśmy do schronu przeciwlotniczego, gdzie dostaliśmy kawałki gumy do przygryzienia, żeby nam zęby nie dzwoniły w czasie bombardowania. Mało nie ogłuchliśmy, mimo zatkanych uszu.

Na twarzy Petera malowała się mieszanka strachu i zazdrości.

– Niesamowite... – mruknął.

– Nie, kochany. – Irene pokręciła głową. – Przeróżające. Myśleliśmy, że nie przetrwamy. A po tygodniu Jawa padła. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Na ulice wkroczyły tysiące japońskiej piechoty, a holenderscy wojskowi zostali wywiezieni ciężarówkami.

– Widzieliście tatę Corrie? – spytałam. – Ona też tutaj jest, miałam wam powiedzieć. Przyjechaliśmy razem tym strasznym pociągiem.

– Jej mama nie żyje – wypalił Peter. – Japońce ją zabili, bo kupiła jajka. Powiesili ją.

Irene przycisnęła rękę do ust.

– O mój Boże...

– Corrie musi się opiekować siostrzyczkami – wyjaśniłam.

– Jest teraz mamą – dodał Peter. Spojrzał na naszą matkę, potem na mnie i wiedziałam, co sobie myśli.

– Pomagamy Corrie, jak możemy – mówiła mama. – Nasza przyjaciółka Ina najbardziej, ale to ogromny ciężar dla takiej dziewczynki.

W oczach Irene błysnęły łzy.

– Biedactwo – szepnęła.

– Greta też tu jest – oznajmiłam Florze. – Ze swoją *omq*.

– Jak długo tu jesteście? – zapytała matka.

– Od początku internowania – odparła Irene. – Dwa i pół roku. Ale mówcie, co się z wami działo.

Matka wyjaśniła, że do czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku mogliśmy zostać na plantacji.

– Ale było ciężko bez żadnych wieści od Hansa. Bardzo się o niego martwimy.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość – stwierdziła Irene. – Większość ludzi dowiaduje się o śmierci najbliższych, gdy wysłane do nich kartki wracają z pieczętką „zmarły”. Albo gdy dostają przesyłkę z nazwiskiem, kosmykiem włosów, ścinkami paznokci i zegarkiem... coś potwornego. Dlatego wierz mi, Annie, lepsze jest milczenie.

– A jak tam Arif? – zapytała Susan. – Widzieliście go? Jest cały i zdrowy?

– Pracował, dopóki nie wyjechaliśmy – powiedziała matka. – Ale nie wiemy, co się stało z nim i pozostałymi robotnikami.

– Susan nadal go kocha – oświadczyła Flora. – Prawda, Sue? – Siostra zgromiła ją wzrokiem.

Peter opierał się o ramię mamy. Spojrzał na nią.

– Po wojnie wrócimy do domu?

Pocałowała go w czubek głowy.

– Naturalnie. – Choć potwierdziła, w jej głosie pobrzmiewała niepewność.

– Musimy wrócić – oznajmił Peter. – Obiecałem Jai. Pamiętaj, że musimy odkupić mu szachownicę.

– Nie zapomnę – obiecała.

Zapytaliśmy o życie w Tjidengu.

– Początkowo nie było tak źle – zaczęła Irene. – Mogliśmy gotować, a nawet wychodzić z obozu w ciągu dnia, byle zdążyć na wieczorny *tenko*. Zbieraliśmy się na wspólną modlitwę, a nawet słuchaliśmy koncertów – kilka razy grała dla nas pianistka Lili Krauss; przyjechała na tournée i trafiła na inwazję. Po czym pierwszego kwietnia, chyba jak na szyderstwo, zjawił się Kenichi Sonei. Jednym z jego pierwszych rozkazów było porażenie wszystkich fortepianów.

Zdumiony Peter zamrugał.

– Ale po co?

– Zaczynało brakować opału do *dapuru*. Spalono wszystkie meble, a nawet drzwi. Sonei zmniejszył o połowę nasze racje i podwoił liczbę apeli. Robił też jeszcze gorsze rzeczy, na przykład kazał wywlec chorych ze szpitala.

– Dlaczego? – spytałam.

– Ponieważ psuliby mu statystyki w Tokio. Kazał ich zostawić pod bramą, starszych ludzi, na pewną śmierć. To było straszne. A potem...

Irene przymknęła oczy, jakby zbierała się w sobie.

– Wiele osób przyjechało z psami – zaczęła stłumionym głosem. – Któregoś wieczoru Sonei kazał wsadzić wszystkie psy do worków, dał nastoletnim chłopcom pałki i kazał zatłuc biedne stworzenia na śmierć, bo inaczej sami zostaną zatłuczeni. – Zadrzała. – Chłopcy płakali, wszyscy płakaliśmy. Wielu odmówiło i zostało brutalnie pobitych, ale się stało, jak rozkazał.

Peter zacisnął pięści.

– Jego wsadziłbym do worka i zatłukł!

– Ludzie podupadają na duchu – dodała Susan. – Liczymy każde ziarenko ryżu, każdą kroplę zupy. Bez przerwy oskarżamy się nawzajem o kradzież, głównie ubrań, ale też mydła i żywności. – Wyjaśniła, że gdy coś ginęło, podejrzania padały zwykle na przybyszów z Tjihapit, gdyż oni mieli najmniej rzeczy.

Matka przytaknęła.

– To tłumaczy wrogość na nasz widok.

Irene zaśmiała się blado.

– Wszyscy jesteśmy żebrakami. Tylko pomyśl, co mieliśmy kiedyś! Obecnie szacujemy nasz „dobytek” w kategoriach łyżek, kubków, ubrań i talerzy; nawet stary gałgan ma jakąś wartość. Zwróciliście uwagę, jakie „bluzki” noszą kobiety: ścierki do naczyń! Zdarzają się sukienki z prześcieradeł, a większość z nas nie ma butów, bo się rozleciały.

– Patrzcie, jakie mamy zgrubiałe stopy. – Susan wysunęła swoje.

Zapytałam, co się stało z jej włosami. Martwiłam się, że zostały ogolone, ale ona wskazała na matkę i zastrzygła palcami, jakby trzymała nożyczki.

– Obcięłam je – wyjaśniła Irene. – Wolałam, żeby nie rzucała się żołnierzom w oczy. Florę też niedługo ostrzygę. Anneke, radziłabym, żebyś zrobiła to samo z Klarą.

Peter zapytał ze zdziwieniem dlaczego.

– Ponieważ żołnierze szukają sobie czasem koleżanek – oznajmiła wymijająco Irene. – Czasami na siłę. Im brzydsza, tym bezpieczniejsza, dlatego Susan musiała się na razie pożegnać ze swoimi ślicznymi puklami.

– Głowa do góry, Sue – wtrąciła Flora. – Za pięć lat odrosną.

Susan udusiła ją wzrokiem.

– Nie musisz mi tego mówić!

– O co ci chodzi? – broniła się Flora.

Susan wytargała ją za kosmyk.

– Ciebie czeka to samo, mądralo.

Irene wstała.

– Nie kłóćcie się, dziewczynki – upomniała ze znużeniem. – Zgryzoty mamy aż nadto. Chodźcie, obejrzyjcie nasz luksusowy apartament – powiedziała do mamy.

Weszliśmy do środka.

– Naprawdę luksus, macie sypialnię – zauważył Peter.

– Owszem, chociaż bez drzwi – odpowiedziała Irene. – Ale mamy trochę prywatności.

Po drodze musieliśmy wyminąć kilka śpiących kobiet, dwie miały spuchnięte nogi. W pokoju usiedliśmy na materacach. Flora pokazała mi swoje lalki; porcelanowa Lottie straciła dłoń, a uśmiechnięte usta Lucie pruły się z jednej strony.

Podniosła Lucie i przyłożyła palec do ust.

– Zaszyliśmy w niej wszystkie nasze cenne rzeczy – szepnęła. – Bizuterię mamusi i paszporty. Wszędzie ją z sobą noszę. Inne moje skarby trzymam tutaj. – Wzięła poduszkę i wyjęła z niej zawiniątko. W środku załśniła mosiężna jaszczurka. Pogłaskałam ją odruchowo, czując znajome ukłucie zawiści.

Irene zapytała, gdzie dokładnie na Laan Trivelli mieszkamy. Kiedy matka jej powiedziała, po twarzy Irene przemknął cień. Myślałam, że to z powodu bliskości bramy, lecz chodziło o coś innego.

– Mieszkacie w Domu Chłopców – wyjaśniła. – Tam trzymali chłopców, zanim posłano ich do obozu dla mężczyzn. Najmłodszy miał dziesięć lat. Niektórzy wsiadali do ciężarówki ze swoimi misiami.

– Potworne – mruknęła matka. – Cóż za podłość, traktować małych chłopców na równi z mężczyznami.

– Annie – dodała Irene. – Nie chcę cię martwić, ale musisz o czymś wiedzieć...

– Tak? – zaniepokoiła się mama. – O czym?

Irene zaczerpnęła tchu.

– Doszły nas słuchy, że Sonei planuje kolejny transport dziesięciolatków.

Spotkanie z Florą przyniosło mi ulgę. W obozie przybywało więźniów, dostrzegałam kolejne znajome twarze. Przyjechały jeszcze dwie nasze szkolne koleżanki – Edda Smits oraz Lena Bosch. Lenę z matką przypisano do domu Flory i martwiłam się, że pójdę w odstawkę.

Edda przyjechała z obozu o nazwie Kampong Makassar. Powiedziała nam, że spotkała tam pannę Broek i pannę Vries.

– Panna Vries strasznie schudła – dodała. – Bez przerwy płacze, bo jej narzeczony zginął w czasie nalotu.

Któregoś dnia ujrzeliśmy z matką i Peterem kolejną znajomą postać. Po powrocie zastaliśmy w domu Marleen Dekker, która rozkładała materac w kącie salonu. Nawet nie wiedzieliśmy, że jest w Tjidengu.

Matka się zdziwiła, ale od razu podeszła się przywitać. Pani Dekker udała, że jej nie dostrzega: chyba nie zapomniała, jak mama utarła jej nosa w kontekście przyjaźni Petera z Jayą.

– Pamiętliwa – szepnęła matka, kiedy odchodziliśmy. Niebawem mieliśmy się przekonać, że pani Dekker była nie tylko pamiętliwa, ale i mściwa.

Dowiedzieliśmy się, że przebywa w obozie od roku. Mieszkała na Moesi Weg, ale tak naraziła się współlokatorkom – nazywały ją „królową Marleen” – że wnioskowano o jej przeniesienie. I tak kilka dni po naszym przyjeździe zjawiała się w naszym domu. Nie było z nią jej syna; ktoś wspomniał, że wyjechał ostatnim transportem miesiąc temu.

– Żal mi jej, Klaro – powiedziała matka. – Pewnie zamartwia się o Hermana. Wolalabym jednak, żeby mieszkała gdzie indziej. Ale nie będę się tym przejmować – dodała. – Grunt, że jest Irene z dziewczynkami.

Peter i ja, kiedy tylko mogliśmy, spędzaliśmy czas z Susan i Florą. Zamykaliśmy oczy i udawaliśmy, że jesteśmy z powrotem na plantacji, że widzimy góry. W Tjidengu nasze oczy natrafiały tylko na *gedek*.

Flora i ja zamiatałyśmy ulice, ale czasem chodziłyśmy na spacer, markując pracę. Szłyśmy do zachodniej części obozu i wyglądałyśmy przez drut kolczasty na świat. Często przechodnie nas zauważali i się gapili, że zgrozą, takie byłyśmy brudne

i wychudzone, do tego wyglądałyśmy jak chłopcy, bo Irene obcięła nam włosy. Jednak zdarzały się uśmiechy złośliwej satysfakcji: ludzie cieszyli się z upadku uprzywilejowanych holenderskich kolonizatorów. Ale coś jeszcze mnie zdumiewało.

– Dlaczego oni nie są chudzi, jak my? – zapytałam Florę.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie mają więcej jedzenia.

– To Japończycy nas... głodzą? Specjalnie?

Flora zacisnęła usta.

– Podobno. Zresztą nie wiem.

W obozie czas zdawał się stać w miejscu. Doskwierało mi poczucie, że trwamy w stanie ciągłego oczekiwania: czekaliśmy na apel, na pójście do pracy, na głodowe racje lub odpoczynek. W wolnym czasie matka i Irene uczyły nas na zmianę, podobnie jak na zmianę opiekowały się nami, gdy chodziliśmy do szkoły. Pisaliśmy na kafelku kawałkiem grafitu bądź patykiem po piasku. Czasem przychodziła do nas Corrie, a wtedy Ina i Kirsten zajmowały się bliźniaczkami. Graliśmy też w różne gry. Chłopcy w kości, a dziewczynki w klasy, z białymi kamykami zamiast kwadratów, albo w kółko i krzyżyk, rysując palcami w ziemi.

*Tenko* odbywał się czasem trzy, cztery razy dziennie, bo Sonei miał taki kaprys. W czasie pełni potrafił wyrwać nas z łóżek w środku nocy. Matki brały wtedy koc, na którym dzieci mogły się położyć, a gdy Sonei podchodził, budziły je prędko i kazały im wstawać. Ale *tenko* nie był w Tjideng najgorszy, najgorsza okazała się brama. Nazywaliśmy ją „de Poort” i baliśmy się jej panicznie, bo właśnie tam działy się największe okropieństwa. Przy bramie były wymierzane kary, zwykle golenie głowy i chłosta. Niekiedy kazano kobietom klękać z bambusowym prętem pod kolanami, który odcinał krążenie, lub wieszano je za nadgarstki związane na plecach, tak że ledwo dotykały stopami ziemi. Za poważne „przestępstwa” przywiązywano kobiety do krzesła i sadzano w słońcu, bez jedzenia i bez wody, czasem na parę dni. Większość przyplącała to życiem, z powodu odwodnienia i udaru. Dlatego zawsze kojarzyliśmy bramę z najgorszym. Przez nią tu trafiliśmy i przez nią opuścimy obóz, najprawdopodobniej nogami do przodu, w czym utwierdzały nas kolejne miesiące.

W lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku ludzie umierali masowo, nie tylko z niedożywienia, ale z powodu dyzenterii, pelagry, uporczywego kaszlu i beri-beri. Śmierć stała się tak powszechna, że przestała budzić emocje. Mogłam się z kimś bawić, po czym po dwóch dniach dowiadywałam się, że mój towarzysz zabaw nie żyje. W „prawdziwym” świecie byłabym wstrząśnięta, ale nie w obozie, tutaj śmierć stanowiła codzienność. Utworzono nawet ekipę do produkcji bambusowych trumien: Sonei pękał z dumy.

Peter chciał się bawić z dziećmi, ale mama go nie puszczała, bo zadręczała się obawą, że wygada, ile ma lat.

– Jeśli ktoś cię zapyta, mów, że jesteś rok młodszy – wbijała mu do głowy. – Rozumiesz? – Potakiwał. – A tobie, Klaro, nie wolno nikomu zdradzić jego prawdziwego wieku. Obiecuj, że tego nie zrobisz.

– Obiecuję. – Położyłam rękę na piersi. – Przysięgam, że nigdy nie zdradzę nikomu wieku Petera.

Tygodniami nie było żadnej informacji o transporcie i zaczęłam wierzyć, że to nigdy nie nastąpi. A potem w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku spadł cios. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy chłopcy od dziesięciu lat wzwyż, będący „zagrożeniem dla kobiet”, zostaną wywiezieni z obozu.

Pani Cornelisse przyszła do matki ze spisem.

– Z naszych danych wynika, że pani syn Peter ósmego kwietnia skończy dziesięć lat – zaczęła. – Zgadza się, pani Bennink?

Matce drgnął policzek.

– Nie – odrzekła ze spokojem. – Skończy dziewięć. – Dodała, że urzędnik w Garucie omyłkowo wpisał rok urodzin Petera jako 1935, zamiast 1936. – Wysłałam pismo w tej sprawie – uzupełniła chłodno. – Ale najwidoczniej nie skorygowano błędu. Ósmego skończy dziewięć lat – powtórzyła twardo.

Pani Cornelisse obiecała, że to sprawdzi, i poszła.

Peter miał nietęgą minę.

– Ale ja chciałbym pojechać do obozu dla mężczyzn – wyznał mi w tajemnicy. – Zobaczyłbym tatusia.

– Nawet nie wiemy, gdzie on jest – przypomniałam mu. – Poza tym skąd wiesz, że trafiłbyś do tego samego obozu? W każdym razie mama nie chce, żebyś jechał.

– Ale ja...

– Peter – wpadłam mu w słowo. – Obiecaliśmy tatusiowi, że będziemy słuchać mamy, bez gadania. Lepiej nie łam tej obietnicy, bo go rozgniewasz.

Dał za wygraną.

Ósmego kwietnia mama ostentacyjnie wyprawiła Peterowi urodziny – o ile w obozie w ogóle mogła być mowa o świętowaniu. Dała mu cudem zdobytą bułkę, nazrywaliśmy też kwiaty hibiskusa i wstawiliśmy do słoika. Odśpiewaliśmy „Sto lat” i dziewięć razy klasnęliśmy w ręce. Pani Cornelisse zjawiała się jeszcze tego samego dnia. Oznajmiła mamie, że nie zdołała zweryfikować daty urodzin Petera, więc skreśliła jego nazwisko z listy.

Matka ze spokojem przyjęła jej słowa, jakby właśnie tego się spodziewała, ale była wniebowzięta. Jednak jej radość nie trwała długo. Dwa dni później otrzymała list z informacją, że piętnastego kwietnia Peter Hans Bennink zostanie przeniesiony do obozu dla mężczyzn. Pobiegła do pani Cornelisse, która odesłała ją do kancelistki, pani Nicholson. Matka pospieszyła do kancelarii, zabierając nas z sobą.

Pani Nicholson siedziała za małym biurkiem i przeglądała listę nazwisk;

w sąsiednim biurze przebywał porucznik Kochi, inny oficer, tak samo znieawidzony jak Sonei. Pochłonięty papierkową robotą, nie zwrócił na nas uwagi.

Matka była blada jak ściana.

– Mój syn ma pięć lat – oświadczyła. Stała za Peterem, z rękami na jego ramionach. – Proszę spojrzeć, jaki jest mały.

– Większość chłopców jest mała – zauważyła pani Nicholson.

– Fakt, ale czy myśli pani, że nie pamiętam, kiedy urodziłam własne dziecko? Dlaczego cofnięto poprzednią decyzję?

Pani Nicholson się zawahała.

– Wolałabym nie mówić.

– Chcę wiedzieć – oświadczyła matka. – Mam do tego prawo.

Kancelistka utkwiała w niej wzrok.

– No dobrze... decyzja została cofnięta na podstawie wiarygodnych informacji, że Peter ma dziesięć lat.

Matka zamrugła.

– Z jakiego źródła?

Pani Nicholson przygryzła dolną wargę.

– Przed kilkoma dniami przysłała do mnie Marleen Dekker. Podśłuchiwała pani rozmowę z panią Cornelisse. Powiedziała, że była z rodziną u państwa na szóstych urodzinach Petera, cztery lata temu.

Matka poczerwieniała.

– Pani Dekker się myli. Owszem, była u nas tamtego dnia, ale Peter obchodził wówczas piąte urodziny.

– Dlaczego się pomyliła? – zapytała pani Nicholson.

– Bo jest zagubiona i skołowana. Przypuszczam, że sprawiła to presja obozowego życia, i to bardzo smutne, obawiam się jednak, że nie można polegać na jej słowach.

Nagle poczułam na nas spojrzenie porucznika Kochi.

– Peterze – zagadnęła pani Nicholson. – Ile masz lat?

Peter spiekł raka i zerknął na matkę. Zacisnęła mu palce na ramionach.

– Dzie...więć.

Wszedł porucznik Kochi i wszyscy się ukloniliśmy. Powiedział po malajsku, że ma dosyć naszego trajkotania. On ustali prawdę, „z pomocą dziewczynki”, dodał, wskazując na mnie.

Matka zmartwiała.

– Nie chcę, żeby przesłuchiowano moją córkę – powiedziała do pani Nicholson. – Błagam, niech pani powie porucznikowi, żeby od tego odstąpił.

– To nie w mojej mocy – odparła kancelistka. – Przykro mi, pani Bennink.

Matka ponownie ukloniła się porucznikowi. Następnie, unikając jego wzroku, poprosiła, żeby dał mi spokój.



– To tylko dziecko – mówiła łamiącym się głosem. – Ma dopiero dwanaście lat. Proszę, poruczniku Kochi, z całym szacunkiem, w imię Jego Cesarskiej Mości, błagam... – Ale porucznik wyprowadził mnie z kancelarii i ruszyliśmy w stronę wartowni.

Minęłam stojak z karabinami i znalazłam się w pustym pokoju na tyłach budynku. Był tam jedynie stół z dwoma krzesłami, żadnych okien. Światło przenikało tylko przez szczeliny w bambusie, rzucając ukośne cienie na brudną podłogę. Na widok niedopałków skreśliłam sobie na myśl, do czego mogły być wykorzystywane. Wiedziałam, że niektórym kobietom wpychano pod paznokcie bambusowe drzazgi lub wyrywano paznokcie u nóg obcęgami.

Kochi usiadł za stołem. Stałam na wprost niego. Ledwo dobywałam oddech, trzęsły mi się kolana.

– Ile lat ma twój brat?

– Mój... mój brat – wyjąkałam – ...ma dziewięć lat.

– Ile lat ma twój brat?

– Dziewięć.

– Kiedy się urodził?

– Ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. – Bałam się, że może Kochi nie zrozumie „1936”, bo japoński kalendarz różnił się od naszego.

– Ile lat ma twój brat?

– Dziewięć.

Zadał mi to pytanie chyba z dwieście razy, czasem robił przerwę na minutę, czasem na dwie minuty i znowu zaczynał. Stałam jak słup, bojąc się okazać jakiegokolwiek emocje, wpatrzona w róg stołu. Potem do pokoju wszedł kolejny żołnierz, w okrągłych okularach, sierżant Asako. Naradzili się po japońsku i Asako wznowił przesłuchanie po malajsku, ale w kółko powtarzałam to samo.

– Kłamiesz – upierał się. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. – Spróbujemy inaczej.

Nie wiem, ile czasu spędziłam w wartowni, tylko robiło się coraz ciemniej i chłodniej, kiedy słońce zachodziło. I po tym, gdy przesłuchanie przybrało inny, mroczniejszy obrót, moja gehenna dobiegła końca. Podnieśli mnie szarpnięciem, przekazali wiadomość dla matki i wypchnęli z pokoju.

Idąc, przetykałam łzy. Bałam się spotkania z matką, ale czekała, musiała wypatrywać mnie sprzed domu. Wybiegła mi naprzeciw z twarzą stężoną z niepokoju.

– Co oni ci zrobili? – wyszeptwała. – Co oni ci zrobili, kochanie? Powiedz – załkała, oglądając moje ręce i nogi w poszukiwaniu śladów przemocy. – Proszę cię, Klaro. Jestem twoją matką, możesz mi powiedzieć, będzie ci łatwiej.

Ale była ostatnią osobą, której mogłam wyznać prawdę. Wróciłyśmy do domu i nieswoim głosem przekazałam jej wiadomość.

– Jutro rano? – powtórzyła bezsilnie. – Jutro rano Peter ma się stawić przy bramie?  
– Potwierdziłam. – Znaczy, że przyspieszyli transport?

– Tak.

Na twarzy mamy odmalowały się rozpacz i zgroza. Nagle jej oczy nabrały innego wyrazu.

– Powiedziałaś im, ile ma lat.

– Nie.

– Musiałaś.

Próbowałam przełknąć ślinę, ale zaschło mi w ustach.

– Przysięgam, że nie powiem, i nie powiedziałam. Musisz mi uwierzyć, mamusiu.

Milczała. Nie było rady, otworzyła walizkę Petera. Włożyła do niej tabletki na malarię, koc, trochę ubrań, które się jeszcze uchowały, i misia wraz z ukochanym zdjęciem taty. Zapakowała też ronderek, talerz, kubek i żyłkę. Następnie zdjęła *kelambu*, rozerwała je na pół i uszyła nicią wyprutą z sukienki nową moskitierę dla Petera. Pokazała mu, jak ją wieszać i jak związywać, a potem spakowała do walizki. Resztę zszyła i położyliśmy się pod nią we trójkę, ostatni raz.

Nie mogłam spać. Peter też nie spał, widziałam w mroku jego błyszczące oczy. Matka, wyczerpana udawką, zasnęła.

– Przepraszam, Pietje – szepnęłam.

– Za co? – odszepnął.

– Za to, jaka byłam dla ciebie wstrętna.

– Nie szkodzi – mruknął. – Zresztą i tak nie pamiętam.

– Byłam kłótniwa, rozstawiałam cię po kątach i wyzywałam.

– E tam... przecież nie chciałaś. Zresztą wojna niedługo się skończy, tatuś i ja wrócimy, a potem wszyscy razem pojedziemy do Tempat Sungai.

Rozmawialiśmy o plantacji. Wspominaliśmy dzień, gdy przyleciały pszczoły, oraz dzielny wyczyn Sulimana. Mówiliśmy o Słodkim i Ferdim. Przywołaliśmy różne wspomnienia, a to jak tata polewał nas w upalne dni wodą z węża, a to jak mama hodowała białe i różowe orchidee w donicach i jak bawiliśmy się z Jayą i Florą; skradającą się panterę, nietoperze, które wylatywały o zmroku spośród liści figowca.

Następnego ranka wstaliśmy o pierwszym brzasku. Peter ubrał się i zwinął materac. Następnie otworzył walizkę, wyjął granatowy sweterek i go włożył. Zrobił to po raz pierwszy od blisko dwóch lat, ale sweterek nadal na niego pasował, bo Peter prawie wcale nie urósł.

Mama uśmiechnęła się do niego.

– Jaki jesteś elegancki.

– Muszę. Jadę na spotkanie z tatusiem. Pobiegnę do niego.

Matka pokiwała głową, niezdolna wydobyć głosu. Zapięła mu złote guziki, po czym wzięliśmy jego rzeczy i wyszliśmy. Na Laan Trivelli ujrzelśmy grupki kobiet, każde

skupiały się wokół małego chłopca. Niektóre kobiety i dziewczęta płakały. Zerknęłam na matkę; jej twarz była blada, ale oczy suche.

Gdy ruszyliśmy w stronę bramy, dołączyły do nas Irene, Flora i Susan. Duża ciężarówka już czekała z zapuszczonym silnikiem; w powietrzu unosił się zapach benzyny. Zapędzono chłopców w szeregi. Niektórzy nieśli swoje szkolne plecaki, inni ściskali wysłużone pluszowe misie. Pani Nicholson wykrzykiwała nazwiska oraz numery z listy i strażnicy popychali kolejnych chłopców do ciężarówki.

*Lekas! Lekas!*

Ani się obejrzałam, jak przyszła kolej Petera. Objął mamę; mocno go przytuliła.

– To nic innego jak kolejna przygoda – zapewniła. – Wkrótce się spotkamy. – Ucałowała go i przycisnęła policzek do jego policzka. – Kocham cię, Pietje – wyszeptała. – Do widzenia, kochany. Do zobaczenia.

Otoczyłam brata ramionami.

– Pa, Peter. Ja też cię kocham.

Irene, Flora i Susan go wyściskały, potem matka ucałowała go jeszcze raz i stanął w kolejce do samochodu. Gdy do niego wchodził, Irene objęła mamę – obie płakały – i zatrzaśnięto kłapę. Niektórzy chłopcy szlochali, lecz Peter, w eleganckim sweterku, z uśmiechem do nas machał, póki ciężarówka nie wyjechała za bramę i znikła nam z oczu.

## ROZDZIAŁ 16

W sobotni wieczór ponownie przeczytałam całość. Pomyślałam o Peterze, który zostawiał matkę i siostrę, nie wiedząc, czy je kiedykolwiek jeszcze zobaczy, i łzy napłynęły mi do oczu. Ale przynajmniej się pożegnały, zapewniły go o swojej miłości, stwierdziłam gorzko. I przynajmniej Klara nie ponosiła winy za to, co go spotkało, a ja... Zamknęłam dokument i spróbowałam wziąć się w garść. Po chwili przejrzałam pocztę. Pierwsza wiadomość nadeszła od Niny.

„Jenni, niedługo dostaniesz kartkę, ale chcieliśmy z Jonem podziękować Tobie i Rickowi za prześliczną ramkę – już włożyliśmy do niej nasze ulubione ślubne zdjęcie; à propos, załączam parę fotek. Spędziliśmy cudowny miesiąc miodowy, świeciło słońce, a jedzenie było przepyszne, choć apetyt mi raczej nie dopisywał, jak zapewne już wiesz od Honor. Wprawdzie to dopiero początek, ale uważam, że byłybyście cudownymi matkami chrzestnymi... Właśnie, słyszałam, że jesteś w Kornwalii u mamy mojego chrzestnego – Klara to niezwykła osoba. Baw się dobrze i do zobaczenia! N”.

Matka chrzestna... Odruchowo przejrzałam kilka stron z rzeczami dla niemowląt i popatrzyłam na różowe i niebieskie kocyki, śpioszki, malutkie czapeczki i buciki. Podobnie jak Honor, z trudem się opanowałam, żeby od razu czegoś nie kupić.

Obejrzałam zdjęcia przysłane przez Ninę. Jedno zrobiono mnie i Rickowi przed kościołem; było udane, choć nasze uśmiechy nie sięgały oczu. Na grupowym zdjęciu Honor śmiała się do obiektywu, stojąc kawałek od Ala, którego jeszcze wtedy nie знаła. Potem znowu my przy stole: Amy i Sean pogrążeni w rozmowie z Rickiem, ja z Carolyn, a Vincent spoglądał na mnie z namysłem. Było to zaledwie przed dwoma tygodniami.

Przyszła też wiadomość od Jill, córki Vincenta.

„Dorastałam ze świadomością, że babcia Klara w dzieciństwie cierpiała głód, a jedzenie odgrywało jedną z najważniejszych ról w jej życiu. Ilekroć jeździliśmy do Polvarth, nastawialiśmy się na obfite śniadania, sute obiady i wystawne podwieczorki, a stół ugiął się od kanapek, babeczek, musów czekoladowych i bez. Zawsze obrywałam, gdy nie zjadłam czegoś, co znajdowało się na moim talerzu; babcia nie znosiła marnotrawstwa. Pamiętam jej złość, gdy kiedyś powiedziałam, że umieram z głodu. »Bzdury opowiadasz«, usłyszałam.

Kiedy byłam starsza, kazała mi obiecać, że nie będę się odchudzać. »Dziękuj Bogu, że masz wszystkiego pod dostatkiem«, mawiała. Nigdy się nie oszczędzała, zawsze była dobrą sąsiadką, serdeczną przyjaciółką i oddaną matką oraz babcią. Wiele mnie nauczyła, dzięki niej wiem, jak należy hodować warzywa; zawsze myślę o niej jako o ogrodniczce. W dzieciństwie uwielbiałam chodzić do jej ogrodu za murem, skrawka raj, jak go nazywała, i wciąż bardzo lubię tam z nią przebywać...”

Już miałam zamknąć komputer, gdy nadeszła kolejna wiadomość. Honor pisała, że

właśnie dotarła do Londynu.

„Bardzo się cieszę, że cię odwiedziłam, i mam nadzieję, iż sytuacja z Rickiem się ułoży. Ale Jenni, cokolwiek postanowisz, musisz mu wszystko opowiedzieć”.

Gdyby to było łatwe! Na pewno będzie chciał ze mną zerwać. Jeśli tak długo ukrywałam przed nim sprawę tej rangi, pewnie straci do mnie zaufanie. Przeczytałam dalszy ciąg wiadomości.

„Chciałam też powiedzieć, że w drodze powrotnej znalazłam stronę internetową, która może cię zainteresować, chyba że już ją widziałaś. Nazywa się Wspomnienia z Tjidengu i składa się z opowieści ludzi, którzy przeżyli obóz. Może ci się przydać. Ucałowania, H”.

Zapisałam sobie nazwę, później zerknę. Najpierw jednak podniosłam telefon, wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam do Ricka.

Potem zeszałam na plażę – księżyc był ogromny i tak jasny, że widziałam swój cień na ścieżce. Siadłam na ławce przy budce z napojami i spojrzałam na światła Trennick migoczące na ciemnej wodzie. Rozmawiałam z Rickiem ponad godzinę. Odczekałam, aż podzieli się ze mną swoimi wieściami – że zaczęły się ferie, ale nigdzie nie wyjeżdża, musi się zająć pisaniem podań o pracę. Czytał ogłoszenie w „Timesie”, zainteresowała go posada w Norwich. Odpowiedziałam, że może być ciekawa, położenie też fajne, na co odparł, że chyba spróbuje. Pytał, jak mi idzie praca. Stwierdziłam, że dobrze, a potem opowiedziałam mu o wizycie Honor. Chciał wiedzieć, jak spędzałyśmy czas, odparłam, że spacerowałyśmy, gadając o różnych sprawach. A potem, od słowa do słowa, zebrałam się na odwagę i opowiedziałam mu o tym, co stało się w Polvarth przed dwudziestu pięciu laty.

Kiedy skończyłam, w słuchawce panowała tak głucha cisza, jakby się rozłączył. Następnie usłyszałam, jak mówi, że teraz rozumie, dlaczego wahałam się w sprawie wyjazdu do Polvarth i nie chciałam, żeby matka wiedziała, gdzie jestem. Powiedziałam mu, że była tam wtedy Klara i że ją poznałam. Jak to możliwe, że pamiętam, spytał, przecież minęło tyle czasu; wyjaśniłam, że od lat wciąż na nowo przeżywam ten dzień i wszystkie szczegóły zapadły mi w pamięć. Zapytałam, czy jest zły, że wcześniej mu nie powiedziałam. Odparł, że nie, tylko zszokowany i oszołomiony – nie mieściło mu się w głowie, aby taić coś tak istotnego. Wyznałam, że nie czułam się na siłach o tym mówić, ze wstydu.

– Bałam się, że będziesz o mnie źle myślał.

– Przecież byłaś dzieckiem – wybuchnął. – Nie myślę źle o dzieciach, choćby nie wiem co zrobiły: nie chciałaś celowo skrzywdzić Teda... – Wzdrygnęłam się na dźwięk imienia brata w jego ustach, imienia, które tak długo przed nim ukrywałam.

– Matka twierdzi coś innego.

– Ale... dlaczego, Jenni?

– Mówiła, że ilekroć działał mi na nerwy, życzyłam mu śmierci.

– Dzieci plotą, co im ślina na język przyniesie. Tak to już bywa, zwłaszcza z rodzeństwem.

– Podobno często żałowałam, że się urodziłam.

– Przecież nie mówiłaś serio.

– Właśnie, że mówiłam.

– Dlaczego? Byłaś o niego zazdrosna? Bo młodszy?

– Nie. Nie dlatego...

Przed oczami stanął mi ojciec: nosił mnie na barana i bawiliśmy się w berka w ogrodzie, czytał mi na dobranoc i wymyślał bajki, specjalnie dla mnie, o myszce Milo. Potem zobaczyłam matkę z wielkim brzuchem, która błagała przez łzy, żeby nie odchodził.

Odetchnęłam.

– Ojciec zostawił nas w dniu, gdy pojawił się Ted. Krótco potem zginął, a ja skojarzyłam to w myślach z narodzinami brata. Może matka miała rację. Może dlatego go zostawiłam...

– Wszystko jasne – powiedział cicho Rick. – Teraz rozumiem, dlaczego się z nią nie widzisz i nie chciałaś mi jej przedstawić.

– Gdybyśmy tam pojechali, zobaczyłbyś zdjęcia brata, o którego istnieniu nie wiedziałaś.

– A gdzie ona wtedy była?

Opowiedziałam Rickowi, co robiła w tym czasie.

– W takim razie powinna mieć pretensje do siebie – skwitował. – Albo do nikogo. To był jeden z tych strasznych zbiegów okoliczności prowadzących do tragedii, której nikt nie mógł przewidzieć. Nie chciałaś spowodować jego śmierci, Jenni.

– Jasne, że nie chciałam. Ale nie mogę zapomnieć matce, że tak twierdziła, a teraz w Polvarth czuję...

– Co?

– Jego obecność.

– Pewnie bez przerwy o nim myślisz.

– No tak, ale to coś więcej... Ja go słyszę, Rick. Słyszę jego płacz, wołanie. On tutaj jest. I mnie prześladowuje.

– Prześladowuje? Ależ skąd, Jenni. Proszę cię, nie mów takich rzeczy. Dokończ robotę i wracaj do domu... – Potem straciłam zasięg i przerwało połączenie.

Zbiegłam po schodkach i przeszłam po piasku nad skraj wody. Wytężyłam słuch, ale nie słyszałam nic prócz szumu fal.

Wróciłam na drogę, minęłam rozjaśniony światłami hotel i otworzyłam chatkę. Poszłam na górę i rozebrawszy się, wlałam pod kołdrę, nie zaciągając zasłon.

Spałam niespokojnie, śnił mi się Peter w ciężarówce, machał na pożegnanie.

Obudziłam się jakoś przed świtem. Usiadłam na łóżku, serce waliło mi w piersi.

Ktoś był ze mną w pokoju, wyczuwałam w mroku jego obecność. Wytrzeszczyłam oczy, czułam, jak serce kołacze mi o żebra. Stopniowo się uspokoiło, gdy zdałam sobie sprawę, że prócz mnie nikogo nie ma w pokoju.

Odrzuciwszy kołdrę, podeszłam do okna i wyjrzałam na osrebrzony poświatą ogród i połyskliwe morze. Postąpiłam tak chwilę, po czym wróciłam do łóżka. Popatrzyłam na obraz na ścianie. Pod ołowianym niebem kipiało morze, spienione fale rozbijały się o brzeg. Lecz teraz dostrzegłam coś, co wcześniej nie zwróciło mojej uwagi. Na skałach, z siatką w dłoni, stał mały, jasnowłosy chłopiec w czerwonych spodenkach.

Leżałam bezsennie, sparaliżowana strachem. Nagle usłyszałam głos Honor. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że wróciła, po czym zrozumiałam, że zasnęłam i radio się włączyło. Dźwignęłam się z wysiłkiem i utkwiałam wzrok w obrazie. Postać w czerwonych spodenkach znikła. A raczej nigdy jej nie było, skarciłam się w duchu. To wytwór mojego zniekanego umysłu. Zaczynało mi odbijać.

– Pamiętajcie, że dziś przesuwamy zegarki – oznajmiła Honor. – Jeśli więc mieliście zamiar zwlec się z łóżek, nie róbcie tego! Zostańcie pod kołderką na drugą połowę audycji, w której będziemy rozmawiać o Halloween. Co sądzicie o zwyczaju „cukierek albo psikus”? Lubicie go, ochoczo drążycie dynie, malujecie pajęczyny na oknach i ciągniecie po sąsiadach dzieci przebrane za wampiry i zombi? Czy może najchętniej wykreślilibyście to święto z kalendarza? Później się dowiemy, ale najpierw Jason przedstawi wiadomości...

Poszłam do łazienki i wzięłam prysznic. Kiedy wróciłam, Honor gawędziła z meteorologiem, a potem, wciąż w temacie Halloween, przeszła na temat duchów.

– Czy duchy istnieją? – zapytała.

– Tak – mruknęłam.

– Właśnie o tym będziemy dzisiaj rozmawiać, gdyż z ostatnich sondaży wynika, że aż czterdzieści procent z nas wierzy, że tak. Jest z nami Barri Ghai, założyciel towarzystwa spirytystycznego Ghostfinders. Witaj, Barri. Jednym słowem: ty wierzysz.

– Jak najbardziej – odpowiedział Barri. – Nie tylko wierzę w duchy, jestem pewien, że istnieją i są wśród nas.

– Skąd ta pewność? – zapytała Honor, gdy wciągałam dzinsy.

– Bo je widziałem. Widziałem, jak przedmioty poruszały się same z siebie, postać przenikała przez ścianę, zabawka grała, mimo że nie było w niej baterii. Widziałem rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć zasadami logiki bądź argumentami naukowymi.

– Czekamy na wasze telefony – oznajmiła Honor. – Opowiedzcie nam o swoich upiornych doświadczeniach, możecie też zadawać pytania naszemu gościowi. Mamy telefon od Cathy z Sevenoaks. Dzień dobry, Cathy. Czy kiedykolwiek widziałaś ducha?

– Owszem – odpowiedziała zdecydowanie kobieta. – Trzydzieści lat temu, kiedy miałam dziesięć lat. Zobaczyłam dziadka na schodach, uśmiechał się do mnie.

Zdziwiłam się, bo nie wiedziałam, że przyjechał. Okazało się, że zmarł przed dwiema godzinami; rodzice przekazali mi tę wiadomość później tego wieczoru. Stwierdzili, że nie mogłam go widzieć, ale ja go widziałam. Moim zdaniem przyszedł się ze mną pożegnać.

– Rany, dostałam gęsiej skórki – zawołała Honor. – Dziękuję, Cathy, zostań jeszcze chwilę na linii, bo mamy połączenie z Patrickiem z Bath. Jakie jest twoje zdanie, Patricku?

– Jestem sceptykiem. Uważam, że ludzie umierają i koniec, więcej ich nie widzimy.

– A zatem twierdzisz, że Cathy nie mogła widzieć swojego dziadka?

– No... tak mi się wydaje, tak.

– Słuchaj, jeśli mówię, że widziałam, to widziałam – odparowała Cathy. – To tak, jakby ktoś doznał objawienia, na przykład miał wizję albo słyszał głos z nieba. Nikt nie ma prawa tego kwestionować. To byłby szczyt arogancji.

– Niedowiarki mogą sprawiać wrażenie aroganckich – wtrącił Barri. – W tym wypadku zgadzam się z Cathy. Jeżeli ktoś twierdzi, że doznał objawienia bądź miał wizytę z zaświatów, wówczas mamy do czynienia z prawdą subiektywną.

– No właśnie: subiektywną – powiedział Patrick. – No więc, tak jak mówiłem, nie wierzę w duchy, ale wierzę w nawiedzenie.

– A na czym polega różnica? – zapytała Honor.

– Wierzę, że za sprawą silnej presji psychicznej możemy poczuć się „nawiedzani”, ale bez żadnego uzasadnienia w rzeczywistości.

– Czyli sprowadzamy wszystko do halucynacji – skwitowała Honor. – Albo neurozy.

– Nie przekonuje mnie to – stwierdził Barri. – Niedowiarek powie, że nie można zobaczyć postaci przenikającej ścianę, gdyż przeczy to prawom fizyki; dla niego to omamy. Ale skąd wiadomo, że duch nie jest emanacją z innego wszechświata, którym rządzą odmienne prawa fizyki?

– No to zabiłeś nam ćwieka – oznajmiła Honor. – Pattie na trzeciej linii. Co nam powiesz?

– Myślę, że zmarły pozostawia po sobie ślad. Coś w rodzaju echa, które czasem słyszymy. Moim zdaniem jest to bardziej prawdopodobne, jeśli ta osoba zginęła nagłą śmiercią...

Wyłączyłam radio, nie chciałam już tego słuchać.

Przypomniałam sobie o polecanej przez Honor stronie internetowej, włączyłam laptop i ją znalazłam. Zawierała historię obozu, ze zdjęciami zaniedbanych domów z ogrodami usianymi nocnikami, wiadrami i połamanymi krzesłami oraz werandami obwieszonymi wystrzępionym praniem. Były tam drastyczne fotografie dzieci o patykowatych kończynach i wielkich oczach oraz kobiet zgiętych w ukłonie, z rękami przyciśniętymi do boków.



Przełączyłam na relacje świadków. Kobieta o imieniu Renata pisała o wygrzebywaniu ze śmieci wszystkiego, co nadawało się do jedzenia, i łapaniu koników polnych, w tym samym celu. Max opisywał euforię towarzyszącą zdobyciu jajka: jadł je na spółkę z siostrą, po czym matka gniotła skorupkę, rozpuszczała ją w wodzie i dawała im do wypicia ze względu na wapń. Katrin wspominała, jak jej sześciolatek próbował kiedyś sklecić zabawkę z dwóch zardzewiałych gwoździ – ten obraz wciąż doprowadzał ją do płaczu.

Następnie przeczytałam relację niejakiej Eddy.

„Zostałam internowana najpierw do Kampong Makassar, a potem Tjidengu. Szczególnie utkwiły mi w pamięci kary za wyimaginowane przewinienia – gdy ktoś uklonił się sekundę za późno lub spojrzął żołnierzowi prosto w twarz. Pamiętam, jak pewną dziewczynę zawieszono za nadgarstki za znalezienie w jej pokoju holenderskiej monety. Jedna z naszych współlokatorek opuściła *tenko* – była chora i nie miała siły wstać, więc przywiązali ją do krzesła i na dwa dni postawili w słońcu; mało nie umarła. Odbywały się przesłuchania, na których stosowano tortury i jak na ironię ofierze dawano wybór, czy woli być, na przykład, przypalana papierosami, czy mieć wyrywane paznokcie. Przesłuchania były prowadzone w wartowni. Kiedyś zobaczyłam, jak wychodzi z niej Klara, moja koleżanka ze szkoły. Nie wiedziałam, co jej zrobili, ale nigdy nie zapomnę jej miny. Wyglądała, jakby świat jej się zawalił. Była zdruzgotana”.

# ROZDZIAŁ 17

## KLARA

Od wyjazdu Petera minął miesiąc i nie miałyśmy żadnych wiadomości. Pozostawała jedynie nadzieja, że znalazł się wśród ludzi, którzy traktowali go przyzwoicie, a przynajmniej zostawili w spokoju. Pocięczałam się myślą, że gdziekolwiek jest, nie może być tam gorzej niż w Tjidengu, ale chyba świadczyło to o moim braku wyobraźni.

Któregoś ranka zamiatałyśmy z Florą ulicę, kiedy zobaczyłyśmy nadjeżdżającą ciężarówkę z chlebem. Ponieważ jechała swoją zwykłą trasą przez Laan Trivelli, rozchodził się aromat chleba; dzieci hurmem wyległy z domów i rzuciły się ku niej ile sił w nogach. Czekaliśmy, aż się zatrzyma, ale tylko dojechała do końca, zakręciła, przejechała z powrotem i tyle ją widzieliśmy.

– Czemu to zrobiła? – zawyła Flora.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem.

Po chwili ciężarówka wróciła, ponownie przejechała Laan Trivelli, gdzie były dzieci, zawróciła i wyjechała przez bramę. Gdy zrobiła to po raz trzeci, wszyscy zostali w domach. Zrozumieliśmy, że inwencja Sonei w dręczeniu nas nie zna granic.

Później dowiedzieliśmy się od pani Cornelisse, dlaczego kazał kierowcy to zrobić. Dzień wcześniej, wyjaśniła, Sonei był świadkiem przyjazdu ciężarówki z warzywami. Ale żaden z więźniów na ulicy nie ukłonił się kierowcy – podwładnemu cesarza!

– Porucznik Sonei uznał to za wielki afront wobec Jego Cesarskiej Mości. I dlatego... – Pani Cornelisse urwała, a my wiedzieliśmy, że zanoszą się na złe wieści. –

Obawiam się, że postanowił wstrzymać na trzy dni racje żywnościowe dla całego obozu.

Rozległy się okrzyki rozpacz.

– Nie może nam tego zrobić!

– Umrzemy!

– Zwariował!

– Niech pani z nim porozmawia, pani Cornelisse!

– Tak, niech pani go ubłaga, żeby nam tego nie robił!

– Bardzo mi przykro – odparła pani Cornelisse. – Próbowaliśmy go przekonać, ale się uparł. Trzeba jakoś wytrzymać.

Lamenty nie ustały, lecz najgorsze było dopiero przed nami. Rozkazano pracownikom kuchennym wykopać doły i wrzucić do nich całą owsiankę i chleb, wszystko, co mieli nam rozdać. Widziano, że Sonei zasypywał jedzenie piaskiem, by nie nadawało się do jedzenia. W taki sposób zniszczono żywność, która posłużyłaby do wykarmienia dziesięciu tysięcy głodujących kobiet i dzieci!

Tamtej nocy nie mogliśmy zasnąć. Nieustanny szloch dzwonił mi w uszach. Bliźniaczki płakały, a Corrie krzyczała na nie, żeby się uciszyły, uciszyły, uciszyły...

Słyszeliśmy wrzask małąp.

– One dostają żreć – stwierdziła z goryczą Kirsten.

Cały obóz pograżył się w rozpacz. Niektóre kobiety, oszalałe z głodu, groziły, że włamią się do budynków i znajdą pożywienie. Przecież musi być coś do jedzenia, krzyczały, gdzieś w tym piekielnym, *godvergeten* miejscu. Mówiły nawet, że zakradną się do willi Sonei – stamtąd zawsze napływały apetyczne zapachy!

– Moja kuzynka musi dla niego gotować – opowiadała kobieta o imieniu Mies. – Sonei każe jej przyprowadzać dzieci, by patrzyły, jak się obżera. Pobudza to łajdakowi apetyt, a niech go diabli wezmą!

Spaliśmy jak najwięcej, żeby nie trwonić energii. Leżąc, rozmyślałam o tych wszystkich rzeczach, których żałowałam, że kiedyś nie zjadłam; nie zjadłam w szkole ryżowego deseru, ciasta z kassawy u Flory w domu. Nie mogłam sobie darować, że kręciłam nosem na okruszki chleba, bawole mleko i środek pomidorów. Żałowałam nawet, że nie zjadłam więcej ślimaków.

Personel medyczny rozdawał małe porcje chleba i soczewicy ze swoich zapasów, ale nie było jak jej ugotować, bo Sonei skonfiskował wszystkie przenośne kuchenki. Dlatego miażdżyliśmy ją kamieniem, mieszaliśmy z wodą i jedliśmy z naszą odrobiną szarego chleba.

Matka spojrzała na swoją soczewicę.

– Jesteśmy ludźmi pierwotnymi – oznajmiła cicho. – Oto, co z nami zrobili.

Tamte trzy dni dłużyły się jak trzy tygodnie. Wreszcie Sonei wydał rozkaz ponownego otwarcia *dapuru*. Czekaliśmy na materacach, zbyt słabi, żeby robić cokolwiek innego. Znalazłam jakąś kartkę i wachlowałam się nią, ale matka kazała mi przestać, gdyż nawet ten niewielki wysiłek powodował utratę cennych kalorii.

– Kiedy będę mogła zobaczyć Florę? – spytałam. Nie mogliśmy się widywać w czasie „dni głodowych” i bardzo mi jej brakowało.

– Kiedy zjemy – odpowiedziała ze znużeniem matka.

Gdy głos pani Cornelisse raz jeszcze wezwał do kuchni roznosicielki posiłków, matka i Kirsten pospieszyły tam z balią. Po powrocie matka sprawiała wrażenie zgnębionej, ale nie chciała powiedzieć dlaczego; wiedziałam, że martwi się o Petera, od którego nie miałyśmy wiadomości. Dała mi kubek owsianki, a gdy skończyłyśmy, oznajmiła, że widziała Susan.

– Mówiłaś jej, że do nich przyjdę?

– Tak... ale...

– Co się stało, mamó?

Przykryła ręką moją dłoń.

– Klaro – powiedziała łagodnie. – Flora choruje.

Zrobiło mi się gorąco.

– Czemu dopiero teraz mi mówisz?

– Bo martwiłam się, że nie zjesz.

Wstałam.

– Muszę ją odwiedzić.

– Chyba nie powinnaś. – Usłyszałam głos matki, ale biegłam już przez podwórko. Opodal bramy zobaczyłam Irene i Susan, z dwiema innymi kobietami, niosły Florę na noszach. Rozchorowała się z głodu, pomyślałam. Musi się najeść, oddam jej część mojej porcji. Ale gdy nas minęły, kierując się w stronę szpitala, zobaczyłam, że jej skórę powleka szarość, a ciało ma skręcone z bólu pod cienkim prześcieradłem. To nie był głód. Pobiegłam z powrotem do matki i spytałam o przyczynę stanu Flory.

Wyjaśniła, że dzień wcześniej Flora z Leną znalazły w szopie parę grudek *bunkilu* i zjadły. *Bunkil* był karmą dla zwierząt, wytwarzaną z rozdrobnionych ziaren soi.

– Soja jej zaszkodziła? – zdziwiłam się. – Przecież to samo zdrowie.

Matka wyjaśniła, że *bunkil*, choć dobry dla zwierząt, może być trujący dla ludzi. Lena zjadła tylko odrobinę i wyzdrowieje, natomiast Flora jest bardzo chora. Zapytałam, czy mogę posiedzieć przy niej w szpitalu, ale stwierdziła, że jej stan jest zbyt poważny. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać i modlić się o jej wyzdrowienie.

Modliłam się cały ranek, w południe i wieczorem, przerywając tylko na chwilę, gdy Susan przysłała zdać nam relację. Pod koniec pierwszego dnia Flora była półprzytomna, pod koniec drugiego zapadła w śpiączkę. Po południu trzeciego dnia leżałyśmy z matką pod moskitierą i drzemałyśmy. Usłyszałam *tokeh* i zaczęłam liczyć jej skrzek, w desperackiej nadziei, że powtórzy się to siedem razy, ale poprzestała na sześciu. Musiałabym zacząć od nowa. Jeden... dwa... trzy... Otworzywszy oczy, zobaczyłam za siatką Susan. Zaspana, wzięłam ją za anioła.

Usiadłam z bijącym sercem.

– I co? Jak Flora?

Nie odpowiedziała. Uklękła obok mnie.

– Lekarze zrobili, co w ich mocy – wyszeptała przez siatkę. – Starali się jej pomóc... Tak mi przykro, Klaro.

Jak we śnie, poszłyśmy z matką i Susan do Ampasiet Weg, gdzie zastałyśmy Irene z Lottie, porcelanową lalką Flory, w objęciach. Twarz lalki była mokra od łez.

– Nie wiedziałam – szlochała. – Nie wiedziałam, że tam jest *bunkil* i że ona go zje!

– Przycisnęła do siebie lalkę, kołysząc się w przód i w tył.

Następnego ranka stałyśmy wszystkie przy małej, bambusowej trumnie Flory, kiedy ładowano ją na ciężarówkę z pięcioma innymi; następnie otwarto bramę i pojazd ruszył w stronę cmentarza.

Matka i Susan płakały ze zwieszonymi głowami. Irene stała nieco na uboczu,

wpatrzonej w bramę. Stałam obok niej.

– Była moją najlepszą przyjaciółką – wyszeptałam. – Nigdy nie polubię nikogo tak, jak Florę.

Łza spłynęła po policzku Irene.

– Będiesz miała inne przyjaciółki, Klaro. – Przełknęła ślinę. – Ale proszę cię, nigdy o niej nie zapomnij.

– Nie zapomnę – obiecałam. – Nigdy, przenigdy.

Przez następne kilka tygodni prawie nie widywałyśmy Irene i Susan. Któregoś dnia ta pierwsza przysłała do naszego domu. Powiedziała, że chce mi dać coś, co należało do Flory, na pamiątkę.

– Taki drobiazg – dodała, podając mi niewielki przedmiot.

Zaciążył mi w dłoni.

– Dziękuję – wykrztusiłam. I oto w tych rozdzierających serce okolicznościach jaszczurka stała się moją własnością.

Pod koniec maja dzięki odwadze kobiety o imieniu Henny, która przemyciła radio, dowiedziałyśmy się o śmierci Hitlera i wyzwoleniu Holandii. Wiedziałyśmy, że w Europie ogłoszono zwycięstwo, a alianci przejęli Filipiny, Borneo oraz wiele wysp Pacyfiku. Atmosfera w obozie uległa zmianie. Wszyscy szeptali o wolności w kategoriach nie „jeśli”, lecz „kiedy”.

Na początku czerwca ku naszej radości nadeszła kartka od Petera. Wysłano ją z Tjimahi przed dwoma miesiącami. Zazaczył z góry narzucone formułki, że „cieszy się doskonałym zdrowiem”, „prawidłowo się odżywia” i jest „dobrze traktowany” przez siły Cesarskiej Armii Japońskiej. W dwudziestu pięciu „dozwolonych” słowach przekazał, że u niego „w porządku”, ale „wciąż tęskni za tatusiem i Wilem”. Na końcu dopisał, że „Herman jest dobry”.

Na twarzy matki odmalował się niepokój.

– To znaczy, że tatusia nie ma w Tjimahi. Biedny Peter, był taki pewny, że go zobaczy. Wil też przebywa gdzie indziej. Muszę powiedzieć Irene.

– Mamusiu, Herman tam jest. Czy nie powinniśmy przekazać pani Dekker?

Zrobiła wielkie oczy.

– Nie jestem na to gotowa – odpowiedziała. – Gdyby nie ta wstrętne kobieta, Peter byłby wciąż z nami. – Zakłuło mnie sumienie. Matka przygryzła wargę. – Chyba ma prawo wiedzieć. Ale ty jej powiedz, Klaro.

– Dobrze.

Po wyjeździe Petera matka nie mogła nawet patrzeć na panią Dekker. Traktowała ją jak powietrze, siląc się na spokój w obawie, że w przeciwnym razie mogłaby ją uderzyć. Ale Marleen Dekker nie lubiła, kiedy traktowano ją jak powietrze.

– Mój syn musiał wyjechać, Anneke! – krzyknęła kiedyś za nią. – Myślałaś, że się wykpicie swoimi kłamstwami?

Kiedy matka pospieszyła do Irene, ja wyruszyłam na poszukiwanie Marleen. W przeciwieństwie do mamy nie obwinałam jej za wyjazd Petera; wiedziałam, że doszło do niego przede mną. Po wojnie, kiedy wszystko się ułoży, opowiem matce, co się zdarzyło w wartowni tamtego dnia, a ona nie tylko zrozumie, ale mi wybaczy i puści wszystko w niepamięć. Taki miałam plan.

Zastałam panią Dekker tam gdzie zwykle, w kącie salonu. Leżała; widziałam przez *kelambu* jej nogi, miała początki puchliny głodowej.

– Pani Dekker...

Dźwignęła się do pozycji siedzącej.

– Tak? – spytała niespokojnie.

– Pani Dekker, właśnie dostałyśmy kartkę od mojego brata. Jest w Tjimahi; pisze, że Herman tak samo. Pewnie pani już wie, ale przyszedłam pani powiedzieć, w razie gdyby pani nie wiedziała.

Odsunęła siatkę i utkwiała we mnie wzrok. Wyglądało, że jest zdziwiona moim przyjaznym tonem.

– Wiem – odrzekła cichym głosem. – Ale... bardzo ci dziękuję.

– Peter pisze, że Herman jest dla niego dobry.

Uśmiechnęła się.

– Wspaniale. Miło mi to słyszeć; Herman jest dobrym chłopcem. Jeśli napisze mi coś o Peterze, na pewno ci przekażę, Klaro.

– Dziękuję, pani Dekker. – Odeszłam, ale coś mnie tknęło i zawróciłam. – Pani Dekker, chciałam coś powiedzieć: to nie pani wina, że wywieźli Petera.

Milczała przez chwilę, skubiąc kołnierzyk zniszczonej sukienki.

– Źle postąpiłam – wykrztusiła. – Mam wyrzuty sumienia, ale byłam... zła.

– Nic nie szkodzi. Chciałam też powiedzieć, że pani nie obwiniam.

Moje słowa zbiły ją z tropu.

– Hm... bardzo się cieszę. Dziękuję, Klaro.

Matka niebawem wróciła od Irene. Usiadła na materacu, wyjęła przybrudzoną kartkę, którą przechowywała na specjalną okazję, i przystąpiła do pisania.

– Jak dobrze wiedzieć, gdzie jest Peter, Klaro. – Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. – I jak wspaniale móc wysłać mu kartkę po tym, jak się zamartwiałyśmy.

– Napiszesz mu o Florze?

– Nie. To by go zasmuciło. Dowie się, gdy bezpiecznie do nas wróci. Mam nadzieję, że niedługo.

– Ja też mam taką nadzieję. – Gdyby tylko wiedziała, jak wielką.

Któregoś popołudnia pod koniec czerwca wpadła do nas Louisa.

– Sonei odszedł! – krzyknęła. – Nie ma go. Odszedł!!! – Gdy ją otoczyliśmy, wyjaśniła, że ma to związek ze zbliżającym się zakończeniem wojny. – Czy to nie cudowne?

Ina pociągnęła nosem.

– Nie wierzę. Tyle razy cieszyliśmy się na darmo.

Co do domniemanego zakończenia wojny, nie wiedziałyśmy, czy to prawda, gdyż nasze radio skonfiskowano. Henny, która je przemyciła, została przywiązana do krzesła. Po kryjomu przynosiłyśmy jej wodę, ale i tak zmarła wieczorem czwartego dnia.

– To nie była kara – burknęła ze złością Kirsten – tylko egzekucja.

Kilka dni później przybiegła pani Moonen, babcia Grety.

– Właśnie widziałam przy bramie nowego oficera – zaraportowała bez tchu. – Nazywa się Sakai i jest zastępcą komendanta Sonei. Podobno Sonei został kapitanem i go przenieśli; dlatego go nie widzimy, naprawdę odszedł!

Okrzyk spontanicznej radości rozdarł powietrze. Tamtego wieczoru świętowano w całym obozie. Niektóre kobiety płakały ze szczęścia, inne wpadły w taką euforię, że postanowiły iść na *gedekking*. Udały się na północno-zachodni róg, niedaleko bramy. Ponoć były w takich humorach, że nie handlowały jak zwykle, w struchlałej ciszy, lecz beztrudno przekrzykiwały się i zaśmiewały. Ale śmiech zamarł im w gardle.

Doszły nas słuchy, że Sonei, który świętował w mieście swój awans, wrócił i przyłapał je na gorącym uczynku. Zapędził pięć z nich do wartowni, gdzie zostały ciężko pobite i zamknięte w pokoju przesłuchań.

Następnego dnia szefowe przeszły z megafonami przez obóz i nakazały wszystkim wczorajszym *gedekkers* stawić się przy bramie. Nikt nie wychylił nosa z domu. Podczas wieczornego *tenko* Koreańczyk o nazwisku Oohara poradził Louisie znaleźć ochotniczki w celu udobruchania Sonei, który dostawał szału.

Wyszłyśmy przed dom sprawdzić, co się dzieje. Początkowo widziałyśmy przy bramie kilkanaście kobiet, lecz Sonei stwierdził, że to za mało. W ciągu godziny było ich siedemdziesiąt, ale on wciąż nie krył rozczarowania. Do północy w blasku księżycy stało pięćset kobiet, milczących i nieruchomych, gotowych cierpieć za coś, czego nie zrobiły, żeby ratować winowajczynię.

Sonei krążył w podkutych butach wzdłuż rzędów. Stał przed jedną kobietą, wyciągnął ją z szeregu i zaczął się nad nią pastwić. Następnie wskazał pięć kolejnych. Wraz ze strażnikami zapędził całą szóstkę do domu naprzeciw naszego, służącego jako schron przeciwlotniczy. Ustawił je na werandzie, gdzie w świetle jedynej żarówki widziałam ich przerażone twarze. Małpy wrzeszczały, jakby przeczuwały coś niedobrego.

– Co on zamierza? – mruknęła mama.

– Nie wiem – odpowiedziała Louisa. – Ale na pewno coś wstrętnego.

Sonei zaczął ubliżać kobietom w łamanym malajskim. Nazwał je „niewdzięcznymi zdirami”, które śmieją kwestionować „boską wolę” Jego Cesarskiej Mości. Pchnął najbliższą kobietę na kolana. Skuliła się i zasłoniła głowę rękami, ale zaczął okładać ją

kolbą karabinu.

– Ojciec nasz – usłyszałam szept Iny – któryś jesteś w niebie...

Kolejne kobiety przyłączyły się do modlitwy, a Sonei dalej katował ofiarę, waląc ją kolbą. Dwukrotnie próbowała wstać, ale to go rozwścieczyło jeszcze bardziej. Rzucił ją na krzesło i wyjął zza pasa nóż. Chwycił ją za włosy i odchylił głowę. Ostrze zalśniło, kiedy przytknął je do szyi.

– Boże jedyny – jęknęła Kirsten.

– ...i zbaw nas od złego...

Gdy krew popłynęła po twarzy oskalpowanej kobiety, rozległy się jęki i krzyki. Zasłoniłam oczy.

Matka szlochała.

– Jeśli nic nie możemy zrobić, przynajmniej nie powinniśmy patrzeć.

– A właśnie, że powinniśmy – syknęła Louisa. – Bo wojna niedługo się skończy, a wtedy powiemy całemu światu, co ten łajdak zrobił! Musimy patrzeć... i zapamiętać!

– Jak mogłybyśmy zapomnieć? – załkała Kirsten, gdy kobieta po raz ostatni osunęła się na podłogę.

Podobny los spotkał pozostałe kobiety. Gdy Sonei zbiegł po schodach i skierował się w stronę *dapuru*, czym prędzej rzuciłyśmy się, żeby zabrać je do szpitala. Tymczasem komendant przewracał kotły z jutrzejszym śniadaniem, a gdy cała żywność wsiąkała w ziemię, zadowolony wrócił do swojej willi.

Było to jego „pożegnanie”. Przed wschodem słońca opuścił obóz i więcej go nie zobaczyłyśmy.

Następnego dnia jego obowiązki przejął nowy oficer, porucznik Sakai. Atmosfera w obozie poprawiła się niemal natychmiast. *Tenko* odbywały się tylko raz dziennie, a w ciągu najbliższych tygodni zwiększono nasze racje żywnościowe, przy czym nie na tyle, by ludzie przestali umierać z głodu.

W połowie sierpnia przykuśtykała do mnie pani Dekker. Trzymała w ręku kartkę.

– Mam wiadomość od Hermana. Pisz, że Peter czuje się dobrze.

Z radości najchętniej bym ją ucałowała.

– Dziękuję, pani Dekker. Przekażę mamie.

– Kartka szła dwa miesiące – dodała. – Pisał ją szesnastego czerwca. Ale martwię się, bo napisał „jadę”. – Pokazała mi kartkę i moja radość wywietrzała. *Aku pergi*. –

Jakby chciał mnie uprzedzić, że znów mogą zostać przeniesieni – powiedziała Marleen. – Oby nie – dodała z niepokojem.

– Oby. – Wyobraziłam sobie Petera, na wpół uduszonego w zatłoczonym pociągu.

Pani Dekker westchnęła.

– Straszna ta wojna, prawda?

– Straszna – odmruknęłam.

– Ale już niedługo. Mówią, że koniec jest bliski.



– Modłę się za to, pani Dekker.

Nie mogliśmy wiedzieć, że koniec już nastąpił, przed tygodniem. Mściwie to przed nami zatajono.

Pewnego ranka pod koniec sierpnia zebrałyśmy się jak zwykle na Laan Trivelli. Ku mojemu zdziwieniu nie kazano nam ustawić się w szeregi i pani Cornelisse oznajmiła, że nie musimy się kłaniać. Następnie porucznik Sakai, stojący na podeście, zaczął mówić. Niepewnym głosem obwieścił nam przez tłumaczkę, że to ostatni apel. Przez szeregi przetoczył się szmer zdumienia. Sakai dodał, że cesarz nakazał zaprzestanie działań wojennych.

– Na mój kraj zrzucono nowy rodzaj bomby – ciągnął. – Spowodowała setki tysięcy ofiar. Dlatego Jego Cesarska Mość postanowił zakończyć wojnę. Jesteście wolne.

Staliśmy jak skamieniali, tłum wynędzniałych kobiet i dzieci wpatrzonych w Sakai. Na Japonię zrzucono nowy rodzaj bomby, która uśmierciła setki tysięcy ludzi? To nie mieściło nam się w głowie. Na naszą rzeczywistość składały się apele, bicie i cuchnące latryny, pluskwy i bambusowe trumny oraz pięćdziesiąt centymetrów życiowej przestrzeni. Milczeliśmy, zbyt osłupiali, żeby coś wykrztusić. Wreszcie rozległ się zbiorowy pomruk, który ustąpił miejsca narastającej radości. Ktoś zaintonował hymn, zrazu nieśmiało, potem na cały głos; inni zawtórowali. Ktoś przyniósł holenderską flagę; nie wiem, jakim cudem się uchwyciła, lecz wywijano ją na znak, że wojna naprawdę dobiegła końca. Kilka Brytyjek śpiewało *Boże ocal króla*. Ina płakała, a Corrie wyczałowywała bliźniaczki i kręciła nimi młynka. Kobiety śmiały się z głowami odrzuconymi do tyłu.

Matka złapała mnie za ramię. Uśmiechała się, lecz oczy miała szkliste od łez.

– Znajdziemy Petera, Klaro. Pojedziemy do Tjimahi, natychmiast... w tej chwili. A potem poszukamy tatusia... Tak się ucieszą na nasz widok! Chodź, kochana, nie ma czasu do stracenia! – Popędziła w stronę bramy. Podreptałam za nią, myśląc, że powinnyśmy chociaż iść po nasze rzeczy, ale zaraz sobie przypomniałam, że przecież zostałyśmy z niczym. I jak będziemy podróżować, skoro nie mamy pieniędzy? Poza tym byłyśmy za słabe – matka ważyła czterdzieści kilo i ledwo mogła chodzić, zresztą nawet nie wiedziałyśmy, gdzie przebywają ojciec i Peter. Jeżeli mój brat został przeniesiony, szukaj wiatru w polu.

Już miałam przemówić matce do rozsądku, gdy ponownie odezwał się Sakai i wszyscy na niego spojrzeli.

– Na razie musicie zostać w obozie – rzekł. – Na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie: jeśli opuścicie obóz, możecie zginąć.

Tego się nie spodziewałyśmy. Wojna z Japonią dobiegła końca, więc jeśli Japończycy nie chcieli nas zabić, to kto?

Irene i Susan precisiły się przez tłum w naszą stronę. Matka opowiedziała im

o swoich planach.

– Proszę cię, zostań, Annie – nalegała Irene ściszym głosem. – Przynajmniej na chwilę. – Położyła rękę na ramieniu matki.

– Ale ja chcę do męża i syna. – Rozplakała się. – Wojna się skończyła... chcę do męża i syna, chcę, chcę!

– Oczywiście, że chcesz. – Irene dotknęła jej twarzy. – Annie, na razie poszukiwania są zbyt ryzykowne...

Wkrótce zrozumiałam dlaczego. Odcięci od świata, nie wiedzieliśmy, że wspierany przez Japończyków nacjonalizm zakorzenił się na dobre i ustanowiono Niezależną Republikę Indonezji. Bandy młodych mężczyzn zwane *pemuda* patrolowały ulice z bambusowymi włóczniami i maczetami, i przy wtórze okrzyków *Merdeka!* – „wolność!” – urządziły regularne polowania na Holendrów. Nie mogłam pojąć, jakim cudem mieszkańcy Jawy, wśród których żyliśmy tak długo, teraz najchętniej rozszarpałoby nas na kawałki. I dlatego mimo zakończenia wojny wciąż tkwiliśmy jak w potrzasku.

Pod sam koniec sierpnia otrzymałyśmy drugą kartkę od Petera. Podobnie jak kartka Hermana, też została napisana szesnastego czerwca. Napisał, że „jest najedzony” i „się trzyma”, ale nie wspomniał o przenosinach. Może jednak został na miejscu.

Matka wpatrywała się w kartkę, jakby rozgryzała szyfr.

– Nic mu nie jest. – Spojrzała na mnie. – Ma tabletki na malarię, siatkę i żywność. Wojna się skończyła, więc niedługo się zobaczymy.

Któregoś dnia spojrzałam na niebo i zobaczyłam australijskie bombowce – pierwsze alianckie samoloty od początku wojny. Zaczęliśmy machać, a wtedy niebo nagle wypełniło się białymi, czerwonymi i niebieskimi spadochronami, które spływały w dół jak płatki, a na każdym kołysał się kanciasty pojemnik. Po niedługim czasie pudła zebrano i przyniesiono do obozu, po czym otwarto puszki z żywnością. Mimo że personel szpitala przestrzegał nas przed obżarstwem, przecież byliśmy wynędzniali.

Oddano nam kuchenki, a że nie mieliśmy opału, z radością wzięliśmy się do rozbiórki płotu, lecz zjawił się Sakai i nas powstrzymał. Twierdził, że ogrodzenie jest potrzebne ze względu na buntowników. I tak znenawidzony płot stał się naszym schronieniem, kiedy wokół grasowały bandy *pemuda*. Nocami słyszałam krzyki i strzelaninę.

Niektóre kobiety postanowiły zaryzykować i opuścić Tjideng, jednak większość przezornie została. W obozie mieliśmy nie tylko ochronę i żywność, ale i łatwiej mogłyśmy ustalić losy naszych bliskich. Radość z zakończenia wojny szybko ustąpiła miejsca rozpaczy i obawom, gdy z obozów dla mężczyzn zaczęły napływać listy zmarłych.

Wieszano je codziennie w południe i wszystkie pędziłyśmy do bramy. Dręczone niepewnością, trzymałyśmy się z matką za rękę. Najpierw przeglądałyśmy listę żywych,

po czym z drzeniem serca zwracałyśmy wzrok ku liście zmarłych. Patrzyłyśmy, jak dzieci i kobiety wokół nas wybuchają płaczem. Niektóre tylko zasłaniały twarze i stały jak zaczarowane. Inne odwracały się i powoli odchodziły.

Na początku września siedziałyśmy z matką w domu, gdy przyszła do nas Susan. W rękę trzymała list i się uśmiechała, po raz pierwszy od śmierci Flory.

– Mój tata żyje!

Bliska płaczu wyjaśniła, że jej matka otrzymała kartkę z Czerwonego Krzyża. Wil został wysłany do pracy na kolei i obecnie dochodził do siebie w Singapurze.

– Mama zaczęła do niego pisać, ale nie mogła znaleźć słów, żeby mu powiedzieć o... – Zadrżał jej głos. – No więc... ja napisałam i idę do kancelarii go wysłać, chciałam tylko przekazać wam wieści.

– Cudownie – powiedziała matka. – Niesamowite, że znalazł się tak daleko od Jawy.

Susan przytaknęła.

– Myślałyśmy, że jest w Tjimahi, a był tysiąc sześćset trzydzieści kilometrów na północ. Wielkie szczęście, że przeżył, ale musi zostać w Singapurze na sześć tygodni, bo waży tylko pięćdziesiąt kilo.

Spróbowałam to sobie wyobrazić, ale nie mogłam. Wyszłyśmy razem przed dom. Susan się pożegnała i ruszyła w stronę Laan Trivelli. Uszła parę kroków, po czym się zatrzymała. Uniosła rękę, jakby chciała przygładzić gęste, jasne włosy, których nie było. Podążając za jej wzrokiem, ujrzałyśmy wysokiego mężczyznę, kierował się w naszą stronę.

– Arif – mruknęła matka. – To Arif, Klaro. – Uśmiechnęła się. – Przyszedł po nią.

– No a jak? – odpowiedziałam.

Arif podszedł do Susan i twarz mu się rozjaśniła. Stali tuż na wprost siebie, a ona wpatrywała się w niego z radosnym niedowierzaniem.

– Jesteś – powiedział. – Wszędzie ciebie szukałem. – Podał jej pudełko z chlebem. – Ale musisz jeść, Susan. Jesteś taka chuda. Musisz jeść. – Potem ją objął, a ona wybuchnęła płaczem.

## ROZDZIAŁ 18

Wponiedziałek Klara musiała zawieźć Jane do szpitala, miała wizytę u specjalisty. Zrobiłam sobie trochę wolnego i przespacerowałam się wzdłuż wybrzeża do Carne i z powrotem. Patrząc na morze, zobaczyłam Adama w kutrze, wciągał sieć. Uderzyło mnie, że rodzina Klary tak niewiele wie o jej przejściach. W milczeniu dusiła w sobie wspomnienia i na przekór melancholii odnalazła w życiu szczęście. Muszę wziąć z niej przykład.

Następnego ranka wróciłam na farmę.

Po drodze zobaczyłam Klarę.

– Zrobiłabyś coś dla mnie, Jenni?

– Jasne. Co takiego?

– Muszę wyciąć resztę dyni i zanieść do sklepu, pomożesz mi?

Odstawiłam torbę i poszłam za nią przez podwórko do ogrodu za murem. Lubiłam spędzać z nią czas, gdy nie ciążyła napięta atmosfera wywiadu. Panowała taka cisza, że słyhać było brzęczenie przelatującego trzmieła.

– Tu zawsze jest tak cicho – stwierdziła Klara, jakby czytała w moich myślach. –

Prawie nie słyhać morza. – Z kieszeni fartucha wyjęła sekator i przystąpiła do ścinania dyni. Zaniiosłam je na taczkę i zawiozłam z powrotem na podwórko. –

Dziękuję – powiedziała, kiedy wyładowałyśmy wszystko na stole przy drzwiach sklepu. Wytarła dynie z ziemi brzegiem fartucha. – Przyjechało dużo dzieci na ferie.

– Widziałam na dworcu, kiedy odwoziłam Honor.

– Obchodzą Halloween, więc dynie się sprzedadzą. Która twoim zdaniem jest największa?

Rudy kot znów zmaterializował się na podwórku i tym razem podreptał za mną do mieszkania Klary, po czym mrucząc, zwinął się w kłębek obok mnie.

Klara krzątała się w kuchni.

– Wybacz, że nie mogłyśmy się wczoraj zobaczyć, ale Jane ma stałe wizyty w Truro i zawsze ją zawożę, bo jej syn mieszka w Londynie.

Pogłaskałam kota.

– Dobra z ciebie przyjaciółka.

– Z niej też.

– Rozmawiałyście kiedyś o Jawie? Biorąc pod uwagę waszą zażyłość...

Pokręciła głową.

– Bardzo mało. Zawsze czułam, że nie mogę rozmawiać o tym z nikim, kto sam czegoś takiego nie doświadczył. – Wyjęła porcelanę, otworzyła puszkę i wytrząsnęła ciastka na talerz.

– Dostałam miłą wiadomość od Jill – powiedziałam, gdy nastawiała czajnik. – Chciałabym porozmawiać z Jane i zastanawiam się, jak możemy to zorganizować.

– Będzie jutro wieczorem na wystawie Adama, więc może tam. – Nasypała kawę do brązowego imbryka. – Liczę, że przyjdiesz.

– Tak, dziękuję... ale to będzie mój ostatni wieczór. Pojutrze wyjeżdżam.

Miała smutną minę.

– Będzie mi brakować naszych rozmów, Jenni.

– Mnie też, Klaro. Czuję, jakbym znała cię od lat... co w pewnym sensie jest prawdą. – Zniosłam tacę na stół, a Klara wzięła imbryk z kawą. – Chcę ci coś pokazać – dodałam. – Nie korzystasz z komputera, prawda?

– Nigdy nie czułam potrzeby, a teraz jestem za stara. – Podała mi filiżankę. – A co?

– Bo jest trochę stron o obozach, w tym jedna o samym Tjidengu.

– Jill kiedyś mi wspominała, ale nie chciałam ich oglądać. Mam dość własnych wspomnień, wolę nie zaprzętać sobie głowy cudzymi.

– Rozumiem. Ale jest tam wzmianka o tobie, Klaro. Zdaje się, że zamieszczona przez twoją szkolną koleżankę, Eddę. Mogę ci pokazać?

Dłoń jej zadrżała, gdy nalewała kawę.

– Tak.

Wyjęłam z torby laptop, otworzyłam i spojrzałam na zachowaną stronę. Podałam komputer Klarze, która ustawiła go na kolanach i sięgnęła po okulary.

Utkwiła wzrok w monitorze.

– Tak – powiedziała po chwili. – To Edda, którą znałam; podaje panięskie nazwisko, Smits. Jest napisane, że mieszka w Hilversum...

– Uhm.

– I że ma dzieci i wnuki. – Zdjęła okulary. Milczała przez chwilę. – Dziękuję, że mi to pokazałaś, Jenni. Dobrze wiedzieć, że ocalała.

– Ale... czy pamiętasz incydent, o którym wspomina?

Nie odpowiedziała od razu.

– Naturalnie, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć?

Zapadła cisza.

– Klaro, o jakim strasznym dylemacie mówiłaś?

Przymknęła oczy.

– Postawiono mnie przed koniecznością dokonania wyboru, który do dziś nie daje mi spokoju. – Spojrzała na mnie. – Ale nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać, Jenni, nawet z tobą...

Drewniana szkatułka była otwarta. W środku widziałam zeszyt z przepisami, złożoną chustkę i kilka listów. Dostrzegłam też dużą, brązową kopertę i coś zawiniętego w białą szmatkę. Klara podchwyciła mój wzrok, wyjęła tajemniczy przedmiot i nagle w moich rękach zaśniła jaszczurka. Przejechałam po niej palcem, wyobrażając sobie, jak Irene wręcza ją Klarze po śmierci biednej Flory.

– Piękna – powiedziałam.

Klara przytaknęła.

– Czułam się winna, że tak mi na niej zależało. Czasem brałam ją do ręki i myślałam o Florze, ile znaczyła dla mnie jej przyjaźń. Bardzo żałuję, że ją dostałam!

Oddałam jaszczurkę, a Klara zawinęła ją starannie i odłożyła do szkatułki. Wyjęła brązową kopertę i mi podała. Otworzyłam ją, klej był lśniący, suchy, i wysunęłam ze środka mały obrazek. Był to portret chłopca o włosach spłowiałych od słońca i roześmianych zielonych oczach w wymizerowanej twarzy.

– Peter – mruknęłam.

Skinęła głową.

– Kilka dni przed transportem.

– Susan go namalowała?

– Tak, jakimś cudem ukryła przed żołnierzami swoje akwarele. Doskonale uchwyciła podobieństwo.

Chwilę oglądałam portrecik, po czym oddałam.

– Klaro... na co zmarł Peter? – W ciszy, która zapadła, słyszałam bicie zegara. – Na malarię?

– Nie, chociaż właśnie tego najbardziej obawiała się nasza matka. – Dotknęła szkatułkę. – Jenni, na początku naszej współpracy powiedziałaś, że ode mnie zależy, na ile mam mówić otwarcie. – Potwierdziłam. – Ale ja wciąż nie wiem. W tej chwili zastanawiam się, czy ograniczyć się do suchych informacji dotyczących losu Petera, co z pewnością przysłoby mi łatwiej, czy opowiedzieć głębszą, prawdziwą historię, która będzie mnie wiele kosztować.

– To twoja książka, Klaro. Ty decydujesz, co powiedzieć, a co przemilczeć.

Wsunęła obrazek z powrotem do koperty; widziałam, że z sobą walczy. Nie chciałam jej do niczego zmuszać. Zerknęłam w notatki.

– Może porozmawiamy o Arifie. Pewnie z trudem rozpoznał Susan.

– Wcale nie. Jeśli kogoś kochasz, to łatwe – odpowiedziała. – Od razu ją rozpoznał, ale owszem, jej widok nim wstrząsnął.

– Skąd wiedział, gdzie jej szukać?

– Nie wiedział. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ani nawet, czy żyje. Ale z chwilą zakończenia wojny zaczął jej szukać.

– A nie sądził, że przebywa w Singapurze?

– Nie, bo gdy Jochenowie spóźnili się na niefortunny rejs, Susan napisała do niego, że zostają na Jawie. Potem rozeszły się wieści, że kobiety i dzieci pochodzenia europejskiego zostały umieszczone w obozach. Arif uznał za prawdopodobne, że Susan trafiła do obozu w zachodniej Jawie. Dlatego pojechał do Bandungu i udał się do Tjihapit, niemal wyludnionego. Szukał w obozie Karees, ale jej tam nie zastał. Wsiadł w pociąg do Batawii i sprawdził w obozach Kramat i Grogol, po czym ktoś mu powiedział, że Susan najprawdopodobniej przebywa w Tjidengu.

– Jak długo trwały jego poszukiwania?

– Zdaje się, że co najmniej dwa tygodnie, nie miał pieniędzy, wszędzie chodził na piechotę. Często musiał czekać, bo na ulicach nie było bezpiecznie, na każdym kroku czaili się snajperzy. Zaczął nosić przy sobie czerwono-białą flagę nacjonalistyczną, gdyż *pemuda* zabijali nie tylko Europejczyków, ale i Indonezyjczyków, których uważali za proholenderskich. Ale koniec końców trafił do Tjidengu. Gdy przekroczył bramę, pierwszą osobą, którą zobaczył, była Susan, a dokładniej to, co z niej zostało.

# ROZDZIAŁ 19

## KLARA

Minęło trzy i pół roku, odkąd Susan ostatni raz widziała Arifa. Nie miała pojęcia, czy jeszcze go spotka. Powiedziała mu o Florze, a potem zaprowadziłyśmy go do Irene.

Wypytałyśmy go o wszystkich z Tempat Sungai. Mówił, że Japończycy wycięli większość drzew na opał, po czym zasiali rącznik, który pracownicy plantacji musieli uprawiać w ramach pracy przymusowej. Przeżyli dzięki temu, co sami wyhodowali. Nasz dom został zajęty przez Japończyków, lecz po ich wyjeździe obie wille splądrowano. Nie mogłam znieść myśli o naszym ukochanym domu wywróconym do góry nogami.

Zapytałam Arifa o zwierzęta. Odpowiedział, że Suliman i Jasmine opiekowali się nimi, dopóki mogli, ale Ferdi zniknął przed kilkoma miesiącami.

– Peter będzie niepokieszony – mruknęła matka. – Kupimy mu innego królika. Albo psa. Tak, ucieszyłby się z pieska, prawda, Klaro?

– Uhm – potwierdziłam niepewnie. – A co z moim kucykiem? – spytałam Arifa. Odparł, że Japończycy zarekwirowali go do przewożenia drewna, lecz nie widział go od czasu kapitulacji. Łzy zapiekły mnie pod powiekami.

Matka ścisnęła moją dłoń.

– Poszukamy go, Klaro. Może znajdziemy.

– Wracamy do domu? – zapytałam. – Na plantację?

– Być może – odpowiedziała. – Wygląda, że tatuś będzie miał pełne ręce roboty.

Ale wszyscy mu pomożemy, prawda?

– Jaya ucieszy się z powrotu Petera – wtrącił Arif. – Bardzo za nim tęskni. Właśnie, ale gdzie jest Peter?

– Nie wiemy. – Westchnęłam ciężko.

Matka spojrzała na mnie ostro.

– Oczywiście, że wiemy, Klaro. – Zwróciła się do Arifa. – Peter trafił do Tjimahi, obozu dla chłopców i mężczyzn, na zachód od Bandungu. Niedawno dostałyśmy od niego kartkę, jest cały i zdrowy.

Przemilczałam, że napisał tę kartkę przed dziesięcioma tygodniami. I że mógł zostać przeniesiony. Modliłam się tylko o jego powrót, ten brak wiadomości był nieznośny.

Ojciec też nie dawał znaku życia. Codziennie rano z ciężkim sercem chodziłyśmy pod bramę, gdzie wywieszano listy. Dopiero teraz uświadomiłyśmy sobie skalę internowania, nie tylko wojskowych, ale i cywilów. Trafili do obozów pracy w Burmie, na Sumatrze, Borneo i w Mandzurii. Wielu, jak się dowiedziałyśmy, zmarło na statkach w drodze do Japonii.

Do połowy września wciąż nie miałyśmy żadnych wiadomości. Któregoś ranka



stałyśmy przy bramie, gdy, ku naszemu zdumieniu, do obozu wszedł holenderski pilot. Był to pierwszy holenderski wojskowy, którego widziałyśmy od początku wojny. Wytrzeszczył oczy, widząc wychudzone kobiety i dzieci, które go otoczyły; niektóre się kłaniały, wciąż robiliśmy to odruchowo przed mundurem. Przedstawił się jako kapitan Arens, przyjechał do Tjidengu po żonę i synka. Miał ich zabrać swoim wodolotem, który czekał w porcie. Ktoś po nich pobiegł, a gdy padli mu w ramiona, większość z nas uśmiechała się przez łzy. Pilot był jednak tak poruszony naszym losem, że zaoferował się wziąć listy, które napiszemy, i wysłać je do Holandii. Wszyscy rzuciliśmy się na poszukiwanie czegoś do pisania. Matka znalazła skrawek papieru i ogryzek ołówka, napisała do rodziców, że my dwie jesteśmy całe, ale wciąż czekamy na wiadomość o Hansie i Peterze.

Wieści nadeszły, zanim babcia dostała list.

Pewnego dnia pod koniec września jak zwykle poszłyśmy sprawdzić listy i jak zwykle odeszłyśmy z kwitkiem.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość – wyrecytowałam, kiedy zawróciłyśmy. –

Brak wiadomości... – Wtedy z kancelarii wyszła urzędniczka z kolejną listą. Kiedy ją wywiesiła, podeszłyśmy bliżej. Matka chwyciła moją rękę i mocno ją uścisnęła. Nagle jej palce zwiotczały.

*Zmarły.*

Jakby nie było żadnego innego nazwiska.

*Bennink.*

W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o ojca. Ale kiedy podeszłyśmy bliżej, zobaczyłam przed nazwiskiem inicjały „P.H.”, a potem daty: „8 kwietnia 1935 – 1 sierpnia 1945. Tjikalengka”.

Pod matką ugięły się kolana. Przytrzymałam ją, była lekka jak piórko, po czym z wolna odeszłyśmy. Nie miałyśmy dokąd pójść, więc wróciłyśmy do domu, ukryłyśmy się pod moskitierą i zapadłyśmy w mrok życia bez Petera.

– Mogłam nie dopuścić do jego wyjazdu – szepnęła.

– Nie mogłaś. Nic nie dało się zrobić.

– Wiedziałam, że walczę o jego życie. Przegrałam – dodała zmartwiałym tonem. – Przegrałam. Ale... dlaczego był w Tjikalengka?

– Pewnie go przenieśli.

– Tak... – Zamrugwała. – Na pewno. Ale co go spotkało, Klaro? Nie wiemy, co się stało. Co mu się stało ani dlaczego...

Jej wychudzonym ciałem wstrząsnął szloch, z gardła wyrwał się skowyt, a mnie pękało serce. Gdy płacz ucichł, zaczęła, tak jak się tego spodziewałam, obwiniać panią Dekker. Nienawidzi jej za to, co zrobiła – i będzie nienawidzić jej aż do śmierci.

– Gdybym jej wtedy nie uraziła – jęczała. – Gdybym wiedziała, do czego to doprowadzi, ugryzłabym się w język.

– To, co zrobiła pani Dekker, było straszne, ale...

– Bardziej niż straszne! – wykrzyknęła. – Było podłe, nikczemne... Skazała na śmierć mojego syna!

– Nie, mamusiu. Nie skazała.

Popatrzyła na mnie przez łzy.

– Ależ oczywiście, że skazała, Klaro. Gdyby nie maczała w tym palców, zostałyby z nami. – Dla niej był to argument nie do obalenia.

– Przecież nie wywieźli Petera z jej winy.

– Jak to nie? – burknęła ze złością matka. – Nie rozumiem, dlaczego jej bronisz, Klaro.

– Ponieważ... – Stałam na krawędzi. Spojrzałam w przepaść i skoczyłam. – To była moja wina – szepnęłam.

– Co masz na myśli? Jak to? Dlaczego tak mówisz? – Wpatrywała się we mnie oczami czerwonymi od płaczu, po czym nagle doznała olśnienia. – A więc powiedziałaś im wtedy, ile ma lat.

– Nie. Nie powiedziałam. Nie o to chodzi.

– O czym ty mówisz, Klaro?

Wreszcie powiedziałam matce, co zdarzyło się tamtego dnia w wartowni. Pospiesznie wyrzucałam słowa.

– Przesłuchiwali mnie godzinami. Potem oznajmili, że zrobią mi krzywdę i że mogę „wybrać”. Myślałam, że chodzi o rodzaj tortur, czy wolę być przypalana papierosami, mieć drzazgi wbijane pod paznokcie lub zostać zawieszona za nadgarstki, cokolwiek, byle nie...

– Byle nie... co? – Matka nic z tego nie rozumiała.

– Powiedzieli, że nie wywiozą Petera. Poczułam ulgę, zaczęłam im dziękować, mało się nie rozplakałam ze szczęścia. Oznajmili, że w zamian ukarzą ciebie. Że przywiążą cię do krzesła na pięć dni, może jeszcze dłużej. Albo to, albo zabiorą Petera. Wybór należał do mnie.

Matkę zatkało.

– I powiedziałaś, że mają go wywieźć? – Pokiwałam głową. – Ale powinnaś wybrać mnie. Mnie – powtórzyła.

– Jak mogłam, wiedząc, że umrzesz?

– Nie. Wytrzymałabym.

– Nieprawda. Pani Tromp zmarła po dwóch dniach, Henny po czterech... byłaś taka osłabiona, mamó. Jak mogłam dopuścić, żeby ci to zrobili?

Grymas przeciął jej twarz.

– Jak mogłaś dopuścić do odesłania Petera?

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Wierzyłam, że to mniejsze zło.

Powróciłam myślami do tamtego dnia. Kiedy czekałam w wartowni, myślałam o Peterze walczącym o życie pośród setek mężczyzn i nastoletnich chłopców. Myślałam o bracie dręczonym, głodzonym i zziębniętym w nocy albo chorym na malarię, który jest sam; nie będzie miał nikogo, kto by się o niego troszczył. Ale potem nachodziła mnie wizja matki przywiązanej do krzesła w spiekocie.

– Nie wiedziałam, co robić, mamusiu. Potem Kochi oświadczył, że jeśli nic nie wybiorę, zrobią jedno i drugie. I zostawił mnie na dwie godziny, żebym się namyśliła.

Wtedy wmówiłam sobie, że Peter wyjdzie z tego cało. Przecież wojna niedługo się skończy – mówiono, że to kwestia kilku tygodni. W obozie znajdą się dobrzy ludzie, zlitują się nad chłopcami i im pomogą. Wmówiłam sobie nawet, że zastanie tam tatę. I gdy żołnierze wrócili, dałam im odpowiedź w nadziei, że nigdy nie będę musiała zdradzić jej matce.

Herman Dekker przyszedł do nas po swoim powrocie w połowie października. Usiedliśmy na uboczu i oddał matce walizkę Petera. Otworzywszy ją, wyjęła ze środka zniszczonego misia i granatowy sweterek. Położyła sweterek na kolanach i wygładziła materiał. Zapięła złote guziki. Ściskając misia, poprosiła Hermana, żeby opowiedział, co spotkało jej syna.

Herman objął rękami chude kolana, jakby zbierał się w sobie. Sam miał dopiero dwanaście lat i czuł się nieswojo. Zaczął od tego, że w Tjimahi Peter był traktowany dość dobrze. Spędził tam dziesięć tygodni w znośnych warunkach, po części dzięki staraniom dowódcy obozu, który zabiegał, aby chłopcy byli należycie karmieni.

– Gdybyśmy mogli tam zostać, pewnie wszystko byłoby dobrze – ciągnął ściszone głosem Herman. – Ale w lipcu znów nas przenieśli.

Matka pokręciła głową.

– Po co? Wojna prawie się kończyła.

Wzruszył ramionami.

– To idiotyzm, ale Japońce zaczęły budować nową linię kolejową między Tjikalengka i Madjalalą. W lipcu przetransportowali setki nas, chłopców z Tjimahi, do pracy przy niej. Znaleźliśmy się w środku dżungli, w obozie złożonym z bambusowych szałasów, bez bieżącej wody i prawie bez jedzenia. Dzień w dzień harowaliśmy w pełnym słońcu, w samych spodenkach, bez czapek i koszul. Większość nie miała nawet butów, nie wspominając o odzieży ochronnej, którą wkłada się do takiej pracy.

– Jakiej pracy?

– Musieliśmy wynosić kamienie z miejsca, gdzie miały być tory. I robiliśmy to cały dzień. Targaliśmy kamienie. Pracowałem obok Petera; jakoś sobie radził, nawet humor mu dopisywał. Powtarzał, że to przygoda. Któregoś dnia podniósł duży kamień i... – Herman przymknął oczy. – ...Pod nim była kobra.

Przycisnęłam rękę do ust.

– Ale... Peter umiałby się zachować – zaproponowała cicho matka. – Uczyliśmy dzieci, że nie wolno nawet drgnąć.

– I właśnie tak zrobił, pani Bennink. Ja też zobaczyłem węża i zastygłem. Czekaliśmy, aż odpełźnie. Ale wtedy inny chłopiec, Markus, wziął kamień i nim zdołaliśmy go powstrzymać, rzucił w kobrę. Usłyszałem krzyk Petera. Wąż ugryzł go w rękę, która natychmiast zaczęła puchnąć. W obozie był lekarz, więc po niego pobiegłem. Założył Peterowi opaskę uciskową, żeby jad się nie rozprzestrzenił, i zanieśliśmy go do obozu. Lecz po jakimś czasie lekarz wziął mnie na bok i powiedział... – W oczach Hermana błysnęły łzy. – Rozmawialiśmy z Peterem jak gdyby nigdy nic, ale chyba wiedział, co się święci; coraz gorzej się czuł i nic nie mogliśmy zrobić, oprócz... – Zwiesił głowę. Łza kapnęła mu na nogawkę, zostawiając ciemną plamę na jasnej zieleni szortów.

– Zostałeś przy nim? – spytała matka stłumionym głosem.

Herman przytaknął.

– Nie zostawiłem go, pani Bennink. Ani na chwilę.

– Dziękuję – szepnęła.

– Lekarz odmówił za niego modlitwę, zaśpiewaliśmy hymn, a potem...

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął świstek zabazgrany ołówkiem. Podał go matce.

– Jego grób? – wyszeptała.

– Tak. Narysowałem mapę, żebyście kiedyś mogli go odnaleźć. Położyliśmy na nim duży kamień z wydrapanym nazwiskiem. – Matka utkwiała wzrok w mapie, miała twarz stężałą z rozpacz. – Kilka dni później powiedziano nam, że Japończycy się poddali, i wróciliśmy do Tjimahi. Z powodu buntowników musieliśmy tam spędzić kolejny miesiąc, potem zabrano część z nas do Tjidengu. Bardzo mi przykro, pani Bennink.

Matka posłała mu blady uśmiech.

– Zawsze czułam, że nie wróci. Ale dziękuję, że okazałeś mi tyle serca.

Po wyjściu Hermana zastanawiałam się nad przyczyną jego dobroci dla Petera. Czyżby dowiedział się o czynie matki i chciał go naprawić? A może taka była jego natura?

– Powinnaś była wybrać mnie – powtórzyła matka któregoś ranka, gdy siedziałyśmy na schodkach przed domem.

Spojrzałam przed siebie, niezdolna odwzajemnić jej spojrzenia.

– Umarłabyś.

– Nie. Miłość do dzieci dodałaby mi sił! – Wskazała na wychudzone kobiety snujące się po Laan Trivelli. – Wiele mogło umrzeć, lecz kurczowo trzymały się życia, musiały trwać dla swoich dzieci. Ze mną byłoby tak samo! – Jej twarz zdradzała czystą rozpacz. – To dlatego nie chciałaś mi powiedzieć, co zaszło tamtego dnia.

– Tak. Wiedziałam, że dobrowolnie poddałabyś się karze.

Matka oparła ręce na kolanach. Kości sterczały przez skórę.

– Gdybym wiedziała, że Peter przeżyje, wytrzymałabym... Poświęciłabym się dla niego, jeśli byłoby trzeba. Ale odebrałaś mi tę możliwość. Myślę, że zrobiłaś to dla siebie, Klaro... bo mnie potrzebowałaś!

– Nie – szepnęłam ze zgrozą. – Nieprawda.

– Opiekowałam się tobą, bardziej obawiałaś się mojej śmierci niż śmierci Petera.

– Nie! Nie chciałam ani jednego, ani drugiego!

Pokręciła głową.

– Biedny Hans... Nigdy się z tym nie pogodzi. Ani ja. Nigdy.

– Ja tak samo! – krzyknęłam. – Zwłaszcza że mnie obwiniasz! Przez ciebie czuję się tak, jakbym go zabiła!

Spojrzała na mnie, krew odpłynęła jej z twarzy. Była wstrząśnięta moimi słowami, podobnie jak ja.

Więcej nie rozmawialiśmy o Peterze. Ale z biegiem czasu zadawałam sobie pytanie, czy przypadkiem nie miała racji.

Bałam się, że ją stracę. My, dzieci obozu, żyliśmy w ciągłym strachu przed utratą matki. Czy to podświadomie mną kierowało, że wybrałam Petera? Nie wiedziałam. Ale serce pękało z bólu, że mnie do tego zmuszono.

## ROZDZIAŁ 20

Nigdy nikomu nie powiedziałam, co się naprawdę stało – przyznała Klara. – Nawet Haroldowi. Moja rodzina wie tylko, że Peter zmarł w wyniku ukąszenia kobry. Nie wiedzą, co do tego doprowadziło ani jaką odegrałam w tym rolę.

– Postawiono cię w niemożliwej, potwornej sytuacji, Klaro. Musiałaś wybrać między matką a bratem.

– Tak. Znęcali się nade mną psychicznie i ten ból towarzyszy mi do dnia dzisiejszego. Matka przelała na mnie swój gniew i rozpacz. I to nas łączy, Jenni.

– Nieprawda! Ty wybrałaś najlepsze rozwiązanie. Ja świadomie zrobiłam coś złego.

– Ale nie chciałaś nikomu zaszkodzić, Jenni. Byłaś pogubioną, rozżaloną dziewczynką. Od tamtego dnia minęło dużo czasu, więc tym bardziej przykro, że z matką dzieli cię taka przepaść.

– Nie widzę szans na poprawę sytuacji – stwierdziłam z uporem.

– Niekoniecznie. Mogłabyś to zmienić, gdybyś chciała.

Wzruszyłam ramionami.

– A twoje stosunki z matką się poprawiły?

– Po bardzo długim czasie. Nie mogła na mnie patrzeć. Twierdziła, że obiecałam jej pomoc w ratowaniu Petera, po czym za jej plecami doprowadziłam do jego wywiezienia. Uznała to za potworną zdradę, nazwała „niewybaczalnym”...

Niewybaczalne...

– Dlatego przeprosiłaś Petera w przeddzień jego wyjazdu?

– Tak, w razie gdybym miała go więcej nie zobaczyć. Uważałam jednak, że jego szanse na powrót znacznie przewyższają szanse matki na przetrzymanie kary. Lecz ona widziała to inaczej, dlatego nie mogła pogodzić się z tym, co zrobiłam.

– Życie z nią musiało być bardzo trudne.

– I było. Czasem podchwytywałam jej oskarżycielskie spojrzenie i znów czułam się jak zbrodniarka.

– Doskonale cię rozumiem, Klaro. Musiałaś przechodzić piekło. Najpierw straciłaś Floreę, potem Petera. Zapewne miałaś poczucie, że matkę również.

– W pewnym sensie tak było, stąd wiem, przez co przeszłaś, Jenni.

– Ale jak sobie z tym poradziłaś?

– Odsuwając się od niej. Pomagałam Corrie przy bliźniaczkach, bawiłam się z Leną i Gretą. Rozmawiałam z Iną i Kirsten, spędzałam czas z Irene i Susan.

– Irene ci pomogła?

– Próbowwała. Rozmawiała z matką, przekonywała ją, że nie mogłam przewidzieć, co się stanie. I że postąpiłaby tak samo. Potem ostrzegła mamę, żeby uważała, bo straci też drugie dziecko.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami.

– Tak było z moją matką.

Klara współczująco pokiwała głową.

– Ale nic straconego, jeszcze możesz zburzyć ten mur między wami, Jenni.

– Nie. Za późno.

– Nie jest za późno, dopóki obie żyjecie. Twoja matka na pewno też tak uważa.

– Możliwe, ale żadna z nas nie wie, jak zrobić pierwszy krok, więc trzymamy się na dystans. A świadomość tego, że zawiniłam, wciąż przytłacza.

– Gdybyś tylko mogła sobie wybaczyć, Jenni. Nie sądzisz, że najwyższy czas?

Pokręciłam głową.

– Nigdy się tego nie pozbędę. – Przełknęłam ślinę. – Czy twoje stosunki z matką kiedykolwiek wróciły do normy?

– Poniekąd, ale już nie było tak jak dawniej. Zdawałam sobie sprawę, że z ojcem byłoby jej łatwiej, jednak nadal nie wiedziałyśmy, gdzie jest i czy w ogóle żyje. Dopiero w połowie października matka dostała wiadomość z Czerwonego Krzyża, że Hans Roland Bennink, urodzony w Rotterdamie w 1912 roku, od grudnia 1943 roku przebywa w Japonii.

– To musiał być dla was szok, że się tam znalazł.

– Nie mogliśmy uwierzyć. I dziękowałyśmy Bogu, że przeżył podróż, w przeciwieństwie do wielu mężczyzn. Modliłyśmy się tylko, żeby jeszcze żył. A gdy po kilku dniach jak zwykle rano poszłam do kancelarii sprawdzić, czy nie ma dla nas żadnych wiadomości, dostałam to.

Klara ponownie sięgnęła do szkatułki i wyjęła grubą kopertę z pieczętą „Manila”.

Spojrzałam na równe, pochyłe pismo.

– Na to czekałyście.

– Tak. Z okrzykiem radości pobiegłam do matki, a ona drżącymi rękami otworzyła kopertę.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście.

Błękitny papier był kruchy ze starości. Ojciec Klary narysował w nagłówku czterolistną koniczynę. List obejmował sześć stron, zapisanych drobnym maczkiem po holendersku.

– Przetłumaczę ci – powiedziała Klara, więc oddałam jej list i zaczęła czytać.

„Najukochańsza Anneke,

Od piątego września przebywam w Manili, lecz dopiero teraz, po sześciu tygodniach, czuję się na siłach utrzymać pióro i do ciebie napisać. Jak się masz, najdroższa, i jak tam nasze kochane dzieci? Bez przerwy modłę się o wiadomość od ciebie, że wszyscy jesteście cali i zdrowi.

Przebywam w obozie tymczasowym, dobrze nas tu karmią, więc z każdym dniem

odzyskuję siły. Ćwiczymy, aby odbudować mięśnie i zabić czas oczekiwania na przenosiny. Najbardziej poszkodowani jeńcy wyjadą w pierwszej kolejności, dlatego ja, jako „zdrowy”, muszę poczekać, choć chciałbym już być z tobą i naszymi kochanymi Klarą i Peterem. Przewrót na Jawie nie daje mi spokoju i modłę się o wasze bezpieczeństwo. Nie mogę uwierzyć, że minęły prawie cztery lata, odkąd was widziałem, rozmawiałem z wami i tuliłem was w ramionach. Nie mogę się doczekać, kiedy znów będzie mi to dane! Tymczasem opiszę ci, co się ze mną działo po opuszczeniu Tempat Sungai.

Ciężarówka zawiozła nas do Bandungu, w Tjimahi spędziliśmy pięć tygodni. Potem był obóz o nazwie ADEK, lecz po dwóch miesiącach, w połowie maja, ku swojemu zdumieniu dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Japonii. Pod koniec sierpnia pojechaliśmy do Batawii, gdzie trzymano nas w dużej szkole. Na początku września popłynęliśmy do Singapuru na »Makassar Maru«. Na pokładzie znajdowało się dwa tysiące więźniów, w tym Ralph Dekker; obaj ucieszyliśmy się z tego spotkania. W Singapurze musieliśmy budować pas startowy w piekącym upale. Żywności było tyle co nic, więc harówka okazała się dla wielu ponad siły.

W listopadzie wsiedliśmy na pokład »Maru Shichi«, którym mieliśmy popłynąć do Japonii. Był to jeden z liczącego osiem statków konwoju i ponownie upchnięto nas jak sardynki. Mycie nie wchodziło w rachubę, a funkcję toalet pełniły skrzynie przewieszane przez burtę: musieliśmy trzymać się ile sił, żeby nas fale nie zmyły!

Po trzech tygodniach przybiliśmy do Formozy, tam pozwolono nam się umyć na pokładzie słoną wodą z wiader. Gdy wyruszyliśmy w dalszą drogę, konwój został zaatakowany przez chińskie samoloty. Nasz statek ocalał, lecz dwa inne statki zatonięły i musieliśmy wziąć rozbitków na pokład. Potem, już prawie u celu, natrafiliśmy na tajfun. To cud, że przeżyliśmy, bo statkiem rzucało jak łupinką orzecha. Wreszcie sztorm ustał, a my zaczęliśmy szczekać zębami, bo w Japonii panowała zima, tymczasem większość z nas miała na sobie tylko podkoszulek i cienkie spodnie. Płynęliśmy wzdłuż wybrzeża, po czym trzeciego grudnia przybiliśmy do Modji na wyspie Kiusiu w południowej Japonii. Wówczas dowiedzieliśmy się od sierżanta, że będziemy pracować w kopalni. Jeden z więźniów zauważył ponuro, że przynajmniej się ogrzejemy, bo ziąb był straszny. Niektórzy biedacy nie mogli nawet ustać na nogach i kładli się na śniegu.

Kazano nam iść na dworzec, z całym bagażem. Próbowaliśmy pomagać chorym, podpierając ich z obu stron, toteż widok przedstawialiśmy opłakany. Wystarczyło stanąć tylko na chwilę, a podbiegał żołnierz i walił kolbą karabinu. Niektórzy więźniowie dawali za wygraną: kładli się na śniegu i krzyczeli, że chcą umrzeć, ale podnosiliśmy ich i kazaliśmy myśleć o rodzinach. Jakimś cudem dowlekliśmy się na stację i zapakowano nas do pociągu.

Chociaż raz się cieszyliśmy, że nas wiozą jak bydło, bo przynajmniej było cieplej.



Dotarliśmy do górniczego miasteczka o nazwie Miata. Obóz dzieliło od dworca pół godziny drogi, a nasze posłania okazały się cienkimi matami na podłodze. Ziąb był tak straszny, że mimo koców spaliśmy w ubraniach. Pierwszego dnia zmarło wielu mężczyzn i dzień w dzień umierali kolejni, z wyczerpania, na dyzenterię i zapalenie płuc. Z pięciuset zostało nas czterystu.

Powiedziano, że mamy pracować w kopalni niedaleko obozu. Zrobili każdemu zdjęcie, na którym trzymaliśmy swoje numery, i zdjęli nasze odciski palców, jak przestępcom. Tak też nas traktowano i karano za najmniejsze odstępstwo od jednej z wielu reguł. Wystarczyło, że ktoś podpadł za jakieś drobne przewinienie, a dotkliwie karano cały obóz, na przykład »głodowymi dniami«, wtedy więźniowie padali jak muchy. Ale ja kurczowo trzymałem się życia, by znów ujrzeć ciebie i nasze kochane dzieci.

Jestem ciekaw, czy Peter i Klara bardzo urosli. Czy Peter ma jeszcze myśliwiec, który dla niego zrobiłem? Jeśli nie, powiedz mu, że dostanie drugi, gdy tylko wrócimy do domu – mam nadzieję, że przetrwał tę straszliwą wojnę.

W grudniu rozpoczęliśmy pracę w kopalni w Nioroski, w połowie drogi między Hiroszimą i Nagasaki. Codziennie chodziliśmy tam na piechotę, w śniegu. Dali nam ubrania robocze i czapkę górniczą z lampką. Wsiadaliśmy do windy i zjeżdżaliśmy długim szybem w egipskich ciemnościach. Na głębokości około czterystu metrów pod ziemią szliśmy gęsiego dwa kilometry. Rozmyślałem wówczas o książce, którą czytałem w dzieciństwie, pod tytułem *Podróż do wnętrza ziemi*, bo to właśnie tak wyglądało: część tuneli prowadziła w górę, a część jeszcze głębiej w dół. Wreszcie docieraliśmy do ślepego zaułku, gdzie kuliśmy węgiel.

Tunele nie zostały wystarczająco zabezpieczone i kilka razy zarwał się strop. W jednym z takich wypadków zginęło dwóch strażników i pięciu więźniów, niestety, także Ralph Dekker; to będzie straszny cios dla Marleen i Hermana. Racje były głodowe, z każdym dniem traciliśmy na wadze. Chcieli nas zamęczyć, aż nasze ciała dadzą za wygraną. Potem przenieśli nas do innej kopalni, Ibigizachi, bliżej obozu. Pamiętam, jak szóstego sierpnia odczuliśmy potężny wstrząs w kopalni, jakby ziemia się zatrzęsła. Ale to nie było trzęsienie ziemi, tylko pierwsza bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę.

Koniec nastąpił po kilku dniach, kiedy w czasie *tenko* dowiedzieliśmy się od japońskiego oficera o kapitulacji Japonii. Oznajmił, że jesteśmy wolni, ale mamy zostać w obozie do czasu przejęcia go przez wojska amerykańskie. Przez następne tygodnie amerykańskie samoloty zrzucały nam paczki z żywnością. Wreszcie któregoś dnia zawieziono nas ciężarówką do Nagasaki. Najdroższa, widok tego miejsca będzie mnie prześladował do końca życia. Naszym oczom ukazał się bezmiar pustki, ze sterczącymi gdzieniegdzie stalowymi kolumnami. Nie mieliśmy pojęcia, jakie bomby mogą wyrządzić takie szkody, a gdy powiedziano nam, że atomowe, nie

wiedzieliśmy, co to znaczy.

I to był początek końca. Albo, mam nadzieję, początek nowego początku. W porcie przeprowadzono nas przez szereg budynków wzniesionych przez wojska amerykańskie. Musieliśmy wyrzucić naszą odzież i buty, wszystko spalono, ale dostaliśmy wojskowe ubrania. Następnie zaprowadzono nas na pokład amerykańskiego okrętu wojennego, »Renville«, gdzie zjedliśmy pierwszy cywilizowany posiłek. To był tylko zwykły chleb, lecz nam smakował jak delicje!

Przylecieliśmy do Manili, gdzie poddano nas terapii mającej na celu przywrócenie nam zdrowia. Wielu z nas prawie straciło wzrok z powodu niedożywienia. Codziennie karmią nas drożdżami i jajkami, więc mój wzrok bardzo się poprawił i mogę wreszcie do ciebie napisać.

Wybacz, najdroższa, tę chaotyczną relację, ale umieram z niepokoju, co się z wami działo w czasie mojej nieobecności. Pozostaje mi tylko nadzieja, że mogliście bezpiecznie zostać w domu. Dlatego napisz jak najprędzej, czy wszystko u was w porządku. Przed dwoma tygodniami Czerwony Krzyż dał nam kartki, na których mogliśmy zapytać o losy najbliższych. Zostaną przesłane do Batawii i uzupełnione o informacje na wasz temat, dlatego liczę, że niebawem otrzymam dobre wiadomości.

Annie, uściskaj nasze dzieci od taty i przekaz im, że bardzo je kocham. Ciebie też, najmilsza: pragnę cię mocno przytulić, abyś już zawsze była przy mnie. Myśl o was pomogła mi przetrwać.

Z wyrazami miłości,  
Hans”.

# ROZDZIAŁ 21

## KLARA

Płakałam na myśl o tym, przez co przeszedł. Cud, że w ogóle przeżył. Matka napisała mu o Peterze. Poprosiłam, żeby nie wspominała o roli, jaką odegrałam; chciałam sama mu to wyjaśnić. Nie oponowała. Streściła mu nasze perypetie w obozach, wspomniała o Jochenach i Florze. Zapowiedziała, że będziemy na niego czekać w Tjidengu, gdzie nasze warunki z dnia na dzień ulegały poprawie.

Amerykanie, którzy czuwali nad obozem do powrotu Holendrów, dostarczali nam żywność i wodę pitną. Przywieźli też kino. Któregoś ciepłego wieczoru pięćset dzieci usiadło po turecku na Laan Trivelli – Corrie i ja z bliźniaczkami na kolanach – i gdy się ściemniło, obejrzeliliśmy *Królewnę Śnieżkę*. Dla wielu z nas był to pierwszy film w życiu i oczu nie mogłam oderwać od tych czarodziejskich obrazów na tle rozgwieżdżonego nieba. Oglądaliśmy też inne filmy – nigdy nie zapomnę *Czarnoksiężnika z Oz*. Stanowiło to miłą odskocznnię od powstania szalejącego na Jawie. Jak na ironię, alianci kazali Japończykom zostać w obozach i bronić ludności przed nacjonalistycznymi buntownikami.

– Z deszczu pod rynnę – narzekła któregoś ranka Kirsten. – Wyzwoleni, ale nie wolni, w czasie pokoju, ale wciąż w stanie wojny, i pod opieką ludzi, którzy do niedawna głodzili nas i katowali. – Przystawiła sobie wymaginy pistolet do skroni w obliczu absurdu sytuacji.

– Myślicie, że wyrwiemy się z tej dziury? – spytała Ina. – Jeśli tak, to co z nami będzie? Czy wrócimy do *tempoe doeloe*?

– Do starych, dobrych czasów? – przetłumaczyła Kirsten. – Średnio to widzę... te czasy minęły bezpowrotnie.

– A ja myślę, że tak – wtrąciła pani Moonen. – Niech tylko wrócą Holendrzy i przywrócą dawny porządek.

– Lepiej niech się pospieszą, zanim *pemuda* wybiją nas do nogi – zakpiła Kirsten.

Europejczycy bali się wychodzić na ulice, zwłaszcza po zmroku. Którejś nocy tłum uzbrojony w bambusowe włócznie i *klewangi* – coś w rodzaju maczet – wtargnął na Laan Trivelli z okrzykami *Merdeka! Merdeka!* Schroniliśmy się w domach, gdzie wrzaski brzmiały przez ściany jak „Morduj! Morduj!”. Nagle usłyszałam trzask.

– *Gedek!* – krzyknęła Corrie. Mocno przytuliła do siebie bliźniaczki. – Przewracają *gedek!*

*Pemuda* podchodzili coraz bliżej, a my zbiliśmy się w gromadkę, kobiety osłaniały dzieci własnymi ciałami, płakały i zawodziły. Wiele się modliło. Naraz rozległy się strzały i okrzyki porucznika Sakai. On i jego żołnierze strzelali w powietrze, co spłoszyło napastników. Powoli odważyliśmy się wyjść, rozdygotani ze strachu.

– Pomyśleć, że przetrwaliśmy ostatnie trzy lata – zauważyła ponuro Ina. – A teraz

to! – Potrząsnęła pięścią w stronę nieba. – Za mało wycierpieliśmy, Panie? Tracę do ciebie cierpliwość!

Nie pocieszały nas doniesienia, że w Batawii panuje spokój w porównaniu z krwawą jatką, do której dochodziło we wschodniej i centralnej Jawie. Zdarzyło się, że *pemuda* wyrznęli około setki holenderskich kobiet i dzieci, bo próbowały opuścić obóz w Surabai. Konflikt przeistoczył się w istną rzeź Europejczyków, *Belandas*, Chińczyków, Japończyków oraz Indonezyjczyków, opowiadających się po stronie Holendrów.

Już nie było mowy o *tempoe doeloe*, ale o repatriacji.

– Przecież Holandia leży w gruzach – zauważyła Ina, kiedy siedziałyśmy pod tamaryndowcem, dyskutując na ten temat. – Jak mamy tam wrócić?

– Większość z nas nie ma innego wyboru – odpowiedziała Kirsten.

Matka, która uspokoiła się nieco po liście od ojca, przyznała rację Kirsten.

– Po przyjeździe Hansa wrócimy do Rotterdamu. W gruzach czy nie, innego domu nie mamy. Nie widzę możliwości, żeby tu zostać.

Irene ją poparła.

– My pojedziemy do Anglii. A stamtąd może do Australii.

Susan wstała i poszła po wodę. Gdy znalazła się poza zasięgiem słuchu, matka zwróciła się do Irene.

– Jeśli pojedziecie do Anglii, co będzie z Susan i Arifem?

Irene wzruszyła ramionami.

– Są młodzi. On wrócił na plantację, myśli o studiach, ale czeka go dużo pracy. Susan opuściła cztery lata szkoły, będzie musiała nadrobić. Mogą do siebie pisać i zobaczymy, co z tego wyniknie. Ale w świetle takiej rozłąki mają niewielkie szanse na wspólne życie.

– Myślisz, że Wil miałby coś przeciwko temu? – zapytała matka.

– Nie – odpowiedziała Irene. – Już nie. – I pokazała nam jego ostatni list, wskazując na akapit bliżej końca.

„Najdroższa Irene, utrata naszej kochanej Flory i widok potworności, których sam mało nie padłem ofiarą, sprawiły, że kwestie rasy i pozycji przestały się dla mnie liczyć. Dbam tylko o zasadnicze aspekty życia, żeby mieć co jeść i gdzie spać, a przede wszystkim pielęgnować miłość rodziny i przyjaciół. Wszystko inne nie ma znaczenia”.

Na początku listopada Irene i Susan wyjechały. RAF, które ewakuowały obywateli brytyjskich, miały zawieźć je do Singapuru na spotkanie z Wilem; stamtąd popłyną do Anglii. Pożegnały się ze wszystkimi współlokatorkami – Kirsten, Iną, Corrie i bliźniaczkami. Potem przyszły do nas. To było straszne: tak dobrze je znałyśmy, tyle nas łączyło. Aby się pocieszyć, myślałyśmy tylko o tym, że wkrótce zobaczymy tatę.

Wreszcie nastał ten dzień, w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Z powodu zawirowań na Jawie rodziny miały się spotkać w Balikpapanie.

Tamtego ranka włożyłam jedwabną sukienkę utrzymaną specjalnie na tę okazję, matka też włożyła jedyne porządne ubranie i wsiadłyśmy do ciężarówki krytej brezentem, która zawiozła nas na lotnisko. Kazano nam się położyć, w obawie przed snajperami. Po drodze modliłam się, żeby nas nie zaatakowano, ale dotarliśmy cało i zobaczyliśmy oczekujący bombowiec B-25.

Większość z nas nigdy nie leciała samolotem i byliśmy bardzo podekscytowani podróżą oraz perspektywą ponownego spotkania z najbliższymi. Na pokładzie trzęsło i huczało; starałam się nie krzyknąć, gdy wznosiliśmy się w powietrze. Gdy lecieliśmy w stronę Borneo, patrzyłam przez okno na migotliwy lazur Morza Jawajskiego.

Po wyjściu z samolotu ujrzeliśmy grupę oczekujących mężczyzn. Omiotłam ich wzrokiem w poszukiwaniu ojca i poczułam ukłucie rozczarowania, że go nie ma. Nagle uświadomiłam sobie ze wstrząsem, że patrzę właśnie na niego. Kiedy widziałam go ostatnio, był młodym mężczyzną. Teraz wyglądał staro. Niegdyś jasne włosy kompletnie mu posiwiały i były krótko przystrzyżone. Dawniej rosły i mocno zbudowany, dziś straszył chudością bez grama mięśni. Ale gdy podbiegłyśmy z matką do niego, oczy miał pełne miłości. Padliśmy sobie w ramiona i zapłakaliśmy nad latami rozłąki i cierpienia. A najbardziej dlatego, że nie było z nami Petera.

W obozie stały setki zielonych namiotów w długich, równych rzędach. Spałam w jednym z matką, gdyż małżeństwom nie wolno było razem mieszkać. Ulga płynąca ze spotkania z ojcem złagodziła jej nastrój. Po raz pierwszy wzięłyśmy prysznic i dostałyśmy mydło oraz pastę do zębów i czyste ręczniki – do tego nie miałyśmy dostępu przez trzy lata. Sama bieżąca woda stanowiła zjawisko na miarę cudu.

Na posiłki poszliśmy do wielkiego namiotu, gdzie stoły ugięły się od jedzenia. Nie mogliśmy się na nie napatrzeć. Dzieci mogły jeść, co chciały, i brać dokładki. Siedziałam obok małego chłopca: wziął jajko na twardo i je zjadł, a następnie podał skorupkę matce, żeby ją rozgniotła. Kobieta pogłaskała go po policzku, mówiąc, że nie muszą już tego robić.

Ojciec tylko siedział i z uśmiechem wpatrywał się w nas bez słowa, a ja próbowałam sobie wyobrazić, jak wydobywa węgiel w zaduchu i ciemności, a potem marznie nad ziemią. Wyobraziłam go sobie w ładowni na statku targanym cyklonem. I jak odczuwa wstrząs wywołany wybuchem bomby.

– Co to jest bomba atomowa? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Wciąż nie wiem dokładnie. Ale cieszę się, że byłem wówczas w kopalni, gdyż wielu więźniów na powierzchni słyszało straszny wybuch i widziało błyski oraz dziwne chmury.

Któregoś wieczoru wyznałam mu prawdę o Peterze.

Gdy łzy napłynęły mu do oczu, przeraziłam się, że też oskarży mnie o niewłaściwy wybór i zdradę. Ale on wziął mnie za rękę.

– Biedna Klara – wyszeptał. – To musiało być dla ciebie straszne.

– Wolałam, żeby wbijali mi drzazgi pod paznokcie – powiedziałam. – Albo powiesili mnie za nadgarstki. Zniosłabym to, ale tego nie mogę! Mama uważa, że zabrałam jej Petera. Mówi, że podjęłam samolubną decyzję, bo nie chciałam, żeby coś jej się stało.

– Przejdzie jej – zapewnił ojciec. – Potrzebuje czasu, Klaro, wszyscy potrzebujemy. Cierpliwości.

Po kilku dniach ojca zwolniono i wyruszyliśmy do portu w Balikpapanie. W czasie bitwy o Borneo zniszczono dwa mola; na wodzie unosiła się plama ropy i kwaśny smród wisiał w powietrzu. Na plaży, wśród roztrzaskanych palm zaścielających piasek, tkwiły wypalone kadłuby japońskich czołgów.

Wsiedliśmy na „Noordam”, który miał nas zabrać do Holandii. Najpierw zatrzymaliśmy się w Batawii, przemianowanej na Dżakartę, gdzie dołączyły do nas setki innych ewakuowanych. Z powodu konfliktu zabroniono nam zejść na ląd, więc pożegnaliśmy się z Jawą z pokładu. Matka mruknęła, że mija dokładnie dziesięć lat, odkąd tu przyjechaliśmy. Nagle przypomniałam sobie radość na twarzy ojca, gdy ruszył nam na powitanie, a potem drogę na plantację, gdzie po raz pierwszy ujrzałam pofalowane tarasy pól ryżowych spływające po górach jak fale i przystrojone w dżunglę wulkany w otoczeniu chmur.

Przy wtórze syreny okrętowej wychylił się przez barierkę, patrząc, jak wyspa znika nam z oczu. Gdy stawała się coraz mniejsza, zapłakałam, ale nie nad utratą domu ani tym, co wycierpieliśmy.

„Nie zostawię taty...”

Płakałam, bo zostawialiśmy Petera.

Mieliśmy przystanek w Kolombo, następnie popłynęliśmy dalej do Ataki na Morzu Czerwonym, gdzie znajdował się skład zimowej odzieży z Czerwonego Krzyża dla przybyszów z Indii Wschodnich. Pojechaliśmy pociągiem przez pustynię do wielkiego magazynu na piasku tworzącym wydmy. Wewnątrz grał zespół złożony z niemieckich i włoskich jeńców wojennych w znoszonych mundurach, z numerami namalowanymi na plecach. Ujrzelśmy długie stoły z napojami i górami kanapek. Wciąż nie mogłam oswoić się z myślą, że jedzenie może być na wyciągnięcie ręki. Po latach przymusowej głodówki krępowiała mnie taka obfitość.

Wieszaki z ubraniami zdawały się ciągnąć w nieskończoność i wydzielały silną woń kamfory. Dziwnie było mierzyć grubą odzież w takim upale, ale każde z nas wybrało sobie zimowe palto, a tata wziął tweedowy garnitur, koszule, kapelusz i skórzane półbuty oraz kalesony, podkoszulki i krawaty. Mama i ja wybrałyśmy wełniane żakiety, sukienki z długimi rękawami oraz torebki. Wszystkie ubrania pochodziły z darów i to, że mogą być nasze, bez konieczności wymiany, o ryzyku ogolenia głowy czy bicia nie wspominając, zakrawało na cud.

Wróciliśmy z nową odzieżą na statek i popłynęliśmy dalej. Dotarliśmy do Port Saidu, gdzie statek zatankowano na ostatni etap podróży, po czym minęliśmy Kanał Sueski i Morze Śródziemne, a następnie Portugalię i zachodnie wybrzeże Francji. W drodze przez Kanał Angielski popatrzyłam na białe klify i pomyślałam o Jochenach, którzy pewnie byli już w Kent. Wreszcie wypłynęliśmy na wzburzone Morze Północne, a wieczorem, dziewiętnastego lutego, ujrzeliśmy migotliwe światła holenderskiego wybrzeża. „Noordam” wpłynął do amsterdamskiego portu i rankiem zeszedliśmy na ląd.

W porcie zebrał się komitet powitalny: gdy przybysze schodzili po trapie na holenderską ziemię, orkiestra zagrała hymn narodowy. Dla wielu *Belanda Indos* była to pierwsza wizyta w „ojczyźnie”, którą od dziecka uważali za „dom”.

Pojechaliśmy autobusem do Rotterdamu, od którego dzieliły nas trzy godziny drogi. Gdy podążaliśmy podziurawioną, usianą gruzem szosą, wśród zrujnowanych budynków i kościołów bez iglic, zrozumiałam, że patrzę na blizny wojny, której nie znałam. To była „ich” wojna. Nasza była wojną *tenko* i dyzenterii, *gedekkingu* i drutów kolczastych, bagnetów, beri-beri i skalpowanych głów.

Zatrzymaliśmy się na kilka dni u babci Omy. Matka rozpaczała, że już nie zobaczy swojego ojca – zmarł, jak tysiące innych, w czasie „Głodowej Zimy”, gdy północna Holandia była odcięta od świata. Babcia cudem ocalała. Porąbali na opał kuchenne meble, a także stoły i krzesła. Prawie nic nie zostało. Ale zachowała albumy ze zdjęciami przysyłanymi przez matkę przed wojną. Matka otworzyła jeden z nich i lzy stanęły jej w oczach; pomyślałam, że pewnie patrzy na zdjęcie Petera. Ale podeszłam bliżej i zobaczyłam, że spogląda na moje, w stroju Kopciuszka, na bosaka i w łachmanach. Babcia łagodnie zamknęła album i wszystkie pochowała. Minęło dużo czasu, nim ponownie zostały otwarte.

Dowiedzieliśmy się, że zamieszkamy w „obozie dla repatriantów”. Trafiliśmy do dawnych koszar w Nijmegen, koło niemieckiej granicy. Przydzielono nam izbę i sypialnię z posłaniami z jutowych worków wypełnionych słomą, które należało wyklepać, zanim mogliśmy się położyć. Obóz był otoczony siatką, a właściciel mieszkał w domu przy bramie. Stanowiło to poniekąd odzwierciedlenie tego, co przeszliśmy na Jawie, tyle że nie chodziliśmy głodni i nie smażyliśmy się w upale, tylko dygotaliśmy z zimna.

Radość z własnego kąta wkrótce ustąpiła miejsca rozczarowaniu. Tłumy miejscowych Holendrów zbierały się pod płotem i obrzucały nas wyzwiskami. Nazywali nas *uitzigers*, pijawkami, i „Indusami”. Holandia bardzo ucierpiała w wyniku hitlerowskiej okupacji i ludzie klepali biedę, nie życzyli sobie intruzów z kolonii, którzy wrócili z pustymi rękami w oczekiwaniu na mannę z nieba. Co gorsza, dostawaliśmy podwójne racje żywnościowe, co dodatkowo pogłębiało urazę, gdyż Holendrzy cierpieli głód. Chodziłam z matką do miejscowego sklepu; gdy któregoś dnia wyjęła swoje kartki, kobieta za jej plecami głośno dała upust swojemu

niezadowoleniu.

– Patrzcie ją! – krzyknęła. – Przychodzi i wyciąga łapę! Kiedy wy opalaliście się w tropikach, my mieliśmy na karku szwabów. Powinniście radzić sobie sami! – Bardzo się zdenerwowałam, ale mama powiedziała, żeby nie zwracać na to uwagi, i zaraz wyszliśmy; kilkakrotnie doszło do takich incydentów, co pogłębiło nasze poczucie alienacji. Ale *Belandas* mieli gorzej, bo musieli znosić uprzedzenia na tle rasowym.

Poszłam do miejscowego liceum, gdzie próbowano łączyć nasze braki w wykształceniu. Carola, jedna z repatriantek, próbowała czasem opowiadać naszym rówieśnikom o japońskiej okupacji, ale nie chcieli słuchać.

– Przynajmniej nie marzliście – kwitowali. – Nie odmrażaliście sobie nosów, tak jak my. Nie jedliście cebulek tulipanów i surowych buraków, nie chowaliście się w rowach i nie posyłano was na śmierć do Auschwitz, tak jak wielu naszych żydowskich przyjaciół.

Nie znajdowaliśmy na to odpowiedzi. Oni wycierpieli swoje, my swoje, ale podczas gdy holenderskie dzieci otwarcie i bez zahamowań mówiły o wojnie, my milczeliśmy jak głazy. Jeżdżąc co rano na rowerze do szkoły wśród spalonych, połamanych drzew, między lejami po pociskach i granatach, mówiłam sobie, że trzeba patrzeć tylko w przyszłość.

Spędziliśmy w Nijmegen rok, po czym przenieśliśmy się do wioski bliżej Rotterdamu, gdzie zamieszkaliśmy w piwnicy dużej willi. Były to tak zwane mieszkania kontraktowe: holenderski rząd płacił właścicielom dużych domów za użyczenie schronienia repatriantom. Na rodzinę przypadał zwykle jeden pokój. Nam się poszczęściło. Dostaliśmy dwa oraz własną małą łazienkę; był tam również duży ogród pachnący różami. Matka po nim spacerowała, wiedziałam, że wspomina swój ogród w Tempat Sungai.

W dzień nie myślałam o plantacji, ale wracała do mnie w snach i zносиły mnie tam wspomnienia. Siedziałam na werandzie z matką i Peterem, obserwowaliśmy *tjik-tjaki*, bawiłam się z Florą, jeździłam na Słodkim albo chodziłam po lesie kauczukowym z ojcem, próbując za nim nadążyć. Wówczas sprawiał na mnie wrażenie olbrzyma, ale koszmarnie przeżycia sprawiły, że skurczył się i postarzał, stając się cieniem swego dawnego ja.

Chciał pracować, lecz poszukiwano głównie pracowników fizycznych, do odbudowy miast, a on się do tego nie nadawał. Pył węgielny w kopalni, panujący na zewnątrz mróz, zagłodzenie trwale podkopały mu zdrowie.

Często przychodziły listy od Jochenów, którzy osiedli we Fremantle w zachodniej Australii, gdzie Wil miał kuzynów. Pomógł ojcu uzyskać należną rentę za prowadzenie plantacji, pieniędzy wystarczyło nam na życie, chociaż skromne. Wil wspominał też o odszkodowaniach ze strony Japonii, wiedzieliśmy jednak, że miną lata, zanim to się stanie faktem, jeśli w ogóle.



Pamiętam, iż rodzice gorliwie śledzili procesy Międzynarodowego Trybunału Wojskowego dla Dalekiego Wschodu we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Na wieść o skazaniu na śmierć Kenichi Sonei poczuliśmy, że cierpienie tysięcy niewinnych kobiet i dzieci wreszcie zostało pomszczone; myśl o tym, jak stoi przed holenderskim plutonem egzekucyjnym, nie wzbudziła we mnie cienia litości.

Wojna o niepodległość szalała jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Jednakże rok później nad archipelagiem zawisła flaga Republiki Indonezji i ostatni holenderscy urzędnicy musieli wrócić do kraju.

Tamtego roku zmarła moja babcia. Zostawiła matce mieszkanie, do którego się wprowadziliśmy. Poszłam do Erasmiaans School i w wieku szesnastu lat próbowałam zapomnieć o wojnie. Moje stosunki z matką się poprawiły; starała się i próbowała stanąć na wysokości zadania. Ale uraza pozostała i czasem dostrzegałam jej przebłysk, a wtedy znów czułam się podle. Dręczyły mnie koszmary o obozie, na nowo przeżywałam podróż pociągiem do Tjidengu, widziałam poszarzałą twarz Flory, szeregi wynędzniałych kobiet i dzieci zwinięte w kłębek u ich stóp. Ale czerpałam otuchę od ojca, który wciąż darzył mnie bezgraniczną miłością. Kazał mi patrzeć tylko przed siebie, nigdy wstecz.

Zastanawiałam się, co z sobą począć. Zostać nauczycielką czy pielęgniarką? Może tłumaczką: dzięki Irene mogłam się poszczycić dobrą znajomością angielskiego. Dzięki doświadczeniu na plantacji pociągała mnie praca w przemyśle ogrodniczym, który rozkwitał dosłownie i w przenośni.

We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku poszłam z Miną, koleżanką ze szkoły, na potańcówkę na Delft Street, gdzie podrygiwałyśmy do Andrews Sisters i Buddy'ego Clarka. Przyszło paru chłopców z naszej szkoły, a gdy Mina z którymś rozmawiała, podszedł do mnie przystojny mężczyzna, dwa, trzy lata starszy ode mnie. Spytał, czy mówię po angielsku; potwierdziłam. Przedstawił się jako Harold i powiedział, że chciałby zatańczyć z dziewczynami, ale nie umie ich poprosić po holendersku. Czy mogłabym mu pomóc?

– Jasne – odpowiedziałam. – *Wilt u met me dansen?* Albo: *Ik zou graag met u willen dansen?* Jedno i drugie może być.

– Świetnie mówisz po angielsku – stwierdził. – A może jesteś Angielką?

– Nie, ale osłuchałam się z tym językiem. No to... już wiesz, co masz mówić. Powodzenia.

– Czyli tak... – Harold zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. – Czy ty *mit* mną... *dancern?* – Uśmiechnął się rozbijająco. – I co się wtedy odpowiada?

– Hm, to zależy. Ja powiedziałabym: *Ik zou graag...* z przyjemnością.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i podał mi ramię.

– Miałem nadzieję, że to powiesz!

Roześmiałam się i poszliśmy tańczyć.

Powiedział, że jest podporucznikiem w Marynarce Brytyjskiej i stacjonuje w Rotterdamie na „Vanguard”, będzie służył jeszcze dwa lata.

– A co potem? – zapytałam, gdy przesiedzieliśmy kolejną piosenkę.

– Będę pomagał w prowadzeniu rodzinnego gospodarstwa. W Kornwalii.

– To farma kwiatowa? – spytałam. – Hodujecie żonkile?

– Nie, mleczna. Ale mamy poletko żonkili, które sprzedajemy do miejscowych sklepów.

Tańczyliśmy i rozmawialiśmy, a potem Harold odprowadził mnie do domu. Gdy stanęliśmy przed drzwiami, zapytał, czy mógłby kiedyś zaprosić mnie na kolację. Odpowiedziałam, że muszę zapytać rodziców. Pozwolili, ale pod warunkiem, że Harold najpierw przyjdzie i się przedstawi. Tak też zrobił i był bardzo szarmancki; widziałam, że przypadł im do gustu. Wspomniał, że był za młody, żeby iść na wojnę, ale zaciągnął się po ukończeniu szesnastu lat.

– Dlaczego wybrałaś marynarkę? – spytałam później, w czasie kolacji.

– Bo nasza farma leży nad morzem, więc znam się na statkach. – Potem zapytał mnie o plantację. – Czyli też jesteś farmerką, Klaro.

– Na to wygląda.

W przeddzień wyjazdu Harry’ego raz jeszcze się spotkaliśmy. Wypytywał o wydarzenia z Jawy. Patrzył ze współczuciem, gdy opisywałam nasze życie w obozach. Zastygł bez ruchu, gdy mówiłam o Peterze i Florze. Opowiedziałam, co jedliśmy, jak próbowaliśmy hodować warzywa i o moim marzeniu, aby kiedyś mieć swój ogród za ścianą.

Uśmiechnął się.

– Będiesz go miała. Wiem na pewno.

– Skąd?

– Bo ja go dla ciebie zbuduję.

Harry wrócił na statek i pisaliśmy do siebie co tydzień, gdy on był na Atlantyku, a ja w szkole. Dzięki temu dobrze się poznaliśmy.

Rodzice nie martwili się, że tak szybko wychodzę za mąż. Chcieli, żebym skorzystała ze swojej szansy na szczęście: zbyt dobrze wiedzieli, jak łatwo stracić wszystko, co cenimy lub kochamy. W maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku pobraliśmy się w rotterdamskim ratuszu, jednym z niewielu zabytkowych budynków, które przetrwały naloty Luftwaffe. Zjedliśmy weselne śniadanie w pobliskim hotelu, a miesiąc miodowy spędziliśmy w Devon w drodze do Kornwalii.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Polvarth. Spojrzałam na cyple i zatoki, łaciate pola i rozmigotane morze, po czym wciągnęłam w płuca cudowne powietrze. Harry mówił prawdę: to było wspaniałe miejsce, i z radością rozpoczęłam nowe życie.

Rodzice odwiedzali nas każdej wiosny. W czerwcu tysiąc dziewięćset

pięćdziesiątego trzeciego roku pomogli przygotować ogród za ścianą. Był Dzień Koronacji, Harry i Seb właśnie skończyli stawiać mur. Udekorowaliśmy go flagą i uczciliśmy inaugurację szampanem. Wraz z rodzicami wytyczyliśmy klomby, ojciec zakasał rękawy i zasadziliśmy brzoskwinie, która kwitnie od sześćdziesięciu lat.

Co dwa lata jeździłam do Holandii. Gdy wracałam do tematu Jawy, matka go ucinała jednym zdaniem: „nie pamiętam”. Ale ja wyciągałam albumy, a ona czasem siadała ze mną, przewracałam kartki i rozmawialiśmy o Tempat Sungai. Po jakimś czasie rodzice jednak z uśmiechem oglądali zdjęcia, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku wrócili na Jawę.

Matka utrzymywała kontakt z Holenderską Komisją do spraw Mogił Wojennych i pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku poinformowano ją, że Peter został przeniesiony na cmentarz Ereveld Pandu w Bandungu. W liście podano numer i położenie grobu. Rodzice kupili bilety drugiej klasy na statek i wyruszyli wiosną następnego roku. Nie mogłam płynąć z nimi z powodu ciąży, ale nie musiałam wracać na Jawę, żeby mieć Petera w sercu. Próbowałam zostawić przeszłość i skupić się na nowym życiu z Harrym oraz tym, które we mnie rosło. Ale matka napisała do mnie pod koniec podróży i ten list jest jednym z moich najcenniejszych skarbów.

„Płynęliśmy przez Suez i Kolombo, a następnie do Dżakarty, gdzie wsiedliśmy w pociąg do Bandungu. Dzisiejszy Bandung tętni życiem, Klaro, więcej tu ludzi, samochodów i kwitnie handel. Wszystkie dawne holenderskie nazwy ulic zamieniono na indonezyjskie, co nas myliło, dopóki się nie połapaliśmy. Widzieliśmy twoją szkołę i pomyśleliśmy o tobie i Florze, pamiętając, jak wbiegałyście na schody. Ponieważ znajdowaliśmy się w pobliżu Tjihapit, zabrałam ojca na Houtmanstraat – obecnie nosi nazwę Jalaan Supratman – i pokazałam mu dom, gdzie mieszkaliśmy przez tamten rok. Przypomniam sobie te wszystkie kobiety i dzieci i wydało mi się, że znów słyszę tamten hałas i gwar. Pomyślałam, jaka byłaś grzeczna i dzielna w obliczu tak trudnych, nierzadko przerażających okoliczności. Przygnębiła mnie myśl o dzieciństwie, które ci odebrano.

Następnego dnia wstaliśmy skoro świt i pojechaliśmy na Ereveld Pandu. Cmentarz jest ogromny, a wewnątrz mieści się »holenderskie pole chwały«, nie tyle pole, ile rozległa równina wypełniona tysiącami identycznych, białych krzyży, które biegną w idealnie równych rzędach, jak okiem sięgnąć. Tutaj pochowano cywilów, którzy zginęli w czasie konfliktu; spacerując, widywaliśmy znajome nazwiska. Widzieliśmy grób panny Vries, twojej nauczycielki, pana Uysa z Banku Grindlaya i Roelpha Smitsa, ojca Eddy. Smutny był widok bezimiennych mogił, a jest ich tam mnóstwo. Wreszcie dotarliśmy na »nasze« miejsce. Byliśmy przygotowani na tę chwilę, lecz widok nazwiska Petera przyprawił nas o wstrząs. Brutalna świadomość prawdy wycisnęła nam łzy z oczu. Potem złożyliśmy różowe i białe orchidee na grobie naszego ukochanego synka, który miałby dziś dwadzieścia lat, lecz na zawsze pozostanie

dziesięcioletni. Długo tak staliśmy, nie mogąc się ruszyć z miejsca, po czym ucałowaliśmy krzyż i odeszliśmy. Nie poczuliśmy się lepiej, ale ogarnęła nas ulga, że przynajmniej wróciliśmy do niego i zobaczyliśmy miejsce, gdzie spoczywa. Widok tyłu grobów pomógł mi zobaczyć sytuację w innym świetle – zrozumieć, że Peter stał się ofiarą okoliczności, rzuconą w wir strasznej wojny. Żałuję tylko, że w swojej rozpacz i gniewie obwinałam ciebie, Klaro. Wkrótce sama zostaniesz matką i mam nadzieję, że to pomoże ci zrozumieć – i wybaczyć.

Została mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Ojcu nie uśmiechało się wracać na plantację, ale zgodził się pojechać ze mną i wczoraj minęliśmy bramę Tempat Sungai. Suliman wyszedł nam na powitanie! Prawie się nie zmienił, czego nie mogę powiedzieć o plantacji, która wciąż nosi ślady po wojnie. Większość lasu ponownie obsadzono i widok tyłu młodych drzewek wzbudził moje zdziwienie. Osobliwie było tam wrócić, Klaro; niemal spodziewałam się ujrzeć ciebie i Petera biegnących w stronę potoku. Suliman przedstawił nas nowemu zarządcy, panu Acehowi, a on uprzejmie zaprosił nas do ogrodu, który zarósł, co sprawiło mi przykrość, ale moja ukochana cherimoya wciąż znajduje się na swoim miejscu. Pan Aceh spytał, czy mamy ochotę wejść do domu, ale odpowiedzieliśmy, że nie chcemy przeszkadzać jego rodzinie. Tak naprawdę woleliśmy pamiętać dom takim, jaki był kiedyś. Potem Suliman zaprosił nas do siebie i poszliśmy do *kampongu*, powoli, ze względu na ojca. Gdy już prawie byliśmy na miejscu, wybiegła do nas Jasmine z Sushilą, która ma siedem lat i wyrosła na prześliczną dziewczynkę, spóźniony prezent od losu. Rozpłakałam się na widok Jasmine. Weszliśmy do środka i rozmawialiśmy po malajsku przy herbacie i cieście *spekkoek*. Ale ja myślałam tylko o dwóch główkach, jasnej i ciemnej, pochylonych ku sobie na werandzie. Naraz usłyszeliśmy kroki i wszedł Jaya, przystojny dziesiętnastolatek. Studiuje matematykę w college'u w Garut i chce zostać inżynierem. Dowiedział się o Peterze, mówił, że często o nim myśli. Otworzyłam przyniesiony koszyk, wyjęłam z niego zawiniątko i mu podałam. Zaskoczony Jaya rozwiązał sznurek i rozchylił warstwy brązowego papieru. Uśmiechnął się na widok tego, co było w środku”.

## ROZDZIAŁ 22

Onyks i marmur – mruknęłam. Odwróciłam głowę, żeby Klara nie widziała moich łez.

Przytaknęła i opuściła list.

– Onyks i marmur. Matka kupiła ją w Kolombo. Powiedziała Jai, że oglądała dziesiątki szachownic i wybrała najpiękniejszą ze wszystkich. Opowiedziała, co się stało z drewnianą, i jaki Peter był nieszczęśliwy, że musiał ją zostawić. Wspomniała o złożonej Peterowi obietnicy i swojej uldze, że nareszcie może jej dotrzymać.

– Jaya musiał być... wzruszony.

– Owszem; zapewnił, że zawsze będzie dla niego bardzo ważna. Potem rodzice się pożegnali i wrócili do Dżakarty na statek, którym popłynęli do domu.

– A Arif? – zapytałam, gdy chowała list do drewnianej szkatułki. – Nie spotkali się z nim w wiosce?

Klara pokręciła głową.

– Wyjechał dawno temu.

– Co się z nim stało? Miałaś jakieś wiadomości?

– Tak. Poszedł na politechnikę w Tasikmalaya, mieszkał u krewnych. Potem miał staż w drukarni i został zecerem w „Jakarta Post”, anglojęzycznej gazecie.

– A Susan? Co się z nią stało?

– Poszła do szkoły w Fremantle, a następnie studiowała na wydziale sztuki w Perth i została grafikiem. W wieku dwudziestu pięciu lat wyszła za współpracownika, ale źle ją traktował i małżeństwo się rozpadło. Została dwudziestoosmioletnią rozwódką i myślała, że świat jej się zawalił. Rodzice pocieszali ją, że jest młoda, jeszcze znajdzie szczęście.

– Mam nadzieję, że znalazła – mruknęłam.

– A tak.

Klara otworzyła album, przewróciła kartki i pokazała mi zdjęcie wysokiego bruneta stojącego na trawniku z atrakcyjną kobietą około czterdziestki i dwiema dziewczynkami, mniej więcej ośmio- i dziesięcioletnią.

– A więc to... Susan – powiedziałam.

– Tak jest.

– A to... – Spojrzałam ze zdziwieniem na Klarę. – Arif?

– Tak – potwierdziła ze śmiechem Klara. – Zdjęcie zrobiono w ich ogrodzie w Rockingham, na obrzeżach Perth.

– Ale... jak...?

– Susan korespondowała z Arifem dłuższy czas, lecz ich drogi siłą rzeczy się rozeszły, zwłaszcza gdy wyszła za męża. Nigdy jednak o nim nie zapomniała. Myślała o dniu, gdy przyjechał do Tjidengu, o tym jak dwa tygodnie szedł pieszo, żeby ją

znaleźć, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Dlatego po rozwodzie napisała do Arifa w nadziei, że list zostanie go pod dawnym adresem. Zadzwoił w ciągu tygodnia! Mówił już dobrze po angielsku, więc rzucił wszystko i pojechał do Perth, gdzie podjął pracę w „West Australian”. Pobrali się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku.

– To... wspaniale. Miałaś okazję się z nimi spotkać?

– Tak. Przyjechali do Londynu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, a ja wybrałam się tam z chłopcami i spotkaliśmy się w Regent's Parku. Arif zmarł w dwa tysiące czwartym roku, Susan cztery lata później, ale utrzymuję kontakt z ich córkami, Florence i Beą, wysyłamy sobie kartki na święta.

– Co się stało z Willem i Irene?

– Wil był silniejszy od mojego ojca, doszedł do siebie na tyle, by znów podjąć pracę: został głównym zarządcą winnicy w okolicach Fremantle.

– Czyli kolejna plantacja.

– Zgadza się. Utrzymywali kontakt z moimi rodzicami, a raczej z matką, gdyż ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku. Potem matka częściej nas odwiedzała, spędzała więcej czasu z Henrym i Vincentem, i ze mną. W tamtym okresie znów się do siebie zbliżyliśmy i często rozmawialiśmy o Jawie. Zmarła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

Klara opowiadała o życiu na farmie – spędzaniu krów z pola i dojeniu ich w szopie, gdzie teraz stała łódź, wynajmowaniu domku, żeby związać koniec z końcem, codziennym połowie, cielaku, który poszedł popływać. O radości macierzyństwa, przyjaźniach zawartych za pośrednictwem dzieci i w kościele. O swojej wdzięczności za długie, szczęśliwe małżeństwo: wspominała złote gody, które wyprawili z Haroldem. Opowiadała o bliskości z synami oraz ich rodzinami i nadziei, że będzie mogła pracować do dziewięćdziesiątki. Potem zapytałam o refleksje na temat jej niezwykłego dzieciństwa.

– Moje dzieciństwo nie było niezwykle – uściśliła. – Zostało mi zrabowane. Straciliśmy ten czas, czas, gdy powinniśmy chodzić do szkoły, czytać, uczyć się i bawić z przyjaciółmi; został nam odebrany i musieliśmy oglądać i robić rzeczy, których nie powinny robić i oglądać dzieci.

– Myślisz, że czas spędzony w obozach odcisnął na tobie piętno?

Westchnęła.

– Myślę, że taka próba uświadamia człowiekowi, że wszystko ma wartość, choćby niewielką lub pozornie błahą: kawałek sznurka, gwóźdź, nitka ze starej sukienki. Nadal mam problem z wyrzucaniem rzeczy. Nauczyłam się cenić jedzenie; całe moje dorosłe życie poniekąd kręci się wokół niego: hoduję, rozdaję, pilnuję, żeby nic się nie zmarnowało.

– Czy kiedykolwiek zapomniałaś o głodzie, którego wtedy doświadczyłaś?

Oczy jej rozblęły.

– Tego się nie zapomina! Do dzisiaj w pełni się od niego nie uwolniłam. Ale pobyt w obozach dał mi siłę – ciągnęła. – Ilekroć spotykało mnie coś złego, myślałam sobie: „przeżyłam Tjideng, to też przeżyję”. Przede wszystkim byłam świadkiem, do czego zdolne są matki dla ratowania dzieci. Widziałam kobiety, które się prostytuowały, żeby zdobyć dla nich jedzenie, brodziły w ściekach, aby przynieść lekarstwo, lub godzinami trzymały je na rękach w czasie apelu. Kobiety, które ryzykowały straszną chłostę, a nawet śmierć, by wymienić przez płot stary łańch na jajko lub banana, tak bardzo pragnęły utrzymać dziecko przy życiu jeszcze jeden dzień. Do dziś mam je przed oczami.

Klara ponownie przejrzała albumy w poszukiwaniu zdjęć do książki. Wybrała piętnaście i wsunęła je do sztywnej koperty, którą miałam zawieźć do Londynu. Ostrożnie umieściłam ją w torbie.

– I co teraz? – spytała.

– Wrócę do Londynu, poświęcę dwa tygodnie na zredagowanie tekstu i sprawdzenie szczegółów, a potem wyślę tobie do przejrzania.

– Mówiłaś, że usuniesz wszystko, co mi się nie spodoba – przypomniła z niepokojem.

– I dotrzymam słowa. Byłaś bardzo otwarta, Klaro, ale do ciebie należy ostatnie słowo.

– Dziękuję, Jenni. A więc... – Ujęła oburącz moją dłoń i spojrzała mi w oczy. – Będzie mi brakować naszych rozmów, kochanie. Czuję się... Nie wiem, jak to ująć.

– Przemaglowana? – zażartowałam.

– Czuję, jakbym odbyła podróż w głąb siebie. To było oczyszczające, bardziej niż się spodziewałam. A ty, Jenni? Co ty czujesz?

– Że też odbyłam podróż... do której nie doszłoby, gdyby nie ty, Klaro. Chciałaś opowiedzieć swoją historię, a ona pociągnęła za sobą moją.

– Zatem... cieszysz się, że wróciłaś?

– Tak.

Po spakowaniu walizki przygotowałam się do wieczoru w galerii. Właśnie się przebierałam, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zeszłam na dół i zobaczyłam przez szybkę małą postać. Rozległo się kolejne, bardziej natarczywe pukanie i otworzywszy drzwi, ujrzałam na progu miniaturowego Drakulę z czerwonymi obwódkami wokół oczu i plastikowymi kłami.

– Cukierek albo psikus? – Matka chłopca, która stała za nim, uśmiechnęła się nieśmiało. – Cukierek albo psikus?! – powtórzył głośniej.

– Poproś ładnie – upomniała matka.

– Cukierek albo psikus, poproszę.

– Jestem trochę nieprzygotowana – odpowiedziałam. – Chwileczkę... – Poszłam

do kuchni i wróciłam z kitkatem. – Może być?

Chłopiec wrzucił batonik do torby.

– Dzięki. – I popędził dalej, powiewając czarną peleryną.

Nie minęły dwie minuty, gdy znów usłyszałam pukanie i pojawiły się dwa małe kościotrupy.

– Cukierek albo psikus?!

Oddałam im resztę kitkatów i kazałam zmykać.

Nałożyłam lekki makijaż i spojrzałam na zegarek. Jeśli pojedę do Trennick samochodem, nie będę mogła pić; znałam dobrze trasę, więc narzuciłam kurtkę i zamknęłam drzwi na klucz.

Wyszczерzone dynie świeciły po drodze z każdego domu. Słyszałam piski i śmiechy, widziałam duchy i czarownice, które przebiegały mi drogę lub stały u drzwi. W hotelowym ogrodzie dostrzegłam ogień: nieopodal huštawek trzaskało ognisko, iskry fruwały jak świetliki. Wokół zebrała się grupka małych zombi, diabełków i upiorów z rodzicami. Spiderman nurkował twarzą w misce, próbował złapać zębami jabłko. Pachniało dymem, hot dogami i grzanym winem.

Księżyc był w pełni, ale zasłonięty deszczowymi chmurami, które cały dzień wypełniały niebo. Zeszłam na plażę, gdzie nadciągał przypływ, i ruszyłam ścieżką do wioski rozświetlonej dyniami.

Po drodze na rynek słyszałam dochodzące z wąskich uliczek po obu stronach chichoty i tupot, łomotanie i brzęk dzwonek do drzwi. Minęłam sklep wielobranżowy i dotarłam do galerii. „Adam Tregear – nowe prace”, napisano szablonem na szybie.

Weszłam do środka, gdzie szczupła, wyprostowana kobieta przedstawiła się jako Caroline, właścicielka galerii, i zachęciła do częstowania się napojami. Powiesiwszy kurtkę na wieszaku, wzięłam kieliszek wina i przyjrzałam się obrazom Adama. Były wśród nich dramatyczne pejzaże z chmurami skłębionymi nad wzburzonym morzem i nastrojowe wizje wybrzeża, z refleksami słońca na spokojnych falach. Martwe natury z homarami, nakrapianymi płastugami i dzikim kwieciami, a także wielkie płótno przedstawiające skalną zatoczkę o przejrzystej powierzchni pofałdowanej przez wiatr, który niemal czuło się na twarzy.

Podeszłam do Adama.

– Gratulacje. Są wspaniałe! – Wypiłam łyk wina. – I tyle ich jest! Kiedy masz na to czas?

– Maluję rano, po zarzuceniu sieci. – Rozejrzył się po galerii. – Dwa lata mojej pracy; pewnie z tego nie wyżyję, ale sprawia mi to wielką frajdę.

Drzwi się otworzyły i weszła ładna kobieta z krótkimi, brązowymi włosami, pomachała do Adama i zbliżyła się do nas. W nosidełku miała niemowlę z wicherkiem ciemnych włosów nad czołem.

– To Molly, moja lepsza połowa – przedstawił Adam. Molly się uśmiechnęła. –



A to nasz mały Leo.

Wyciągnęłam rękę do Leo i chwycił mnie za palec.

– Śliczny jesteś – powiedziałam.

– Moll, to jest Jenni – podjął Adam. – Pomaga babci przy pisaniu wspomnień.

– Aha, no tak. – Wyjęła dziecko z nosidełka, a Adam zdjął mu kurteczkę. – I jak wam idzie? – spytała Molly, wyplątując się z nosidełka.

– Świetnie, właściwie to już skończyłyśmy. Też malujesz?

Molly wyjaśniła, że jest ilustratorką, poznała Adama na studiach plastycznych przed pięciu laty.

– Przy dziecku pewnie trudno cokolwiek zrobić.

– To prawie niemożliwe bez opiekunki, na którą nas nie stać, więc staram się pracować, kiedy śpi. Ale nie narzekam. – Ucałowała Leo, a mały przymknął oczy i zachichotał, więc zrobiła to ponownie. – Roześmiała się. – Uwielbiasz to, prawda, mój skarbie? Adam, weźmiesz go ode mnie na chwilę? Poszłabym się napić i pogadać.

– Jasne. – Wziął dziecko i oparł je sobie o lewe ramię. Leo rozejrzał się z zadowoleniem i wpakował piąstkę do buzi.

Gdy Molly podeszła do stołu z napojami, wyrzłam przez okno i zobaczyłam Klarę, wysiadała z samochodu. Podeszła do drzwi pasażera i pomogła wysiąść Jane, po czym ruszyły pod rękę w stronę wejścia.

Caroline otworzyła im drzwi.

– Witam panie – usłyszałam jej słowa. – Pięknie wyglądacie. Dobry wieczór, Jane.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Jane. – Wspaniały. Wspaniały. Zaraz... – Rozejrzawszy się, zmarszczyła brwi. – Czy ja tu kiedyś byłam?

– Ależ tak, Jane – zapewniła Caroline. – Zawsze miło cię widzieć. Adam namalował piękne obrazy. Rozbierzcie się, powieszę wasze płaszcze.

Zjawili się Henry i Beth, podeszli do mnie.

– Wybacz, że tak rzadko się widywaliśmy – powiedział Henry. – Ale cielę urodziło się z opóźnieniem i musieliśmy je karmić z butelki, więc brakowało czasu. Słyszałem jednak, że dobrze się dogadujecie.

– Owszem, ale to nie było trudne. Klara jest przemiłą osobą.

Henry zerknął na Klarę, która oglądała pejzaż w odcieniach turkusu, kobaltu i bieli.

– Otworzyła się?

– Tak... bardziej, niż przypuszczałam.

Uśmiechnął się.

– Pewnie wiesz o niej więcej niż my.

– Hm... niewykluczone. Ale na tym polega moja praca.

– Podobno jutro wyjeżdżasz – wtrąciła Beth. Potwierdziłam. – W takim razie zjedz z nami dzisiaj kolację. Po prostu przyjdź i zapukaj.

– Dziękuję... zobaczę.

– Obejrzyjmy obrazy – zaproponował Henry. Odeszli, a w ich miejsce pojawiły się Klara i Jane.

Jane utkwiała we mnie spojrzenie niebieskich oczu.

– Skądś cię znam... na pewno...

– Byłam w St Mawes – przypomniałam jej. – W ubiegłym tygodniu.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– W kawiarni – odpowiedziała Klara. – Piłyśmy razem herbatę, była też Honor. Jane się rozpromieniła.

– Ach, tak. Honor! Pamiętam. – Spojrzała na mnie. – Ale ty, jak masz na imię?

– Jenni – odpowiedziałam. – Inaczej Genevieve. To moje prawdziwe imię.

– Genevieve. No właśnie.

Galeria wypełniała się ludźmi, gwar przybierał na sile.

– Podoba mi się ten homar!

– To plaża Porthcurnick, prawda?

– Ja tam wolę makrelę.

– Prawie czuć ten powiew, nie?

Leo zrobił się marudny i zaczął wydawać świdrujące okrzyki, więc Adam podał go Beth, ona zabawiła małego chwilę, a następnie oddała Klarze, która zakołysała go na rękach.

Ja zostałam z Jane.

– Jane, czy opowiedziałabyś mi coś o swojej przyjaźni z Klarą? Potrzebuję tego do książki, którą pomagam jej pisać.

– Książki? – powtórzyła ze zdumieniem.

– Tak. Klara pisze wspomnienia.

– Aha – odpowiedziała tonem, jakby po raz pierwszy o tym słyszała.

– Książka zostanie wydana w styczniu, na urodziny Klary.

– Trzydziestego stycznia – zaznaczyła Jane. – Ma urodziny trzydziestego.

– Właśnie. Dlatego pytam o nią rodzinę i znajomych. Czy mogłabyś mi powiedzieć, kim jest dla ciebie.

– No... Klara jest wspianiała – oznajmiła Jane. – Cudowna przyjaciółka, ależ tak, tak, bardzo – dodała poirytowanym głosem, jakbym to zakwestionowała. – Długo ją znam, bardzo długo, ale Klara jest najlepsza.

– To bardzo miłe. – Zanotowałam w myślach jej słowa. – Dziękuję, Jane.

Westchnęła.

– Co za tragedia. – Pokręciła głową. – Zginął, no wiesz, w czasie wojny. Kiedyś mi o nim opowiadała, tylko raz. Spadł i zranił się w głowę, biedaczek.

Podeszła do nas Klara z Leo na rękach, a ja odetchnęłam.

– Ręce mi mdleją, Jenni. Pottrzymałabyś go przez chwilę?

– Pewnie, jeśli Adam i Molly nie mają nic przeciwko temu.

– Ależ skąd. Napisałaś książkę o niemowlętach, na pewno znasz się na rzeczy. Proszę. – I nim zdążyłam zareagować, wcisnęła mi malca.

Ku mojej uldze się nie rozplakał. Przyjemnie ciążył mi na rękach, kiedy nosiłam go po sali i pokazywałam obrazy. Gdy zaczęłam się zastanawiać, czy mu wygodnie i czy może wolałby zmienić pozycję, zorientowałam się, że zasnął z policzkiem wciśniętym w moje ramię. Pogłaskałam go po włoskach, miękkich jak puch, wdychając ich słodki zapach.

Jane siedziała na kanapce w rogu. Miejsce obok niej było wolne, więc usiadłam ostrożnie. Leo posapywał mi w szyję, jego brzuszek miarowo wznosił się i opadał. Serce kołatało mu jak szalone, aż się przestraszyłam, ale przypomniałam sobie, że niemowlęta mają przyspieszony puls. Nagle Jane zwiesiła głowę. Zaniepokojona, pomachałam do Klary.

Popatrzyła na przyjaciółkę.

– Nie ma obawy – powiedziała cicho. – To nowy lek, powoduje u niej senność. Zaraz się obudzi rześka jak skowronek. Udało ci się z nią porozmawiać?

– Tak – odszepnęłam. – Mówiła o tobie miłe rzeczy. Była zupełnie przytomna, pamiętała nawet datę twoich urodzin, a potem... wszystko jej się pokręciło. – Nie wdawałam się w szczegóły.

– Tak bywa – odrzekła Klara. – Są dni, że możemy normalnie rozmawiać, a czasem plecie od rzeczy. Mam zabrać Leo? Śpi jak suseł, ale mogę go wziąć, jeśli ci niewygodnie.

– Nie, wszystko w porządku. Idź do gości.

I siedziałam z wtulonym we mnie śpiącym dzieckiem, wsłuchana w szmer rozmów.

– Tak, wycięte dynie wyglądają ślicznie – mówiła do kogoś Klara. – Ale to straszne marnotrawstwo, nie można ich później zjeść: są całe usmolone od świec!

Zjawiły się poprzebierane dzieci w poszukiwaniu rodziców. Wśród nich był zamaskowany duch i dziewczynka ubrana na czarno, ze srebrną pajęczyną wymalowaną na twarzy.

Nagle Jane się ocknęła, tak samo nagle jak zasnęła. Gdy zaczęła do mnie mówić, przebudził się Leo. Odepchnął się ode mnie rączkami i podniósł głowę, miał zaróżowiony policzek od wciskania go w moje ramię. Z buzi wyciekła mu strużka śliny, wytarłam ją chusteczką.

Jane popatrzyła na Leo, a potem na mnie.

– Ma oczy po tobie.

Goście zaczęli się rozchodzić. Klara przyniosła Jane płaszcz i pomogła jej go włożyć, potem zjawiła się Molly i spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Dobrze ci tu, maleńki, ale pora do łóżeczka.

Przyszedł Adam.

– Dzięki za potrzymanie małego, Jenni.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jest przesłodka.

– Jedziemy do domu, Leo – oznajmiła Molly. Zdjęła maluszka z moich kolan, rozgrzanych od jego dotyku i nagle dziwnie pustych. – Miło było cię poznać, Jenni. Może jeszcze kiedyś tu przyjedziesz.

– Może – odpowiedziałam. – Nie wiem. Ale was też miło było poznać. To dla mnie zaszczyt móc spędzić tyle czasu z twoją babcią, Adamie.

Uśmiechnął się.

– Do widzenia, Jenni.

– Do zobaczenia, i dziękuję za dzisiejszy wieczór. – Pogłaskałam Leo po rączce. – Pa, kochanie.

Kiedy wyszli, podeszła do mnie Klara. Dotknęła mojego ramienia.

– To co... – Posmutniała. – Jutro wyjeżdżasz.

– Tak, około dziesiątej. Ale wpadnę do ciebie przed wyjazdem. Do widzenia, Jane – dodałam. Ale ona już szła do drzwi.

Ruszyłam drogą, mijając wciąż rozświetlone dynie, aż wioska została w tyle. Niebo przejaśniało, tarczę księżycy zasnuwały tylko pojedyncze obłoki. Na wysokości budki z napojami ujrzałam lampion, dryfujący nad morzem jak rozświetlona meduza.

Zeszłam po schodkach nad wodę.

„Evie...”.

Patrzyłam, jak fale nadpływają, a potem się cofają i znów nacierają ze swoim szszszszsz.

„Evie...”.

Podeszłam bliżej skał, poszarpanych na tle srebrzystego morza, a potem się wspięłam.

„Evie... zaczekaj... czekaj na mnie...”.

– Nie płacz – szepnęłam. – Jestem, Ted. Jestem tutaj. Pomogę ci. Pomogę. No chodź...

„Proszę...”.

Poczułam, jak mała rączka wsuwa się do mojej dłoni.

Tamtej nocy przyśnił mi się Ted i znów poczułam tęsknotę, lecz bez dojmującego bólu, jaki towarzyszył zwykle tym snom. Potem obraz Teda się rozwiął i otworzyłam oczy. W pokoju było jasno. Spojrzałam na zegar. Dziewiąta. Ku swojemu zdziwieniu, przespałam całą noc.

Po zapakowaniu walizek do bagażnika poszłam rzucić ostatnie spojrzenie na plażę. Na ścieżce uświadomiłam sobie, że jest pierwszy listopada, Wszystkich Świętych. Jutro Zaduszki, Święto Zmarłych.

Wyjrzałam na cypel i pola. Patrzyłam z góry, jak kormoran nurkuje w morzu niczym czarny pocisk, a potem zeszłam na piasek. Podniosłam gładki, szaroniebieski kamień, schowałam go do kieszeni, po czym wróciłam do chaty i pojechałam na farmę.

Gdy zajechałam na podwórko, na dachu przycupnęła mewa, jak wiatrowskaz. Kot siedział przy drzwiach i się mył.

Weszłam do środka, wiedząc, że zastanę tam Klarę. Stała przy ladzie, w białym fartuchu.

Uśmiechnęła się na mój widok.

– Witaj, Jenni.

– Dzień dobry, Klaro.

– I co, spakowana?

– Tak, i gotowa do wyjazdu. Proszę... – Położyłam na ladzie klucz do Lanhay.

Klara podała mi torbę z woskowanego papieru.

– Mam nadzieję, że zdołasz to cało przewieźć.

W środku znajdował się słoik z marmoladą, jabłka oraz ciasto czekoladowe owinięte celofanem i przewiązane czerwoną wstążką.

– Dziękuję, Klaro. To bardzo miłe. I dziękuję za gościnę. Cudownie się mieszkało.

– Moje słowa zabrzmiały dziwnie oficjalnie.

– Zawsze jesteś tutaj mile widziana, Jenni. Wystarczy, że zadzwonisz.

– Dziękuję. Ale... nie jestem pewna, czy jeszcze tu wrócę.

– Hm... – Klara bezradnie wzruszyła ramionami. – Oczywiście rozumiem. Ale będzie mi cię brakować – ciągnęła. – I mam wielką nadzieję, że jeszcze się spotkamy, jeśli nie tutaj, to może gdzie indziej, albo... może zadzwonimy do siebie od czasu do czasu?

– Jasne – odpowiedziałam. – Będziemy w kontakcie. Bardzo mi na tym zależy, Klaro. Nie może być inaczej po tym, co... – Wyciągnęłam rękę i uściśnęła ją oburącz.

– Dziękuję za przemiłą współpracę, Klaro... a właściwie coś więcej. Dziękuję za twoją przyjaźń.

Objęła mnie i stałyśmy tak przez chwilę. Poklepała mnie po ramieniu.

– To ja dziękuję, Jenni – szepnęła. Kiedy się odsunęłyśmy, spojrzała na mnie z uśmiechem. – Będę o tobie myślała. Masz przed sobą ważne decyzje.

– Tak – odmruknęłam z ciężkim sercem.

Wyszłyśmy przed dom. Wsiadłam do samochodu, a Klara pomachała mi na pożegnanie. Gdy spojrzałam we wsteczne lusterko, ona wciąż stała i machała.

W pociągu patrzyłam przez okno na uciekającą Kornwalię, a w głowie dźwięczały mi słowa Klary. Skierowałam myśli ku domowi.

„Albo ja zmienię zdanie, albo ty zmienisz zdanie, albo...”.

Wciąż staliśmy z Rickiem w obliczu trzeciej opcji. Zastanawiałam się, czy zerwiemy stopniowo, czy odważymy się zrobić to szybko i boleśnie, jak zdarcie plastra. Nie miałam poczucia, że nasza rozmowa telefoniczna coś rozwiązała. Może Rick mnie lepiej zrozumiał? Ale nie byłam pewna, czy to wystarczy.

Z duszą na ramieniu pojechałam metrem do Angel. Ruszyłam pieszo City Road,

a potem skręciłam w Noel Terrace. Gdy wkładałam klucz do zamka, drzwi się otworzyły i na progu stanął Rick w dżinsach i koszulce polo, na bosaka, z uśmiechem, od którego zawsze miękły mi kolana.

– Cześć – powiedział. – Słyszałem, jak idziesz.

– Cześć...

Cmoknął mnie w policzek, bardziej po przyjacielsku niż z czułością.

– Byłeś u fryzjera.

Przejechał ręką po włosach.

– Musiałem. Dobrze wyglądasz – dodał jak do starej znajomej.

Mieszkanie wyglądało dziwnie i obco, już nie *gezellig*. Spojrzałam na uporządkowane półki, czystą podłogę, ułożone poduszki.

– Posprzątałeś.

– Na twoją cześć. I zrobiłem kolację.

– To miło. Dziękuję. Klara dała mi ciasto. – Otworzyłam torbę i postawiłam je na stole. – Możemy zjeść na deser.

Rick otworzył lodówkę i wyjął butelkę.

– Wino? Pewnie masz ochotę po całym dniu w pociągu.

– Właściwie to było pięć godzin, ale tak, poproszę. Tylko najpierw się rozpakuję.

Zaniosłam laptop do gabinetu i położyłam kamień na biurku, poszłam do łazienki, rozebrałam się i odkręciłam wodę. Weszłam pod prysznic i przymknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, Rick siedział na wiklinowym krześle. Po chwili wstał, zdjął koszulkę, rozpiął spodnie i zdjął je razem z bokserkami, po czym otworzył kabinę i wszedł do mnie pod prysznic. Namydlił mnie i umył mi włosy, wyzymając je palcami, potem pocałował mnie pod strumieniem wody. Głaskałam go po piersi i plecach, przejechałam dłońmi po krągłości pośladków, czując jego erekcję. Wyszliśmy spod prysznica i wytarliśmy się ręcznikami, a potem, nieprzytomna z pożądania, ruszyłam za nim do sypialni.

Kochaliśmy się mocno i namiętnie, jak to często bywa z ludźmi u kresu związku. Potem leżeliśmy spleceni, nie mając odwagi wyrazić smutku, który nas ogarnął.

Prawie zapadł zmrok. Rick wstał, zaciągnął zasłony i narzucił szlafrok.

– Napijmy się teraz, porozmawiamy przy kolacji.

– Dobrze – odpowiedziałam z pozorną obojętnością, ale jego słowa przejęły mnie chłodem. Właściwie nie ma o czym mówić, pomyślałam, wkładając czystą koszulkę i spodnie. Pozostaje kwestia formalności, kto zostaje w mieszkaniu, kto się wyprowadza i tak dalej.

Zeszliśmy na dół. Rick nalał wino i zapalił świecę, ja nakryłam do stołu i zrobiłam sałatkę. Wyjął z piekarnika lasagne, nałożył mi, a potem sobie. Kapało mi z mokrych włosów na ramiona i ciekło po plecach.

Żadne z nas nie kwapiło się zacząć rozmowę, z obawy, do czego doprowadzi.

Pierwsza przerwałam milczenie.

– I co, wysłałeś podanie o pracę? Do Norwich?

– Tak, wczoraj. Oglądałem też parę innych ofert, dwie w Sussex, jedną w północnej Walii. I znalazłem ciekawą szkołę w Bath.

– Bath brzmi niezłe. – Nałożyłam sobie sałatkę. – Pasowałbyś tam.

Rick odstawił kieliszek.

– Pasowałbym tam? Czy to chciałaś powiedzieć, Jen? – spytał łagodnie. – Czy może: pasowalibyśmy?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

– Miałam na myśli ciebie, Rick. Jak mogę mówić o „nas”, skoro wciąż mamy wielki problem, który sam się nie rozwiąże? Konflikt interesów – ciągnęłam – ty chciałbyś mieć dzieci...

– Tak, chciałbym mieć dzieci – wpadł mi w słowo.

Odłożyłam widelec.

– Całkowicie to rozumiem.

– Bardzo chciałbym mieć dzieci.

– Wiem – powiedziałam bezsilnie. – Nie musisz mi tego tłumaczyć. Ale ja nie.

– No to... – Odetchnął. – Nie będzie łatwo.

– Nie będzie. – Ścisnęło mnie w gardle. – Będzie bardzo trudno. – Łzy zapiekły mnie pod powiekami.

Westchnął, a ja czekałam na nieuniknione słowa, które przypieczętują nasze rozstanie. Przymknęłam oczy.

– Ale jeszcze bardziej niż dzieci, Jenni, chcę ciebie. – Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie. – Strasznie było mi bez ciebie. Przed twoim wyjazdem do Kornwalii myślałem, że możemy... musimy zerwać. Ale zmieniłem zdanie.

– To... czemu od razu nie powiedziałeś? Kiedy weszłam?

– Bo to ważna decyzja. Chciałem sprawdzić, co pocuję, kiedy cię zobaczę, obejmę, usłyszę twój głos. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie chcę cię stracić. Jesteś mi potrzebna, Jen... do szczęścia. Muszę być z tobą.

– Ale... między nami nic się nie zmieniło, Rick. Tyle że teraz już wiesz... już wiesz o... – Świeca zaszła mgłą. Spuściłam głowę, nie mogąc dłużej powstrzymać łez.

Rick sięgnął ręką przez stół i wytarł mi policzki palcami.

– Twoja opowieść o Tedzie bardzo mnie poruszyła, Jenni.

Przełknęłam ślinę.

– Myślałam, iż dojdiesz do wniosku, że zawsze będę coś przed tobą ukrywać. I że to ułatwi ci decyzję o rozstaniu.

– Nie. Stało się dokładnie na odwrót, bo postanowiłem zostać. Jeśli mam budować nowe życie, to tylko z tobą.

– Nawet jeśli to znaczy... że nie dostaniesz tego, na czym ci zależy.

– Nawet. Ale dostanę, Jen. Mam ciebie.

Przez następne dwa tygodnie Rick rozsyłał podania o pracę do szkół w całym kraju. Ja dostałam kilka propozycji, w tym napisanie „płomiennego romansu” dla lesbijek, ze „szczegółowymi opisami”, a Rick zaoferował gotowość konsultacji. Inna pani chciała mi zlecić napisanie powieści science fiction. „Mam zarys faboły, jest świetna”, zapewniła w liście. „Liczę, że mi pani pomorze”. Przyjęłam zlecenie napisania wspomnień starszego pana, który latał na myśliwcach Spitfire. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o drugiej wojnie.

Tymczasem nadrobiłam zaległości towarzyskie z Niną, której zaokrąglął się brzusek, i Honor, promieniejącą szczęściem zakochanej. Sypiałam dużo lepiej, a mój związek z Rickiem rozkwitał.

Nadal dopracowywałam książkę Klary i głowiłam się nad rozmieszczeniem zdjęć.

Rozłożyłam je na biurku. Były tam fotografie „Indrapoory”, rzut z lotu ptaka na Tempat Sungai, Peter i Jaya łowiący ryby oraz Klara z Florą na schodach szkoły. Na innym Klara osłaniała brata parasolem, a rodzice stali obok siebie na trawniku. Chustka z Bloemencamp, książka kucharska Anneke, obóz w Nijmegen i farma w Polvarth. Ostatnie zdjęcie przedstawiało Klarę w ukochanym ogrodzie za murem. Zrobiłam sobie odbitkę i postawiłam ją w gabinecie.

W połowie listopada wysłałam Klarze wydruk. Byłam ciekawa, co poczuje, czytając o swoich doświadczeniach, obawach, szczęściu, rozpaczach i rozterkach w formie, jaką im nadałam. Po tygodniu zadzwoniła i dostałam odpowiedź na dręczące mnie pytania.

– No... przeczytałam – zaczęła.

– I co? Powiedz – poprosiłam z niepokojem.

– Jestem zachwycona, Jenni.

Poczułam przyływ ulgi.

– Mam coś zmienić?

– Nic a nic. Niech wszystko zostanie tak, jak jest.

– Czyli nie masz zastrzeżeń do opisu wartowni w Tjidengu, wyjazdu Petera do Tjimahi oraz tego, co zdarzyło się w Tjikalengka?

– Żadnych. Cieszę się, że to wszystko znalazło się w książce. Te wydarzenia są nieodłączną częścią mojej historii i nie darowałabym sobie, gdybym je przedstawiła w złagodzonej formie.

– Bardzo się cieszę, Klaro. To odważna decyzja.

– Chyba lepiej jest powiedzieć prawdę. – Dodała, że chciałyby zadedykować książkę rodzicom, po angielsku i holendersku.

Zapisałam.

– A tytuł? Już wymyśliłaś?

– Tak. – Podała mi i zanotowałam. *Cienie nad rajem.*



Spojrzałam na te słowa, ujęta ich pięknem i złowrogą wymową.

– Bardzo sugestywny, Klaro. To co... – Wzruszyłam ramionami. – Wszystko gotowe. Teraz już tylko dostaniesz książki w twardej oprawie, ze swoim nazwiskiem na okładce. Poślę je do ciebie kurierem tydzień przed urodzinami.

– Dam wszystkim po egzemplarzu, a potem pójdziemy do hotelu świętować. Chciałabym, żebyś była z nami, Jenni.

– Dziękuję, Klaro. Będę z tobą myślami i wzniosę toast za kolejne dziesięć lat.

– A co u ciebie, kochana?

– Hm... w porządku.

– A Rick? Jeśli mogę spytać.

– Pewnie, że możesz. Powiedziałyby ci wszystko, Klaro. Rick też w porządku.

– To dobrze. Myślałam o was. Zatem wciąż jesteście razem?

– Owszem. I postanowiliśmy, że tak zostanie.

– Wspaniale. A więc... zmieniłaś zdanie?

– Nie ja. Rick.

– To musi wiele dla ciebie znaczyć, Jenni.

– Jeszcze jak – odpowiedziałam.

# EPILOG

## Nailsford, Gloucestershire

Jest popołudnie babiego lata, a ja trzymam na rękach ruchliwe niemowlę o roziskrzonych, niebieskich oczach, z jasnym kędziorkiem i pojedynczym zębkiem w różowych dziąsłach.

– Uśmiech – woła fotograf.

– Przecież się uśmiecham – oponuję z rozbawieniem.

– Szerzej proszę. To chrzest, a nie pogrzeb.

– Szerzej już nie mogę. Prawda, Rick?

Fotograf stoi obok Ricka, patrzy na mnie i kiwa głową.

– Obawiam się, że to już szczyt szczęścia.

– U mnie tak samo – mówi Honor, która stoi obok mnie. – Policzki mnie rozboleły.

– No dobrze, proszę się nie ruszać... – Fotograf robi kolejne ujęcia, po czym sięga po większy obiektyw i przykręca go do aparatu. – Jeszcze tylko kilka... ślicznie.

– Dawaj, teraz moja kolej – komenderuje Honor. – Dosyć się natrzymałaś, Jen. Oddaj, mówię. – Wyglądam koronkową sukienkę dziecka i podaję je Honor, po czym ustawiamy się do kolejnych zdjęć.

Podchodzi Nina.

– Matki chrzestne mamy z głowy. Poprosimy ojców.

Al staje obok Honor, a James, brat Jona, obok mnie. Fotograf pstryka jak szalony, po czym w środku stają Nina z Jonem. Honor oddaje dziecko Ninie i znów pozujemy.

Fotograf ogląda swoje dzieło na wyświetlaczu.

– Pięknie. Co teraz?

– Idziemy na mszę – oznajmia Nina.

I dokładnie rok po ślubie Nina i Jon prowadzą nas z powrotem do Świętego Judy na chrzest swojej córki Clementine. Zebrało się około pięćdziesięciu osób, a Tim, młodszy brat Jona, tradycyjnie pełni funkcję odźwiernego i wręcza nam modlitewniki. Organista gra kolejną partitę Bacha, a Rick i ja siedzimy w tej samej ławce co przedtem. Ale tym razem dla odmiany jesteśmy spokojni i szczęśliwi. Rick uśmiecha się i bierze mnie za rękę. Przysuwam się do niego.

Patrzymy na witraż, na Jezusa z dziećmi. Słońce wpada przez kolorowe szybki, rzucając tęczę na ścianę.

Odwracam się na dźwięk kroków. Nadchodzi Vincent Tregear. Niesie ozdobną, srebrną torebkę. Na mój widok unosi rękę, odpowiadam mu tym samym. Wszystko dzięki niemu.

Pastor wita nas ponownie, po czym wstajemy i śpiewamy.

– Narodziny dziecka to czas radości i dziękczynienia – zaczyna pastor. – Wielu rodziców pragnie podziękować Bogu za swoje dziecko. – Przywołuje Ninę i Jona

do ołtarza, a oni podają mu Clemmie, która macha rączkami i cmoka. Wszyscy się śmieją. Pastor z uśmiechem zwraca się do Niny i Jona. – Czy przyjmujecie Clementine Alexandrę jako dar od Boga?

– Przyjmujemy – odpowiadają.

– Teraz poprosimy o Boże błogosławieństwo dla Clementine – kontynuuje pastor. – Składamy za nią dziękczynienie i modlimy się za jej rodziców, którzy przyjmują na siebie odpowiedzialność za jej wychowanie.

Pochylamy głowy w modlitwie, po czym przychodzi pora na rodziców chrzestnych i Honor, ja oraz dwaj ojcowie dumnie stajemy przed ołtarzem...

– Pięknie, prawda? – mówi Honor, gdy znów wychodzimy przed kościół. – Z rozkoszą wyrzekłam się szatana – dodaje ze śmiechem.

– I jego dzieł – przypomniałam.

– Właśnie. Przynajmniej większości.

– Oraz jego pustych obietnic.

– Dobra, dobra. Ciebie to też dotyczy.

Pozujemy do kilku grupowych zdjęć, po czym kierujemy się w stronę domu. Jon niesie Clemmie, koronka jej sukienki powiewa na wietrze.

Ściany Starej Kuźni znów są porośnięte ognikiem szkarłatnym i winobluszczem, a na klombach płoną szkarłatne dalie. Poczestunek odbywa się na zewnątrz i siadamy na krzesłach na trawniku, wdzięczni za słoneczną pogodę, która nam to umożliwia.

Clementine przechodzi z rąk do rąk, a Honor i ja staramy się o nią nie kłócić.

– Była taka grzeczna w kościele – rozkliwia się Honor. – Prawda, kochanie? – Gdy sadza sobie Clemmie na kolanach, brylant na jej lewej dłoni połyskuje w słońcu. – Pomyśleć, że jeszcze przed rokiem prawie jej nie było. – Odwraca się do Ala. – I pomyśleć, że ciebie nie znałam. Lepiej nie zerwijmy – dodaje ze śmiechem. – To byłby feler, bo oboje jesteśmy chrzestnymi.

– To raczej nam nie grozi. – Al się uśmiecha.

– Kiedy ślub? – pyta Betty, matka Niny, krojąc tort.

– W czerwcu – odpowiada Honor. – Jesteśmy na etapie planów. Czy to spód weselnego tortu?

– Owszem. Starannie przechowywany na tę okazję. – Betty podaje Rickowi talerzyk. – Podobno masz nową pracę.

– Tak – potwierdza Rick. – Zacząłem w tym półroczu.

– Jest nauczycielem mianowanym – informuje Nina.

– Świetnie – mówi Betty. – Znowu w Londynie?

– Nie, w New Forest – odpowiada Rick. – Niedaleko Romsey. Jeszcze poznajemy okolicę.

– Tam jest pięknie – oświadcza Betty. – Tak blisko morza, kawałek od Southampton. To była dobra decyzja.

– Mogłem wybrać Norwich – tłumaczy Rick – ale zdecydowaliśmy się na Romsey, żeby być bliżej matki Jenni.

– Na pewno się ucieszyła.

– My też – mówi Rick. – Teraz często się widzimy.

Przed oczami staje mi twarz matki, gdy po raz pierwszy do niej pojechaliśmy w zeszłym roku. Ucieszyła się z mojej wizyty i z poznania Ricka, a on dwoił się i troił, żeby przełamać lody.

Gdy usiadaliśmy na kanapie, Rick obejrzał zdjęcia na kredensie.

– Jenni opowiedziała mi o Tedzie – zagaił taktownie.

Matka pokiwała głową.

– To było straszne – powiedziała cicho. – Tragiczny wypadek, prawda, Genevieve? – Położyła rękę na mojej, a ja ją uścisnęłam.

– Tak. – Poczulałam, że jestem skłonna sobie wybaczyć.

Betty podaje mi herbatę.

– Macie już mieszkanie?

– Jeszcze nie – odpowiadam. – Na razie wynajmujemy, ale liczę, że niedługo coś kupimy.

– Macie coś na oku? – pyta Derek, ojciec Niny.

– Dom – zaczyna Rick, ale przerywa mu nadejście Vincenta Tregeara, który siada na wolnym krześle obok mnie. Otwiera srebrną torebkę i wręcza Ninie prezent.

– Drobiazg dla mojej słodkiej wnuczki chrzestnej. – Uśmiecha się do Clemmie, rozpartej z zadowoleniem na kolanach Honor.

– Dziękuję, wujku Vincencie – mówi Nina. – Mogę otworzyć?

– Naturalnie.

Nina odwija prezent, z pomocą Clemmie, która nachyla się i ciągnie za papier. Wewnątrz znajduje się srebrne puzderko z aniołkiem na wieczku.

– Cudne – woła Nina. Uśmiecha się do Vincenta. – Bardzo dziękuję.

– Myślałem, że możecie tam włożyć jej pierwszy ząbek – podsuwa Vincent.

– Świetny pomysł. Ty mała szczęściaro – mówi do córki Nina i ją całuje.

Vincent zwraca się do mnie.

– Miło znów cię widzieć, Jenni.

– Ciebie również. Dokładnie rok temu się poznaliśmy.

Kiwa głową.

– I bardzo mnie to cieszy. Wiem, że jesteś w kontakcie z mamą, ale chciałem tylko powiedzieć, że spisałaś się na medal. Wspaniale opowiedziałaś jej dzieje.

– Dziękuję. Taką historię chciała przekazać. Ale nawiązałyśmy nić porozumienia i to ułatwiło sprawę.

– Na pewno. Wspomniała, że byłaś wspaniałym „widmem”. – Vincent ponownie wkłada rękę do torebki. – Ale byłem w zeszłym tygodniu na farmie i wspomniałem, że

się zobaczymy... – Wyjmuje małe zawiniątko i mi podaje. – Przed wyjazdem poprosiła, żebym ci to przekazał.

Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– Co to? – Zawiniątko ciąży mi w dłoni.

– Nie mam pojęcia. Dała mi zapakowane i nic nie chciała powiedzieć. Mówiła tylko, że to dla ciebie.

Odwiązuję sznurek, odwijam papier i nie wierzę własnym oczom.

– Serio? – mamroczę.

– Serio. – Vincent patrzy na prezent. – To jaszczurka, o której mowa w książce?

– Tak. – Połyskuje mi w dłoni.

– W takim razie wiem, ile dla niej znaczyła.

Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć głosu.

– Podziękuj jej, proszę – wykrztuszam. – Napiszę do niej, ale proszę, proszę podziękuj ode mnie i powiedz, że postawię ją na honorowym miejscu.

– Dobrze. Ucieszy się z naszego spotkania. Pięknie wyglądasz.

– Naprawdę – potwierdza Nina. – Dosłownie promieniejesz, Jenni.

Uśmiecham się, wciąż patrząc na jaszczurkę; nie mogę uwierzyć, że Klara chciała mi dać coś tak cennego. Zmuszam się do udziału w dalszej rozmowie. Nina wypytuje Ricka o dom, którym jesteśmy zainteresowani.

– Miałeś nam powiedzieć.

– Ach, tak – odpowiada Rick. – No... właściwie sam dom to nic specjalnego, jest po prostu nowoczesny, ale ogród cudo, z wielkim, szerokim trawnikiem. Będzie świetny na imprezy – dodaje, ale ja wiem, że naprawdę myśli tęsknie o dzieciach, które mogłyby po nim biegać. Ja też je widzę. Ale zamiast rozwiać się jak duchy, biegną do nas. Biegną po trawie.

Wyciągam rękę.

# PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojemu wspinałemu wydawcy, Thalii Suzuma, za jej wiarę w powieść, natchnione wskazówki oraz niezachwiane wsparcie dla mnie jako pisarki. Moja wdzięczność nie ma granic. Dziękuję również Sarah Ritherdon i wszystkim w HarperCollins – Kate Elton, Marcie Ashby, Claire Palmer, Lucy Upton i Jaime Frost. Ogromne podziękowania, jak zawsze, dla mojej agentki Clare Conville i fantastycznego zespołu z Conville i Walsh, zwłaszcza dla Henny Silvennoinen, Alexandry Nicholl, Kingi Burger, Jake’a Smith-Bosanqueta i Alexandra Cochрана. Mam wielki dług wdzięczności wobec mojej amerykańskiej redaktorki, Kate Miciak z Random House Inc., za jej nieoceniony wkład. Chciałabym także podziękować Marii Adrianie Boerstra i Louise Stael von Holstein, które podzieliły się ze mną swymi wspomnieniami z czasów internowania na Jawie w obozach Solo, Moentilan, Ambarawa, Tjihapit, Kampong Makassar i Tjideng. Dziękuję też Charlotte i Simonowi Taffinderowi z Curgurrell Farm w Kornwalii za oświecenie mnie w kwestii życia na wsi oraz Robertowi Pepperowi ze Straży Przybrzeża w Pednvan Point, Portscatho, za informacje na temat przypływów. Serdeczne podziękowania dla moich przyjaciół i sąsiadów z Rosevine – zwłaszcza Jo i Alana Mullet, Jane i Juliana Noad oraz Tima i Hazel Brocklebank z Rosevine Hotel. Roland Bosch uprzejmie poprawił holenderskie tłumaczenia, a Louise Clairmonte i Eliana Haworth ponownie przeczytały maszynopis. I wreszcie ogromne podziękowania i całusy dla mojej bardzo cierplivej i wyrozumiałej rodziny – Grega, Alice i Edmunda oraz Freddiego i George’a.

# BIBLIOGRAFIA

Boudewijn van Oort, *Tjideng Reunion: A Memoir of World War II on Java*, Trafford Publishing

Ernest Hillen, *The Way of a Boy – A Memoir of Java*, Penguin Books

Jannie Wilbrink, *Java Lost: A Child Imprisoned, Parts I and II*, Friesen Press

Phyllis Pilgrim, *The Hidden Passport*, Phyllis Pilgrim

Paula Kogel, *The House at Ampasiet*, Matador

Dieuwke Wendelaar Bonga, *Eight Prison Camps: A Dutch Family in Japanese Java*, Ohio University Press

Inez Hollander, *Silenced Voices: Uncovering a Family's Colonial History in Indonesia*, Ohio University Press

Nicola Tyrer, *Stolen Childhoods: The Untold Story of the Children Interned by the Japanese in the Second World War*, Weidenfeld and Nicolson

Ralph Ockerse & Evelijn Blaney, *Our Childhood in the Former Colonial Dutch East Indies*, Ralph Ockerse & Evelijn Blaney

Nippon Shirley Fenton Huie, *The Forgotten Ones: Women and Children under*, Angus & Robertson, HarperCollins

*The Defining Years of the Dutch East Indies 1943–1949*, pod red. Jana A. Kranchera

Bernice Archer, *The Internment of Western Civilians under the Japanese 1941–1945: A Patchwork of Internment*, Hong Kong University Press

Hendrik L. Leffelaar, *Through a Harsh Dawn*, Frederick Muller Limited

Jan Berg, *My P.O.W. Story*

Andrew Crofts, *Ghostwriting*, A & C Black Publishers Limited

Elizabeth van Kampen, *Memories of the Dutch East Indies: From Plantation Society to prisoner of Japan*,

Louise Priesman-Bogaardt, *Dark Skies Over Paradise*, Trafford.